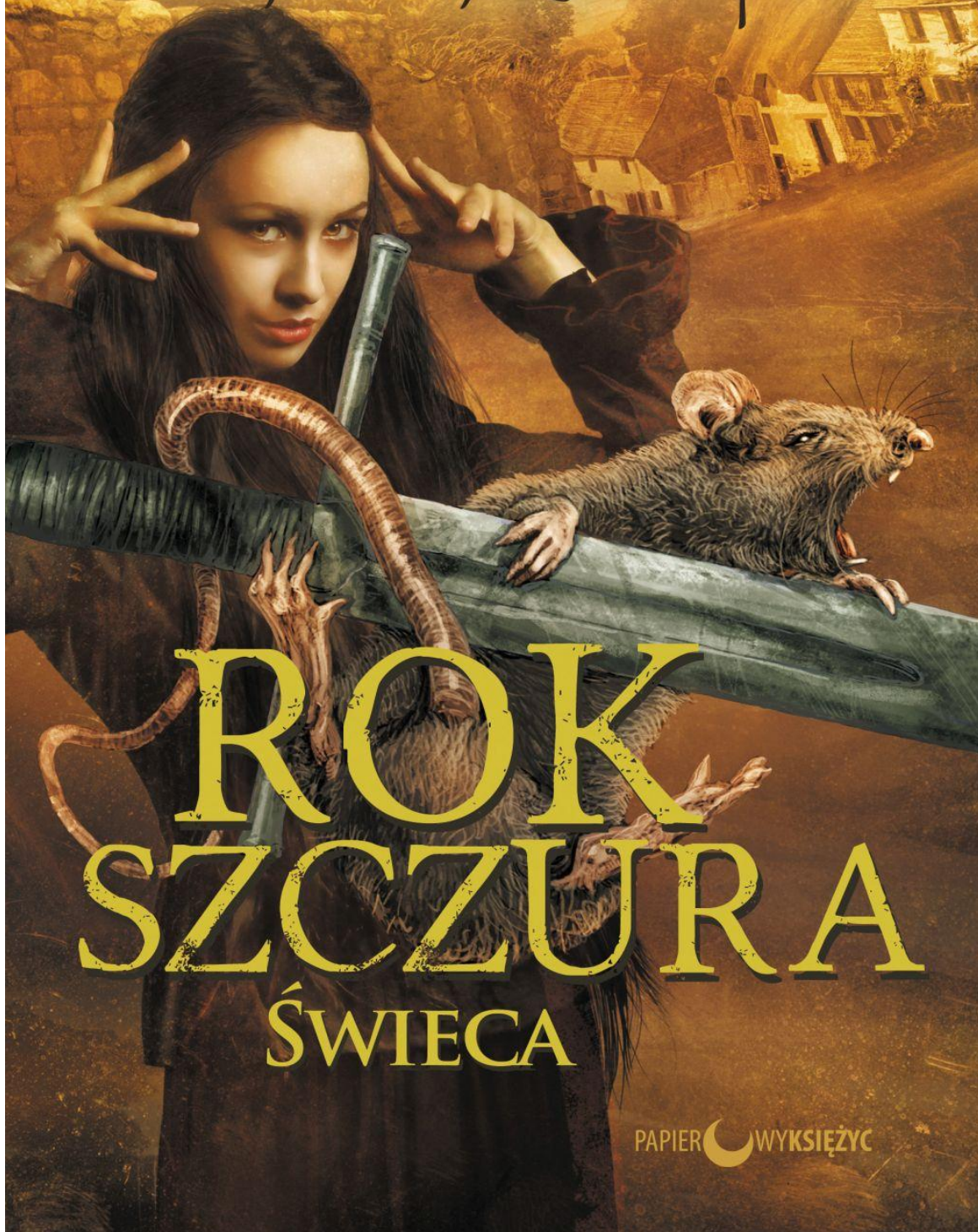


OLGA GROMYKO



ROK
SZCZUROWA
ŚWIECA

PAPIER WYKSIEŻYC

Rozdział 1

Kiedy stado szczurów zdecyduje się odejść, robi to szybko i zgodnie.

Traktat „O stworach ziemi, wody i niebios”

Dziewka pod Alkiem wiła się, jakby mrówki ją gryzły w pięty. Szminka jej się rozmazała i wymieszała z bielidłem na policzkach, co robiło wrażenie, jakby ktoś rozbił dziwce wargi. Ale Sawrianin jej nie bił. Jeszcze nie.

– Kto? – powtórzył Alk, potrząsając gadziną, żeby w końcu zrozumiała z kim ma do czynienia. Nóż, który odrzucił razem z poduszką, kusząco połyskiwał na podłodze. Ech, dlaczego baby są zawsze święcie przekonane, że wystarczy rozłożyć nogi a mężczyzna zapomni o całym świecie? On sam nawet w takich momentach wolał wiedzieć, gdzie znajdują się ręce kochanki. I jeśli jedna z nich bez żadnej przyczyny spęza z jego pleców...

– Kto cię wynajął?

Dziewka przestała wierzcąć, ale jej niebieskie oczy nadal lśniły wściekłością.

– Nikt! – krzyknęła. – To na wszelki wypadek! Do obrony przed różnymi zboczeńcami!

– I to też przed zboczeńcami? – Alk podciągnął bliżej lampy jej prawy nadgarstek, na którym wyraźnie widać było wyrobiony mięsień.

– Klienci lubią mocne dziewczynki!

– Oj tak-tak-tak, tylko muszę powiedzieć, że ćwiczyłaś jakieś niewłaściwe miejsce. Bo w tym tutaj to mięsko narasta, jak się długo kręci żelastwem.

Panienka ponownie spróbowała się wyrwać i dopiero wtedy Alk bez żadnych ceregieli potraktował ją łokciem w splot słoneczny.

– „Tylko pół srebra i jestem twoja”! – powtórzył drwiąco, póki „kurczątko” z wytrzeszczonymi oczami usiłowało zaczerpnąć powietrza. – Dziewki na tej ulicy nie biorą mniej niż trzy, bo inaczej im własne przyjaciółeczki podkorygują urodę. No więc zrobiłem się bardzo-bardzo ciekaw, dlaczego taka ślicznotka wręcz otwarcie psuje rynek. I to jeszcze klei się do bosonogiego najemnika, a nie do idącego przed nim kupca.

Dziewka w końcu zdołała wrzasnąć, ale w „kurniku” nikogo to nie zdziwiło.

– I na pomoc nie wołasz... – skonstatował Alk z zadowoleniem. – Ponieważ zapłaciłaś „kwoce” nie tylko za pokój, ale i za milczenie. Cokolwiek by się tutaj nie działo, ona i tak tego nie usłyszy. Tylko z rana zawoła strażników: Ajajaj, jakiś drań zaszlachtował moje nowe „kurczątko”! Zaszlachtował? Czy może najpierw oskubał i wypatroszył?

Teraz Alk trzymał osłabłą dziewczkę jedną ręką, a drugą wyciągnął własny nóż, umocowany paskiem do kostki.

Niebieskooka już nie krzyczała. Tylko z hałasem wypuściła powietrze, kiedy z zadrapania pod piersią wytoczyła się pierwsza kropla krwi i popęzła pomiędzy żebrami.

– Dobra – powiedziała panienska zupełnie innym, szorstkim i rzeczowym tonem. – Poddaję się. Puść.

– „Karalusza”?

– Tak.

Alk rozluźnił chwyt i cofnął się. Dziewka, z wściekłością burcząc coś pod nosem, otuliła się prześcieradłem, sięgnęła po nóż i schowała go w fałdach tkaniny. Sawrianin nie przeszkadzał jej. Zamówienie spalone, najemna morderczyni przyznała to i dzisiaj już nie będzie czyhać na jego życie. Kodeks, żeby go!

– Nie znam imienia – uprzedziła od razu. – I opisać go również nie zdołam.

Sawrianin skinął głową. Tego typu umowy zawierano w mroku, przy czym „karaluch” wchodził do pokoju, kiedy klient już tam był. Obu znał wyłącznie pośrednik, ale jego prawo do tajemnicy chroniła wspólnota i wszystkie kwestie sporne rozwiązywano za pośrednictwem jej wewnętrznego sądu.

– Czego chciał?

– Srebrną rurkę na łańcuszku, z papierkiem w środku. Jeśli pieczęć będzie cała, to płaci podwójną stawkę.

– Ile?

Panna na chwilę się zamyśliła, a następnie wzruszyła ramionami i podała kwotę.

– Niespecjalnie dużo. – Tak w zasadzie klient nie poskąpił, ale Alk cenił się znacznie wyżej. Chociaż za głowę złodzieja ta kwota wystarczyłaby z nawiązką.

– To już zrozumiałam – skrzywiła się „karalusza”, dotykając draśnięcia. – Ale miej na uwadze, że zawarł kontrakt na trzy próby. I można się paprać ile kto chce, byle tylko nie publicznie.

– Zapobiegawczy typek. Jeszcze coś mi powiesz?

Morderczyni z irytacją wzruszyła ramionami.

– Głos miał zwykły. Zaliczka standardowa. Nie skąpił, ale ceny znał. Chyba ktoś ze szlachty, kto już nie raz korzystał z naszych usług.

– Opisał właśnie mnie?

– Nie, twojego czarniawego kumpla. Ale uznałam, że skoro już wszystko jest dozwolone, to najpierw trzeba się pozbyć ciebie.

– Słusznie uznałaś. – Alk zaczął się ubierać.

– Słuchaj, białowłosa... – Ślicznotka puściła skraj prześcieradła i ze skrzepowaniem poskrobała paznokciami materac. – Skoro moje zamówienie i tak utonęło w wychodku... Tak w zasadzie to jesteś pierwszym, kto dał radę mnie

złapać. Co powiesz na to żeby kontynuować?

– Pół srebra – wyszczerzył się Alk – I jestem twój.

– Szczurzy syn! – Panna z nienawiścią rzuciła w Sawrianina poduszką. Ten z uśmiechem odbił ją łokciem, odwrócił się i wyszedł.

* * *

Śliwy o czerwonych liściach, największa piękność i duma pałacowego sadu już przekwitły, ale nawet bez nich było tu co podziwiać. Rintarskie rozarium przegrywało wyłącznie z czurińskim, skąd co roku sprowadzano nowe gatunki. Zresztą tsarski ogrodnik również swoje potrafił – ciągle czarował nad krzakami, coś tam podwiązywał, przeszczepiał, przesadzał. Z platformy obserwacyjnej narożnej wieży klomby same wydawały się gigantycznymi różami: biała, żółta, czerwona...

– Powtarzam – odparł spokojnie tsarewicz Szares. – Cała ta historia z niby wysłanym przeze mnie do Sawrii listem jest wyszana z palca.

– Ale rozmowa waszej wysokości z gońcem miała świadków. – Kastiusz rzucił krótkie spojrzenie na palce tsarewicza. Wpiły się w barierkę z taką siłą, że paznokcie pobieleły.

– Lubię rozmawiać ze zwykłymi ludźmi. Jak jeszcze mógłbym dowiedzieć się o potrzebach mojego narodu?

– Tyle że natychmiast potem wyruszył on w drogę.

Tak naprawdę istniał tylko jeden świadek. A nawet ten jedynie widział zdarzenie, ale nic nie słyszał, bo w przeciwnym razie sprawy potoczyłyby się zupełnie inaczej.

– Czyli miał jakieś polecenie od mojego ojca.

– Nie.

– W takim razie po prostu miał ochotę na spacer – ciągnął tsarewicz tak samo beznamiętnym tonem.

– Dał mu wasza wysokość notatkę do krowiuszego z prośbą o wydanie najlepszego zwierzęcia.

– Czy mogę na nią spojrzeć? – Szares odwrócił się do Kastiusza i z wyższością wyciągnął rękę. Nie drżała, zauważył starszy mężczyzna z szacunkiem.

– Nie oddał jej, tylko pokazał.

– A to drań, podrobił mój podpis! – W oczach tsarewicza wyraźnie odbijała się drwina z naczelnika tajnej straży. Jednak ten był do tego przyzwyczajony.

– I pieczęć również?

– Ci oszuści są tacy zmyślni.

– Dziwne jest usłyszeć od waszej wysokości tak niepoehlebne wypowiedzi o przyjacielu z dzieciństwa – zauważył Kastiusz z naganą. – O ile się nie mylę, to ostatnio raczył wasza wysokość przyjmować go w swoich komnatach. Na

osobności.

– I co z tego? Pana również tam przyjmowałem. Co to za różnica w jakim towarzystwie topić nudę w winie? A dzieci dorastają i stają się bękartami, draniami i sukinsynami. – Szares mściwie zacytował słowa jego tsarskiej mości.

– Mimo to goniec wyruszył do Sawrii *na rozkaz waszej wysokości*. – Pojedynek spojrzeń trwał. – I to nie pierwszy raz.

– W takim razie dlaczego jeszcze nie siedzę w pana magicznej piwniczce?

– Przepraszam najmocniej...?

– W tej, w której nawet głązy stają się rozmowne – wyjaśnił tsarewicz.

– Jak wasza wysokość może tak mówić! – obruszył się jego rozmówca uprzejmie. – Jakże tak...? Przecież nie jest wasza wysokość zwykłym przestępcą...

– Mój ojciec tak nie uważa.

– Może gdyby wasza wysokość był z nim nieco bardziej szczerzy...

– Czyli nie złapaliście gońca? – przerwał tsarewicz.

– Nie żyje. – Kastiusz z westchnieniem „zdradził” tajemnicę, by zobaczyć, jak Szares na chwilę przymyka oczy i niby niedbale opiera się plecami o kolumnę.

– Kat przesadził? – Głos tsarewicza mimo wszystko zupełnie się nie zmienił.

– Wypadek. – Naczelnik straży w odróżnieniu od tsarewicza panował nad sobą idealnie, nawet powieka mu nie drgnęła. – Rozbójnicy.

– I co, stawili się u pana z przeprosinami i tą bajeczką? – Szares pozwolił sobie na odrobinę czystej złośliwości. – Czy może... po obiecanej nagrodę?

– Nadal ich szukamy.

– To jak pan znajdzie, proszę z tym do mnie wrócić. – Tsarewicz ponownie odwrócił się w kierunku sadu.

Przez szczapę czy dwie Kastiusz ze zrozumieniem obserwował przycinającego krzak ogrodnika, a następnie pozwolił sobie udzielić „przyjacielskiej rady”.

– Na miejscu waszej wysokości jednak porozmawiałbym z ojcem otwarcie.

– Na moim miejscu – plecy tsarewicza nadal były sztywno wyprostowane – wolałby pan jeszcze chwilę pożyć. Nie wspominając o tym, że kompletnie nic nie wiem o żadnym liście. To są bzdurne wymysły pańskich szpiegów i dokładnie to może pan przekazać mojemu ojcu.

– Cokolwiek wasza wysokość powie – zgodził się Kastiusz pokornie, nawet nie próbując przekonywać tsarewicza, że rozmowa ta pozostanie między nimi.

Schodząc po kręconych schodach naczelnik straży niedbale pogwizdywał pod nosem „A moja panna to ma jabłuszka jak mało która”, co oznaczało, że jest równocześnie poirytowany i zadowolony.

Cokolwiek by nie mówił stary tsar, jego „bezwartościowy” dziedzic miał kły. Szkoda jedynie, że nadal nie nauczył się szczerzyć ich na swoich, co dla tsara było bardzo ważne. Władca, który nie potrafi sam wyjść spod kontroli rodzica nie

jest wart nawet miedki. Słaba wola, tchórzostwo? Nie. Kastiusz widział, jak tsarewicz władał bronią. Jak sądził. Jak rozmawiał z posłami. I jak wydawał rozkazy. Kiedy zasiądzie na tronie, w tsarstwie nie zaczną się zamieszki i naczelnik straży miał nadzieję, że przy odrobinie dyplomacji uda mu się godnie – i z przyjemnością – służyć nowemu rintarskiemu władcy.

Ale póki wilczek nie rzucił otwartego wyzwania przewodnikowi stada Kastiusz musiał słuchać starego wilka, mimo że ten wyraźnie zniedołężniał i prawie stracił węch.

Z jakiegoś powodu naczelnik straży miał wrażenie, że już niedługo będzie czekał.

* * *

– Gdzie was nosiło?! – z irytacją przywitał Alk Ryskę i Żara.

– I kto to mówi! – obruszył się złodziej, spojrzawszy na przyjaciółkę, po czym z ironią dodał: – Zobacz, a ty tak się martwiłaś!

Ryska chmurnie pociągnęła nosem. Żar, który szukał jej przez bite dwa łuczywa i również się mocno przeraził, rugał dziewczynę przez całą drogę powrotną ale w końcu nie domyślił się, że przyczyną jej zapłakanych oczu wcale nie jest zaginięcie Sawrianina. Szczęśliwie przez ten czas Ryska zdołała się uspokoić i teraz sama nie rozumiała o co jej poszło. No dobra, jakiś tam białowłosy poszedł na baby. Przecież za pieniądze, nie przykładał żadnej miecza do gardła. Prawo tego nie broni. Wręcz przeciwnie – to przychód do skarbcza, bo „kurnik” też podatki płaci. Pewnie Ryska po prostu była zmęczona i jeszcze te bajki o przystojnych tsarewiczach zamąciły jej w głowie kompletnie bez powodu... Żarowi dziewczyna nic nie powiedziała. Skoro ona sama rozumie, że zachowała się głupio, to przyjaciel na pewno by ją wyśmiał. Musiała zacisnąć zęby i znosić jego pocieszenia aż do samego domu.

Z dumnie uniesioną głową przeszła koło Alka do wiadra, by napić się wody i dopiero wtedy zauważyła, że w izbie działo się coś niedobrego. Do bałaganu w złodziejskim mieszkaniu Żara było daleko, ale ten kto przetrząsnął ich rzeczy tutaj również niespecjalnie się krępował. Pościel Ryski leżała w rogu na kupie, otwarta skrzynia była pusta, ze stołu zniknęły noże i łyżki, a misek w kuchni również zrobiło się mniej.

Dziewczyna nie zdążyła zapytać co się stało.

– Masz! – Alk podniósł z podłogi wypchaną sakwę i wepchnął ją Żarowi w rękę. – Chodźmy odebrać krowy.

– Że co?!

– Znalezli cię.

Z twarzy Żara w jednej chwili zniknęły zarówno rozbawiony uśmiech jak i rumieńce.

– Skąd...

– Spróbowali zacząć ode mnie. Pewnie uznali, że jesteśmy jedną bandą.

Złodziej zaklął z pasją.

– I co?

– Przyładowałem dziwce... łokciem i wypytałem. – Sawrianin pokrótce powtórzył swoją rozmowę z najemniczką.

– Co za źmija! – Żar przepełniony był słusznym gniewem wobec paskudy, która najpierw rozpałała chłopca, a potem zmusiła go do przerwania w najciekawszym miejscu. – Dlaczego puściłeś ją wolno?! – Nie tracąc czasu, chłopak przebiegł po chacie, zamierzając dopakować torbę. Jednak Alk podszedł do sprawy tak skrupulatnie, że nawet skrytka pod podłogą była już pusta. Przekleństwo, przecież Żar nigdy nie otwierał jej w obecności białowłosego!

– Niech lepiej poluje na nas ta „karalusza”, niż nieznajomy morderca. Ale mam wrażenie, że już nie będzie się pchała. Trzy razy na tych samych grabiach stają napaleni młodzieniaszkowie, a ta jest doświadczona, więc wie kiedy czas najwyższy skrócić ze ścieżki. Przekaze zamówienie komu innemu. Jeśli zrobiłem na niej dobre wrażenie, to z niewielkim opóźnieniem.

– A zrobiłeś?

– Nie ręczę, że dobre. A ty czego sterczysz jak słup?!

– Ale... to przecież nasz dom! – wydukała dziewczyna. – Czy możemy go tak po prostu porzucić?!

– Zostaw opłatę dla gospodyni na stole, dorzuc parę monet. – Alk złapał drugą torbę i nogą popchnął trzecią w stronę Ryski. – Zapakowałem tę twoją koszmarną sukienkę, nie bój się.

Dziewczyna nadal gapiła się na niego w zupełnym szoku. Gdyby chodziło tylko o sukienkę! A co z ogródkiem, w którym za pozwoleniem gospodyni spulchniła parę grządek i zasadziła różnej zieleniny?! A karczma, w której spotkała się z tak dobrym przyjęciem? Znowu zaczynać wszystko od nowa?

– Mogę iść sam – zaproponował złodziej odważnie.

– Gdyby to miało pomóc, to bym cię osobiście wykopał za próg – odparł Alk niecierpliwie. – Czy ty mnie w ogóle słuchałeś? Oni zamierzali zabić mnie „na wszelki wypadek”, więc twojej przyjaciółeczki na pewno nie zostawią w spokoju. Ani jako współniczki, ani jako świadka.

– Co takiego było w tym przeklętym liście?! – Żar zarzucił na wolne ramię gitarę. – Dlaczego oni nijak nie chcą się ode mnie odczepić?

– Jeśli nie przestaniecie marudzić, to niedługo będziecie mieli okazję spytać ich o to wprost. Idziemy! – Alk zdecydowanie przestąpił próg. Złodziej przystanął na chwilę, czekając na przyjaciółkę – i równocześnie nie zostawiając jej wyboru.

Ryska powoli podniosła sakwę – rety, ale ciężka! – i odruchowo sięgnęła do lampy, ale zaglądnący przez otwarte okno Sawrianin ją powstrzymał:

– Niech się pali. Pomyślą, że tu jeszcze wrócimy.

Dziewczyna wyprostowała się i posłusznie poszła do drzwi, do końca nie odrywając spojrzenia od samotnego płomyczka.

Może rzeczywiście wróca?

* * *

Szopa stała na polance już na wpół pochłoniętej przez las. Na stodołę była zbyt mała, na oborę zbyt czysta, a domem mieszkalnym nie była zdecydowanie – brakowało okien. Tylko ziejąca dziura po drzwiach. Ostatecznie przyjaciołom nie udało się ustalić co tu przechowywano. Sądząc po zapachu – trupy.

– Pewnie szczur gdzieś zdechł – zasugerował Żar.

– Wybredni nocują pod drzewem – odciął się Alk, stawiając sakwę na glinianej podłodze, która już dawno zniknęła pod warstwą ziemi. Po słomianym dachu szeleścił deszcz. W mroku nie można było sprawdzić, na ile szczelne jest ich schronienie, ale póki co z góry nie kapało. „Dlaczego wystarczy byśmy wyruszyli w drogę i natychmiast psuje się pogoda? – markotnie pomyślała Ryska – To Holga czyni jakieś aluzje, czy może Saszy się bawi?”

– Przecież ja się o ciebie martwię! A może miał jakąś szczurzą chorobę? Zarazisz się i też nam zdechniesz? – Żar potknął się o coś, zadudniło. Schylił się i pomacał. – O, czyżby kociołek? Patrz, tutaj obok nawet leży kilka polan! Ma ktoś krzesiwo?

– W twojej sakwie, na górze.

Struganie szczap i rozpalanie ognia po omacku nie było specjalnie przyjemne, ale złodziej sobie poradził. Szopka miała niezłą wentylację – w dachu mimo wszystko było sporo dziur i dym ruszył w ich kierunku. W świetle ognia widzieli nagie ściany, kąty zaciągnięte pajęczynami, ślad po ognisku dwa kroki od miejsca gdzie płonęło nowe oraz naręcze świerkowych gałęzi w rogu. Alk na wszelki wypadek szturchnął je nogą i wyschnięte igły zaszeleściły, spadając na ziemię.

Złodziej sięgnął z powrotem do sakwy by schować krzesiwo i na jego twarzy odmalował się wyraz zdumienia – białowłosa nie powrzucał tam rzeczy byle jak, tylko równo je poskładał.

– Mogłeś je jeszcze uprasować na drogę!

– Tak się więcej zmieściło – odparł Sawrianin beznamiętnie.

Żar jeszcze nigdy nie miał okazji oceniać schludności z takiego punktu widzenia. On sam utrzymywał porządek wyłącznie w „roboczej” torbie, od której zależało życie, a nie tylko wygoda. Z prychnięciem chłopak podniósł garnek – głęboki, o grubych ściankach i tylko lekko podrdzewiały.

– Cały! – zauważył radośnie, pstrykając paznokciem w żeliwo.

– Jak niewiele głupcowi potrzeba do szczęścia. – Alk potrząsnął kocem,

rozścielając go na ziemi.

– Może złe czarownice w nim warzą magiczne napitki? – spytała Ryska, wzdygając się. – Przychodzą tutaj przy pełni księżyca...

– Nie nagadałaś się jeszcze przez wieczór?

Dziewczyna zamilkła z urazą. Żar na wszelki wypadek powąchał kociołek, ale zapach stęchlizny zdecydowanie dolatywał nie stamtąd.

– A co, mam niby teraz płakać? Jeśli sam jesteś w paskudnym nastroju, to przynajmniej pozostałym go nie psuj.

– Nastrój mam *akurat odpowiedni* – wycedził Sawrianin przez zęby. – I gdyby niektórzy z tu obecnych nie zepsuli czego innego, to byłby znacznie lepszy.

Żar sam zdążył po stokroć przekląć darmowy kufel piwa, który doprowadził do jego spotkania z gońcem (do głowy mu nie przyszło obwiniać swoich nadmiernie lepkich rączek). Zdjął z szyi łańcuszek z rurką, wyciągnął korek i po raz kolejnyabrał się do oglądania śmiertelnie niebezpiecznego papierka.

– Jakież to wszystko to dziwne – powiedział w zamyśleniu. – Jeśli listu szukają „łasicę” i jest w nim jakaś tsarska tajemnica, to wydaliby rozkaz nie zabicia mnie tylko złapania żywcem i przesłuchania: z czyjego rozkazu ukradłem, czy dałem radę przeczytać, komu opowiedziałem...

Alk również spojrział.

– „Karalusza” powiedziała, że za zapieczętowaną rurkę zapłacą jej podwójnie. Ale zadowoliliby ją również otwarta, chociaż w ciągu trzech tygodni list można było sto razy przeczytać i zrobić drugie tyle kopii.

– Czyli klienta interesuje zawartość listu, a nie zachowanie tajemnicy? – dokończył myśl złodziej.

– Yhym. I mnie ona również bardzo ciekawi. – Sawrianin spojrział na papier pod światło i w skupieniu pomacał list koniuszkami palców. – Nie. Pisano cienkim pędzelkiem, a nie piórem, nie zostało żadnych śladów. Trzeba szukać „cienia”.

– Czego? – Ryska odruchowo spojrzała na swój.

– Specjalnego atramentu, który spowoduje, że pismo stanie się widzialne – wyjaśnił Żar, który miał okazję słyszeć o takich rzeczach.

– I skąd się go bierze?

– Kupuje.

Ale dziewczyna nie zdążyła ucieszyć się z tak prostego rozwiązania, gdyż Alk rzekł ponuro:

– Ale obawiam się, że w zwykłym kramie nikt nam potrzebnej buteleczki nie sprzeda.

– Dlaczego?

– To herbowy papier. A rurka jest ze srebra. Nadawca, kimkolwiek by nie był, jak najbardziej może mieć swój osobisty, unikalny przepis „światłocienia” – albo przynajmniej drogi i rzadko spotykany.

– To one bywają różne?
– Mój ojciec zawsze miał na stole przynajmniej z dziesięć sztuk, dla różnych rodzajów korespondencji. I to tylko te najbardziej popularne.
– A co się stanie, jak pomylisz buteleczki?
– Atrament się rozmyje i już nie da się odczytać tekstu. Kupcy i drobni urzędnicy zwykle korzystają z najtańszych „światłocieni”, tylko żeby się ochronić przed pospółstwem. A kluczyk do tego tutaj listu może mieć na przykład namiestnik albo inny poseł, dla wyjątkowo ważnych i tajnych rozkazów. – Chmurny wyraz na twarzy Sawrianina przemienił się w namysł, ale nie podzielił się on swoimi przemyśleniami z towarzyszącymi. Po prostu powiesił rurkę na własnej szyi. Żar najpierw chciał się oburzyć, ale zamiast tego poczuł tchórzliwą radość. Z jednej strony list u Alka będzie bezpieczniejszy, a z drugiej on sam też będzie w razie czego miał lepsze szanse.

Do stodoły zajrzała rozpaczliwie mucząca Miłka.

– A kysz, uciekaj, tutaj dla nas samych jest za mało miejsca! – odgonił ją złodziej, wyciągając się na kocu na całą długość.

Krowa z pretensją zastrzygła uszami i cofnęła się jak pies, którego budę z jakiegoś powodu zajęli szurnięci właściciele – ale przecież nie będzie na nich czekać. Złodziej ze stękanem chwilę kręcił się z boku na bok, stwierdził, że leżenie w każdej pozycji jest tak samo niewygodne, po czym niespodziewanie ze śmiechem spytał:

– Alku, słuchaj, a czy ta „karalusza” przynajmniej ładna była?

– Baba jak baba – odparł Sawrianin obojętnie. – A co tobie do tego? Będziesz się bardziej przejmował, jak cię zabije brzydula?

– Nie, po prostu jestem ciekaw czy w końcu ją zdążyłeś...?

– Czy tobie do reszty odbiło? Nawet nie zamierzałem.

– Szkoda. – Złodziej przeciągnął się słodko. – A co jakby...

– Jak wrócimy do miasta, to weź srebra i przejdź się do „kurnika”. Bo widzę, że już tak bardzo cię ciśnie że zaczniesz kozy ganiać.

– Przecież sam się niedawno skarżyłeś, że od pół roku nie byłeś z kobietą – przypomniała Ryska lekko drżącym (żeby tylko Alk nie domyślił się, że z radości!) głosem.

– I zmarnować cały ten zapal na uliczną dziwkę? – parsknął białowłosy wzgardliwie. – Co to to nie. Takie wydarzenie trzeba zaplanować jak należy: gigantyczna wanna z lekko soloną wodą i płatkami róż, karmazynowe świece, toripańskie siedmioletnie wino, wymyślne zakąski oraz przepiękna rozpustna dziewica...

– Ty weź się jednak zdecyduj, czy ma być rozpustna czy dziewica – roześmiał się Żar.

– Nic to, przez noc zdąży pobyć i jedną, i drugą.

– Uczciwie mówiąc w tej chwili poprzestałbym na wannie i winie – ziewnął złodziej. – A dziewczica niech przyjdzie z rana.

– Zgoda. – Alk również osłonił usta dłonią – Dobra, Rysko, to możesz odpoczywać. Do rana nie będziesz nam potrzebna.

– Co?! – Ryskę zatkało.

– Tak w ogóle to chodziło mi o gotowanie. Ale twoja propozycja również mi się podoba! – Białowłosey napiął brzuch i zaczął powoli, ze smakiem rozpinać pasek. Dokładnie tak jak się spodziewał, dziewczyna natychmiast splonęła rumieńcem i śpiesznie ukryła się za Żarem.

Sawrianin nadal się podśmiewając zdjął spodnie, koszulę i owinął się kocem. Złodziej coś tam burczał, ale Alk już go nie słuchał: naprawdę chciało mu się spać do tego stopnia, że teraz nawet zapłaciłby te pół srebra, żeby piękna dziewczica zostawiła go w świętym spokoju.

Rozdział 2

Zobaczenie z rana żywego szczura wróży straty, zdechłego – powodzenie.

To samo źródło

Po co ci on? – zdumiewała się Ryska.

– Jak to po co?! – Z kolei Żar nie pojmował, jak można porzucić w lesie tak solidny przedmiot. – Będziemy w nim gotowali kaszę na postojach. A jak dotrzemy do miasta to sprzedamy kowalowi.

– Ale przecież on do kogoś należy!

– Jakby do kogoś należał, to by się nie poniewierał w na wpół rozwalonej szopie. – Złodziej na wszelki wypadek po raz kolejny uważnie obejrzał kociołek od środka i od zewnątrz, bojąc się jakiegoś podstępu, jak z krowami. Ale wszystko było chyba w porządku.

– Po prostu nikomu do głowy nie przyszło, że na taki kawał złomu się ktoś skusi! Może żebracy tutaj nocują. Albo rybacy.

W świetle dnia wędrownicy dostrzegli, że w pobliżu znajduje się niewielkie ale na oko pełne ryb jezioro, po brzegach zarośnięte trzcinami, a nad nim krążyły ptaki.

– W takim razie schowaliby go pod chrustem – zauważył Żar rozsądnie, ucinając protesty przyjaciółki. Rybacy nie tylko kociołek, ale nawet kamień kotwiczny na sznurze tak schowają w wodorostach, że potem sami będą szukali przez pełne łuczywo! – Przecież nie zmuszam cię do niesienia go, pojedzie sobie na krowie.

– Jeszcze zbierz w niego trochę kamieni – Alk opowiedział się po stronie dziewczyny. – Będziemy nimi rzucali we wrogów albo sprzedamy kamieniarzowi w mieście. Pożyteczne!

Żar nadał się ale kociołka nie zostawił, tylko przywiązał do siodła – mimo że Choroba również patrzyła na niego z pretensją. Ale za to teraz miał czym zrównoważyć gitarę.

Za lasem na drugim brzegu jeziora, jeśli dobrze się przyjrzeć, widać było jakieś iglice.

– Objedziemy dookoła? – zasugerował złodziej. – W okolicznych miastach będą nas szukali w pierwszej kolejności.

– W jeden dzień nie znajdą – zaprotestował Sawrianin takim tonem jakby chciał dodać „prawdopodobnie” ale w ostatniej chwili się rozmyślił.

– Ale chyba mamy dosyć jedzenia – odezwała się Ryska, która rano

przeprowadziła rewizję torby. Żywność Alk potraktował bardziej bezwzględnie niż ubrania, upychając miękkie bułeczki i gotowane jajka razem z woreczkami kaszy, więc na śniadanie mieli placki z resztkami skorupy, która złowieszczo chrzęściła w zębach.

– Jeżeli do psiego ogona przywiązać grzechotkę, to pies powinien zastanawiać się jak się jej pozbyć, a nie jak uciec możliwie daleko. Skoro nie udało nam się przeczekać burzy... – Alk urwał i trącił piętami boki krowy, kierując ją na drogę do miasta.

– Jechanie jej naprzeciwno też nie jest specjalnie mądre – burknął Żar, ale ruszył za towarzyszem. – I jak niby będziemy się tej całej „grzechotki” pozbywali? Masz już jakiś pomysł?

– Na miejscu się będę zastanawiał. Najważniejsze, żeby strażników przy bramie nikt nie zdążył o nas uprzedzić.

* * *

Miasto było niewielkie, bezbarwne i nudne, szczególnie w porównaniu do Łosich Jam. Towarzysze wjechali do niego bez przeszkód, płacąc po dwie miedki od głowy i po trzy od krowiego pyska – „na remont dróg”. Ni to przyjezdni zdarzali się tu rzadko, ni to strażnicy mieli doszczętnie dziurawe kieszenie, ale można było odnieść wrażenie, że bruku nie remontowano od czasu założenia miasta. Nie tracące pogody ducha wróble kąpały się w dziurach wypełnionych deszczówką. Ba, trafiały się wśród nich takie doły, że nawet człowiek mógłby utonąć.

– No tak, Zajęcogród to to nie jest – rzucił Żar z rozczarowaniem.

– Ale za to tutaj można srać bez opłat. – Zdaniem Alka brak wyperfumowanego namiestnika z nawiązką rekompensował resztę wad miłośnicy.

– A dokąd my jedziemy? – Ryska była w gorszym nastroju niż Żar. W tej chwili chętnie grzebałaby w ogórku albo spacerowała po targu witając się ze znajomymi. Nawet pranie, za którym nie przepadała w porównaniu z ucieczką donikąd wydawało się niewyobrażalnie wręcz przyjemnym i pożądanym zajęciem. A gospodyni na pewno się zdziwiła i obraziła, widząc, że lokatorzy niespodziewanie zniknęli, nawet się nie pożegnawszy. Ryska zostawiła jej trzy srebrny zamiast dwóch ale nadal czuła wstyd.

– Na miejski plac.

– Po co?

– Po świeże wiadomości.

– A czego chcesz się dowiedzieć?

– Kto tu jest najważniejszy i gdzie mieszka.

Odpowiedź na drugie pytanie znalazła się sama – plac dokładnie tak samo jak miasto był niezbyt ładny i niewielki, więc cień zamku przykrywał go prawie w

całości.

– Hej, szanowny! – zawołał Żar podstarzałego garncarza, który handlował na rogu malowanymi naczyniami i miał również talerze i garnce z rysunkiem zamku.

– Czyja to rezydencja?

– Pana Szaraka Półtorej Klingi – odparł powoli zapytany po uważnym obejrzeniu jeźdźców.

– A kto to?

– Ooo... – Sądząc z tonu, garncarz próbował oszacować, kim nieznanymi mogą być dla wspomnianego pana i czy w związku z tym powinien go ganić czy chwalić. Ostatecznie do żadnych wniosków nie doszedł więc ograniczył się do neutralnego: – Pan Szarak pochodzi ze starożytnego i sławnego rodu, w przeszłości był tsarskim dowódcą wojskowym. A teraz jest tutejszym namiestnikiem.

– No i tyle. – Złodziej odwrócił się do Sawrianina. – Zadowolony?

– Półtorej Klingi – powtórzył tamten z namysłem. – Coś podobnego już słyszałem... Tak, zadowolony. I szlachetny, i dowódca. Akurat to, czego szukamy.

– Wcześniej tu rządził jego ojciec – dodał garncarz z dumą. – A przed nim dziadek, ten zamek już od ponad stu lat naszych ziem broni! Może talerzyk dla państwa?

– Nie, dziękuję... – zaczęła protestować Ryska. Natrętni handlarze zawsze ją peszyli, z ich wiecznym podlizywaniem, a jakby człowiek jednak odmówił to ma szansę usłyszeć: „No to spadaj stąd, sknero, nie ma co się gapić za darmo!”.

– Poproszę – przerwał jej Alk niespodziewanie. – O tamten, największy.

– Mój ulubiony! – Rzemieślnik rozpląnął się w uśmiechu. – Każdą wieżyczkę własną ręką wyrysowałem, każdą drabinkę, każde okienko, nawet strzelnice wszystkie jak z życia wzięte, proszę tylko spojrzeć!

– Mam nadzieję, że znajdziesz w sobie siły, by rozstać się z nim za umiarkowaną cenę?

Garncarz próbował się targować, ale więcej prawdopodobnie szczęścia miałby rozmawiając z brzozą w lesie. Alk dokładnie wiedział, ile ten drobiazg kosztuje i za tyle go dostał.

Talerz faktycznie był ładny, Ryska by z takiego nie jadła i raczej powiesiła dla ozdoby na ścianie. Po brzegu wił się napis: „Rodowyzam ekPółtorejK ling i – chlub aiobron asławn egomia staPodzam cza”. Długość przerw pomiędzy literami zależała wyłącznie od tego jak blisko brzegu znajdowały się krańce rysunku – bo przecież to on był tu najważniejszy! Nie wspominając o tym, że większość kupujących i tak nie potrafiła czytać, a napis wyglądał majestatycznie.

– A, już sobie przypominam – powiedział Alk po odjechaniu na kilka kroków. – Bitwa pod Półtorej Klingi. Skończyła się wycofaniem sawriańskiego wojska.

– Aha! – rzuciła Ryska z triumfem.

– Ponieważ wojsko oblegające zamek dostało pilny rozkaz udania się pod Ryń na pomoc lewemu skrzydłu. Rintarczycy nadal uznają to za swój wielki sukces militarny, mimo że Ryń została wtedy zrównana z ziemią. – Sawrianin z uśmiechem spojrział na zasepioną dziewczynę i z wyższością dodał: – Mimo to zamek jest nieźle ufortyfikowany, ma wewnętrzne źródła wody, prawdopodobnie tajemne przejście i nadaje się do wytrzymania długiego oblężenia.

– Nie mów, że ty się wszystkich naszych zamków tak nauczyłeś? – zdumiał się Żar.

– Tylko strategicznie istotnych. Masz. – Alk podał złodziejowi talerz.

– A po co mi to?

– Bo przecież ty będziesz ten zameczek rabował.

– Co?!

– No dobra, my razem. – Sawrianin złagodził wyrok. – Sam nie zrozumiesz co masz zabrać. Ale mapy i tak potrzebujesz bardziej.

– Proponujesz żebyśmy we dwójkę zrobili to, co nie udało się całemu waszemu wojsku?! – Żar spojrział na talerz w oszołomieniu. Mury – doskonale widział je również „na żywca” – były tak równe jakby je kto wyprasował, a na dodatek z wychylonym na zewnątrz krenelażem. Ciężki hak oblężniczy jeszcze miał szansę zahaczyć o brzeg, a i to pewnie z koszmarnym zgrzytem, natomiast mały złodziejski – bez szans. Górą chodzili strażnicy wyglądający na uważnych, a sądząc z obrazka na wewnętrznym dziedzińcu również ich nie brakowało.

– Nie całemu, tylko tysiąc trzysta siedemdziesięciu osobom – doprecyzował Alk pedantycznie. – Chyba nie tchórzysz?

– Po prostu nigdy nie miałem okazji obrabować zamku! – burknął Żar. – I tutaj trzeba działać w jakiś inny sposób!

– No to masz doskonałą możliwość podniesienia swoich kwalifikacji. Byłeś złodziejem domów, będziesz zamków. Kumple cię będą szanowali.

– Do czego ty go nakłaniasz?! – obruszyła się Ryska. – Przecież on przysięgał, że nie będzie kradł!

– To nie kradzież. – Alk spojrział dziewczynie wprost w oczy. – Zabierzemy namiestnikowi tylko jedną fiolkę. O wartości kilku złotych. Nie zbiednieje przez to.

– Nawet nie będziemy zabierali – poparł Sawrianina złodziej, który w odróżnieniu od przyjaciółki od razu zrozumiał o co mu chodzi. – Zauważy. Weźmiemy ze sobą pustą buteleczkę i odlejemy do niej parę łyżek.

– A może po prostu poprosimy żeby nam sprzedał? – podsunęła Ryska naiwnie. – Kilka łyżek to będzie jeszcze taniej...

Mężczyźni spojrzeli po sobie i zgodnie obraźliwie zarechotali.

– Ano. Trójka podejrzanych obcych prosi pana namiestnika sprzedać im „cień”, którym wywołuje tajne tsarskie rozkazy. Oczywiście że szlachetny pan Szarak z radością zgodzi się, by sobie dorobić!

Dziewczyna zasepiła się z urazą. Dlaczego Alk nie mógł wyjaśnić tego spokojnie i bez sarkazmu?!

Żar ponownie zagłębił się w badanie talerza. Wyglądało na to, że podstawowym problemem były właśnie zewnętrzne mury. Zamek idealnie przystosowano do obrony przed najeźdźcami, ale nie przed złodziejami. Kiedy dookoła jest spokojnie i wewnętrzne kraty są podniesione, to znajdzie się i którądy przejść i gdzie się schować. Ech, gdyby jeszcze skądś zdobyć wewnętrzny plan...

– Nie ma tu flag – zauważył Żar nagle.

Sawrianin podniósł wzrok. Na iglicach zamku rzeczywiście trzepotały długie kawałki materii o ostrych końcach, różne i w zupełnie chaotycznie wymieszanych barwach.

Alk zawrócił krowę i ponownie podjechał do garncarza. Na placu było zadziwiająco mało ludzi – kręciły się tylko jakieś obdartusy i szybko przemykały służące z koszami.

– A gdzie są flagi? – Sawrianin pokazał palcem na talerz.

– Panie, toć je dopiero wczoraj powiesili i jutro będą zdejmować! – obruszył się rzemieślnik.

– A z jakiego to powodu?

– Pan Szarak urządza wielkie przyjęcie. – Garncarz usiadł wygodnie i chętnie pociągnął watek. I tak nie wyglądało na to żeby w ciągu najbliższych paru łuczyw mieli pojawić się jacyś klienci. Chyba za wcześnie wyszedł z towarem, przed wieczorem na pewno zrobi się większy ruch. – Żonki dla siebie szuka. Zapraszają wszystkie urodziwe panny z rodzin nie gorszych niż kupieckie i nie starsze niż dwadzieścia lat.

– I kiedy się ten cały bal zaczyna?

– W zasadzie to już za trzy albo cztery łuczywa zaczną się zjeżdżać. Bo teraz to wszyscy po domach siedzą i się odstawiają. Z krawcowymi i chesuchami o miesiąc do przodu już się ugadali, a dzisiaj wolnego nie znajdziesz nawet za setkę złotych – uśmiechnął się garncarz z wyrazem twarzy człowieka, który uważa podobne rzeczy za kaprysy rozpieszczonych bogactwem dziewczek. Umyła się w miednicy, nasmarowała policzki i wargi burakiem, to czego jeszcze potrzebuje dla urody?!

– Aha... – Alk dwukrotnie podrzucił na dłoni monetę, za trzecim razem pozwalając jej spaść do jednego z garnców. – W takim razie ostatnie pytanie: gdzie wy tu macie kram z gotowymi ubraniami?

* * *

– Nic z tego nie wyjdzie – powiedziała Ryska smętnie, trzymając w rękach suknię. Kupili najprostszą, a mimo to była tak wspaniała, że dziewczyna bała się nawet ją do siebie przyłożyć.

– Jesteś pewna?! – zaniepokoił się Żar. Jeśli Widząca mówi coś takiego, to nie ma nawet co próbować!

– Nie, nie... – uspokoiła go szybko. – Po prostu... Boję się.

– Wszyscy się boją – zauważył złodziej. – Pamiętam, że ja jak szedłem pierwszy raz na włam, to tak się trząsałem, że mnie następnego dnia wszystkie kości bolały.

– Mnie o przyjęcie chodzi! – Ostatecznie Ryska nie odważyła się przymierzyć sukni tylko odłożyła ją na łóżko.

– A co nie tak z tym przyjęciem?

– Ale... Ja przecież nie jestem córką kupca!

– Daj spokój. – Żar zbył ją machnięciem ręki. – Nie masz tego na czole napisane.

– Ale nie mam pojęcia jak się zachować!

– Trzymaj się blisko, będę podpowiadał.

– A ty skąd wiesz?

– Ha, żebyś wiedziała ile ja tych kupieckich córek... – Złodziej posłał jej maślany uśmiech. – Mówię ci, nie bój nic. Najważniejsze to się dostać do zamku. Czy może naprawdę byś chciała zostać żonką tego całego Szaraka?

– Nie!

– No to jaka różnica, co on sobie o tobie pomyśli? Zobacz, Świstak to przecież prawie kupiec, a córki ma głupie jak nie wiem. Nie mów, że jesteś gorsza od Diszy czy Maški?

Drzwi otworzyły się i do środka wszedł Alk. Szarozielony kubrak wyglądał na nim jak uszyty na miarę, mógłby mieć nawet haft nie żółtymi nićmi tylko złotymi.

– Łap – powiedział Sawrianin od progu, robiąc lekki zamach.

Ryska odruchowo złapała coś małego, ciemnego i mokrego, po czym natychmiast z piskiem wypuściła:

– Szczur!!! Zdechły!!!

– Oczywiście – potwierdził Alk, podchodząc i schylając się po szczurze truchelko. – Wyciągnąłem z rynsztoka.

– Po co ci?!

– A co to niby za Wędrowiec bez szczura?

– Ale... On jest zdechły! – powtórzyła dziewczyna bezradnie.

– Wolałabyś męczyć żywego? – odparował Alk, po czym nie czekając na odpowiedź z optymizmem kontynuował: – Zaraz go wysuszysz, rozczesziesz, zawiniesz i będzie jak nowy.

– Ja?! To śmierzące truchło?!

Alk uniósł szczura za ogon i obejrzał krytycznie.

– No coś ty, całkiem świeży, prawie go nie czuć.

– Po co ci on?!

– Po to, że porządnej pannie powinni towarzyszyć starsi krewni albo kilku służących. W najgorszym razie Wędrowiec i duchowny, ale zdecydowanie nie dwójka zwykłych mężczyzn. – Sawrianin zdecydowanie podsunął szczura pod nos Ryski, która cofnęła się z przestachem.

– Daj mi go – odezwał się ugodowo Żar, który nie miał w tej chwili lepszego zajęcia, gdyż wszystko co potrzeba już schował pod szatą. – Rysiu, przebieraj się!

Dziewczyna niechętnie złapała za kołnierz koszuli po czym zawstydziała się:

– Nie patrzcie!

– I tak jej sama nie założysz – uciął Alk, podnosząc suknię. – Rozbieraj się, już.

– Przynajmniej zamknij oczy!

– Czego ja tam niby nie widziałem?

To nie był właściwy czas na kłótnie, więc Ryska odwróciła się do Alka plecami i z rezygnacją ściągnęła koszulę. Sawrianin natychmiast narzucił na nią sukienkę i obciągnął.

– Rety, ona ze mnie spada! – Dziewczyna przycisnęła dłońmi spelzającą z piersi tkaninę.

– Nie spadnie. Zaraz zasznujemy gorset... Wydech!

Ryska wypuściła powietrze – a raczej pociągnięcie za końce sznurka po prostu wypchnęło je z płuc. Sukienka przestała spadać, ale ramiona nadal były odsłonięte.

– Moim zdaniem ona jest na mnie za duża – powiedziała niepewnie. – Zobacz jaki gigantyczny kołnierz...

– To nie kołnierz tylko dekolt, durnoto. Dokładnie taki powinien być.

– Jaki?

– Żeby wszyscy mężczyźni czekali na chwilę, kiedy ta sukienka w końcu z ciebie spadnie. – Alk poprawiał sznurówkę, zaciągając ją coraz mocniej, póki Rysce nie zaczęło się wydawać, że zaraz pękną jej żebra, ale dokładnie w tejże chwili Sawrianin przestał ciągnąć. Sceptycznie zmierzwił włosy dziewczyny, podniósł jeden kosmyk, chwilę trzymał i rzucił.

– Można zostawić rozpuszczone – powiedział Żar niepewnie. – Na „wieszanek”.

– Nie, w ten sposób będzie się zbyt wyróżniać. – Alk nogą podsunął dziewczynie krzesło. – Siadaj. Gdzie masz grzebień?

Ku zdumieniu towarzyszy Alk wygrzebał z kieszeni cały pęczek kościanych szpilek, kupionych w kramie. Ryska poruszyła się z niepokojem, ale choć Sawrianin obchodził się z jej włosami dosyć niedbale, jednak nie próbował celowo za nie szarpać i w ogóle działał dosyć zręcznie.

– Całkiem sprawnie ci to idzie – pochwalił Żar kiedy fryzura była już prawie

gotowa i dziewczyna miała wrażenie, że założono jej na głowę wysoką ciężką czapkę. – Jak u prawdziwego fryzjera. Gdzie się tak wyuczyłeś?

– Nigdzie, po prostu zawsze pomagałem siostrze się szykować na bale – burknął białowłose niechętnie, trzymając ostatnią szpilkę zaciśniętą w zębach.

– To ona nie miała służącej? – zdziwiła się Ryska.

– Dlaczego nie, miała... Zwykłą wieskową dziewczkę, tak samo niezdarną jak ty! – zirytował się Sawrianin niespodziewanie i z rozmachem, jak sztylet, wpakował ostatnią szpilkę w kok.

Dziewczyna pisnęła, wciągając głowę w ramiona.

– Ja tak patrzę, że tobie samemu się to podoba – uśmiechnął się Żar, Ryska również zrozumiała powód skrępowania i złości Alka. No faktycznie, mężczyzna dookoła „baby” się uwija!

– Wstawaj – rozkazał Sawrianin, udając, że nic specjalnego się nie stało.

Dziewczyna posłusznie wstała, trzymając plecy nienaturalnie prosto, ale „czapka” nawet się nie zachwiała. Poczucie nagiej szyi było wyjątkowo dziwne.

Alk ocenił Ryskę ze wszystkich stron, nawet cofnął się o kilka kroków, żeby objąć spojrzeniem całość.

– Ładna – skonstatował z zadowoleniem. – Istna tsarewna.

– Bujasz? – zaczerwieniła się Ryska.

Uśmiech zniknął w twarzy Sawrianina w jednej chwili. Skrzywił się cierpiętniczo.

– Już nie. Jakie „bujasz”? Kim ty jesteś, szlachetną panną czy może krowiarką z wieski? Jeszcze się wysmarkaj w rąbek sukni! Albo spluń na podłogę!

Ryska wbiła we wspomnianą podłogę spojrzenie pełne poczucia winy. Kompletnie nie rozumiała dlaczego w rozmowie z Alkiem zawsze ciągnęło ją do upraszczania mowy i głosu, udając handlarke z targu. Na złość Sawrianinowi? Ale przecież to tylko bardziej przekonywało go, że ma do czynienia z kompletną kretynką.

– Ja... Przepraszam, już więcej nie będę – wydukała.

– Oczywiście że nie będziesz! Zaraz podam ci kilka fraz i na czas trwania przyjęcia zapomnisz o istnieniu wszystkich pozostałych!

– To jakaś taka wędrowcza magia? – zdumiała się Ryska.

– To rozkaz! No więc: „tak”, „nie”, „ooo!”, „naprawdę?”, „jakie to ciekawe!”, „a fe” i „hi-hi”. Zapamiętałaś?

– Hi-hi? – powtórzyła dziewczyna z niedowierzaniem.

– Nie „hy-hy” tylko „hi-hi”! – Alk po mistrzowsku odtworzył melodyjny kokieterijny śmieszek damy z wyższych sfer. – Powtórz.

– A może lepiej ty będziesz robił za pannę na wydaniu? – Ryska zażartowała rozpaczliwie. – Zobacz, jak ci wszystko dobrze ci idzie...

– Nie gadaj bzdur. I nie bądź tchórzem. Jak tam moja „świeca”?

– Masz. – Żar podał Sawrianinowi smętne zawiniątko, z którego sterczał ogon i sam koniuszek pyska. Jeżeli nie przyglądać się uważnie, to można było uznać, że zwierzątko śpi.

Alk z kamiennym wyrazem twarzy przyczepił szczura do pasa.

– No jak, gotowi? To idziemy.

* * *

Kiedy najemna karoca podjechała pod zamek, musiała stanąć w ogonie długiej kolejki. Na placu było również pełno zwykłych gapiów, którzy zebrali się jak na widowisko. Najwięksi szczęściarze patrzyli z okien i dachów, głośno wymieniając się wrażeniami. Handel u garncarza szedł znacznie żwawiej, niż kiedy widzieli go poprzednio.

– Tam jest kontrola pod bramą – zauważył Żar, lekko odsuwając zasłonkę na oknie.

– Oczywiście. Przecież nie wpuszczą do zamku namiestnika byle kogo. Bo a nuż jacyś złodzieje – odparł Sawrianin ironicznie.

– A może tam wolno tylko z zaproszeniem?

– Nie, popytałem dookoła. Każda panna się może zjawić. Bo on przecież szuka żonki, a nie żony, więc posag i pochodzenie nie są aż tak ważne, byle tylko była ładna i nie dłubała palcem w nosie. – Alk znacząco zerknął na Ryskę, która z urazą zacisnęła wargi. Ona wcale nie dłubie, Mucha na takie coś biła po łapach i szybko oduczyła!

– W takim razie się pewnie z całej okolicy zjechały. – Złodziej uważnie przyglądał się karocom. Niektóre aż lśniły od złociń, inne bardziej przypominały kurniki na kółkach. Dwie panny w towarzystwie pulchnej, nerwowej ciotki w ogóle przyszły na piechotę, ale dumnie unosiły swoje szlachetne, ubogie noski.

Kontrola postępowała szybko, po dwie-trzy szczapy na karocę. Dwójka strażników zaglądała do środka i pod dno, zadawała kilka pytań po czym wpuszczała. Chociaż kilka powozów zawrócono – może panny były zbyt nisko urodzone albo po prostu niedostatecznie urodziwe. Jedna karoca odjechała w milczeniu, woźnica drugiej długo i wściekle kłócił się ze strażą do wtóru dobiegającego ze środka placu.

– Alk, ty masz miecze – przypomniał Żar z niepokojem. – Z bronią cię na przyjęcie nie wpuszczą.

– Jestem Wędrowcem, więc mogę.

– Ale i tak odbiorą.

– I dobrze.

– Dlaczego?

– Dlatego że bez mieczy na pewno wyglądałbym podejrzanie. A tak oddam i wszyscy będą zadowoleni. Gorzej, że zapomnieliśmy kupić rękawiczki...

Ryska z poczuciem winy złączyła zdradzające ją dłonie. Nadgarstki miała delikatne a palce cienkie, lecz skórę na nich bynajmniej nie kupiecką: zgrubiałą, spracowaną, a dookoła paznokci widać było resztki czarnej obwódki po grzebaniu w ogródku.

– Nic to, te tam – Żar skinął głową w kierunku pieszych panien – raczej nie mają tych łapek dużo lepszych.

– I właśnie dlatego założyły rękawiczki – odparł Sawrianin bezlitośnie.

– Daj spokój, kto ją niby będzie macał? Tylko ty i ja.

– Mam nadzieję.

W końcu nadeszła ich kolej.

– Pani Karisa Przybłotna – poinformował Alk z wyższością. – Córka solidnego handlarza byłem z Makopolu.

Strażnik badawczo spojrział na znieruchomiła Ryskę, która desperacko marzyła o zapadnięciu się pod ziemię, po czym z szacunkiem skinął głową – jeśli ojca dziewczyny stać było na taką ochronę, to handel faktycznie szedł mu całkiem dobrze.

– Panie Wędrowcze, ale ja tylko bardzo proszę o miecze. Rozkaz pana Szaraka. Proszę się nie martwić, w zamku pani i tak będzie pod należytą ochroną.

Alk chwilę się kłócił dla niepoznaki, ale w końcu zdjął pasy z pochwami.

Karoca wjechała na dziedziniec. Był chyba większy nawet niż plac, ale już do połowy wypełniony powozami. Wystarczyło, że się zatrzymali, a już ubrany na bordowo chłopaczek otworzył drzwiczki i podał damie rękę, ale Alk wyskoczył jako pierwszy. Spojrział na drżącego pacholka i sam wyprowadził Ryskę. Po znalezieniu się na ziemi dziewczyna spróbowała cofnąć dłoń, ale Sawrianin zwinnie przerzucił ją na swój łokieć.

– Idź koło mnie – syknął. – Drobniejszy krok, broda wyżej. I zamknij buzię!!!

Ryska posłusznie spróbowała wykonać rozkaz, ale miała wrażenie, że jej szczękę coś blokuje. Przed nimi była kolejna brama, wewnętrzna, przy której stał bogato ubrany podstarzały mężczyzna, po kolei witający gości.

– I to właśnie jest pan Szarak?! – Dziewczyźnie wydawało się, że wykryje oszustwo na pierwszy rzut oka.

– Żartujesz. Gospodarz zamku ma na głowie ważniejsze sprawy, niż sterczenie na progu przez połowę wieczoru. To majordomus.

– A o czym powinnam z nim rozmawiać?

– Przypomnij sobie.

– Co?!

Alk zamilkł – od majordomusa dzieliło ich ledwo parę kroków. Z oczu mężczyzny dało się wyczytać, że nie lubi Sawrian i obawia się Wędrowców, ale jego szeroki przyjazny uśmiech nie zbladł ani trochę.

– Witamy w zamku Półtorej Klingi! – Majordomus pochylił się w pełnym szacunku półukłonie. – Mój pan serdecznie cieszy się móc powitać państwa na dzisiejszym przyjęciu.

– Wzajemnie – odpowiedział Sawrianin zimno. Po nim nikt nie spodziewał się innej reakcji, a pauza przeciągnęła się z powodu Ryski. Dziewczyna przełknęła ślinę, zerknęła na Alka w poszukiwaniu otuchy, ale nie znalazła jej, więc rozpaczliwie wykrztusiła:

– Hi-hi...

Słowa rzeczywiście okazały się magiczne – majordomus zrobił krok do tyłu, zwalniając przejście i zwrócił się do kolejnych gości, używając dokładnie tych samych zdań.

Przyjęcie urządzono na parterze – w wielkiej sali ze sklepionym sufitem i mnóstwem korytarzy odchodzących w różne strony – Ryska poczuła się, jakby znalazła się w brzuchu pająka. Przy każdym wyjściu stał strażnik w wypolerowanej do połysku zbroi. Uroczyści i nieruchomi jak posągi, mimo to toczyli po sali baczными spojrzeniami.

– Hm... – odezwał się cichutko Żar, który szedł tuż za towarzyszami.

– A co, myślałeś, że będzie łatwo? – odpowiedział mu Sawrianin również szeptem.

– Myślałem, że będzie jeszcze gorzej.

Na widok wiszących na ścianach luster Ryska poczuła się bardzo-bardzo malutka: córki Świstaka miały po lusterku wielkości dłoni w kościanej oprawce z rączką. Ale żeby *takie* gigantyczne... Przecież w takim to się pewnie można zobaczyć w całości!

Dziewczyna nie wypuszczając łokcia Alka wychyliła się w kierunku najbliższego i niespodziewanie zrozumiała, że już się widzi, tylko sobie tego nie uświadamiała. To miałaby być ona?! Gorset sprawił, że brzuch przykleił jej się do grzbietu, albo w ogóle przepłynął w piersi, które sięgały znacznie dalej i wyżej niż zwykle. Plecy miała wyprostowane, naga szyja wydawała się długa i cienka, a to co Alk zrobił z jej włosami... Żeby tylko jakieś pszczoły tego z ulem nie pomyliły.

Przyjrzała się sobie dokładniej i nieco odzyskała spokój. Nie wyglądała gorzej od tych szlachetnych panienek, a od niektórych nawet lepiej. Zdecydowanie nie wydawała się białym szczurem.

Tłum w sali ciągle gęstniał. Jedni tak samo jak Ryska niepewnie rozglądali się dookoła, inni rzeczowo, jak myszy na zapach sera, kierowali się do małych okrągłych stoliczków z poczęstunkiem. Półmiski pustoszały w okamgnieniu, ale służący nieustannie przynosili nowe.

Na widok tej obfitości Ryska z nieznanego powodu poczuła nieprzeparte pragnienie podłubania w nosie.

– O, zakąski! – ucieszył się Żar, zacierając dłonie.

- Będziesz jadł?! – spytała dziewczyna ze zdumieniem.
- A co? Przecież nie mamy postu. O, patrz, patrz, mają nawet babeczki z kaczym mózdzkiem! Idę, zgramę kilka, póki jeszcze jakieś są.
- Najważniejsze, byś się nie upił – uprzedził go Alk chmurnie i zgarnął z podsunętej przez służącego tacy wysoki kieliszek z różowym winem.
- Obrażasz mnie! – Złodziej skierował się do stołów, torując sobie drogę szczerze rozdawanymi błogosławieństwami.
- Ale czy my nie... – zaczęła Ryska z niezrozumieniem.
- Niech najpierw wszystko się uspokoi. Zapadnie zmrok, goście się oswoją, gospodarze rozluźnią.
- A co my mamy w tym czasie robić?
- Baw się! – Sawrianin ironicznie zatoczył kieliszkiem dookoła Sali. – Jedz, pij, plotkuj, nawiązuj pozytywne znajomości. Trochę później zaczną się tańce.
- Nie umiem tańczyć. – Ryska spuściła wzrok. – Czy to naprawdę konieczne?
- Nie. Ale jeśli zaprosi cię sam gospodarz, to odmowa będzie bardzo nieuprzejma.
- Ojej!
- Wątpię, żeby on też umiał jakoś szczególnie dobrze. – Alk upił łyk wina. – Ale sikacz... Sknera, mógł przynajmniej z początku otworzyć beczułkę czegoś przyzwoitego.

Pan Szarak okazał się mężczyzną niemłodym, ciężkim i cierpiącym na duszności. Wszedł do gości w towarzystwie Wędrowca (Alk z niezadowoleniem, ale bez zdziwienia zmrużył żółte oczy), również podstarzałego i spasionego na pańskim wikcie, wygłosił zgrabne ale kompletnie pozbawione treści przemówienie, zaproponował by wszyscy czuli się jak u siebie i wyraził nadzieję, że goście – a szczególnie piękne damy! – będą zadowoleni z przyjęcia. O jego celu nie wspomniał, bo wszyscy i tak wszystko wiedzieli. Następnie gospodarz zamku rozplątał się w tłumie i zabawa zaczęła powoli nabierać tempa. Wystąpił zongler z płonącymi pochodniami, podano pieczoną wieprzowinę na wypieczonych z ciasta talerzykach. Ryska zjadła kawałek ledwo czując smak, Alk nawet nie tknął. Wina w jego kieliszku również prawie nie ubyło, Sawrianin trzymał go wyłącznie dla niepoznaki.

Następnie zaczęły się tańce – oraz problemy.

Szczęśliwie na sali było znacznie więcej panien niż mężczyzn, a na dokładkę ci obecni próbowali nie wchodzić Szarakowi w drogę. Po otrzymaniu odmowy bez skargi przechodzili do kolejnej damy. Ale chudy, pryszczaty młodzieniec w czarnym, zdobionym srebrem kubraku okazał się strasznie namolny. Po kilku kieliszkach wina ostatecznie wbił sobie do głowy, że promienieje nieodpartym męskim urokiem i nabrał ochoty, by za wszelką cenę dostać właśnie Ryskę.

– Dama jest *zajęta!* – Alk nie wytrzymał, widząc, że dziewczyna nie poradzi sobie sama.

– Przez kogo? – zdumiał się młodzieniec. Jakiś tam Wędrowiec – to przecież i tak służący, bydło, kurz pod nogami jego wspaniałej mości!

– Przeze mnie – uciał Sawrianin twardo. Na trzeźwego to by podziałało, ale chłopak nadal się upierał.

– Przecież pan nie tańczy!

– Tańczę! – wycedził Alk, łapiąc Ryskę za łokieć i odwracając ją plecami do impertynenta, a twarzą do środka sali.

– Co ty wyprawiasz?! – przeraziła się.

– Inaczej nas nie zostawi w spokoju. Ten pijany szczeniak już jest gotów wyzwąć mnie na pojedynek.

– Przecież ja nie umiem!

– Będę prowadził.

– Dokąd?

– Będiesz szła tam gdzie poprowadzę. I uśmiechaj się! Albo on uzna, że cię zmuszam.

– Przecież zmuszasz!

– Wolałabyś tańczyć z nim? – Sawrianin skinął głową w kierunku młodzieńca, który z rozczarowaniem sięgnął po kolejny kieliszek.

– Nie! – przeraziła się Ryska. Nie żeby miała dwie lewe nogi, ale wieckowe tańce znacząco różniły się od tych tutaj, powolnych i majestatycznych, w których człowiek nie starał się okazywać radości, tylko jak gdyby pozował do obrazu.

Alk zaprowadził Ryskę do najmniej wygodnej (ale też najmniej zaludnionej) części sali, postawił przed sobą i natychmiast pociągnął za rękę, zmuszając do zrobienia kroku do przodu. Dookoła nich już tańczono, więc prawie nikt nie zwrócił uwagi na nową parę.

– Dwa kroki do tyłu, krok w bok, obrót... Nie puszczaj mojej ręki! – syczał złowieszczo Sawrianin, sprawiając, że dziewczyna czuła się jak krzywołapy niedźwiedź na sznurku Cygana. – Krok w bok, dwa kroki do przodu...

Rysce wydawało się, że przekłeta muzyka nigdy się nie skończy – mimo że taniec nie był skomplikowany i po kilku powtórzeniach już nie myliła kroków bez żadnych podpowiedzi. Ale udało jej się uśmiechnąć dopiero wtedy, kiedy pary się zatrzymały i panowie zaczęli dziękować damom za doznaną przyjemność. Alk również ucałował dłoń Ryski – a raczej tylko uniósł ją do ust i starannie udawał.

– To było bardzo straszne, prawda? – spytała Ryska z rozpaczą.

– Ujdzie. – Sawrianin wyprostował się i bacznie spojrzał dookoła. – Tylko następnym razem trzymaj rękę bardziej rozluźnioną. Tak lepiej wyczuwasz partnera.

– A co, będziemy musieli jeszcze raz?!

– Mam nadzieję, że nie.

Ryska nie była pewna czy Alk aż tak bardzo nie ma ochoty z nią tańczyć czy może to wyraz troski o nią. Ale nie odważyła się dopytywać.

Nie wrócili na poprzednie miejsce, by podchmielony młodzieniec znowu się do nich nie przyczepił, tylko poszli na przeciwną stronę sali, do stolików, gdzie odnalazł ich Żar.

– Chodź, coś ci pokażę – powiedział do Sawrianina. – Nie, niech Ryska postoi tutaj, zaraz wrócimy! Muszę się poradzić.

Sądząc z porozumiewawczego mrugnięcia, złodziej miał radzić się odnośnie rzeczy, które nie budziły u jego przyjaciółki sympatii.

– Nie wychodź zza kolumny – rozkazał Alk, puszczając jej rękę. – I nadgryź coś.

– Po co?

– Zapraszanie do tańca posilającej się damy jest nieuprzejme.

Ryska została w samotności. Oczywiście już nie czuła tej palącej paniki co przy wejściu, a po tańcu (którego bała się najbardziej ze wszystkich rzeczy) wszystko wydawało się o wiele mniej straszne, ale i tak się obawiała.

Spojrzała na stół z zakąskami. Goście już zgarnęli te najbardziej wymyślne, ale dla niej nawet złociste kulki z ziemniaka na patykach były nowością. Ostrożnie wzięła jedną i nagle za jej plecami zahuczał głos niczym łoskot padającej kolumny.

– O Bogini! Czemu tak piękna panna nudzi się w samotności?!

Ryska odwróciła się powoli, ściskając patyczek z ziemniakiem jak gdyby miał on moce magiczne. I przeraziła się jeszcze bardziej.

Pan Szarak był już wyraźnie podпиты. Wypełniając obowiązki gospodarza obszedł z kieliszkiem połowę Sali, a ze starymi przyjaciółmi należało pić do dna.

– Ja wcale nie... – zaczęła zszokowana dziewczyna, ale w porę się ugryzła w język. – Hi-hi!

Zanim zdążyła się opamiętać, gospodarz zamku złapał ją za dłoń, w którą władował się wargami znacznie konkretniej niż Alk. I jeszcze przeciągnął koniuszkami palców po skórze, tak jakoś pieszczotliwie.

Ryska przygotowała się do haniebnej śmierci, ale niespodziewanie Szarak załśnił i zawołał:

– Aha! To pani również lubi jazdę krowią?

I wpakował jej pod nos własną dłoń, sztywną i zeszlifowaną wodzami do połysku.

– Ooo... – Niczego więcej dziewczyna nie zdołała z siebie wykrztusić.

– Zgadłem? – Gospodarz buńczucznie zażądał potwierdzenia.

– Tak – skłamała Ryska, jak zwykle zalewając się rumieńcem.

Pan Półtorej Klingi był pod prawdziwym wrażeniem. Taka milutka i taka

nieśmiała! I mocna jak roczna jałówka – w odróżnieniu od jego żony, która nie dawała się wyciągnąć na polowanie nawet w karocy. Chyba wśród przodków nieznamojej nie obeszło się bez sawriańskiej krwi, ale Szarak, zajadły wielbiciel krów i polowań, lubił mieszańce zarówno wśród bydła, jak i wśród kobiet.

Ponownie zabrzmiała muzyka.

– Pozwoli pani, że ją zaproszę? – Gospodarz zamku, nie czekając na odpowiedź, porzucił niedopity kieliszek na stoliku i pociągnął Ryskę na salę, nie patrząc czy panna dzierży w ręku nadgryzionego ziemniaka czy nie. Po drodze dziewczyna upuściła patyk, a chwilę później usłyszała za plecami zdumiony okrzyk i łomot upadku. Pan Szarak spojrział przez ramię i niedbale skinął na najbliższego służącego – pomóż panu się podnieść, pewnie źle stąpnał.

Taniec z gospodarzem zamku okazał się znacznie bardziej skomplikowany: nie tylko nie pomagał partnerce, ale na wszelkie sposoby wchodził jej w drogę, ciągle depcząc po nogach i przepaszając. Gdyby nie lekcja, którą przed chwilą przeprowadził z Ryską Alk, haniebnie by poległa, ale teraz udawało jej się przynajmniej wykonywać potrzebne ruchy nawet jeśli w nie do końca odpowiednich momentach. Szarak nie żądał niczego więcej, składając jej pomyłki na karb swojego braku umiejętności albo w ogóle ich nie zauważając – szlachetna dyskusja o krowich maściach pochłonęła go z głową.

– A jakie ubarwienie ma pani ślicznotka?

Ryska desperacko przebrała w pamięci dozwolony zestaw słów i uznała, że zaryzykuje:

– Trójbarwne.

– Niesamowite! – zachwycił się Szarak. – Ja również uważam, że Saszy niech weźmie te konwenanse! W zwierzęciu pod wierzch najważniejsza jest szybkość, a nie maść. Pamiętam, że również miałem kiedyś krówkę – z wyglądu kompletnie niepozorną, że chłop by powinien na niej orać, ale jak ona pędziła! Jak wiatr! Zająca mogła doścignąć! Sarnę!

– Naprawdę? – pisała Ryska.

– Ha! – Pan Półtorej Klingi po raz piąty nadepnął jej na nogę i po raz dziesiąty przeprosił. – Zdobyłem na niej główną nagrodę na wyścigach maszańskich!

– Jakie to ciekawe!

W tym momencie Szarak na dobre zapomniał o tańcach, zatrzymał się na środku sali, puścił partnerkę i zaczął pokazywać rękami zasięg rogów swojej pieszczoszki. Pozostałe pary grzecznie obtańcowywały ich dookoła.

– A jak pędziłem na niej do ataku! Jak gdybym siedział wierzchem na huraganie! Na lewo szablą – ciach! Na prawo – ciach! – pusta przestrzeń dookoła niego powiększyła się dwukrotnie. – A potem jakiś białowłosy drań piką... – Szarak tak się rozrzewnił, że wyciągnął zza rękawa chusteczkę, zgrabnie otarł oczy,

a następnie dźwięcznie się w nią wysmarkał. – Przepraszam najmocniej. Mam nadzieję, że niezbyt panią zbulwersowałem?

Dziewczyna uczciwie pokręciła głową. Nie miała pojęcia co to jest to „zbulwersowałem”, ale było jej szkoda krowy.

– Jest pani wprost wspaniała! – stwierdził pan Szarak z tkliwością, wachlując chusteczką poczerwieniałą twarz. – Co? Taniec już się skończył? Jakie to przykre. Ale mam nadzieję, że szanowna pani sprezentuje mi jeszcze jeden, nieco później?

– Hi-hi.

Gospodarz zamku gorąco ucałował damie rączkę, po czym w końcu wypuścił ją ze swoich kopyt, tfu, palców i skierował się do jakiegoś znajomego, stojącego koło kolumny. Ryska niepewnym krokiem dotarła do stołu i nie do końca zdając sobie sprawę co robi chwyciła najbliższy kieliszek, po czym duszkiem wychyliła połowę zawartości. Zakrztusiła się, ale po chwili poczuła się lepiej.

Akurat nastąpiła przerwa w tańcach. Ryska bardzo chętnie gdzieś by usiadła, ale pod ścianami znajdował się łącznie może tuzin krzeseł, wszystkie zajęte przez starsze damy. Pewnie zrobiono tak specjalnie, żeby przyjęcie się nie przeciągało, pomyślała dziewczyna. Jak tylko goście zaczną padać bez sił, to do widzenia.

Ponownie sięgnęła po zakąskę – teraz faktycznie była głodna, kwaśne wino rozdrażniło żołądek – i ponownie nie doniosła jej do ust.

Na zwolnione przez muzyków podium wyszedł i podniósł ręce w powitaniu słynny mędrzec i podróżnik Niekłamuj. Z okazji wystąpienia w zamku ubrał się w jasnoszary płaszcz oraz miał przy sobie wysoką czarną laskę, co upodobiło go do starego mądrego czarodzieja, który gotów był za niewielką opłatą czynić cuda na radość ludziom

Ryska w pośpiechu uciekła spojrzeniem. Patrzenie na mędrca, który tak delikatnie i bezlitośnie „wychłostał” ją na oczach całego miasta, było nieprzyjemne. Żeby jej tylko nie poznał! Ale nie mogła odejść, bo straszliwie chciała posłuchać co Niekłamuj będzie opowiadał. Może faktycznie nauczy się od niego czegoś mądrego. W końcu on ma o tytylu więcej doświadczenia!

Na początek mędrzec przeczytał parę wierszy. Składnych i złośliwych, ale niezbyt zrozumiałych. Otrzymał uprzejme oklaski – mimo że poezję uznawano za szlachetną dziedzinę, kiepsko komponowała się ona z pełnym żołądkiem i zmęczonymi nogami. Niekłamuj szybko zorientował się w sytuacji i zapewnił szanowną publiczność, że zaraz „opowie zadziwiającą historię, która wywoła śmiech i łzy nawet w najbardziej czerstwych duszach!”, po czym uczynił znak chłopcu-uczniowi, by cichutko przygrywał na flecie i zaczął „tworzyć”.

W tym momencie Ryska dopiła wino jak wodę.

Mędrzec opowiadał jej bajkę. No dobrze, dziewczynka zmieniła się w chłopca, magiczna latająca krowa – w zwykłą, tylko wyjątkowo chyżą, a wesole przygody stały się nudne, ozdobione skomplikowanym pouczeniem po każdym

bohaterskim czynie. Zdaniem dziewczyny to tylko zepsuło opowieść.

Jeżeli nakręcić na placku masę ozdóbek z ciasta to w piecu zmienia się one w suchary i potem człowiek sobie zęby połamie zanim się dobierze do nadzienia!

Najbardziej uraziło ją to, że goście słuchali bajarza z wielkim zainteresowaniem.

– Ale ma bogatą wyobraźnię! – zauważył z szacunkiem podstarzały kupiec stojący po lewej stronie Ryski.

– Talent – zauważył jego przyjaciel. Obaj panowie wypełnili swoje ojcowskie obowiązki przyprowadzając córki na przyjęcie i teraz delectowali się winem – ni to nie mając wybrednego gustu Alka, ni to po prostu zagłuszywszy go dwoma albo trzema kolejnymi kieliszkami. Zapomniane córki spacerowały sobie po sali nie tyle poszukując Szaraka ile kokietując braci innych panien. – Stara szkoła. Współcześni opowiadacze niestety tak nie potrafią...

Ryska wbiła w „talent” wściekle spojrzenie, życząc Nieklämujowi utraty zębów z jeszcze mniej przyjemnej przyczyny. Mędrzec, który nieprzerwanie toczył spojrzeniem po słuchaczach, żeby każdy z nich poczuł się częścią misterium bajki, dotarł do dziewczyny... Po czym nie przerywając opowieści, posłał jej protekcyjny uśmiech i ledwo zauważalnie skinął głową.

– Przecież powiedziałem, że masz jeść, a nie pić! – obruszył się Alk, który niezauważalnie podszedł od tyłu i zobaczył pusty kieliszek w ręku Ryski.

Dziewczyna odzyskała kontrolę nad ciałem i z przerażeniem złapała się łokcia Sawrianina. Żar, który wrócił wraz z Alkiem patrzył na to ze zdumieniem – zwykle przyjaciółka wieszala się w ten sposób wyłącznie na nim.

– On mnie poznał!!!

Sawrianin krótko spojrzał na mędrca. Jego górna warga drgnęła jak u zirytowanego psa, ale mimo to głos miał całkiem spokojny:

– Saszy z nim. I tak już sobie idziemy.

– Dokąd?

– Zaraz zobaczysz.

– A poza tym pan Szarak ze mną tańczył! – Drugą ręką Ryska złapała Żara, zamykając się jak w „domku”.

– Widzieliśmy – burknął białowłosy, kierując dziewczynę pod ścianę i wzdłuż niej.

– I jak?!

– Parszywy widok.

– Chodzi mi o to, co mamy teraz robić?!

– To po co tu przyszliśmy.

– Ale on groził, że zatańczy ze mną jeszcze raz! A co, jak będzie mnie szukał?!

– I jak ci się udało go oczarować?! – Złodziej wydał z siebie głuchy

śmieszek.

– Wcale! – zaprzeczyła Ryska z rozpaczą. – Sam się oczarował, ja tylko przytakiwałam, jak Alk mnie uczył. „Tak”, „nie”, „hi-hi”...

– Nic dziwnego, że trafiłaś go wprost w serce! – Teraz parsknął również Sawrianin.

– Ale przecież powiedziałeś, że wszystkie szlachetne damy się tak zachowują! Dlaczego on uczeplił się właśnie mnie?!

– Powiedziałem, że tak zachowują się *idealne* szlachetne damy – poprawił ją Alk. – Z punktu widzenia bogatych grubych kawalerów nie pierwszej świeżości.

– Ale po co im takie kretyнки?!

– Gdyż są to dobrze wychowane i wykształcone kretyнки – zauważył Sawrianin pouczająco, budząc w Rysce jeszcze bardziej gorący protest.

– Myślałby kto, że przez to ciekawiej się z nimi gada!

– Nie, ale są mniej irytujące.

– Czy dama naprawdę nie może być wykształcona i mądra?

– W towarzystwie mądrej trzeba samemu również trzymać poziom. Co potrafi daleko nie każdy. Ale ty bez kawalera nie zostaniesz, nie martw się tak.

Alk i Żar zatrzymali się równocześnie.

– Widzisz tamtą galerię? – szepnął złodziej, pochylając się do ucha przyjaciółki. – Popytałem trochę i jest to najkrótsza droga do komnat pana Szaraka. Skąd najpewniej prowadzi tajemną korespondencję.

Ryska widziała. Ale widziała również strażnika, który nieruchomą bryłą żelaza zagradzał przejście.

– Zaraz podejmiemy jak najbliżej się da – pouczał ją dalej Żar. – Że niby do tamtego tam stolika. A kiedy zaczniesz się zamieszanie i „kot” się rozproszy, to wślizgniemy się do środka.

– A dlaczego ono się ma zacząć?

– Ponieważ poświęcenie pewnej odważnej istoty nie może pójść na marne. – Przyjaciół przybrał żałobny wyraz twarzy.

– Chyba nie mówisz o mnie?! – przeraziła się Ryska.

– Schlebiasz sobie – stwierdził Alk z wyższością, popychając dziewczynę w kierunku galerii.

Strażnik zmierzył ich uważnym spojrzeniem, ale kiedy „panowie i pani” stanęli dookoła stolika odzyskał spokój i powrócił do obserwacji sali.

– I tu też one! – parsknął Żar. Na stole stała głęboka srebrna miska, do samej góry wypełniona gęstym sosem, z którego jak maszty zatopionego statku sterczały długie białe patyki. Złodziej pociągnął za jeden i wyłowił kotlecika, zwiniętego z pięciu rodzajów mięsa. – Spróbuj.

Przyjaciółka ostrożnie, by nie zakapać sukni, ugryzła poczęstunek.

– Jakiś on dziwny... Słodki – powiedziała po chwili. Była przyzwyczajona,

że z mięsa robi się sycący posiłek, a nie przysmak.

– No właśnie, dziewczynom smakuje.

Tymczasem inna panna przy dalszym stoliku również miała ochotę spróbować zakąski. Odgięła mały paluszek i ze starannie udawaną niechęcią pociągnęła za patyk. Bo szlachetnej pannie to nic nie kapało, ani na sukienkę, ani na podłogę. Nawet nie musiała patrzeć jak to robi, zresztą jako córka jubilera doskonale знаła też smak „orlego gniazdka”.

Ale tutejszy kucharz zdołał ją zaskoczyć.

Panna w szoku wytrzeszczyła oczy, podniosła rękę nieco wyżej – i zobaczyła, że zamiast kotlecika na patyczek nadziany został paskudny, wymięty i zauważalnie śmierdzący nawet przez aromat sosu szczur.

Okazało się, że szlachetne panny potrafią się drzeć niewiele gorzej, niż pospółstwo. Wręcz bardziej przenikliwie. Dama desperackim ruchem odrzuciła „poczęstunek” precz i zemdląca, po raz pierwszy w życiu nie sprawdzając czy ma kto ją złapać. Chętni byli, ale bez uprzedzenia żaden nie zdążył, za to potem aż czwórka naraz zderzyła się czołami.

Patyk ze szczurem wykonał kilka piruetów w powietrzu i jak szpilka wbił się we włosy kolejnej kandydatki do lewej ręki pana Półtorej Klingi. Wszyscy dookoła wrzasnęli z przerażenia i wstrętu, dama z piskiem zaczęła potrząsać głową, strącając szczura na podłogę – i po chwili sama leżała koło niego.

– Zabiiiiiii...! – desperacko wrzasnął ktoś stojący pod ścianą.

Panikarz nie mógł zobaczyć, co dokładnie się stało, ale strażnicy, którzy i bez tego nerwowo spięli się słysząc wrzaski, wystrzelili jak strzały z kuszy. Niekłamuj przerwał w pół słowa i zaczął się rozglądać próbując dojść, o co ten gwałt. Jak na mistrza sześciu rodzajów broni miał nieco zbyt bladą i wykrzywioną twarz – pewnie chodziło mu o zmylenie przeciwnika. Na sali wybuchła panika – ci odważniejsi przepychali się do przodu, pokonując opór bardziej tchórzliwych. Najsprytniejsi „ratowali damy”, w pośpiechu niezbyt dokładnie wybierając miejsca, za które można je było odprowadzić w bezpieczne miejsce.

Szczęśliwie nieporozumienie szybko się wyjaśniło. Ofiary szczura ocucono, podniesiono, otrzepano i zasypano przeprosinami oraz pocieszeniami. Jedna z nich, oburzona do granic możliwości, zażądała, by natychmiast odstawiono ją do domu, druga zaś wybrała rolę męczennicy i na wpół leżała na pośpiesznie zestawionych krzesłach, delektując się ogólną uwagą i współczuciem.

Pan Szarak poirytowanym machnięciem ręki odesłał strażników na miejsca i rozkazał wymianę półmisków. Podniósł patyk ze szczurem i z namysłem pokręcił w placach.

– Jak znajdę tego żartownisia, to zrobię mu to samo – obiecał z przekonaniem.

Rozdział 3

Każda szczurza nora ma mnóstwo wejść i wyjść.

To samo źródło

Na galerii było ciemno. Dwie pochodnie na całej długości się kompletnie nie liczyły, szczególnie w porównaniu z żyrandolami na sto świec. Echo głosów z sali – a po chwili również wesołej muzyki – waliło w mury jak ślepe psiaki. Przyjęcie trwało.

Do wtóru muzyki włamywacze ruszyli szybciej – zagłuszała ich kroki. Ale w rogu pod pochodnią Żar zatrzymał się i wyciągnął zza pazuchy talerz.

– Przecież na nim jest tylko zamek od zewnątrz – szepnęła Ryska ze zdziwieniem.

– Ale okna są dwustronne. Tak, minęliśmy już trzy kwadratowe z okiennicami i siedem strzelniczych, więc teraz na prawo, żeby dostać się do południowej wieży. – Talerzyk istotnie okazał się bezcenny, gdyż dokładne odpytywanie służących było zbyt niebezpieczne. A tak – od jednego się dowiedział, w której wieży, od innego – na którym piętrze, trzeci wygadał się, że na tej kondygnacji to jedyny pokój z kratami w oknach.

Alk ostrożnie wyjrzał zza rogu.

– Pusto. Idziemy.

Na początku proste schody po chwili zakręciły się w spiralę, więc towarzysze musieli z najwyższą ostrożnością przed każdym krokiem wyczekiwać, żeby niespodzianie nie spotkać się oko w oko z jakimś służącym lub ochroniarzem.

Ryska nadepnęła na rąbek sukni, rozległ się trzask dartej materii.

– Podciągnij ją! – syknął Sawrianin.

Speszona dziewczyna zadarła sukienkę do kolan. Nie była przyzwyczajona do aż tak długich – mieszkańcy majątku kroili o półtorej dłoni krócej, żeby ubranie nie czepiało się mokrej trawy i nie brudziło nawozem.

Na piętrze Żar ponownie sięgnął po talerz.

– Dlaczego tu nigdzie nikogo nie ma? – spytała Ryska drżącym głosem, podejrzewając jakąś zasadzkę.

– A kogo potrzebujesz? Strażnicy pilnują podwórza i sali. Słudzy są zajęci w kuchni. – Sawrianin zachowywał się jakoś dziwnie. Był pewny siebie, wyrachowany, spokojny... *Zbyt spokojny*, jak gdyby osiągał to dużym wysiłkiem woli. Twarz Alka na chwilę wykrzywił skurcz, ale białowłose poruszył brwiami i Ryska pomyślała, że tylko jej się to wydawało.

– A żona Szaraka? Nie było jej na sali!

– Ona mieszka w innej wieży i do rana stamtąd nie wyjdzie – odpowiedział za Sawrianina Żar, który nasłuchiwał się plotek pomiędzy gośćmi. – Bo niby jaka to dla niej przyjemność, patrzeć jak mężunio sobie wybiera młodą panienkę? No więc nie psuj łopianów.

– Co?!

– Nie tchórz – poprawił się złodziej. – Tam idziemy.

W tym korytarzu w ogóle nie było pochodni. Pewnie pan Szarak uznał, że inni mieszkańcy zamku nie mają co tu wchodzić, a on sam może w razie czego przynieść lampę.

Ryska drgnęła, kiedy niespodziewanie Alk złapał ją za łokieć i boleśnie ścisnął.

– Wszystko w porządku? – szepnęła z niepokojem.

– Tak. Po prostu jest ciemno. Nie śpiesz się.

Z przodu usłyszeli miękkie, niezbyt głośne łupnięcia.

– Co?!

– Ślepy korytarz – szepnął z irytacją Żar, pocierając czoło. – Czyli potrzebujemy drugich drzwi po prawej stronie.

– Mam iść po pochodnię? – zasugerował Alk.

– Nie trzeba. Zaraz wymacam. O, chyba już mam. – Złodziej lekko pociągnął za gałkę. W futrynie żelazo nieprzekupnie szczęknęło o żelazo. – Zamknięte.

Ryska sapnęła z rozczarowaniem, ale po chwili na dole coś zaśniło słabym niebieskawym światłem, niewyraźnie ukazując profil siedzącego w kucki złodzieja.

– Jeju, a co to?

– Wiórki korzenia mokradlanego. – Żar zawiesił szklaną fiolkę na sznureczku na gałce powyżej dziurki od klucza. – Ech, już zdążył osłabnąć... Lepiej by było, jakbym go nastrugał tuż przed wyjściem. Ale nic, poradzę sobie. – Chłopak wyciągnął spod habitu pierścień z wytrychami.

– Skąd je masz? – Ryska pamiętała, że bogaty sprzęt Żara zabrano mu jeszcze w zajacogrodzkim więzieniu. Ten zestaw był mniejszy, ale też robił wrażenie.

– A tak, przychodził do nas pewien złodziej się kajać. – Żar, nie odrywając spojrzenia od dziurki, przebiegł palcami po pęczku. – Modlik go zrugał i nakazał, żeby uroczyście wyrzucił wytrychy w pokrzywy.

– Czyli to dlatego się potem drapałeś przez cały wieczór – przypomniał sobie Alk.

– No a dlaczego miałyby się dobra rzecz marnować?

– Nie ma to jak gospodarność – uśmiechnął się Sawrianin.

– A jak! – Żar w końcu wybrał długi cienki pręcik z haczykiem i ostrożnie

wprowadził go do dziurki.

Ryska po raz pierwszy widziała przyjaciela pracującego w takim skupieniu. Patrzył przez dziurkę jak zakochany w okno swojej wybranki, próbując tak i siak przekonać ją do spaceru przy świetle księżyca – bez hałasu i przemocy, nie daj Bogini, a wyłącznie cierpliwością i pieszczotą! No cóż, zdecydowanie nie było to naprawianie płotów...

Po wypróbowaniu z dziesięciu wytrychów, kiedy Żar z upojeniem przygryzający koniuszek języka, gmerał w zamku jedenastym, w środku nareszcie coś szcęknęło i złodziej śpiesznie pociągnął gałkę na siebie.

– Gotowe! – ogłosił uroczyście i jako pierwszy wkroczył do środka.

W pokoju było znacznie jaśniej – gospodarz zamku polegał na gęstej kracie i zostawił okiennice otwarte – lato, duchota... Księżyc zaglądał wprost przez okno, odbijając się w szklanych oczach wypchanych łbów – jelenie, łosie i wilcze pyski szczyrzyły się na gości ze ścian, jak głodne żywe trupy. Lis w ogóle przypomniał Rysce tamtego wściekłego. Koło biurka stał cały dzik z dwiema łysinami na grzbiecie – chyba Szarak lubił kłaść na nim nogi.

Od środka drzwi miały zasuwę, którą Żar natychmiast zamknął i złodzieje poczuli przypływ pewności siebie.

– Co za drań! – rzucił Alk ochryłym z gniewu szeptem, patrząc na boczną ścianę. – Jeszcze by tu głowę przybił!

Ryska odwróciła się i pisnęła. Przy ścianie stało łóżko zaścielone futrami na pierzynach, a nad nim wisiały dwa skrzyżowane miecze, krótki i długi oraz sawriański hełm, z nauszników którego zwisały dwa długie śnieżnobiałe warkocze.

– Myślisz, że on...

– Nie, no skąd! Zrzucamy je na wiosnę, jak jelenie poroże! – zaprzeczył Sawrianin sarkastycznie.

– Alku... – szepnęła dziewczyna ze współczuciem, ale białowłosa już wziął się w garść.

– Szukajmy tego „cienia”. – Podszedł do biurka i zaczął jedną po drugiej wysuwać szuflady. Wszystkie okazały się wypełnione papierami i drobiazgami w rodzaju wyciętych z kości figurek zwierząt i grotów strzał – pewnie też pamiętnych zdobyczy, kawałkami rudy (pewnie pan namiestnik miał jakąś kopalnię) i innymi śmieciami. Na stole stało kilka fiolek, ale Alk nawet na nie nawet nie spojrział.

– Te szuflady są zbyt krótkie – zawyrokował złodziej natychmiast. – Weź je wyciągnij do końca, na podłogę!

Sawrianin posłuchał, przykucnął i po łokieć wsadził rękę w powstałą dziurę, natychmiast coś wymacując.

– Ciężka – zauważył, wyciągając i stawiając na biurku dużą kwadratową szkatułkę. Również była zamknięta, ale z tym zamkiem Żar poradził sobie znacznie szybciej – atramenty jednak nie są aż tak wartościowe, by chować je przed

złodziejami za siedmioma pieczęciami. Raczej tylko żeby służba nie włąziła.

– To to? – Żar wyciągnął jedną z fiolek i zważył w ręku. Ciężka. Na etykiecie widniał jakiś napis, ale mało prawdopodobne, by głosił „Do czytania skradzionych listów”.

– Yhym... – Alk szybko przeglądał etykiety, wystawiając fiołki na blat w dwóch rzędach. W każdym było po półtora tuzina. – „Światła” nie potrzebujemy, czyli wybieramy z tego tutaj, pierwszego.

– Słuchaj – powiedział Żar z niedowierzaniem. – Skoro Widzący może tak po prostu zgadnąć właściwy atrament, to jaki w nim sens?

– Nie tak po prostu. Mamy mniej więcej jeden do siedmiu.

– Alku!!! – zawył złodziej z oburzeniem, a Ryska poczuła dziką chęć, by do niego dołączyć. – Ty znowu swoje? Robić cokolwiek, tylko po to, by robić?!

– To nadal lepiej, niż jeden do osiemnastu. – Sawrianin nawet okiem nie mrugnął.

– A jakie są szanse, że pośród nich w ogóle jest ten właściwy?

– Naprawdę chcesz to wiedzieć?

Złodziej z rezygnacją machnął ręką:

– Dobra, wybieraj... świrze.

– Nie ja. – Alk cofnął się za Ryskę, odsłaniając jej buteleczki. – Ona.

– Co?! – przeraziła się dziewczyna.

– A kto tu niby jest Wędrowcem?

– Ty!

– Ja jestem „świecą”. – Sawrianin odwrócił Ryskę do biurka i ścisnął za ramiona. – No już, „idź”.

* * *

Muzycy grali, pary wirowały jak gdyby nic się nie stało. Co prawda zakąska schodziła teraz znacznie wolniej – kto wie z czego ją tam w tej kuchni robią? Niektórzy podejrzewali, że był to żart samego pana Półtorej Klingi, który po pijaku chciał zabawić się kosztem gości – bo co tu dużo mówić, wielu z nich zjawiało się w zamku przede wszystkim licząc na darmowy poczęstunek i rozrywkę, a z tym wychodzeniem za mąż to już jak wyjdzie.

Szarak nadal spacerował po sali, ze skrępowanym wyrazem twarzy wysłuchiwał dowcipów na temat swojego kucharza (czasem dosyć złośliwych) i zapewniał, że nic podobnego już się nie powtórzy. Natomiast uważny obserwator zauważyłby, że gospodarz już nie dolewa sobie wina, a Wędrowiec nieprzerwanie majaczy w pobliżu.

Przyjęcie zbliżało się do końca, więc gospodarz zamku zawołał zonglera i bazarza, po czym szczerze zapłacił obydwu, mimo że mędrzec ostatecznie nie dokończył historii.

– Nie uprzedził mnie pan, że będę miał rywalkę – poskarżył się Nieklämuj niby żartem, z półukłonem odbierając pieniądze.

– Jaką rywalkę? – zdziwił się Szarak.

– Ta miła czarnowłosa dziewczyna o żółtozielonych oczach – wyjaśnił mędrzec zwracając się w kierunku stolika, przy którym widział ją po raz ostatni, ale teraz stali tam inni ludzie. – Bajarka, która z jakiegoś powodu przebrała się w kupiecką suknię. Czyżby miał pan jeszcze zamiar uraczyć nas spektaklem?

– Bynajmniej – zaniepokoił się gospodarz. Wędrowiec podszedł bliżej. – Co to znaczy „przebrała się”?

– Przecież ona jest z pospólstwa – poinformował mędrzec z nutą żalu („Ech, taki klejnot zepsuli kiepskim szlifem!”). – A przynajmniej kiedy kilka tygodni temu wpadliśmy na siebie w Zającogrodzie, to wymowę i zachowanie miała jak z głuchej wieski, miejscowi się bawili samym patrzeniem. Muszę przyznać, że żwawa panna i nie bez iskry, ale niestety nigdy nie czeka ją nic ponad opowiadanie baśni na targach.

– Przyszła na przyjęcie z moim kolegą – przypomniał sobie zamkowy Wędrowiec. – Ciągle miałem w planach zamienić z nim parę słów, ale chłopak jak na złość trzymał się przeciwnego końca sali. Sawrianin.

– Wysoki, chudy i pochmurny? Pan raczy sobie żartować! – roześmiał się dobrodusznie Nieklämuj. – Żaden z niego Wędrowiec. Żebrak, cham i pijak. Cały Zającogród wie, jak ten białowłosy załatwił tamtejszego namiestnika w karczmie. Chyba nawet chcieli ich za to powiesić, ale patrzcie państwo, jednak się wywinęli.

– Nie, on jest Wędrowcem – zaprzeczył zamkowy stanowczo. – Albo przynajmniej wyuczonym Widzącym. Wyczułem jego dar, mimo że było w nim coś... dziwnego. I mój szczur też się zaniepokoił.

– Szczur... – Szarak z namysłem poskrobał się po podbródku, wymieniając z Wędrowcem porozumiewawcze spojrzenia. – Chodź no, znajdziemy tego Sawrianina i sprawdzimy, czy jego własna „świeca” jest tam, gdzie powinna.

Mędrzec spojrzął za nimi, nadal uśmiechając się dobrotnie i przyjaźnie. I tylko w głębi jego oczu przemykały złośliwe iskierki.

* * *

Księżyc prześwitywał przez fiołki z różną mocą – przez niektóre bardziej jaskrawo, przez inne mniej. Może zależało to od ilości płynu, albo od samego atramentu – szkło było lekko przyciemnione, więc trudno stwierdzić na pewno. Ryska przypomniała sobie, jak wybierała notatki dla Świstaka. Ale tam miała jedną z dwóch albo trzech, a tu półtora tuzina!

Dziewczyna spojrzała na każdą z buteleczkę po kolei raz, potem drugi. Ta? Czy może tamta? Piąta po lewej z jakiegoś powodu podobała jej się bardziej od pozostałych...

– Ta – rzuciła nieśmiało.

Alk zabrał od niej flakonik i... w milczeniu odstawił z powrotem.

– Dlaczego?!

– Nie użyłaś daru.

– Skąd wiesz?

– Wiem. Jeszcze raz.

– Ale szybciej! – syknął Żar. Za każdym razem, kiedy złodziej włożył do cudzego domu miał wrażenie, że w głowie zapala mu się łuczywo: póki się pali, to jest bezpiecznie. I płomyk właśnie przekroczył połowę.

I jak ona niby ma wybrać?! Ryska przypomniała sobie, co opowiadał jej Sawrianin i spróbowała wyobrazić sobie kupkę kolorowych groszków zamiast pierwszej fiołki, ale w jej wyobraźni zaczęły one turlać się po stole, mieszając ze sobą i omal nie chichocząc.

– Każde zadanie daje się zrobić na kilka sposobów – tchnął jej Alk ledwo słyszalnie w samo ucho. – Nie próbuj szukać prawdopodobieństwa dla każdego flakonika. Wybierz tę ścieżkę, w której uda ci się przeczytać list.

Ryska przełknęła, wtłaczając z powrotem do gardła kolejne zrywające się z języka i kompletnie zbędne w tej chwili pytanie. Nie mieli teraz czasu, by uczyć i się uczyć. Tylko działać, licząc na tę odrobinę szczęścia, którą Holga schowała w rękawie przed natrętnymi wszystkowiedzącymi Wędrowcami. Dla ich własnego dobra, bo inaczej pozostało tylko poddać się i umrzeć.

List. Żółtawa sztywna kartka, która cały czas próbowała zwinąć się z powrotem. Gdzieś w jej środku, jak żuczki pod korą, chowały się litery, które już zabrały jedno życie i niezauważalnie czyhają na kolejne. Trzeba jakoś je stamtąd wydostać zanim nie spowodowały więcej bólu, wywabić na zewnątrz... Ryska poczuła szum w uszach, stół i wypchane zwierzęta zaczęły się rozmywać i tylko buteleczki z niezrozumiałego powodu nadal były doskonale widoczne, jak pękate korale na sznurku. Miała wrażenie, że jeszcze trochę i zobaczy litery, da radę odczytać je bez żadnych „cieni”. W rogu kartki zalśniło coś złotego, powoli ruszyło w górę, zostawiając za sobą linię...

Palce na jej ramionach się zacisnęły.

– Alk! – Dziewczyna szarpnęła się, próbując odzyskać swobodę ruchów, ale Sawrianin jej nie pozwolił.

– Kontynuuj.

– Ale... ciebie to boli!

– Nic nie szkodzi, wytrzymam.

Ryska ponownie spróbowała skupić się na liście. Zamknęła oczy – tak było łatwiej, mimo że serce nadal waliło jej jak szalone. To było jeszcze gorsze, niż zszywanie mu ręki! Wtedy przynajmniej wiedziała co robi i leczyła, a nie kaleczyła!

– Wsłuchuj się w siebie, a nie we mnie, kretyńko. Też sobie znalazłaś czas na mazgajstwo!

Wściekły głos Sawrianina sprawił, że Ryska trochę się otrząsnęła. Przed jej wewnętrznym wzrokiem ponownie pojawił się list, tak namacalny, że zaczęły ją swędzieć końce palców. Jeszcze trochę i z głębi papieru zaczęły pojawiać się litery. O, już coś widać, jak podcięta rybka rzuca się na końcu żyłki-drogi...

Ryska nieświadomie wyciągnęła rękę.

Oddech za jej plecami zrobił się jeszcze cięższy, świszczący. Alk zbyt dobrze rozumiał, że jeśli krzyknie czy nawet jęknie, to zmusić dziewczynę do trzeciej próby już się nie da.

Wyciągnięta ręka powoli poruszała się nad buteleczkami jak kołowrót nad skrzyżowaniem osiemnastu dróg.

A potem nagle zrobiła się ciężka i spadła.

Kiedy tylko poczuła w dłoni zimne granie szkła, wizja zniknęła. Rozluźniło się też imadło na ramionach.

– Doskonale – wychrypiał Alk nosowo, robiąc krok w tył. – Schowaj to, złodziejaszku.

– Rysiu! Weź to w końcu puść. – Żar z trudem wygrzebał fiołkę z desperacko zaciśniętej pięści. Dziewczyna zamrugnęła ze zdumieniem, patrząc na lukę w szeregu. Siódmy flakonik po lewej. Nigdy by nie pomyślała. – Idziemy?

– Czekał szczapkę... – Sawrianin podszedł do łóżka, stanął na nim jedną nogą i zabrał się do odrywania mieczy.

– Co ty wyprawiasz?! – z przerażeniem pisnęła Ryska.

– Zadośćuczynienie za straty moralne – szepnął Alk złośliwie. – I zwrócenie skradzionych relikwii do kraju ich pochodzenia, jeśli to będzie dla ciebie bardziej zrozumiałe.

– Przecież nie zamierzaliśmy nic zabierać! Namiestnik zauważył!

– Ołać. I tak już popełniliśmy zbyt wiele błędów.

– Jakich?!

– Ściągnęliśmy na siebie uwagę gospodarza. Mędrzec nas poznał. Zakapaliśmy dywan.

– Co?

Ryska spróbowała dojrzeć cokolwiek w mroku pod nogami, ale w tym momencie białowłosa wrócił i z przerażeniem zauważyła pod jego nosem ciemne „wąsy”.

– Rety, Alku...

– Zrobiliśmy to. Cała reszta jest nieważna. – Sawrianin wyciągnął dłuższy miecz w kierunku Żara. – Schowaj pod szatą.

Sam uniósł kubrak na plecach i wpakował drugą klingę wzdłuż kręgosłupa, ostrzem do góry. Przycisnął rękojeść pasem.

– Koniuszek ci sterczy koło szyi – zauważył Żar.

Sawrianin w milczeniu podniósł kołnierz. Klinga leżała w rowku pomiędzy mięśniami solidnie i wygodnie, jak w pochwie, zupełnie nie krępując ruchów. Tylko Alk trzymał się nawet sztywniej, niż Ryska zasznurowana w gorsecie.

– Wyglądasz, jakbyś miecz połknął – zachichotał Żar.

– Chodźmy. – Białowłosy ostrożnie pociągnął zasuwę. Ryska odniosła wrażenie, że zawahał się zanim zrobił krok w mrok, ale tylko na chwilę.

Na korytarzu nadal było pusto i cicho, z dołu dolatywała spokojna muzyka. Ryska miała ochotę biec do niej jak z przerażającego mrocznego lasu do płonących w oddali światełek. Ale kto mógł wiedzieć, czy jest tam wieska, świecące próchno czy może wilcze oczy?

Kiedy złodzieje zeszedli ze schodów i dziewczyna nabrała przekonania, że to co najgorsze już zostało za nimi (tylko z jakiegoś powodu miała coraz większe dreszcze) Żar niespodziewanie skręcił nie na lewo, tylko na prawo, tłumacząc:

– Wyjdziemy przez kuchnię, od razu na podwórze.

– A nie ma tam strażników?

– Najpewniej są.

– To co to za różnica? – nie zrozumiała Ryska.

– Zobaczysz.

Znalezienie kuchennych drzwi okazało się banalnie wręcz proste. Wydawało się, że trwa za nimi bitwa: metaliczne brzękanie, okrzyki, bieranina, trzaski, zapach spalenizny... Były zamknięte – od tej strony na dużą kłódkę, co wywołało u Żara złośliwy uśmiech – nikt nie spodziewał się, że złodzieje będą tędy nie wchodzili tylko wychodzili. Ba, klucz wisiał tuż obok, na wbitym w futrynę gwoździu.

Służba zauważyła obcych nie od razu. Mimo że ci nawet nie próbowali prześlizgnąć się za plecami biegających dookoła ludzi, tylko zamknęli drzwi i zaczęli z poważnymi wyrazami twarzy spacerować pomiędzy paleniskami, zaglądając do kotłów i pod pokrywki skwierczących patelni.

– Czego szanowni państwo sobie życzą? – zapytał w końcu główny kucharz, nadal mieszając głucho bulgoczącą masę, która wyglądała jakby ktoś już raz ją zjadł. Z drugiej strony, pachniała całkiem smacznie.

– Pan Szarak poprosił mnie o pomoc w znalezieniu drania, który znieważył jego gości. – Alk opuścił prawą rękę, „przykrywając” dłonią nieistniejącego szczura. – Podejrzewa, że to ktoś ze służby kuchennej.

– Co też pan Wędrowiec mówi! – Kucharz, który już zdążył dostać burę od gospodarza, z urazą wypiął do przodu swój niemały brzuch. – Jestem gotów samodzielnie udusić drania, który zbezczeszczył moje dzieło!

– Najjaśniejsza Bogini osądza kłamców. – Żar poczynił łagodny wyrzut.

Oburzony do głębi duszy (albo przynajmniej żołądka) brzuchacz śpiesznie

nakreślił na czole znak Holgi. Masa w garnku w jednej chwili pochłonęła upuszczoną łyżkę i kucharz zaczął z krzykiem skakać dookoła kotła, kiedy jego pomocnik w pośpiechu szukał nowej.

– Cóż... – powiedział Alk głośno. – Teraz możemy obejrzeć podwórze.

I pewnym krokiem skierował się do drzwi, przy których stała aż dwójka strażników. Przerażona Ryska desperacko wczepiła się w rękaw Żara, ale ochrona stojąca przy tylnym wyjściu różniła się od tej przy frontowym. Obowiązkiem tych tutaj było pilnowanie, by służący nie wynieśli z zamku połowy prowiantu, pod wymyślonymi pretekstami biegając na zewnątrz i chowając zdobycz w zakamarkach. Zresztą, biegać mogli, tylko byli dokładnie przeszukiwani.

Na widok Wędrowca, modlika oraz szlachetnej panienci strażnicy zdębieli nie mniej niż kucharz.

– Czy przez te drzwi wchodził ktoś obcy? – zapytał Alk groźnie, przejmując inicjatywę.

– Nie, panie Wędrowcze – odpowiedzieli z szacunkiem tsecowie, zerwani z miejsc rozkazującym tonem Sawrianina.

– A wy się stąd nie ruszaliście? – wypytywał dalej białowłosy, świdrując ich podejrzliwym spojrzeniem.

– Tylko po kolei, panie Wędrowcze!

– Hm... – znacząco rzucił Alk, niedbałym gestem nakazał strażnikom cofnięcie się i wyszedł na podwórze. Żar i Ryska pospieszyli za nim. – Czy do zamku ktokolwiek wjeżdżał po rozpoczęciu przyjęcia? – Sawrianin mrużąc oczy patrzył w kierunku bramy, gdzie paliły się pochodnie i również stała ochrona.

– Nie widzieliśmy, panie Wędrowcze!

– To niedobrze.

Strażnicy zrobili się zieloni, ale „wędrowiec” w końcu zostawił ich w spokoju i zdecydowanym krokiem ruszył do bramy, najpewniej by zrużać tamtejszych wartowników.

Po drodze Alk ponownie złapał Ryskę pod łokieć, więc do wyjścia z zamku dotarli wyglądając zupełnie inaczej.

– Szanowna pani życzy sobie przespacerować się dookoła zamku – poinformował tseców przyjaźnie.

– W środku jest straszliwie duszno – poskarżył się Żar ufnie.

Najbliższy strażnik spojrzał na bladą twarzączkę „damy”, na wypełnione wozami podwórze gdzie również nie było specjalnie dużo świeżego powietrza, po czym ze współczującym skinieniem uchylił jedno skrzydło bramy.

– Niedługo wracamy – obiecał złodziej solennie, po czym dla dodania większej wagi swoim słowom dodał niespokojnie: – Przecież nas zapamiętaliście, prawda? I wpuścicie z powrotem? Bo mamy tu karocę, broń... i jeszcze niedługo powinni podać tort!

– Wpuścimy, wpuścimy – uśmiechnął się tsec.

„Modlik” z uczuciem go pobłogosławił.

Alk pozwolił towarzyszącej wyjść i na odchodnym odwrócił się – akurat by napotkać spojrzenie pana Półtorej Klingi, który właśnie wyszedł na szeroki zamkowy ganek.

Szarak wbił w Sawrianina takie spojrzenie, jakby rozpoznał mordercę swojej ukochanej krowy. Niesłychana bezczelność „wędrowca” wręcz odebrała mu mowę, więc Alk zdążył jak gdyby nic wejść pod portal, kiedy gospodarz zamku w końcu opamiętał się i ryknął:

– Łapcie tego białowłosego!!!

Zanim strażnicy uświadomili sobie treść rozkazu, minęło jeszcze kilka bezcennych chwil. Żar, który miał znacznie większe doświadczenie z niespodziewanymi zmianami planów, złapał Ryskę za rękę i lawirując pomiędzy stojącymi na placu karocami (nie dla wszystkich starczyło miejsca na zamkowym podwórzu) zanurkował w najbliższą uliczkę. Tam nudził się gryzący suchara chłopaczek z krowami. Na widok wynajmującego otrząsnął się i surowo zganiał Miłkę, drapiącą bokiem o mur.

– Dzięki ci, przyjacielu! – Żar zabrał od „pastuszka” wodze i natychmiast podał je Rysce. – Włóż na Miłkę i stój tutaj!

– „Dziękuję” to możesz sobie na pamiątkę zostawić – odpowiedział chłopaczek solidnym basem.

Złodziej z uśmiechem rzucił mu obiecane srebro i pobiegł z powrotem do bramy, jednocześnie wyciągając spod szaty miecz.

O kamień pod nogą Alka uderzyła strzała, ale łucznik oberwał po karku od własnych kolegów – do Sawrianina już dotarła straż.

Zamiast stawić jej czoła, białowłosey przeciwnie, pochylił się jak gdyby celowo wystawiając na cios najbliższego tseca. Ten bez najmniejszych wyrzutów sumienia walnął go w poprzek karku i krzyknął z zaskoczenia – miecz z brzękiem odskoczył. W następnej chwili Sawrianin wyrwał broń z osłabłej ze zdumienia ręki napastnika i odwrócił się do drugiego tseca. Kolejny brzęk metalu, nieuchwytny ruch – i Alk miał już dwa miecze.

– No i...? – zapytał złośliwie, rozkręcając je tak jak gdyby jego ręce należały do różnych wojowników i obie były prawe (czy raczej w wypadku Alka – lewe).

Tsecowie cofnęli się, niepewnie spoglądając po sobie – ale od strony zamku już śpieszyła do nich pomoc, od razu rozchodząc się w wachlarz, by otoczyć białowłosego. Strażnicy niemalże zdążyli wykonać manewr, kiedy z ciasnego zaułka jak nietoperz wynurzył się Żar w powiewającej szacie. Z rozpędu walnął jednego z przeciwników barkiem i zwałił z nóg.

– Miecz! – ryknął Sawrianin zamiast słów wdzięczności.

– Chcesz jeszcze jeden w zęby?!

– W...!!!

– A! – zrozumiał Żar, padł na kolana i wpackował towarzyszowi rękę pod kubrak. Sawrianin lekko się pochylił, by złodziej mógł wygodniej wyciągnąć ostrze i rozłożył ręce z mieczami, gotów bronić obydwu. Ale z boku rzecz robiła tak wielkie wrażenie, że na czas cudownego pozyskiwania miecza z... spod kubraka, tsecowie osłupieli z otwartymi ustami. Sawrianin natychmiast odzyskał zwinność oraz szybkość i rzucił się na lewo, a potem na prawo, rozrzucając przeciwników, podczas gdy Żar wpackował skradzione miecze pod pachy, a palce do ust i przenikliwie gwizdnął.

Na placu zaczął się harmider – drzemiący woźnice unieśli głowy, zrozumieli, że dzieje się coś niedobrego (czyżby się zaczęła wojna z Sawrią?!) i zgodnie potrząsnęli wodzami. Dwie karoce natychmiast zderzyły się ze sobą, spod kół ze skamleniem wyleciał bezpieczny pies. Jeden z tseców również musiał odskoczyć, by przypadkiem go nie przejechało, a pozbawieni zbroi i przez to bardziej zwinni Żar oraz Alk przeciwnie, rzucili się pod same kopyta, wymijając je o jakiś włos. Kiedy strażnicy, rycząc z pretensją, wymijali karoce, uciekinierzy zniknęli za kolejną, a stamtąd zanurkowali do zaułka, w którym tsecowie zastali tylko kilka świeżych placków nawozu.

– Gonić ich!!! – wrzeszczał Szarak, nie posiadając się z wściekłości. Dokładnie tak jak powinien każdy dowódca, obserwował walkę z boku i doskonale widział, jak Sawrianin oraz jego kumpel wsiedli na krowy i uciekli. Piękna nieznajoma była z nimi i dół jej sukienki nieszlachetnie powiewał na wietrze, odsłaniając nóżki po same pośladki. Oczywiście takich szczegółów pan namiestnik w mroku już nie widział, ale jego wyobraźnia usłuźnie je dorysowała, podrzucając do ogniska gniewu wiązkę zazdrości. Co za paskuda, a on się z nią prawie ożenił!

Ryska miała na głowie ważniejsze rzeczy, niż sukienka czy nawet pośladki. Wyścig po ciemnych, wąskich i wijących się zaułkach mógł w każdej chwili skończyć się fikołkiem przez głowę – z uwzględnieniem zniszczonego bruku to nawet i wspólnie z krową. Z tyłu narastały odgłosy pościgu, okrzyki „Wioooo!”, „Łap szczury!”, „Nie uciekną!”. Pogoń się nie zbliżała – straż i uciekinierzy mieli krowy podobnej jakości – ale trafiła do labiryntu kamiennych domów, rodzącego żywotne echo.

– Łaaapaaaaj! – dołączył Żar niespodziewanie.

Alk spojrział na niego jak na kretyna, a potem nagle uśmiechnął się ze zrozumieniem i również krzyknął:

– Z drrrogi! W imieniu namiestnika!

Kiedy trzy krowy w galopie dotarły do bramy miejskiej, strażnicy byli już przerażeni do granic możliwości: brama zamknięta, a cała czwórka stała przy nich ramię w ramię z włóczyniami wystawionymi do przodu.

– Sprawa wagi państwowej! Otwieraj! – ryknął Alk, tak gwałtownie hamując

krowę, że prawie przysiadła na ogonie.

– Ale roz... – zająknął się strażnik, podczas gdy jego mniej podejrzliwi ale bardziej roztropni towarzysze ruszyli do otwierania zasuw.

– Już!!! Zobacz, za nami jedzie pan Szarak we własnej osobie! On wyjaśni!
– Sawrianin nie pozwolił tsecowi się opamiętać, smagnął Śmierć po krzyżu i przemknął przez szczelinę pomiędzy skrzydłami bramy, gdy tylko rozszerzyła się wystarczająco.

Za ich plecami rozległ się dźwięk podobny do wycia wilczego stada, okraszony soczystymi słowami. Z niecenzuralnego chóru dolatywał desperacki ryk Szaraka:

– Łapcie ich!!!

– Łaaapieemy! – odkrzyknął Żar z gotowością, bok przy boku Ryski przelatując pod bramą. – Do ataaakuuuu! Za pana namiestnika! Za najjaśniejszą Holgę!

Strażnicy dalej sterczeli z otwartymi gębami, spoglądając na przemian za „oddziałem awangardy” oraz na zbliżającą się pogoń, nim pan Szarak nie dotarł do nich i faktycznie wszystkiego nie wyjaśnił, stosując na przemian wściekle przekleństwa oraz szturchańce.

Szczęśliwie dla uciekinierów w zamku było tylko sześć osiodłanych krów. Na jedną z nich wskoczył Szarak, na kolejną Wędrowiec, a pozostałe zostały dla tseców. Kolejna dziesiątka jeźdźców miała dotrzeć lada chwila – po swoją porcję pańskiego gniewu. Podążanie za podejrzaną trójką w mroku poza granicami miasta było zbyt niebezpieczne. Może akurat na to czekali – wywabić namiestnika do lasu i wziąć do niewoli albo po prostu rozstrzelać z krzaków? Swoją drogą, kim właściwie byli ci „goście”?

– Czego oni w ogóle chcieli? – zwrócił się Szarak do Wędrowca, kiedy już nieco ostygł. – Złodzieje czy szpiedzy?

Zapytany ze zmęczeniem wzruszył ramionami, z trudem łapiąc oddech. Zarówno dla niego jak i dla krowy szarża okazała się ciężkim przeżyciem.

– Coś na pewno zabrali.

– Pieniądze? Klejnoty? Papiery? – zaniepokoił się Szarak. Dokładnie jak każdy namiestnik miał na sumieniu wystarczająco grzeszków. Nie więcej niż zwykle godzi się tolerować lud i tsar, ale przy odrobinie chęci można się z łatwością dogrzebać tego i owego.

– Trudno mi powiedzieć. – Wędrowiec zmrużył oczy, patrząc śladem uciekinierów, którzy byli już prawie niewidoczni na tle lasu. – Jednak wydaje mi się, że nie zrobili panu większej szkody. Albo nie zdążyli, albo w ogóle włamali się do zamku w zupełnie innym celu.

Pan Półtoraj Klingi nieco się uspokoił, lecz oczywiście nie miał najmniejszego zamiaru tak po prostu zapomnieć o sprawie.

– Wracamy do zamku – poleciał, ze wstrętem patrząc na złożone z jedenastu tseców posiłki, które w końcu dotarły na miejsce. – Zobaczymy, co się tam zmieniło.

* * *

Trzy krowy gęsiego pędziły po drodze. Żar z przodu, Alk na końcu, nieco z tyłu, dokładnie tak jak zamykający powinien. W rozgorączkowane twarze dał świeży wiatr, ślady zarastały mrokiem, słowiki i pasikoniki śpiewały chwałę zwycięzcom i dusza złodzieja śpiewała. Dokładnie jak to sobie z Alkiem obliczyli najważniejsze okazało się wydostanie z miasta. Ile oni tam mają tseców w czasach pokoju – trzy tuziny? Cztery? Karmienie większej ilości nie ma sensu, a namiestnik wykazał się zdrowym rozsądkiem i nie osłabił garnizonu o ćwierć w imię pościgu nie wiadomo za kim.

Okradli *zamek*! Niechby i z drobiazgu, ale białowłosy miał rację: teraz Żar miał co opowiadać wieczorami przy ognisku, budząc zazdrość w sercach młodych złodziejasków. I nikt nie został nawet draśnięty!!!

Złodziej odwrócił się, zamierzając z nadmiaru uczuć wrzasnąć coś w rodzaju „yo-ha-ho-ho-ho!” – ale wrzasnęła Ryska.

A Alk spadł z siodła.

* * *

Szarak i jego ludzie już zbliżali się do placu główną, najszerszą i w miarę oświetloną ulicą kiedy usłyszeli wielogłosy pisk kwik i pisk, jak gdyby ktoś kopniakami gonił im na spotkanie stado prosiaków.

– Co za... – Namiestnik uniósł się w strzemionach. I zobaczył.

Z zamku jak stado wypuszczonych ze szkatułki motyli i trzmieli rozbiegali się szlachetni panowie i damy, którzy w panice porzucili nie tylko karoce ale też wachlarze oraz laski.

Ich śladem pełzł ciemnoszary cień, dokarmiając się wypustkami od domów.

Szarak zamarł jak słup soli, niezdolny oderwać od niego oczu. „*I wyjdą z nor niezliczone hordy, i będą darły ludzkie ciało bez strachu i litości, siejąc choroby, głód i śmierć...*” – zabrzmiał jego w głowie paskudny głos wędrownego modlika-proroka, którego namiestnik rozkazał przedwczoraj wyrzucić za miejską bramę. Co prawda ostatecznie skończyło się na wyproszeniu, ponieważ „prorok” miał tłumy wyznawców, gotowych osłaniać go własną pierśią (przeważnie były to piersi chude i słabe, ale ogień fanatyzmu uczyni lwa nawet z kotka).

Modlik sobie poszedł, a prorocstwo zostało. I zaczęło się spełniać.

Szczury biegły cicho i w skupieniu, jak na dźwięk fujarki z dziecięcej bajki. Ich oczka lśniły jak szkiełka, a łapki szeleściły niczym miarowa jesienna ulewa. Jeżeli na ich drodze trafiała się przeszkoda nie do pokonania w rodzaju domu, to

ociekwały ją jak woda. Jeżeli przeszkoda była solidna ale do pokonania – na przykład karoca – to przykrywały ją po sam szczyt. Jeżeli była delikatna (lub żywa) zostawała pochłonięta w mgnieniu oka. Desperackie wrzaski – nie bardzo wiadomo czy kocie, psie a może ludzkie – wybuchały i gasły, jak strzały sygnałne. Szczury nie ruszały tych którzy zdążyli wspiąć się na dach albo przynajmniej parapet znajdujący się pięć dłoni nad ziemią. Najważniejsze, by nie przeszkadzano im iść.

Z jakiegoś powodu Szarak przypomniał sobie oblężenie zamku sprzed osiemnastu lat. Sawrianie, którzy tydzień wcześniej zalegli pod murami, niespodziewanie spakowali manatki i odeszli. Odeszli szybko i sprawnie, nie gasząc ognisk i porzucając część taboru. Mieszkańcy miasta wybiegli na mury, radośnie wrzeszcząc i przeklinając w kierunku ich pleców, niektórzy nawet pozdejmowali spodnie i kręcili tyłkami pomiędzy zębami krenelaża, ryzykując że oberwą strzałą w tak doskonale widoczny cel. Ale białowłosi nie zwracali na nich uwagi. Wiedzieli, że w innym miejscu dostaną to, co im się należy.

Gdzie?!

* * *

Żar i Ryska, zagubieni, stali na skraju drogi. Jak na złość w tym miejscu lewe pobocze gwałtownie opadało w dół, do strumienia i niewielki parów był zarosnięty nieprzebytymi chaszczami – przyjaciele już spróbowali tam wleźć. Nie zauważyli dokładnego miejsca gdzie Alk spadł, a w leśnym mroku nie widzieli kompletnie nic.

– Może krowa się potknęła? – zasugerował złodziej.

Ryska z wysiłkiem, na sucho, przełknęła i pokręciła głową.

Śmierć pozbawiona jeźdźca przebyła kolejne sto kroków zanim uświadomiła sobie, że nikt już jej nie pogania. Teraz stała na środku drogi i z niezrozumieniem spoglądała do tyłu.

– Wydawało mi się, że on... zeskoczył.

– Ale po co?!

– Ciemno jest... – szepnęła dziewczyna, obejmując drżące ramiona rękoma i wznosząc oczy do nieba. Księżyc, który tak chętnie pomagał im w komnatach Szaraka, schował się za chmurami, z rzadka majacząc za nimi jako mętna żółta plama. – Alk!

W krzakach coś się poruszyło.

– Jesteś tam?!

Ani dźwięku, ani jęku...

– Weź no się cofnij. – Żar wyciągnął miecz i zaczął machać nim na prawo i lewo, wyrabując przesiekę.

– Tylko uważaj żebyś nie trafił Alka!

– Jeżeli jest martwy, to go nie sięgnę. Jeśli żywy, to tym bardziej. Ech,

gdybym miał pochodnię... – Żar krok po kroku zszedł do samej wody, wkroczył w nią po kostki i zaklął. – No i jak mamy go tutaj szukać?!

Ryska wpadła na jego plecy, po czym drgnęła i gwałtownie odwróciła się do tyłu – miała wrażenie, że ktoś prześlizgnął się po przesiece ich śladem.

– Alk?

Zahaczając sukienką o gałęzie, dziewczyna spieszenie wspięła się z powrotem. Krowy stały na drodze, wszystkie trzy – Śmierć wróciła i zamarła koło Miłki. Wyglądały na zaniepokojone, ale nie przestraszone: pyski zwrócone w jednym kierunku, uszy postawione i drżące, nozdrza rozdęte. Miłka od czasu do czasu kręciła łbem i ryła ziemię racią.

Ryska niepewnie zbliżyła się do krzaka, na który patrzyły zwierzęta – i w końcu zrozumiała co się stało.

Szczury nie jeżdżą na krowach. Szczury nie lubią otwartych przestrzeni, ani nie są nauczone chodzenia na tylnych łapach.

Pozycja była nienaturalna zarówno dla szczura, jak i dla człowieka, ale wyglądało na to, że dla Alka jest całkiem wygodna. Patrzył na Ryskę nie mrugając, a porwana w kilku miejscach koszula wydawała się nastroszonym białym futrem.

– Alk!

Istota cofnęła się płynnie, jak zwierzę, wyszczerzyła zęby. Warkocze przesunęły się po ziemi. Przez chwilę Ryska miała złudzenie, że stoi na progu sieni rodziców, trzymając w ręku zbawienne polano. Zabrakło jej oddechu, jak gdyby wciągnęła do płuc mroźne powietrze, które skuło piersi kłującym lodem.

– Osz zaraza! – stwierdził Żar zza pleców przyjaciółki.

Na niego szczur syknął i zgarbił się bardziej. Nie podobało mu się to miejsce, pamiętał, że grozi mu śmiertelne niebezpieczeństwo, a członkowie stada – szczególnie samiec – powinni wykazywać więcej szacunku dla przewodnika!

Ryska ocknęła się i spieszenie zasłoniła przyjaciela własnym ciałem, rozkładając ręce na boki.

– Alku... – zaczęła drżącym głosem, starając się ignorować złowieszcze prychnanie i szcęknięcie zębami. – Przecież nie jesteś szczurem. Jesteś silny, dasz sobie z nim radę, wiem to! Bardzo cię proszę, przynajmniej spróbuj, bo przecież ty się nigdy nie poddajesz! Wierz w siebie!

Sawrianin słuchał z lekko przechyloną głową i chyba się uspokajał. Wydawało się nawet, że w żółtych oczach przemknęły ślady rozumu – ale w tym momencie szczur niespodziewanie odwrócił się i nieśpieszenie wlaźł w krzaki. Władza została potwierdzona, nastraszeni poddani się ugięli, można zająć się ważniejszymi sprawami. Na przykład poszukać jedzenia.

Nie było innego wyjścia.

– Łap go!!! – wrzasnęła dziewczyna desperacko i jako pierwsza skoczyła na Alka.

* * *

Do rąk namiestniczej krowy pozostawało ledwo parę kroków, kiedy szara rzeka niespodziewanie się zatrzymała. Przetoczyły się po niej fale – szczury stawały słupka, węszyły, szczyrzyły na siebie zęby, jak gdyby po raz pierwszy zauważając kogokolwiek dookoła. Niektóre zajęły się myciem albo wygryzaniem pcheł – ze złością zdradzającą zagubienie.

A następnie szczurze wojsko zawróciło i popęzło z powrotem, rozsypując się jak popiół na wietrze. Ciężkie poczucie kierowania przez jedną siłę zniknęło. Teraz były to zwyczajne szczury, które śpieszyły się, by wrócić do wygodnych nor.

Uciekały przed ludźmi i próbowały przy pierwszej okazji zanurkować do jakiejś kryjówki albo przynajmniej w cień.

Całkowicie zatopiony przez zwierzęta plac opustoszał w zaledwie parę szczap.

Szarak przeciągnął drżącą dłońią po włosach – i jak gdyby wyczuł w nich świeżą siwiznę.

Rozdział 4

Kiedy przewodnik szcurzego stada jest w kiepskim humorze, poddani podlizują się: padają na bok przymykając oczy albo nawet podpełzają do niego na brzuchu.

To samo źródło

Przed świtem ze wschodu popłynęła mgła, jak gdyby ktoś narzucił na schowane za horyzontem słońce całą masę wilgotnych polan. Poranek był nawet nie zimny, ale przesywający i mlecznobiały, cichy jak jesienią. Wrażenie psuły jedynie soczyste zielone liście i ptasie trele – rzadkie i senne, ale niezaprzeczalnie letnie.

– No i patrzcie! – Żar uroczyście powiesił kociołek na kiju nad ogniskiem. Płomień zgiął się i zasyczał, oblizując mokre denko. – A wy marudziliście: po co, po co...

Alk chmurnie zerknął na złodzieja, nie przestając wodzić osełką wzdłuż ostrza miecza. Trzy pozostałe leżały w rządku na trawie, już naostrzone. Tseckie klingi były nieco gorsze od tych Siwy, ale sawriańskie – znacznie lepsze.

Złodziej ze stęknieniem ostrożnie siadł na ziemi koło ogniska.

– Zdaje się, że złamałeś mi żebro! – poskarżył się, obmacując bok.

– Przepraszam – burknął białowłosy. Dla niego nocna historia skończyła się na kilku siniakach, zadrapaniach i dziurach w ubraniu. Zewnętrznie.

– Hej no, jakie ty ładne słowo znasz! – zachwycił się Żar. – A możesz jeszcze raz? Bym tak słuchał i słuchał...

Alk powiedział inne, wulgarne.

Złodziej się nie obraził. Ale jeszcze długo wyczekująco patrzył na białowłosego, aż w końcu nie wytrzymał:

– Jak się czujesz?

– Co? – zapytał Sawrianin z roztargnieniem, nie odrywając spojrzenia od miecza.

– Jak się czujesz?

– Dobrze.

– A jako kto? – doprecyzował Żar podchwytliwie.

Alk spojrział na niego z irytacją.

– Czy wy teraz będziecie mnie o to nagabywać co szczapę?

– Przecież musimy się przekonać... – Żar uciekł spojrzeniem.

– Za dnia nic się nie stanie.

- Jesteś pewien? Czekaj no, czyli to nie pierwszy raz?! To czemu milczałeś?!
- A co wam do tego?
- Przynajmniej byśmy wiedzieli co robić!
- No i jak, teraz wiecie?

Żar sapnął z irytacją. Walka była krótka, ale zażarta. Tyle dobrego, że Alk najpierw próbował strząsnąć z siebie nietykalną dla szczura „samicę”, a dopiero potem skoczyć do gardła „samcowi”.

- Przynajmniej byśmy się tak nie prze... zdziwili. I często ci się to zdarza?
- Jeden raz było – przyznał Sawrianin niechętnie. – Koło mostu. Przestraszyłem jakiegoś żebraka, zawołał mnie i się opamiętałem.
- Ryska z tobą rozmawiała.

Alk skinął głową. Pamiętał – nie słowa, ale odczucie. Pewnie właśnie w ten sposób szczur zapamiętuje otaczających go ludzi, zapachy głosy, stosunki mimo że nie jest zdolny do ocenienia ich z ludzkiego punktu widzenia.

Ale wczoraj nie przestraszył się ludzkiego głosu, trzeba było dodać kilka ciosów. Co będzie konieczne następnym razem?

Żar wyraźnie również zastanawiał się nad tym pytaniem, ponieważ niezręcznie odkaslnął i zmienił temat:

- Swoją drogą, gdzie się podziała Ryska? Przecież mówiła, że się umyje i wróci!
- Pójdę, zobaczę. – Sawrianin odłożył miecz, który akurat osiągnął wymagany stan.

* * *

Alk odnalazł Ryskę na brzegu, pod gałęziami starej wierzby. Dziewczyna siedziała opierając się plecami o pień i patrzyła na swoje przyciśnięte do piersi kolana w takim skupieniu, jakby ktoś wypisał na nich odpowiedź na pytanie o sens życia. Rąbek sukni balowej przypominał ścierkę, którą umyto wyjątkowo brudną podłogę: był czarny i mokry. Koniuszki wierzbowych gałęzi unosiły się na wodzie jak włosy topielicy. Przybrzeżny muł cuchnął zdechłymi rybami.

Sawrianin chwilę stał obok, również patrząc. Nie znalazł odpowiedzi, ale widok na dekolt miał nienajgorszy.

– Na przyszłość: nie baraszkowaliśmy na sianie, żeby „tam i z powrotem” oraz „ojej, kochany”, wolniej. Skoro już „zapaliłaś świecę”, to zabieraj moc jednym pociągnięciem, jakbyś wyrywała zadrę. W przeciwnym razie tylko bardziej boli.

Coś kapnęło Rysce na spódnicę. Dziewczyna uniosła głowę, a Alk zaklął i zacisnął palcami nos. Kiedy ta krew nareszcie się zatrzyma?! Co chwila znowu leci.

- Bardzo źle się czujesz? – Ryska spytała z taką rozpaczą, jak gdyby to ona,

a nie Alk, dostała ataku szaleństwa i teraz musiała tłumaczyć się z uczynionych bezceństw.

– Nie, coś ty – odparł Sawrianin nosowo, ale z wyczuwalną irytacją. – Nie ma powodów do zmartwień, czuję się *zwyczajnie* źle.

– Przecież sam kazałeś, żebym wybierała!

– No to dlaczego od razu zaczynasz się tłumaczyć?

– Ja nie... – Ryska urwała i ponownie spuściła oczy. – Nie chcę być Wędrowniczką.

– Ale nikt cię o to nie prosi. – Alk oparł się o pień i zadarł głowę. Mgła otaczała wierzbę jak śmietana, strumykami sącząc się pomiędzy gałęzie. – Musisz, bo w przeciwnym razie wszyscy umrzemy.

– Nie potrzebuję takiego daru! – zawołała Ryska z desperacją. – I w ogóle może ja od dzieciństwa marzę, żeby się go pozbyć?!

– Cóż, akurat to jest wyjątkowo łatwe. – Sawrianin zerwał jeden listek, roztarł go w palcach i rzucił na ziemię. – Zabij człowieka.

– Co?! – Dziewczyna w kompletnym szoku wbiła w niego spojrzenie.

– Użyj przy zmianie drogi nie „świacy”, a człowieka – wyjaśnił Alk ze stoickim spokojem. – Wyciągnij z niego moc, bo przecież każdy ma odrobinę szczęścia, do ostatniej kropli i kiedy on umrze, twój dar również zniknie.

– Proponujesz, żebym splamiła ręce krwią?!

– Z rąk krew się łatwo zmywa – zapewnił ją Sawrianin. – Opluczesz w zimnej wodzie i tyle. No to co, idziemy zdejmować z ciebie przekleństwo byłego Wędrowca? Złapiemy jakąś babkę, ja ją będę trzymał, a ty do czegoś użyjesz...

– Nie!!!

– A, no tak, zapomniałem, przeklęta kobieca solidarność. – Alk ostrożnie dotknął grzbietu nosa. – No to dziadka. Takiego starego i garbatego, żeby nie było go szkoda.

– Mnie wszystkich szkoda!

– No to musisz sobie jakoś radzić, Wędrowniczko. – Alk zaryzykował opuszczenie głowy, a potem nawet kucnięcie przy samej wodzie. Krew faktycznie była lekka do splukania, ale każda kropelka zamieniała się w gigantyczną różową plamę, która długo nie topniała w stojącej wodzie.

– Alku...

– Co?

– Ja już dłużej nie mogę – szepnęła Ryska z rozpaczą, ukrywając twarz. – To nie jest życie, tylko jakiś koszmar! Wydaje się, że w ogóle nie ma żadnej dobrej drogi, ciągle wybieramy tylko pomiędzy złym i bardzo złym, więc wcale nie jestem przekonana, że dobrze...

– No to się pomódl – poradził Alk poważnie, otrząsając ręce.

Ryska sapnęła w sukienkę.

– Chyba już nie wierzę w bogów – przyznała bojaźliwym szeptem, jak gdyby Holga stała koło wierzbowego pnia i podsłuchiwała. – Z takimi modlikami... Może oni ich sami wymyślili dla darmowej kiełbasy!

– A po co ci bogowie? – zdziwił się Sawrianin. – Modlitwa jest potrzebna, żeby uwierzyć w siebie. Żeby zapewnić samego siebie, że prawda jest po naszej stronie, więc zwyciężymy.

– A ona na pewno jest po naszej stronie?

– Z naszego punktu widzenia tak.

– No to w takim razie co to za prawda?! – spytała Ryska z rozczarowaniem.
– Ona powinna być prawdziwa, ogólna!

– I jak ty to sobie wyobrażasz? – parsknął białowłosey. – Zając chce żyć, a wilk chce jeść. Ktoś marzy o deszczowym lecie, a kto inny – o gorącym. Wcześniej czy później i tak trzeba dokonać wyboru, na której drodze staniesz. I nazwać ją dobrą.

– Aha, na wędrowczej czy na szcurzej – rzuciła dziewczyna gorzko.

– Dokładnie – zgodził się Alk, łapiąc ją pod pachy i stawiając na nogach. – I zdaniem szcúra kradzież „cienia” jest właśnie tym, czego chce od nas Holga. Chodź. Przecież trzeba w końcu się dowiedzieć, dlaczego się tak męczymy!

* * *

Tłum petentów zmniejszył się najwyżej o jedną trzecią, ale czas audiencji dobiegł końca i strażnicy zaczęli wyganiać z sali rozczarowanych ludzi. Nikt nie odważył się protestować głośno. Należało dziękować tsarowi za troskę, że przynajmniej jeden dzień w miesiącu traci na rozpatrywanie skarg zwykłych ludzi. Poprzedni w ogóle poświęcał na to tylko jeden dzień w roku. Zresztą Witor Surowy przez ostatnie pięć lat pojawiał się w tej sali coraz rzadziej i sprawami zajmował się jego wysokość Szares. Z drugiej strony lud nie miał o to żadnych pretensji – tsarewicz był mądry i sprawiedliwy, niektórzy specjalnie prosili, by trafić do niego.

Drzwi zatrzasnęły się, gwar za nimi zaczął cichnąć, oddalać się. Szares nadal się uśmiechał: chłop, który w poszukiwaniu sprawiedliwości dotarł aż do pałacu, okazał się tak prosty i zabawny, i tak malowniczo opisywał swoje problemy, że tsarewicz bez wahania zasądził, iż jego bogaty sąsiad ma nie tylko przywrócić granice pola na swoje miejsce ale też oddać te pięć worków pszenicy, które złodziej zdążył wyhodować na cudzej ziemi. Chłopina z radości aż ruszył do tańca, pod ogólny śmiech sławiąc „tsarewicza-obrońcę” i przysięgając mu wieczystą lojalność. Ledwo co go wywalili z sali i jeszcze na odchodnym z nadmiaru uczuć ucałował strażnika.

– I coś ty taki radosny? – zapytał Witor jadownicie i podejrzliwie, wchodząc do już pustego pomieszczenia. Skrzywił się ze wstrętem – nadal czuć było tu potem i nawozem. Służący, znając zwyczaje tsara oraz jego ciężką rękę, w pośpiechu

zamiatali podłogę, otwierali okna i zapalali aromatyczne strączki, by czym prędzej pozbyć się z pałacu chłopskiego zapachu.

Szares natychmiast stracił całą wesołość, ale odwracając się do ojca spróbował utrzymać uśmiech.

– Ojczy, rozsądzałem śmieszna sprawę. Dwóch wieszczan...

– I dureń z ciebie! – przerwał mu Witor, gdy tylko zaczął rozumieć sedno.

– Jak to, powinienem być uniewinnić złodzieja? – zdziwił się tsarewicz.

– Nie, obu wlepić batów: dwadzieścia pozwanemu, że ukradł i dziesięć pozywającemu, że zmarnował tsarski czas na takie gówno.

– To nie jest gówno – uprzejmiem zaprzeczył syn. – Tylko miłość ludu. Lepiej się czują z wiedzą, że mogą polegać na tsarze nawet w takich drobiazgach.

– Miłości to trzeba wymagać od dziewczek, a nie od ludu – uciął tsar zimno. – On i tak cię nie doceni, cokolwiek byś zrobił. Lepiej byś wpuścił kupców przed tego błazna, z nich przynajmniej jest jakaś korzyść dla skarbcza.

Tsarewicz nie powiedział nic, chociaż był doskonale świadom jak sądzi jego ojciec: na wybór i wynik sprawy, do której się zabierał, wpływał zarówno jego nastrój jak i wygląd pozwanego. Gdyby bogaty sąsiad chłopiny miał białe warkocze, to Witor w ogóle mógłby zabrać mu całą posiadaną ziemię „w celu zaprowadzenia sprawiedliwości”. Co prawda w stosunku do posłów i szlachetnych Sawrian tsar zachowywał się uprzejmiem i pozwalał sobie na okazywanie niechęci wyłącznie za zamkniętymi drzwiami.

– Kto durnia broni, tego również za durnia uznają – podsumował tsar bezlitośnie i nawet z pewną satysfakcją. – Rozumiesz?

– Tak, wasza tsarska mość – odezwał się Szares posłusznie. Zrozumiał już dawno temu, że kłótnie z ojcem kompletnie nie mają sensu. Im z większym uporem syn będzie bronił swojego punktu widzenia, tym więcej Witor będzie miał przyjemności ze złamania go. Prościej od razu wypuścić kość z zębów, a potem, kiedy stary pies straci zainteresowanie spokojnie zabrać ją z powrotem.

Tsar cofnął się z rozczarowaniem. Szmata, mięczak! Kompletnie nie ma swojego zdania, ani mózgu. Jako pomocnik jeszcze jakoś tam daje radę, ale Witor zupełnie nie wyobrażał go sobie na tronie. Rozwalił tsarstwo w kilka lat. Zdziwiający było to, że lud naprawdę tsarewicza kochał, a wierny Kastiusz donosił, że nawet wśród szlachty Szares miał sporo przychylnych mu ludzi. Szczęśliwie Witor miał ich więcej.

Po lewej stronie piersi coś zakłuło. Tsar już odruchowo położył tam dłoń i zaczął rozcierać kolistymi ruchami.

– Ojczy, jak się czujesz? – zapytał uprzejmiem tsarewicz, którego uwadze nie umknął ten gest.

– Doskonale – burknął Witor. „Co, paskudo, już się doczekać nie możesz?” – Tak, coś mnie swędzi.

– Może lepiej by było, gdyby ojciec się położył?

– Poradzę sobie – odburknął tsar. – Z wami jak człowiek się położy, to potem już nie wstanie. Co by nie powierzyć, to sknocicie, zdrowego wpędzicie w chorobę.

Tsarewicz nie nalegał, choć przez głowę przemknęła mu podła myśl, że taki wynik byłby całkiem przyjemny. Jednak Szares starannie pogonił ją precz. Korona była nie tylko symbolem władzy, ale też jej łańcuchami. Będzie musiał poświęcać sprawom państwowym nie trzy ćwierci czasu tylko cały bez wyjątku, rządzić nie dziesiątką służących, a całym tsarstwem, opuszczać pałac wyłącznie z ochroną, nie zdejmować kolczugi nawet we śnie, zapomnieć o starych przyjaciółach... Nie, nie miał najmniejszego zamiaru rezygnować z tronu na rzecz kuzynostwa – nie było wśród nich nikogo godnego, ani nawet mądrego, dorwą się do władzy i zaczną cudować, naruszając pozycję Rintaru, w sukces którego on sam włożył sporo wysiłku. Ale z drugiej strony nie miał też ochoty przyspieszać wydarzeń. Nadworny medyk mówił, że ojcu pozostały ledwo dwa lub trzy lata życia, w najlepszym wypadku pięć. Nic to, Szares wytrzyma. A przy okazji się wyszumi.

Ale kolczugę ostatnimi czasy i tak nosił. Oraz nie przyjmował zaproszeń na popijawy, wymawiając się brakiem czasu. Jednego przyjaciela już stracił. Nie chciał, żeby ten sam los spotkał pozostałych.

Co ojciec wie? Czego się tylko domyśla? Gdyby tajna służba zdołała przechwycić choćby jeden list, Witor zachowywałby się zupełnie inaczej. Śmiałyby się. Znęcał. Robił aluzje, póki Szares nie straciłby panowania nad sobą, a potem urządził synowi awanturę, zakończoną wielomiesięcznym zesłaniem w jakąś głuszę, niby pod ochroną, a tak naprawdę pod konwojem.

Oczywiście można skłamać. Wymyśleć coś wystarczająco niewinnego, pokajać się i udawać głupka: że niby „najjaśniejszy ojcie, przepraszam najmocniej, chciałem jak najlepiej, a że za twoimi plecami, to nie pomyślałem, że się ziryтуjesz na taki drobiazg”.

Jednak tsarewicz zbyt dobrze znał ojca. Ten z wiekiem robił się coraz bardziej nieufny i podejrzliwy, więc nawet gdyby spowiedź syna była najprawdziwszą prawdą i tak mu nie uwierzy, na dobre zaliczając w szeregi wrogów.

Pozostawało jedno: nie przyznawać się w ogóle. Zachowywać jak zwykle. Nie dawać więcej powodów do podejrzeń...

Ale, najjaśniejsza Holgo, jakie to było trudne! Musiał wytrzymać jeszcze trzy lata. Tylko trzy lata. A jeśli...

„Ojciec jest doskonałym władcą – surowo przypomniał sobie Szares. – A ja jego następcą i powinienem przede wszystkim myśleć o tym, co dobre dla tsarstwa, a nie dla mnie. Nic to. Jesteśmy młodzi. Jeszcze zdążymy”.

Całe trzy lata. A co, jeśli pięć?!

Witor szybko przejrzał poczynione podczas sądu notatki i z pogardliwym parsknięciem rzucił kartki z powrotem, kilka z nich poleciało na podłogę. Pisarczyk z przerażeniem wciągnął głowę w ramiona, ale tsar nawet go nie zauważył. Synek. Krew z krwi. Tylko ciekawe czyja? Z żoną żyli w miłości i zgodzie, ale kto mógł zaręczyć, że po którejś kłótni jej uwagi nie przyciągnął barczysty przystojny strażnik, tak samo jak samego tsara kusily dworki? Irtan był kopią ojca, a ten... Nos nie taki, wargi cienkie, podbródek kobiecy, okrągły. Witor spojrzał na czysto wygolonego „syna”, który wręcz wydawał się celowo podkreślać swoją odmienność i rozpalił się jeszcze bardziej. Zgadał się z Sawrianami, bękart jeden! Wysyła do nich sekretne wiadomości! Pewnie już widzi się na tronie, niechby nawet i na smyczy białowłosych! Ale nic to. Tsar jest stary i chory, ale jeszcze zdąży. Wszystko już prawie gotowe. Jeszcze tydzień i można zaczynać.

I wtedy szcurzątko już nie będzie mogło ukrywać, po czyjej jest stronie – ale tajne służby czujnie śledzą każdy jego krok.

– Wieczorem będzie przyjęcie, by uhonorować posłów z Loenii. Postaraj się dogadać z nimi przynajmniej na siódmą część – zarządził Witor gderliwie. – A już na pewno nie mniej niż dziewiątą.

– Cokolwiek wasza tsarska mość rozkaże. – Tsarewicz ukłonił się z szacunkiem i już podnosząc głowę, napotkał spojrzenie ojca.

„Co było w liście?!” – Rodzicielskie spojrzenie płonęło wściekłością.

„W jakim liście?” – odpowiadało mu niewinnie synowskie.

Witor mylił się. Szares niego odziedziczył po nim znacznie więcej, niż tsarowi się wydawało – tę samą inteligencję, tę samą odwagę, te same myśli i te same marzenia.

Ale życie zmienia ludzi znacznie bardziej, niż krew. A oni sami, niestety, często zupełnie tego nie zauważają.

* * *

Ryska i Żar z zapartym tchem patrzyli, jak Alk wyjmuje korek z fiolki. Rozprostowana kartka z listem już leżała na kolanie Sawrianina.

– Może najpierw spróbujesz na brzegu? – zaproponował złodziej. – Co będzie, jak nie zgadliśmy?

– Chcesz powiedzieć, że w takim razie wrócimy po kolejny „cień”?

– Nie – przyznał Żar z westchnieniem, opadając z kucek na tyłek. – Ech, trzeba było zgarnąć przynajmniej trzy sztuki, na wszelki wypadek!

– To byś sam porobił za „świecę”, skoroś taki mądry. – Alk zerwał źdźbło trawy z puchatym kłosem i zanurzył w buteleczce.

– Przecież nie jestem szcurem – zdziwił się złodziej, nie rozumiejąc, czemu Ryska pobladła i się odsunęła. – Można było złapać dowolne, bez wybierania. Wpakowalibyśmy z dziesięć do kieszeni...

– Tylko ile pożytku z jednej dziesiątej listu? – Alk wyciągnął kłosek, nadal zielony, ale posklejany i nabrzmiały. Z wyglądu „atrament” nie różnił się od zwykłej wody.

– A ile pożytku z całkiem zepsutego?

Sawrianin zacisnął wargi w upartą kreskę i przeciągnął żdźbłem po kartce, jednym ruchem przekreślając go jak niegdyś własny los.

Papier wchłonął wilgoć jak piasek. Próba „spróbowania z brzegu” zdecydowanie spełzłaby na niczym, chyba żeby pocięli list na kawałki. Osuszony kłos napuszył się i Alk ponownie sięgnął do fiolki, ale okazało się to niepotrzebne. Kartka zaczęła ciemnieć, cała równocześnie, jak gdyby faktycznie padał na nią cień.

Tylko litery pozostały jasne.

Ryska zdążyła spostrzec tylko tyle, że list napisany został po rintarsku, nim Sawrianin podniósł kartkę i zachłannie się w nią wczytał.

Ale obserwowanie jego twarzy okazało się nie mniej ciekawe. Najpierw wyciągnęła się ze zdumienia, nawet szczeka zaczęła mu opadać, ale Alk w porę się opanował. Następnie białowłosa (czyżby?!) lekko się zaczerwienił, prychnął i wstał, trzymając kartkę z dala od siebie w wyciągniętej ręce, jak gdyby bił z niej jaskrawy blask, rażąc oczy. Żar i Ryska również się zerwali, nawet płomień w ognisku poruszył się i niecierpliwie strzelił, a zapomniany kociołek z sykiem wypłuł na węgle wrzącą wodę.

Sawrianin przeczytał list dwa razy – Ryska widziała jak jego spojrzenie przeskoczyło z dolnego wiersza na górny. A następnie zrobiło się szkliste: Alk próbował *uwierzyć*, że na kartce zostało napisane właśnie to, co widzi.

– I...? I co tam jest?! – Żar skakał koło niego, płonąc z ciekawości.

– Pokaż! – zażądała Ryska.

Alk zawahał się, ale jednak oddał jej kartkę – mimo że tajemnica była duża zbyt wielkiej rangi nawet dla syna posła, nie mówiąc już o zwykłej wieszczance.

Żeby przegryźć się przez tekst, dziewczyna potrzebowała trzykrotnie więcej czasu niż on: drobne, nieznanne jej pismo, a do tego nerwy... W ciągu kilku ostatnich dni Ryska zdołała wymyśleć sobie tyle tajemnych listów, że starczyłoby ich na nizin bajek – kartę starożytnego skarbu, straszliwy spis przeciwko tsarowi, meldunek szpiega... Ale coś takiego?!

– Ojej... – powiedziała, przyciskając dłoń do lewego policzka. Prawy nadal był czerwony jakby go ktoś nasmarował go burakiem

– Czy wy to tak specjalnie?! – wrzasnął złodziej. – Czytaj na głos!

– Ja... ja nie mogę! – Ryska śpiesznie zwróciła list Sawrianinowi i przykryła drugi policzek. – Niech Alk czyta.

– Jeszcze czego. Mam po pierwszej połowie szczęki skleione na amen. – Białowłosa potarł podbródek, jak gdyby próbując pozbyć się zacieków czegoś

lepkiego i słodkiego.

– A ja po drugiej! – śpiesznie dodała Ryska. – Szczególnie tym kawałku, gdzie jest o nogach i dalej.

– Wasz tsarewicz ma naprawdę bogatą wyobraźnię – zgodził się Alk. – A sądząc z tonu listu również sporo doświadczenia.

– Ale skąd?! – Ryska przełożyła dłonie z policzków na uszy, które również były rozżarzone do czerwoności.

Akurat to nie było dla Alka tajemnicą.

– Przecież teoretycznie mamy pokój. Posłowie ciągle jeżdżą, a waszej stronie przewodzi młodszy tsarski syn. Tydzień czy dwa mieszka sobie w gościnnej części pałacu, czekając na przyjęcie – a wolny czas trzeba jakoś wypełnić.

– Dziwne, że tsar go puszcza – zauważył Żar. – Po tym jak starszego załatwili.

– Sam się prosił – odparł Alk chłodno. – Ja miałem pięć albo sześć lat, kiedy ojciec podejmował go w naszym zamku ale doskonale tego typka pamiętam, jak potem wyraził się dziadek „szczur w gołębach piórach”. Gdyby pożył jeszcze kilka lat, to by zepchnął „kochanego” tatusia z tronu i otwarcie wypowiedział nam wojnę. On jechał nie żeby podpisać traktat pokojowy, tylko zamierzając urządzić prowokację, ale przesadził i sam zginął. Zresztą, nie będę kłamał, my również nie zamierzaliśmy nic podpisywać.

– Tym bardziej to wszystko dziwne. A co będzie, jak młodszy również „przesadzi”? – zauważył Żar sceptycznie.

– Odnoszę wrażenie, że wasz tsar właśnie na to liczy. Starszy syn był jego pupilkiem, a Szares tylko kłuje w oczy swoim brakiem podobieństwa do brata – zarówno z wyglądu, jak i z charakteru. Sam miałem okazję z nim kilka razy rozmawiać – dobry chłopak, tylko nadmiernie słucha ojca, nawet kiedy nie popiera jego rozkazów. Jeżeli w ciągu ostatnich lat się nic nie zmieniło, to wyobrażam sobie, jak on w tej chwili próbuje rozerwać się pomiędzy obowiązkiem i...

– I...?!

– I „nogami oraz dalej”. – Sawrianin zwinął kartkę, wpakował ją do rurki, wbił dłonią korek i zdecydowanym tonem ogłosił. – Musimy to pismo dostarczyć.

– Do kogo?!

– Do „przepięknej, drogocennej Isieńki” – zacytował Alk z drzeniem w głosie, przypominając sobie, jak siostra podniosłym tonem czytała mu wytwory ogarniętych miłosną febrą adoratorów, przy okazji na zawsze uwalniając od chęci pisania czegokolwiek podobnego. A to tutaj, to był jeden z cięższych przypadków. – Światłości jego duszy oraz studni jego wiadra.

– Tam chyba było o studniach oczu – zauważyła Ryska niepewnie. – Bezdennych.

– Ale sens nadal ten sam.

– Czyli to... zwykły list miłosny?! – zrozumiał nareszcie Żar.

Alk spojrział mu prosto w oczy i powoli powiedział:

– List, od którego zależą losy dwóch tsarstw, trudno jest nazwać zwykłym.

– Ale niby jak zależą?! No dobra, nasz tsarewicz zakochał się w jakiejś Sawriance... Znasz ją przynajmniej?

– Nawet całkiem nieźle. – Niespodziewanie Alk się uśmiechnął. – Chociaż nie sądzę, żeby jej książęca mość Isenera odpowiedziała, gdybym to ja nazwał ją Isieńką.

Rozdział 5

Szczury lubią się ze sobą bawić, ale przyjacielskie zapasy nierzadko kończą się zadrapaniami i powyrywaną sierścią.

To samo źródło

„Opal” w końcu zajął się ogniem i dym-mgłą zastąpił równomierny słoneczny żar. Wyschnięta trawa wyprostowała się, zabrzmiały w niej śpiewy pasikoników, a nad kwiatami pojawiły się dzikie pszczoły. Nogi krów były żółte od kwiatowego pyłku – jeźdźcy jechali po bezdrożu, wzdłuż nieznannej rzeczki, prawie całkiem zarosniętej trzcinami. Gitara i kociołek zgodnie pobrzękiwały.

– Ale do sawriańskiej stolicy... – jęczał Żar. – Przecież to tak daleko!

Ryska milczała, chociaż na myśl o kraju, zaludnionym samymi Alkami oblewała się zimnym potem. Mimo to bez słowa skargi pogodziła się z rolą posłańca. Po pierwsze, w końcu mieli właściwy cel, bajecznie wręcz bohaterski. Po drugie, Holga nie zaproponowała jej żadnego innego.

– To ledwo co trzy-cztery dni od granicy, jeśli w linii prostej.

– A ile do granicy?

Alk osłonił oczy od słońca, ślizgając się spojrzeniem po lśniącej wodzie. Rzeczka prawie na pewno wpadała do Rybki i Sawrianin właśnie próbował ocenić, czy powinni dalej się jej trzymać i czy nie kręci nadmiernie.

– Raczej niewiele więcej. Może już jutro wieczorem dotrzemy do przeprawy.

– Tak blisko?! – wyrwało się Rysce.

– Wy to się najpierw dogadajcie, czy jest daleko czy blisko, a potem narzekajcie.

– Ja nie narzekam – zaprzeczyła dziewczyna spieszenie. W dzieciństwie wydawało jej się, że Sawria znajduje się na krańcu ziemi albo i za nim, bo jaki świat ścierpi takie paskudztwo?! Ale z drugiej strony wtedy nawet Makopol był dla niej czymś magicznym. A okazało się, że to zwykła brudna miejscina, w porównaniu z Zającogrodem w ogóle prawie wioska. – Po prostu nie jestem pewna, gdzie jesteśmy.

– Nie oddalaliśmy się za bardzo od granicy, tylko jechaliśmy wzdłuż niej lekko skręcając na południe – wyjaśnił Alk zauważalnie spokojniej. – Od Mirinych Kopalni do Rybki mieliśmy ledwo co dziesięć wieszek. A stąd z pół setki, nie więcej.

Ryska przypominała sobie jak razem z chłopakami gwizdała i krzyczała obraźliwe słowa za jadącymi przez Przybłocie białowłosymi, i w brzuchu skręcił

jej się kolejny kłębek strachu.

– Do nas w Sawrii też będą rzucali kamieniami, co? – spytała Alka z rezygnacją.

– Mniej otwieraj usta, to nikomu do głowy nie wpadnie, że jesteś Rintarką. – Zbył ją machnięciem ręki.

– A Żar?

– Modlików, dokładnie tak samo jak Wędrowców szanuje się w każdym kraju. A jak na dodatek będzie udawał idiotę, to w ogóle żaden problem.

– Dwóch idiotów na jedną grupę to ciut za dużo. – Złodziej nie pozostał dłużny.

– Nic to, jakoś spróbuję was zrównoważyć.

– Niech cię Holga pobłogosławi, nieszczęsny – powiedział Żar pokornie, kreśląc w stronę Alka znak Bogini.

„Świętość” okazała się znacznie lepszą bronią przeciwko jadowitemu językowi białowłosego, niż próby pobicia go złośliwościami.

– Przestań co i rusz wspominać tę nieszczęsną Holgę! – nie wytrzymał Alk. – Też sobie znalazłeś krowę ofiarną.

– To się człowieka czepia jak nie wiem co – przyznał Żar ze śmieszkiem. – Jak przez cały dzień tak powtarzam: „Niech cię Holga chroni, w imię Holgi, Holga z tobą...” to potem samo z języka zlatuje.

– Już nie jesteś w modlitewni, przyzwyczajaj się.

– A co z wiarygodnością?! – obruszył się złodziej żartobliwie. – Przecież w Sawrii również będę udawał modlika!

– To udawaj głuchoniemego modlika.

– Yyy y-y y-y – uroczyście i łatwoprzetłumaczalnie zawył złodziej, powtarzając znak.

Alk machnął na niego ręką, po raz pierwszy odkąd Ryska pamiętała oddając ostatnie słowo. Albo był w aż tak wspaniałym nastroju, albo zahartowani we wspólnych przygodach przyjaciele mieli przywileje w stosunku do wynajętych za sto złotych towarzyszy podróży.

– Cieszysz się, że wracasz do Sawrii? – spytała dziewczyna uznając, że pierwsza opcja jest bardziej prawdopodobna.

– Nie wiem – odparł białowłose ucziwie. – Nigdy nie rozumiałem tego durnego pędu, by umrzeć w ojczyźnie.

– Coś ty, nie mów tak! – przeraziła się Ryska.

– A ty masz ochotę leżeć wyłącznie w rintarskiej ziemi? – Alk odwrócił się do dziewczyny i zmrużył oczy jak gdyby przenosząc na nią celownik naładowanej złośliwością kuszy. – Chociaż bardziej właściwe byłoby wrzucenie cię do Rybki...

– Mnie chodzi o to, że nam tu zamierzasz umierać!

– Kiedyś wszyscy umrzemy. – Sawrianin obojętnie wzruszył ramionami. –

Niektórzy nawet w męczarniach.

– Ale przecież nie teraz, zaraz!

– Skąd wiesz?

Ryska z przestraczem zaczęła kręcić głową dookoła, próbując zrozumieć skąd nadchodzi лихо.

– Przestań! Jeśli mówić o śmierci, to można ją wywołać.

– Co za szkoda, że nie można w ten sposób wywołać powiedzmy pieniędzy – poskarżył się białowłosy z sarkazmem.

– Alku, ja mówię poważnie! Czy już nie masz nadziei, że odnajdziesz Rajleza?!

Sawrianin odpowiedział krzywym uśmiechem.

– Mam nadzieję zawieźć list zanim *on* znajdzie nas.

* * *

Na głównym (oraz jedynym) placu Jezyc było niezwykle tłumnie, a ludzie nadal przybywali.

– Co się tam stało? Zabili kogoś? – dopytywał się z przestraczem zawiany chłopina, łapiąc otaczających go ludzi za rękawy.

– Nie – zlitował się nad nim inny, tak samo nieświeży i o czerwonym nosie, ale na razie jeszcze trzeźwy. – Do miasta prorok przyszedł. Zaraz będzie wieszczęł.

– Aaa... – mruknął pytający z rozczarowaniem, ale został by się pogapić i posłuchać.

Były modlik z Przybłocia już wcześniej był chudy, a w ciągu tygodni wędrówki wysechł jak laska, na której się opierał. Nieprzycięta broda i nieuczesane włosy kłakami sterczały na wszystkie strony, szata obszarpała się do dziur, na bosych, obdrapanych przez ciernie nogach żółtawymi plamami odcinały się długie paznokcie. Ale pewności siebie i przekonania do własnych słów mu przybyło. No bo jak, kiedyś wieszczanie go zbywali, śmiali się, zagłuszając głos Holgi, a teraz tłumy ludzi chodzą śladem, chciwie łapią każde słowo i błagają, by wstawił się za nimi przed Boginią... Tu chcesz czy nie chcesz, a uwierzysz, żeś wybraniec.

W pobliżu z niepokojem kręcili się strażnicy. Gdyby „prorok” ganił władze albo podzegał do zamieszek już dawno zgarnęliby go do więzienia. Ale modlik nie rozdrabniał się na sprawy doczesne. Martwiły go wyłącznie dusze i tak skrupulatnie przestrzegał przykazań Holgi, z pamięci cytując świętą księgę, że trudniej było się go doczepić niż samej Bogini. O dziwo, nawet nie prosił o pieniądze.

– Ludzie, pokajajcie się! – zawył prorok z tak głębokim przekonaniem, że wiara wypełniła również cudze serca. – Bliski jest czas zapłaty za wasze grzechy! Wyjdą rzeki z brzegów, by zetrzeć z ziemi skażenie, wypełzną nocne stwory z nor i pożrą niemowlęta w kołyskach, by wyginał ludzki rodzaj... Opamiętajcie się, póki

nie jest za późno! Odrzućcie co złe! Kto będzie dobry i miłosierny, uczciwy i pracowity, przyzwoity i pobożny, ten się uratuje! Dranie i zdrajcy, kłamcy, leniwi i złodzieje w mękach zginą w mroku, a obojętnych pożre bezdroże...

Możliwe, że w modlitewni to pełne natchnienia wezwanie nie robiłoby takiego wrażenia, ale pogłoski wyprzedzające proroka zaorały i szczerze użyźniły ziemię dla rozsiewanych przez niego słów. „A z Podzamcza go namiestnik wyrzucił! – szeptano w tłumie. – Pewnie ukrywają prawdę przed ludem...” – „Ii, to jeszcze nic! W Zającogrodzie sama Holga ukazała swą twarz na pomoście dla wisielców i uczyniła taką przepowiednię, że nic tylko się trzymać!” – „A słyszeliście o Gołębim Skrzydle? Szczury tamtejszego namiestnika zeżarły razem z kubrakiem!” – „Coś ty, głupia, ta plotka już spleśniała dawno! To nie w żadnym Skrzydle tylko też w Zającogrodzie, widać mocno się Bogini na niego zgiewała!” – „Weźcie nie kłamcie, przecież on żyje! Sam naczelnik straży mi wczoraj opowiadał!” – „No i co ja mówię? Ukrywają prawdę!” – „Oj luudzie, a co ja wam zaraz opowiem! Mój kum jest posłańcem i dopiero co łuczywo temu wrócił z Podzamcza...” Oczywiście w tłumie byli też tacy, co patrzyli na kazanie proroka jak na przedstawienie z przebierańcem. Tylko nie zamierzali dzielić się prawdą z ludem – i tak nikt nie uwierzy.

– Kogo ja widzę?! – rozległo się za ramieniem Wędrowca. Wołający mógł zobaczyć wyłącznie potylicę, ale po siedem lat spędzonych razem w Przystani wystarczyło, by jeden z łatwością rozpoznał plecy, a drugi – głos.

– Dzień dobry, Rajlezie – powiedział mistrz beznamiętnie, nie odwracając się. – Czego chcesz?

Były Wędrowiec, obrażony takim brakiem szacunku wobec własnej osoby, złapał go za ramię, jednym pociągnięciem odwrócił do siebie i z wyzwaniem w głosie rzucił:

– Już nie jestem pana... twoim uczniem!

– Słusznie – odparł Wędrowiec pobłaźliwie, patrząc na niego jak na zabawnego, choć gryzącego żuczka. – Teraz jesteś dla mnie nikim.

Twarz Rajleza zniekształcił grymas, jakby dostał kopniaka poniżej pasa. Zgadza się, nie jest uczniem. Ale też nie równym. Ani nawet towarzyszem. Zwykłym Widzącym, który z jakiegoś powodu zaczepia człowieka na ulicy.

– Kłamiesz – syknął z nienawiścią, cofając rękę. – Przecież też go szukasz.

– Dlaczego tak uważasz?

– W końcu z jakiegoś powodu nazwano cię... – Rajlez przełknął ślinę. On również się zmienił i też nie w najlepszą stronę – schudł, zarósł szczecina, a źrenice nawet w stanie spoczynku nieprzerwanie rozszerzały się i kurczyły. – ...Szcurołapem.

– Powód jest – zgodził się Wędrowiec spokojnie. – Ale ciebie to nie dotyczy. Zostaw Alka w spokoju. Szczur cię nie uratuje, a tylko pogłębi szaleństwo –

szczególnie jak już zdechnie i będziesz potrzebował następnego. Nie wspominając o tym, że i tak będę zmuszony ci go zabrać. Przystań pozbawiła cię prawa do „świecy”.

Widzący uśmiechnął się niespodziewanie.

– Nie prosisz, żebym go uwolnił... Czyli mam rację!

– Po prostu widzę, że to nie ma sensu. – Szczurołap ponownie odwrócił się w stronę pomostu. Niestety, aż zbyt dobrze rozumiał co się stało. Rajlez w jednej chwili stracił wszystko: szczeni, tytuł Wędrowca, który zdobył z takim trudem, szacunek otoczenia i miłość krewnych – a przy okazji również źródło utrzymania. I do ssącego poczucia pustki, podobnego do tego jakie odczuwa pijak pozbawiony alkoholu i które prześladowuje wszystkich „byłych” dołączyła natrętna myśl, że jeśli odzyska „świecę”, to razem z nią wróci też wszystko pozostałe. – Zabawny człowieczek. Niech mi kto powie, dlaczego tłum tak głęboko wierzy w te wszystkie bzdury? Przecież on nie mówi nic szczególnego. Tylko straszy ich ogólnikowymi frazesami, a ludzie sami dopasowują je do rzeczywistości...

Rajlez nie podtrzymał zmiany tematu. A raczej już nie był zdolny, by rozumieć cokolwiek oprócz manii, która zawładnęła jego rozsądkiem.

– Udowodnię, że jestem godzien by być Wędrowcem – obiecał gorączkowo, przechodząc od arogancji do błagań. – Tylko niech mi pan pomoże go złapać!

– A kim twoim zdaniem jest Wędrowiec? – Szczurołap spojrział na niego badawczo. – Dowolnie wybrany człowiek ze szczeni?

– Widzący ze „świecą” – poprawił młodzieniec, lekko zbity z tropu. – I nie dowolny tylko najlepszy!

– Nie, Rajlezie – westchnął mistrz z rozczarowaniem. – Właśnie *człowiek*. I na początek zostań jednym z nich, a potem może się okazać, że nawet nie będziesz potrzebował „świecy”.

– Ale przecież sami mnie wybraliście! – przypomniał mu Widzący zapalczywie. – Czyli wtedy mieliście jakiś powód?!

– Mieliśmy – zgodził się Szczurołap. – Ale się zламаłeś. Niestety.

– Czyli tak to się to u was nazywa? – Rajlez zgrzytnął zębami. – Złamałem się i tyle, można mnie wyrzucić do śmieci?

– Wycofać – poprawił go Wędrowiec spokojnie, nadal obserwując popisy „proroka”. – Musisz się zgodzić, że okaleczony tsec również nie ma co robić w wojsku?

Rajlez gwałtownie pochylił się do ucha Wędrowca i zaczął szeptać, wyczuwalnie tryskając śliną:

– Przecież i tak go pan zabije. Niech pan lepiej odda go mnie! Ja... ja będę bardzo wdzięczny. Cokolwiek by pan sobie życzył. Pieniądze. Usługi. Każde... zlecenie.

– Lepiej będzie, jak go zabiję. – Szczurołap skrzywił się i cofnął.

– Co, szkoda panu pupilka? Bez powodu. Sam się podstawił. Czyli chciał takiego losu.

– Dlaczego? – zdziwił się mistrz.

– Przecież jest Sawrianinem – odparł Rajlez wzgardliwie. – Czy naprawdę liczył na to, że zostanie Wędrowcem w Rintarze?

– Nie dzielimy uczniów ani ze względu na pochodzenie, ani na płeć – zaprzeczył Szczurołap. – Interesuje nas wyłącznie dar, który jest jeden, dokładnie tak, jak Holga, która go zesłała.

– Ano tak, tak, oczywiście – odparł Widzący z miną „Na pewno ci wierzę!”

Wędrowiec wzruszył ramionami. Jemu nie robiło to żadnej różnicy.

– Spróbuj mimo wszystko wziąć się w garść – poradził szczerze, ale bez większej nadziei na powodzenie. – Zajmij się czymś. Wszystko jedno czym: hodowlą owiec, wycinaniem w drewnie, religią. Chociażby zwróć się do tego tam modlika z prośbą o zostanie jego uczniem, bo teraz nawet on jest rozsądniejszy od ciebie. Przynajmniej zwraca głowę tylko żywym.

Aluzja do powiązania z rabusiami mógł – i skąd tylko Szczurołap się dowiedział? – ostatecznie wyprowadziła Rajleza z równowagi.

– A co mi jeszcze pozostało?! – odszczeknął. – Zdechnąć z głodu?

– Przecież Alk nie zdechł. A wszystko co nas nie zabija to nas wzmacnia. – Szczurołap uśmiechnął się, przypominając sobie, jak na to samo pouczenie białowłosa w jednej chwili odciął się: „Albo kaleczy”. – Idź w pokój, Rajlezie. Chyba że mnie również chcesz potraktować nożem w bok?

Widzący poczerwieniał z wściekłości.

– Znajdę go... przed tobą – obiecał urywanym szeptem, zacisnął pięści i zaczął wydostawać się z tłumu.

Wędrowiec z zalem spojrział za nim. Szkoda – ale nie Rajleza tylko tego, że nie miał powodu, by zatrzymać go zanim w okolicy pojawi się Alk. A to wydawało się nieuniknione.

* * *

Do Rybki towarzysze dotarli bez żadnych przygód. W okolicach obiadu drugiego dnia na horyzoncie pojawiła się nie tylko rzeka, ale i nadbrzeżne miasto. Żar już oczami wyobraźni widział piwo z rakami (w końcu co to za rzeka bez raków, a miasto bez karczmy?!), ale Alk niespodziewanie skręcił z drogi na prawo.

– A co to jest za miasto? – Ryska z ciekawością rozglądała się dookoła.

– Jeżyce. – Sawrianin marszczył brwi. Kiedy przejeżdżał tu poprzednio, siedem lat temu, z twierdzy pozostały tylko dwie wieże, połączone nie tyle murami, co stosami kamieni. Teraz ponownie było ich pięć, niechby i niezbyt wysokich. Osada na brzegu również się rozrosła. Nie żeby Alka specjalnie martwił rozkwit sąsiedniego mocarstwa, ale wyglądał nieco podejrzanie. Jeśli wierzyć plotkom, to

jeszcze trzy lata temu prace budowlane w okolicy mocno się ślimaczyły. A w tej chwili wszystkie miasta mijane towarzyszyło drodze wydawały się ścigać z sąsiadami koronami świeżych murów. Lepiej by zrobili brukując drogi.

– No nie mów?! – Dziewczyna uniosła się w strzemionach, by lepiej widzieć. – Właśnie one?

Żar również z ciekawością przypatrywał się miejscu, gdzie toczyły się ulubione w dzieciństwie opowieści. Na żywo Jeżyc wyglądały dokładnie jak sam dziadek – malutki, suchutki, pomarszczony, ale skrupulatnie przechowywana w stodole włócznia świadczyła o tym, że coś jest w tych jego zasługach. W obecnej sytuacji rolę włóczni pełniła twierdza, groźnie spoglądająca na drugi brzeg.

– Ej nooo – z rozczarowaniem mruknął złodziej. – I nawet nie wpadniemy tam zwilżyć gardła...?

– Napijesz się z rzeki – odparł białowłosy.

– Przecież to nie to samo...

– Naprzeciwko miasta wylewają do niej tyle pomyj, że niespecjalnie się różni od waszego piwa.

– A możesz normalnie wyjaśnić, dlaczego tak bardzo nie chcesz tam jechać?

– zapytał Żar z irytacją.

– Mogę – odburknął Alk. – Ale nie chcę.

Złodziej westchnął ciężko, przyjmując odpowiedź Widzącego.

– Tylko jak w takim razie mamy się przepawić przez rzekę? Przecież przeprawa też idzie od Jeżyc, nie dotrzesz do niej dookoła miasta. Czy może od czasów wojny coś się zmieniło?

– Nie zmieniło. Ale i tak nie możemy skorzystać z promu. Przecież to przygranicze, tajnej straży masz tu więcej niż zwykłej, kontrola na wjeździe i wyjeździe jest taka, że bez papierów od tsara nawet szczur nie przemknie.

– To co w takim razie zrobimy? – pogubiła się Ryska.

– Dogadamy się z którymś z miejscowych rybaków. Na pewno nielegalnie wożą różne różności, szelmy. – Alk ponaglił krowę.

Naprzeciwko Jeżyc Rybka była najwęższa – nic dziwnego, że właśnie tu postawiono twierdzę (a nawet dwie, tyle że sawriańskiej nie było stąd widać). Im bardziej przyjaciele oddalali się od miasta tym mocniej oddalał się przeciwległy brzeg. Co prawda nadal nie zniknął z widoku całkowicie – graniczna rzeka nie była aż tak szeroka.

– Pewnie z łatwością dałoby się przepłynąć – oszacował Żar. – Ubranie z bronią na tratwę z suchych gałęzi i hajda do przodu.

Alk skinął głową. Ostatnio przepawiał się właśnie w taki sposób. Nie bardzo chciał pokazywać się kontrolerom, chociaż nie mieli wtedy żadnego powodu by go zatrzymywać.

– A krowy? – zapytała natychmiast Ryska.

– W najgorszym razie sprzedamy tutaj, a tam kupimy inne.

– Szkoooda...

– Przecież powiedziałem, że w najgorszym. – Sawrianin również nie chciał bawić się w wymianę zwierząt – z jednej strony strata czasu, a z drugiej jechanie na znajomej krowie jest jednak wygodniejsze i szybsze.

Za nimi zostały dwie nadbrzeżne wioski, ale Alk na nie nawet nie spojrział. Tak blisko miasta i tak się nikt nie podejmie, będą się bali.

W końcu Jeżyce zniknęły za zakrętem i brzegi zrobiły się bardziej dzikie. Nawet ścieżki do wody pojawiały się z rzadka, a i te w większości wydeptane przez zwierzęta. Krowy zaczęły zaplątywać się w wysokiej trawie, więc towarzysze musieli puścić je na płyciznę.

– Ojej, łódka! – Ryska zauważyła do połowy wyciągnięty na brzeg szkielet, podobny do objedzonego rybiego grzbietu i czarny jak zatopiona kłoda.

– Yhym, teraz tylko musimy znaleźć wiosła – zażartował Żar.

Na dźwięk ich głosów zaszczekał pies i po ominięciu zarośli wierzby przyjaciele dostrzegli topornie skleconą z bali przystań, przy której stały dwie dobre łódki – stara płaskodenna w srebrzystych bryzgach łusek oraz nowiutka, wąska jak szczupak, dopiero co nasmołowana. Wyżej na zboczu w nierównych rzędach rosła rzepa. Sądząc z jej cherlawego i zaniedbanego wyglądu było oczywiste, że gospodarz niskiej, ledwo zauważalnej z wody chatki nie zarabia na ogrodnictwie.

Kiedy podróżni zbliżyli się do domu, zobaczyli dobrze wydeptane i ogrodzone podwórko, prawie w całości zajęte rozwieszonymi sieciami. Pod dachem w pięciu rzędach schła ryba, otwierając wypatroszone wnętrza, rozparte patyczkami. Psisko zaczęło szczekać jeszcze głośniej, gotowe udusić się na łańcuchu, ale odstraszyć nieproszonych gości. Z chaty wyszedł pochmurny barczysty chłop i z wyzwaniem zagapił się na białowłosego, kompletnie nie zauważając pozostałych – czemu przyprowadziłeś stado do moich samotnych włości?

– Wozisz przez rzekę? – zapytał Alk bez ceregieli. – Trójka jeźdźców.

Rybak ani mrugnął, tylko długo i z namysłem żuł dolną wargę, która nawet bez tego była gruba i wystająca, ale w końcu podał cenę. Rysce kwota wydała się gigantyczna, lecz Alk po chwili zastanowienia skinął głową. Z takim jak zaczniesz się targować, lo w ogóle odmówi przewiezienia i jeszcze wsypie strażnikom.

– Tyle że... tego, w nocy, żeby straż na rzece nie zauważyła – uprzedził chłop, kiedy już otrzymał zadatek, co polepszyło mu humor. – Jeżeli się mgła podniesie, to w ogóle będzie dobrze.

– Skoro w nocy to w nocy – zgodził się Sawrianin. – Gdzie mamy przyjść?

– Możecie od razu tutaj. – Rybak wskazał na pomost. – Jak księżyc się pokaże, to odcumujemy. Tylko obwiążcie krowom pyski i kopyta szmatami, żeby

nie myczały i nie waliły w dno!

* * *

Robiło się ciemno. Niebo i woda powoli zmieniały kolor ze złota na purpurę, a następnie w głęboki ciemny błękit.

– Przekłęte komary! – Żar walnął się po policzku z taką siłą, że głowa mu odskoczyła. Komar, zaraza, zdążył chwilę wcześniej wznieść się do lotu. – Nawet robale u tych Sawrian są dwa razy paskudniejsze od naszych!

– Przecież jeszcze się nie przeprawiliśmy – zaprzeczyła Ryska ze zdziwieniem, również pogryziona od stóp do głów. Koło rzeki było tyle latającego drobiazgu, że brzeg wydawał się zamglony. Nie wszystkie owady łaknęły krwi, ale nawet nieszkodliwe meszki były wyjątkowo dokuczliwe – pchały się do oczu i ust, wpadały do kociołka jak posiekany koperek – dziewczyna najpierw wylawiała je łyżką, ale w końcu się poddała. Będzie gęstsze.

– I co z tego? Pewnie dolatują. Eeech, ale śwędzi! Jakby mnie wąż ugryzł. – Złodziej zaczął się wściekle drapać, znacząc skórę czerwonymi pasami.

– Mam odessać truciznę? – zaproponował Alk ironicznie, zatrzymując się i łapiąc oddech. W oczekiwaniu na kolację Sawrianin ćwiczył z mieczami. Na bosaka i bez koszuli – wyprane w rzece rzeczy schły na kijach przy ognisku. Klingi fruwały tak szybko i precyzyjnie, że komary nie nadążały siadać na białowłosym – zostawały rozrąbane w locie. Wydawało się, że obrywał nawet cień Sawrianina, który rozsypywał się na strzępy i ponownie zbierał po jego atakach.

Ryska jak zaczarowana obserwowała ten taniec. Twarz Alka zastygła w skupieniu, pracowało tylko ciało – ale jak! Można by patrzeć i patrzeć, opamiętując się wyłącznie kiedy na wrzącej kaszy zaczynały pękać pęcherze, parząc bryzgami zastygłą rękę z łyżką.

– Dziękuję, na razie nie trzeba – uprzejmie odmówił Żar. – Poczekam, aż ugryzą niżej.

– Jeżeli wąż cię ugryzie w korpus, to wszystko stracone – zauważył Sawrianin ze stoickim spokojem. – Zostanie tylko dobić, żebyś się nie męczył. – Alk odwrócił się i zdradziecko zaatakował krzak leszczyny. Trzyletnie pędy spadały jak łuczywa, nawet bez chrzęstu. Sawrianin ledwo nadążał unikać spadających czubków. Ostatnim ciosem przeciął środkowy pień, mający grubość ręki – trzy razy pod rząd. Jeden odłamek podtoczył się do samego ogniska, a Żar gospodarnie podniósł go i dorzucił do ognia.

– Idź potrenuj sobie na tamtej sośnie – poradził na głos. – Ona się lepiej pali.

Białowłosy spojrział na drzewo, ale uznał, że je oszczędzi i nie będzie brudził miecza żywicą.

– Wolalbym poćwiczyć z kimś w parze.

– Jak chcesz to ja też mogę pomachać mieczem – zaproponował złodziej

żartem, świadomy, że jego pojedynek z Alkiem bardzo szybko zmieni się w berka.

– Z tobą to dla mnie kompletnie nieciekawe – splawił go Sawrianin, ale w jego oczach niespodziewanie zaisniło zainteresowanie. – Za to z nią...

– No dajże spokój! – sploszyła się Ryska. – Przecież ja w życiu miecza w rękach nie trzymałam.

– No to potrzyмай. – Sawrianin rzucił jej krótszy z pary. Dziewczyna nawet nie próbowała go złapać i broń ze smętnym brzęknięciem upadła na trawę.

– Alku, ja nie umiem... – Ryska mimo wszystko podniosła miecz. Oho, nawet nie miała pojęcia, że on jest aż taki ciężki!

– To nieważne. Stań w pozycji.

– W jakiej?

Alk lubieżnie wyszczerzył zęby. Dziewczyna wołała nie czekać na wyjaśnienia, tylko niezgrabnie skopiowała jego postawę: prawa noga z przodu, miecz pionowo w górę.

– Zegnij rękę. – Alk podszedł i poprawił jej ustawienie. – Właśnie tak. I po każdym ciosie przywracaj klingę do tej pozycji

– Po co?

– Po to, że z niej najwygodniej się paruje.

– Co?

– Odbija. Zobacz, to jest podstawowa „gwiazda” – od góry po lewej, od góry po prawej, tak samo po nogach i cios w brzuch. – Alk oznaczył pięć ciosów. – Powtórz, a ja pokażę jak się na nie odpowiada.

– Zaraz mi się kasza przypali! – Ryska spróbowała uciec.

– Stój! – Sawrianin zagroził jej drogę mieczem. – Żar, mieszaj. A ty zaczynaj.

– Przecież i tak nic nie zapamiętałam!

– Zaraz popracujemy i zapamiętasz.

– Po co?!

– Nie chcesz sprawić mi przyjemności?

– Nie chcę!!!

– No to się broń, albo sprawię siłą. – Alk machnął mieczem. Na jednej czwartej swojej zwykłej siły i szybkości, ale mimo to Ryska pisnęła, odbijając niezgrabnie cios. Miecz zadzwonił, prawie wylatując jej z ręki.

– Alku, nie! Ja się boję!

– Czego?

– Znaczy... – Dziewczyna zawahała się. Oczywiście Alk nie będzie jej bił na poważnie i nie pozwoli, by go drasnęła. W zasadzie nie bała się też broni: jak nauczyło ją doświadczenie, można zabić również kosą albo i gołymi rękoma. Musiała więc ze wstydem przyznać się sama przed sobą, że najbardziej uczciwa odpowiedź brzmi: „Boję się, że będziesz się ze mnie śmiał!” Ale oczywiście

Alkowi o tym nie powiedziała.

– Wyobraź sobie, że jesteś bohaterką własnej bajki – poradził Sawrianin. – Taką, co na prawo i lewo tnie potwory na kawałeczki.

– Też sobie znalazłeś porównanie! – zauważyła Ryska z urazą. – Przecież ona umiała czarować.

– Ty też umiesz. No już, uderz mnie tutaj. – Alk poklepał się lewą dłonią po prawym ramieniu.

Dziewczyna uniosła miecz, ale się zawahała.

– A co będzie, jak trafię?

– Nie rozśmieszaj mnie. – Sawrianin z łatwością odbił jej niezdarne uderzenie. – Teraz w lewe. Aha. W biodro.

– W które?

– Które ci się bardziej podoba.

Ryska zmarszczyła brwi i szturchnęła go w brzuch. A raczej spróbowała. Jednak wyglądało na to, że Alk jest zadowolony.

– Zrozumiałaś? – zapytał, gdy skończyła „gwiazdę”.

– Nie!

– Doskonale, teraz ja atakuję.

Ryska z rezygnacją uniosła miecz, żałując, że nie można się za nim schować w całości. Ale w rzeczywistości wszystko okazało się wcale nie takie straszne. Od góry od lewej – od góry od prawej – od dołu od lewej – od dołu od prawej – wypad. Nic tylko podstawiać miecz tam gdzie jej każą.

Zrobiło się gorzej, kiedy Alk zaczął zdradziecko zmieniać kolejność ciosów, przyśpieszając po każdej serii. Ryska pogubiła się, narobiła błędów i w ogóle przestała rozumieć, co się jak paruje.

Sawrianin zatrzymał się, marszcząc czoło.

– Ty patrz nie na miecz, tylko na mnie!

– To jak mam go w takim razie odbijać?

– Dokładnie tak. Przecież z tobą walczę ja, a nie miecz. Powinnaś nie zauważać ciosy tylko je uprzedzać – wnioskować z mojej twarzy, pozycji, ruchów. Miecz to tylko tak, kątem oka. Oraz na słuch.

– Jak to?

– Skoro szczęknięło, to wszystko w porządku. A jak cmoknęło to należy pilnie sprawdzić u kogo – wyjaśnił białowłose poważnie. – Czego tu przyrosłaś do ziemi? Ruszaj się! Kiedy całe ciało pracuje, to ręce też mają wygodniej.

– A tam się przypadkiem kasza nie rozgotowała? – Dziewczyna z nadzieją zerknęła na kociołek.

Żar spróbował i wypluł.

– Środek nadal twardy.

Alk cofnął się kilka kroków i przywabił Ryskę palcem:

– Zaatakuj mnie z rozpędu.

„Saszy z nim – pomyślała. – Wytrzymam. Niedługo się znudzi, rozczaruje i da mi spokój”. Podniosła miecz i starając się nie myśleć jak to wygląda z boku, tępo rzuciła się na Alka, oczekując że zatrzyma ją klinga na klingę.

Ale Sawrianin w ostatniej chwili z paskudnym uśmiechem zrobił krok w bok. Ryska przeleciała obok niego, potknęła się i upadła na ziemię. Tyle dobrego że zdążyła wypuścić miecz, który poleciał daleko do przodu.

– Jak się czujesz? – Żar skoczył do przyjaciółki i pomógł jej się odwrócić. Padając dziewczyna wystawiła do przodu ręce i teraz rozpaczliwie pojękiwała, badając obdrapane dłonie. – Ty draniu jeden, podstawileś jej nogę! Widziałem!

– No, podstawilem – leniwie zgodził się Alk, kołyszając się z palców na pięty i z powrotem. Miecz w jego opuszczonym ręku przeciwnie pozostawał nieruchomy, jak gdyby Widzący się na nim opierał.

– A gdyby ona się nadziała na ostrze?!

– Przecież się nie nadziała. Ech ty, bajarko – rzucił Sawrianin pogardliwie. – Tylko językiem machać potrafisz. Nie mogłaś dalej siedzieć w tej swojej obórcie?

Ryska z irytacją odepchnęła Żara i wstała. Potwór w tej bajce zdecydowanie był i w tym momencie nabrała ochoty, by mocno potraktować go mieczem, nawet jeśli nie uczyni mu specjalnej krzywdy.

– O! – zachwycił się Alk, widząc jak zbliża się do niego naburmuszona i pociągająca nosem „odważna bohaterka”. – No chodź, chodź, dziewczko, rozeźlij się bardziej! Czy może się nadajesz tylko do łóżka?

Żar gryzł wargi, paląc się z chęci, by skoczyć na drania i kilka razy zdzielić go pięścią. Ale wydawało się, że Ryska sama sobie poradzi – chociaż wałek w jej ręku wyglądałby znacznie bardziej na miejscu, bo właśnie z takim wyrazem twarzy wieszczanki łały mężów-pijusów.

Alk nadal bez trudu odbijał wszystkie ciosy, a na koniec przeszedł do ataku – co prawda nie wychodząc poza zakres znanej już dziewczynie „gwiazdy”. Z góry... z góry... z dołu... z góry... Ryska cofała się, ale nie pomyliła, póki nie uświadomiła sobie co się dzieje. I oczywiście natychmiast zgubiła rytm.

– No i już znacznie lepiej – powiedział Alk ze spokojem, opuszczając miecz.

– Nie, no... – westchnął Żar. – Jesteś urodzoną wojowniczką!

– Urodzoną Widzącą – uśmiechnął się Sawrianin. – Spróbujemy jeszcze raz?

Ale Ryska wściekle potrząsnęła głową, ssąc zbitą do krwi kostkę. Parę już wypuściła, trzy razy cięższy niż wcześniej miecz ciągnął zmęczoną rękę ku ziemi, a tak niespodziewana i wyraźna demonstracja własnego daru nieźle ją oszołomiła.

– Dobra, na pierwszy raz wystarczy – zlitował się Alk, zabierając miecz. Sawrianin ostro pachniał potem, jego lewy warkocz się rozplótł i przyklejone włosy leżały na mokrych plecach, powodując że przy każdym ruchu mężczyzna się jeżył. – Ech, od dawna właściwie nie trenowałem, straciłem formę...

Żar chciał powiedzieć coś bardzo złośliwego, ale popatrzył na towarzysza i się rozmyślił. Jeżeli taką formę uznawał za straconą, to z odzyskaną chyba by dławił wrogów małym palcem.

– Czyli wychodzi, że dowolny Widzący, nawet nasza Ryska, może z łatwością pokonać doświadczonego wojownika? – Złodziej schował dłoń w rękawie i zdjął kociołek z ognia. – No to po co w takim razie człowiek ma się uczyć tych różnych skomplikowanych ciosów i ćwiczyć potem po pięć łuczyw na dzień?

– Po to, nasz ty złodziejaszku... – Sawrianin po kolana wszedł do rzeki i zaczął się myć, garściami pluskając na siebie wodę – ...że zanim wyciągniesz spod cudzego napałka to ziarno grochu, należy je tam najpierw położyć. Im lepiej Wędrowiec walczy sam z siebie, tym wyższe są jego szanse na zwycięstwo i tym łatwiej jest ich użyć. Ona by nikogo nie pokonała, niech najpierw nauczy się właściwie trzymać miecz. Nie wspominając o tym, że w prawdziwej walce czysta „gwiazda” się nie zdarza. To tak, zabawa dla początkujących. Ledwo czegoś się nauczą, a już uznają się za mistrzów klingi. Nie wspominając już o tym, że twoim przeciwnikiem może okazać się inny Wędrowiec. – Alk wrócił do ogniska i zaczął się ubierać. – Hej, a gdzie jest moja druga skarpetka?

Dokładne poszukiwania w trawie nic nie dały.

– Pewnie spadła do ogniska i się spaliła! – wściekał się białowłosey. – Albo ktoś ją tam celowo wrzucił.

– Jeszcze czego! – Żar chyba kątem oka coś podobnego zauważył, ale sam by celowo nie szkodził. Skarpetka była droga, cienka, kupiona razem z kubrakiem. Pewnie spaliła się w jednej chwili. – Czyli taki twój los, żeby chodzić na bosaka.

– Czy ty moje buty również spaliłeś?

– Nie, tam stoją, daj mi spokój. Chodźcie lepiej jeść, już mi kiszki marsza grają! – Żar jako pierwszy wpakował łyżkę do kociołka, do samego dna – i z okrzykiem wstrętu wyciągnął ze środka coś długiego, oślizgłego, co zebrało na siebie sporą część kaszy.

– O, moja skarpetka! – ucieszył się Alk.

Złodziej wziął zamach i paskudna szmata wylądowała koło Sawrianina.

– Nie mogłeś jej normalnie zamocować, kretynie?!

– Przecież to ty ją zwaliłeś łokciem, jak gotowałeś! – Alk zrobił krok do tyłu: nad skarpetką unosiła się gorąca para. – Zobacz, wygotowała się, bielutka jest...

– Ale sobie znalazłeś powód do radości – rzucił Żar kwaśno. – I co my teraz będziemy jedli?

– A już nie masz ochoty na kaszę? Z powodu jakiejś szmaty?

Złodziej przełknął ślinę. W opowieściach Ryski bohaterowie gotowali zupę nawet z łapci i wychodziło im wcale jadalnie, ale żeby ze skarpety...?!

– Żeby ona przynajmniej była moja... – burknął z żalem.

– No tak, twoja na pewno dałaby lepszy wywar – przytaknął Alk. Co prawda sam również po kaszę nie sięgnął, a już nie mieli czasu, by gotować nową – na czarnej wodzie pojawił się srebrzysty odbłysek księżyca.

Rozdział 6

Szczury mieszkające w pobliżu wody żywią się wszystkim, co znajdą na brzegu: zdechłymi rybami, ślimakami, rakami, żabami, nie bojąc się nawet nurkować po nie.

To samo źródło

Rybak już na nich czekał, stojąc na pomoście w spodniach podwiniętych po same pachwiny. Na widok klientów, nawet się nie witając, odwiązał sznur i zeskoczył do wody. Przycisnął łódkę do bali i skinieniem głowy pokazał: wprowadzaj krowy.

– A ona się nie przewróci? – spytała Ryska z niepokojem.

– Wozilem byki – odburknął rybak pobłaźliwie. – No to kto pierwszy?

– Ja. – Alk złapał Śmierć za uzdę i pociągnął do łódki. Krowa z niezadowoleniem otrząsała nogi po każdym kroku, próbując zrzucić szmaciane „buty”, ale właściciel zamocował je naprawdę solidnie. To tak irytowało i rozpraszało Śmierć, że weszła do łódki bez żadnego namysłu i zrozumiała to dopiero kiedy „podłoga” zachwiała jej się pod kopytami. Sawrianin syknął na tępe bydło, żeby zamarło i nie kołysało łódką jeszcze bardziej. Zresztą, okazała się ona dosyć stabilna i uspokoiła od razu.

– Trzymaj ją mocno – uprzedził rybak, wypychając łódź na otwartą wodę. – Jeśli wyskoczy to sam będziesz za nią płynął.

Alk pogardliwie zmilczał, ale po chwili jednak owinął dookoła pięści kolejną pętlę wodzy.

Rybak przełaził przez burtę i zaczął powoli, z namysłem lokować się na ławce – podłożył pod tyłek trzcinową poduszeczkę, odwinął spodnie, by nie ziębły mu nogi, wstawił wiosła do dulek, wyciągnął zza pazuchy płaską flaszkę i pociągnął solidnego łyka. Łódka prawie wpadła w trzciny zanim w końcu zaczął wiosłować.

Ale w końcu poważnie i majestatycznie obróciła się dziobem w kierunku sawriańskiego brzegu. Chwilę stała w miejscu, jak gdyby się żegnając, ale w końcu ruszyła, powoli przyśpieszając. Rybak starał się zanurzać wiosła możliwie ostrożnie i prznosił je z powrotem nad samą wodą, żeby nie chlapać. Na dulki pewnie wylał cały garniec oleju. Po dziesięciu pociągnięciach plusk zrobił się zupełnie niesłyszalny, a potem łódka zniknęła w mroku.

Ryska usiadła na brzegu pomostu, zwieszając nogi. Woda była bardzo ciepła

i przyjemnie omywała kostki pogryzione przez komary. Po prawej stronie jak naleśniki leżały liście grzybieni – kwiaty już dawno się zamknęły i wciągnęły pod wodę. Po lewej wśród wierzb trwał konkurs śpiewu wśród słowików, ale w tej chwili ich trele wywoływały jedynie irytację. Z jednej strony zagłuszały hałas płynącej łodzi ale z drugiej – w ten sposób wrogowie również mogli podkraść się z łatwością.

– Uważaj, bo cię sum za palec capnie – zażartował Żar. Wyglądało na to, że chwilę sobie poczekają, więc chłopak przypomniał sobie o zmarnowanej kaszy i sięgnął do torby po chleb.

– Trzeba było dać też Alkowi – zreflektowała się Ryska, podkurczając nogi, bo a nuż jednak coś ją złapie? Nawet jak tylko pijawka, to nadal żadna przyjemność.

– Na tamtym brzegu dasz. – Żar rozłamał pajdę na trzy części i podał jedną przyjaciółce.

– Nie, chodzi mi o to, że niechby przestał zwracać uwagę...

– Na co?

Ryska nie odpowiedziała. Jej samej chleb nie pomógł – przeżuwała prawie nie czując smaku, byle tylko zapełnić ssący żołądek.

– Oj, popatrz, co tam się dzieje?

Od Jeżyc w dół rzeki powoli przesuwał się jakiś płomyk.

– Ktoś płynie. – Przyjaciele, nie zważając się, skoczyli na nogi i uciekli za wierzby, mimo że z łódki nie dałoby się ich dostrzec. A nawet jakby się dało – ot, siedzą sobie chłopak z dziewczyną na pomostku. Przecież to oczywiste z jakiego powodu siedzą.

Pies, który w obecności właściciela jeszcze jakoś znosił obcych, kręcących się dookoła domu, wybuchnął oburzonym szczeniem.

– Idzie bliżej sawriańskiego brzegu – szepnął Żar. – Czyli to ichnia straż.

– A może zwykli rybacy?

– Za szybko płyną.

– Żeby tylko nie zauważyli Alka!

– Powinien był już zacumować.

Płomyk jak gdyby złośliwie zamarł dokładnie naprzeciwko nich. Ryska miała wrażenie, że jest to czyjeś złe oko, wpatrujące się w brzeg. Złapała dłoń przyjaciela obiema rękoma.

– A co, jak go złapali?!

– Co, co... Kto z nas dwojga jest Widzącą? – burknął Żar. Dźwięki po wodzie niosą się daleko, więc chłopak nie wątpił, że pojmanie Alka byłoby słychać aż w Jeżycach.

– Kiedy się boję to nie potrafię zrozumieć, czy to dar czy może tak po prostu!

– W każdym razie nic nie możemy zrobić. Pozostaje tylko czekać. – Światelko ruszyło dalej i Żar domyślnie zasugerował: – Pewnie tylko zmieniali się przy wiosłach.

Ryska miała wrażenie, że minęło pół nocy nim ponownie usłyszeli plusk wiosł. Po pozbyciu się zakazanego ładunku przewoźnik wiosłował bardziej zamasyście i głośniejsze, a pusta łódka sunęła znacznie raźniej.

– I jak?! – Dziewczyna zerwała się na nogi. Rybak skierował łódkę do brzegu, położył wiosła na burtach, zrównał się z pomostem i złapał za jego krawędź, przyciągając łódkę na styk. – Przewiół pan?

– Nie, dałem wiosłem przez łeb i do wody – zażartował mężczyzna ponuro. – Kto następny?

– A czemu tak długo? – spytał zdenerwowany Żar, który w ciągu ostatnich dwóch łuczyw zaraził się obawami Ryski.

– Sprawdzalem siec – odparł rybak beznamiętnie, wyciągając spod ławki mokry worek i rzucając go gdzieś dalej na brzeg. – Bo stęchnie w wodzie.

– Siec sprawdzał... – burknął chłopak. – My tu się doczekać nie możemy...

– I co?

– I nic – wycofał się Żar. Niech najpierw przewiezie przynajmniej jakkolwiek, a kłócić się można na tamtym brzegu. – Rysiu, chodź.

Rybak krzyknął na psa. Ten w końcu się zamknął i ze skrucą podzwaniając łańcuchem uciekł do budy. Ryska przeszła do łódki i pociągnęła za sobą krowę, która ku jej wielkiej uldze bez najmniejszej pretensji ruszyła za właścicielką. Rybak ponownie łyknął z flaszki i odpłynęli.

Czarny las na brzegu wydawał się jednym wielkim odmętem. Na czubkach drzew było jaśniej, „płycej” i choć Ryska wiedziała, że wszystko jest dokładnie na odwrót, to podświadomie chciała możliwie szybko wyrwać się ze złowieszczonego mroku. Z całej siły ścisnęła ogłowie Miłki, podskakując na każdy plusk pod dnem łódki: żeby tylko krowa się nie przestraszyła! Ale trójbarwna krówka zachowywała się doskonale spokojnie. Woda była gładka jak lód, łódka szła równo i Miłka tylko ze zdziwieniem strzygła uszami, patrząc na samoistnie oddalający się brzeg.

– Wiiiir! Kc-kc-kc! – Nad krowim grzbietem przeleciał jakiś ptak, desperacko machający skrzydłami żeby utrzymać w locie ciężką tuskę, jak kamień rozcinającą powietrze. Miłka drgnęła i cofnęła się, opierając o ławkę.

– Cicho-cicho! – Ryska śpiesznie pogładziła krowę po szyi. – Nie bój się, moja śliczna, to zwykły ptaszek!

– Takka łapie meszki – wyjaśnił rybak. – Ma teraz małe, będzie całą noc tak latała.

– Takka?! – Dziewczyna miała wrażenie, że się przesłyszała. – To była takka?!

– Yhym... Paskudny ptak. Szczególnie jak człowiek w polu nocuje. Jak

szczeknie w ucho to możesz i na trzy dłonie podskoczyć.

Ryska nerwowo zachichotała, przypominając sobie nocne biegi po parowach, wilki i Rudą. Nikt z wieszczan w końcu nie poznał prawdy, co się tam naprawdę wydarzyło, a dziewczyna po odejściu Żara chodziła taka smutna, że w jego śmierć również nikt nie zwątpił.

– U nas w Przybłociu nazywano takką leśnego potwora.

– No bo to jest potwór... – Rybak z niezadowoleniem spojrzął śladem ptaka. Ileż on sieci upuścił z powodu jego niespodziewanych wrzasków!

Ryska podrapała się w głowę. Przez ile ust musiała przejść ta opowieść, żeby z niegroźnego ptaszka takka stała się krwiożerczym straszylem? Pewnie ktoś pochodzący z tych okolic wymyślił bajkę dla dziecka, a potem dorośli również uwierzyli... Czyli to stąd się biorą potwory – z ludzkich plotek!

Brzeg zbliżał się męcząco powoli. Dziewczyna uspokoiła się odnośnie do krowy i nieprzerwanie patrzyła w mrok, próbując dojrzeć znajomą wysoką postać.

– Boisz się, że go mawka zabierze? – uśmiechnął się chłop. – Na byczy korzeń jej takie dobro! – Chwilę myślał, a w końcu pogardliwie dodał: – Zresztą tobie również.

– Nie lubi pan Sawrian?

– Nie lubię – potwierdził rybak, smacznie spluwając za burtę.

– To dlaczego się pan zgodził nas przewieźć? – spytała Ryska z urazą.

– Świń też nie lubię. Ale mięso mają smaczne. – Chłop nadal wiosłował miarowo, nie zauważając, jak dziewczyna zbladła i przytuliła się do krowy. O Bogini, czyżby trafili na ludojada?! Zaraz ją też walnie wiosłem w głowę...

Sawriański brzeg był wyższy od rintarskiego, a niżej z nurtem rzeki w ogóle zmieniał się w urwisko. Rybak skierował łódkę wprost w trzciny, które zaszeleściły po obu burtach. Szuwary były tak wysokie i gęste, że ukryły nawet krowę. Ludojad wiosłował, nie patrząc na Ryskę i myśląc o jakichś własnych sprawach – pewnie jakby tu ją najlepiej ugotować. Spod samego dziobu łódki wywinęła się kaczka, która z desperackim kwakaniem pobiegła po wodzie, pomagając sobie skrzydłami. Rybak spróbował dosięgnąć ją wiosłem, ale nie zdążył.

– Ech, poszła... – rzucił z żalem. – Ale nic to, drugiej nie przegapię.

Ryska zatrzęsała się jeszcze bardziej, domyślając się o kim mówi, ale w tym momencie trzciny się skończyły. Na widok Alka stojącego na brzegu małej czystej zatoki dziewczyna wydała radosny okrzyk i w końcu zrozumiała, że mówiąc o mięsie rybak prawdopodobnie miał na myśli otrzymane od Sawrianina pieniądze.

Alk wszedł do wody po kolana, złapał łódkę za dziób i pociągnął do brzegu. Ryska pośpiesznie wyskoczyła na mokry piasek, a za nią z widocznym smutkiem wyszła również krowa. Rybak też wysiadł – rozprostować plecy i odlać na drzewo, nie wstydząc się dziewczyny. „Jak pies na dworze, co znaczy cudze słupki” – pomyślała, parszając śmiechem. W pobliżu Alka od razu poczuła się dobrze i

spokojnie, jak gdyby wszystkie problemy już zostały za nimi. Zresztą, przecież tak właśnie było – skoro nawet ona się przeprawiła bez problemów, to co niby się może stać Żarowi?

– To co będziemy robili? – spytała wesoło, gdy tylko łódka z rybakiem zniknęła w trzcinach.

Alk uważnie spojrział na dziewczynę, sprawiając, że gorzko pożałowała głupiego pytania. Teraz znowu zacznie się bawić jej kosztem, a nawet Żara nie ma obok, żeby ją obronił!

Ale pod nieobecność widza docinanie jej widać było nieciekawe, ani sytuacja temu nie sprzyjała. Alk odwrócił się do wody i usiadł, obejmując rękoma kolana.

– Czekać. Jak masz ochotę to się zdrzemnij.

– Jeszcze czego! – Ryska nawet się obraziła. – Gdzie ja niby mam zasnąć?

– A choćby tutaj. – Alk poklepał ręką po piasku.

– Nie, poczekam na Żara. – Dziewczyna ziewnęła, dopiero teraz uświadamiając sobie, jak bardzo jest zmęczona. – Ale może rzeczywiście się położę...

Ryska poszła do krowy po koc i rozścieliła go w pobliżu Alka. Pomyślała, przygryzając wargę i w końcu przeciągnęła bliżej, żeby w razie czego wyciągnąć rękę i móc dotknąć towarzysza.

– Może lepiej będzie, jak ty się prześpisz? – spytała nieśmiało. – A ja popilnuję.

Lecz Alk pokręcił głową i bez zaproszenia przesiadł się na brzeg koca. W końcu piasek był zauważalnie zimny i sztywny, a mieli tu posiedzieć jeszcze jakiś czas. Żarowi Ryska bez namysłu położyłaby głowę na kolanach, ale kiedy chodziło o Alka, to z jakiegoś powodu bała się nawet o niego oprzeć i zwyczajnie ulokowała się obok, wyczuwając czubkiem głowy ciepło idące od jego uda.

Sawrianin poruszył się. Serce dziewczyny na chwilę zamarło w piersi ale on zwyczajnie zgarnął luźny koniec koca i niedbale narzucił na nią.

* * *

Z Chorobą musieli się namęczyć. Może będąc jeszcze malutkim cielaczkiem, spadła z mostu do strumienia, albo też miała w sobie wrodzony brak zaufania do łódek, ale kategorycznie odmówiła włożenia do środka.

– No idź, kretynko! – przekonywał Żar, bawiąc się z nią w przeciągania postronka. – Bo cię tutaj zostawimy i cię wilki zeżrą! Patrz, obie twoje przyjaciółki już tam są!

Kretynka wołała słuchać głosu wewnętrznego i uparcie się cofała.

– Możemy po prostu przywiązać ją do burty – zaproponował rybak. – I niechaj sobie płynie.

– A jak utonie? Rzeczy też są na niej...

– A rzeczy do łódki.

Ale Żar już był tak zmęczony czekaniem, niepokojem i komarami – zresztą, zwyczajnie zmęczony – że kompletnie nie miał ochoty rozsiodływać Choroby z powodu jej kaprysów. Zamiast tego rzucił postronek, obszedł krowę i niespodziewanie wymierzył jej kopniaka w zad. Choroba głucho zamuczała przez sakwę zamotaną na pysku, wierzgnęła i skoczyła do przodu. Łódka zachwiała się, szorując dnem po wodzie jak gigantyczny leszcz.

– Co za dureń! – Rybak zerwał się, łapiąc przerażone zwierzę za uzdę, aby nie przewróciło łódki albo nie przebiło dna racicą.

– Spokojnie! – wysapał Żar, również wskakując do środka i przechwytyjąc wodze. Choroba nadal tańczyła tylnymi nogami, ale ponieważ po pchnięciu łódka odeszła od pomostu, nie miała się gdzie podziać. – Nic to, ja swoje zwierzę znam...

– Żeby cię tak spokojnie Saszy zgarnął i twoje bydłę razem z tobą! – Rybak wiosłem odepchnął się od dna, kierując łódkę na głęboką wodę. Choroba z przerażeniem patrzyła dookoła, co i rusz przymierzając się do rozpaczliwego ryku, ale Żar niezmiennie uciskał ją szturchańcem w bok.

Nad wodą w końcu popłynęła długo wyczekiwana mgła, jeszcze rzadka i w strzępkach. Wirowała dookoła łódki jak ciekawska zjawka, na przemian unosząc się do koniuszków krowich rogów, to spadając do stóp. Meszki zostały z tyłu, przestraszone ni to mgłą ni to odległością od brzegu i Żar z przyjemnością wciągał w płuca rzeczne powietrze, nie bojąc się zakrztusić komarem.

Łódka znajdowała się już na środku rzeki kiedy w oddali ponownie pojawił się płomyk, tym razem poruszający się pod prąd. Rybak zaklął i mocniej pociągnął za wiosła.

– Płyną z powrotem białowłose szczury... Coś oni dzisiaj wcześniej.

– Zdamy? – zaniepokoił się Żar.

– Powinniśmy... Najważniejsze do docią...

– Wap-wap, juur! – Takka jak bełt z kuszy przeszła powietrze nad krowim łbem, a nawet musnęła skrzydłem koniuszek ucha.

* * *

Plusk był tak głośny, że nie tylko Alk drgnął ale podskoczyła też Ryska, która niezauważalnie zdążyła zapaść w sen.

– Rety, co to?! – spytała z przestachem, jedną ręką przecierając zaspane oczy, a drugą odruchowo macając kogo by się złapać w poszukiwaniu obrony. – Jakby calutka krowa do rzeki wpadła...

Alk zerwał się na nogi i fałda jego koszuli wyrwała się spomiędzy dziewczęcych palców. Ryska spiesznie poszła za jego przykładem i ponownie za nią złapała. Z mgły dolatywały gwałtowne poirytowane głosy. Dziewczyna miała

wrażenie, że Sawrian jest tam przynajmniej dziesięciu: całe wrogie wojsko lądujące na rodzimym brzegu!

Była tak zaspana, że kompletnie nie przyszło jej do głowy, iż akurat ten brzeg jest rodzimy właśnie dla Sawrian.

Alk, któremu nie przeszkadzały ani nieznajomość języka ani strach, natychmiast zrozumiał, że straż rzeczna liczy sobie ledwo czterech ludzi i są zszokowani nie mniej niż on.

– Trzymaj latarnię niżej! – darł się jeden i żółta plama tańczyła we mgle jak jętka nad wodą.

– W tym mleku to nawet Saszy nic nie dojrzy!

– Zapal drugą!

– Cicho! Nie wiosłuj! Słyszysz?

Alk również słyszał. W jego kierunku coś płynęło, sapiąc cicho i pluskając.

Plama rozdziwiła się, ale nie przyniosło to specjalnych efektów.

– Wiosłuj w kierunku dźwięku!

Plusk nasilił się, a ognie podeszły bliżej. Można było odnieść wrażenie, że do brzegu zbliża się potwór z płonącymi oczami, lekko zezowaty: pogranicznicy jedną latarnię trzymali wyżej niż drugą.

– Kiedy wiosłuję, to kompletnie nic nie słyszę!

– Ot zarraza...

Alk z Ryską nadal słyszeli uciekiniera – był już całkiem blisko, zgruntował i z chrypieniem oraz pluskiem przedzierał się przez trzciny. Jeszcze chwila – i na brzeg wyskoczyła Choroba z oczami wytrzeszczonymi ze strachu. Na pysku nadal miała torbę, z siodła zwisał nasiąknięty wodą, pociemniały bagaż. Zagadką było, jak krowie udało się wypłynąć z całym tym dobrem, nie gubiąc nawet pechowego kociołka.

Alk nie tylko jej nie zawołał, ale też przezornie zasłonił usta Rysce, przyciągając drżącą dziewczynę do siebie. Krowa otrząsnęła się, obryzgując piasek istną ulewą, i potykając się, ruszyła precz od rzeki.

Potwór zbliżył się do samych trzciny. Alk beznamiętnie patrzył mu prosto w „oczy” wiedząc, że ten niezdolny jest by odpowiedzieć uprzejmością na uprzejmość.

– Sprawdź brzeg! – rozkazał jeden ze strażników.

Podwładni nie zareagowali na to polecenie zachwytem.

– Tu grząsko jest. – Wioślarz wyciągnął wiosło z dulki i obmacał nim dno. – Zobacz jakie zielsko wyrosło. Pewnie mokradła się ciągną do samego lasu.

– A może sobie darujemy? – zapytał nieśmiało najbardziej tchórzliwy, albo przeciwnie, wystarczająco odważny, by stawiać się dowódcy.

– Co znaczy „darujemy”?! – obruszył się tamten. – A co jak się tam szpiedzy przeprowadzają?

– A może to sum ogonem walnął?

– A potem uciekł do lasu? Nie gadaj bzdur, tylko przybijaj!

Ryska szarpnęła się w bok, ale Alk ścisnął ją mocniej. To jak zabawa w „ślepego kota” – póki stoisz ze wstrzymanym oddechem jeszcze jest szansa, że łowczy przejdzie obok. Ale wystarczy nie wytrzymać i rzucić się do ucieczki, a już po tobie.

– A co z tym tutaj? – Sądząc z dźwięku, strażnik kopnął coś ciężkiego i solidnego. Gdyby nie chrząknęło w odpowiedzi, to Alk uznałby, że w końcu złapali Żara. – Tu zostawimy? I jeszcze cały worek futerek, nawet czarne lisy chyba wśród nich widziałem..

Chyba tej nocy straż rzeczna zdążyła już kogoś złapać, a teraz śpieszyła się by dostarczyć zdobycz na przystań.

– Rozdzielimy się – powiedział dowódca już znacznie mniej pewnie. – Czego się tak krzywiecie? Chłopy jesteście czy rintarskie baby?!

Alk bezdźwięcznie parsknął, oceniając aluzję do warkoczy.

Łódka cały czas stała w tym samym miejscu. Prąd odwrócił ją bokiem do brzegu i trzciny cicho, uspokajająco szeleściły o burtę.

– Zresztą już teraz nic nie słyhać. Uciekło – powiedział po paru szczapach nadał ten sam strażnik, tchórzliwie-odważny. – I tak nie dogonimy.

– Przed wami, szcurza mać, to nawet ślimak zdąży uciec! – Bogu ducha winny świniak dostał kolejnego kopniaka. – Dobra, wiosłuj do domu. Ale jeśli będziecie mielić jęzorami, to je wyrwę razem z gardłem!

– Ale czego tu mielić? Karp skoczył...

Dulki zaskrzypiały, potwór zmrużył jedno oko i popełznął na prawo, coraz bardziej oddalając się od brzegu.

Ryska coś desperacko zamyczała do środka dłoni Alka, próbując wyrwać się z jego chwytu.

– Nie będziesz się drzeć? – pochylając się do jej ucha szepnął Sawrianin.

Dziewczyna potrząsnęła głową i Alk w końcu rozluźnił objęcia.

– A gdzie jest Żar?! – spytała Ryska z przerażeniem, kiedy już złapała oddech.

* * *

Żar pływał doskonale – zresztą, który chłopak mieszkający w pobliżu rzeki nie czuje się w wodzie jak ryba? W dzieciństwie mógł przez pół dnia nie wyłazić z rzeki, póki zęby nie zaczęły szczekać albo ktoś dorosły nie pogonił do domu. W Makopolu nie bardzo miał gdzie pływać, ale takich umiejętności się nie zapomina.

Tylko na początek przydałoby się wynurzyć.

Kiedy przerażona krowa na złamanie karku skoczyła za burtę, Żar nawet nie zdążył nic zrozumieć tylko poleciał za nią szarpnięty owiniętym dookoła ręki

postronkiem, jak rybak który złapał karpia-giganta. Ciężka krowia tusza poszła głęboko pod wodę, chłopakowi mignęło, że wprost na dno. Nawet nie wiedział kiedy ani jak udało mu się wypłatać i uciec spod młócących wodę racic – pamiętał wyłącznie, że było to przerażające, brakowało mu powietrza i każdy ruch sprawiał ogromną trudność, jak w koszmarze.

Ocknął się dopiero na powierzchni. Kiedy doszedł do siebie, złapał oddech i podziękował Holdze znacznie szczerzej, niż w modlitewni (co prawda Szaszego też wspomniał znacznie bardziej kwieciście) ani krowy, ani łódki nie było już w polu widzenia. Mgła zamknęła się nad nim, jak kisiel przeorany łyżką. Tylko, dwa pluski, brzmiące zupełnie jednakowo, oddalały się w przeciwnych kierunkach.

– Hej! Hej, chłopie! Rybaku! – zawołał Żar, próbując znaleźć złoty środek pomiędzy desperackim wrzaskiem tonącego oraz szeptem spiskowca – w końcu po rzece pływali również inni „chłopi”. Którzy oczywiście będą szczęśliwi móc wciągnąć go do swojej łódki, ale tym razem to złodziej miał coś przeciwko.

Po chwili czekania Żar zrozumiał, że nikt nie ma zamiaru po niego wracać. Płomyk, który z początku zdążał wprost w jego kierunku, z jakiegoś powodu zboczył w lewo. Stamtąd doleciały też zaniepokojone głosy, ale nie potrafił rozróżnić słów. Uznał, że zaryzykuje i podpłygnie bliżej – mało prawdopodobne, by Sawrianie zaryzykowali wysiadanie na rintarski brzeg, raczej podeszli bliżej własnego. Ale po wykonaniu paru zamachów Żar ze zdumieniem i lekkim przestachem stwierdził, że coś mocno trzyma go za prawą nogę. Nie ciągnie na dno ale też nie puszcza. Nawet nie pozwala położyć się na wodzie.

Jako pierwsza na myśl przyszła bajeczka Ryski o lubieźnym wodniku, która w tym momencie wydała się chłopakowi znacznie mniej wesoła. Ale skoro nie udało mu się podciągnąć nogi wyżej i popatrzeć, to musiał nurkować i macać. Sieć! Rybacka, o dużych oczkach i cienka, ale nie do rozerwania rękoma. Żar spróbował ją strząsnąć, potem złapać drugą nogą, ale zaplątał również ją. Żar sięgnął do pasa po nóż, ale nie było go na miejscu – pewnie wypadł, kiedy chłopak koziołkował z krową. Lekki przestach zmienił się w średni, a następnie mocny. Złodziej rzucił się desperacko, uwalniając lewą nogę, ale prawa nadal pozostała uwięziona. Linka mocno wpiła się w skórę nawet przez spodnie. Chłopak spróbował przynajmniej zrzucić but, ale miał wrażenie, że supeł na sznurówce skleił się w jednolitą gulę. Przez całą drogę sam się rozwiązywał, a tu jak na złość!

Światelko chwilę stało w miejscu, po czym ruszyło dalej, zaczynając migać i znikać z pola widzenia za trzciniami. Żar akurat doszedł do myśli, że sawriańskie więzienie jest mimo wszystko wygodniejsze od rybackiej wędzarni (choć właściciel sieci raczej po cichu zakopie „rybkę” w lesie) i zamierzał rozedrzyć się pełnym głosem, ale w tym momencie ktoś nieuprzejmie szturchnął go w plecy (przerażony złodziej nawet nie usłyszał zbliżającego się plusku) i z pretensją zapytał:

– Kiego Saszego tu sterczysz?

– Twoja mać, chyba oczywiste, że się kąpię! Woda jak ciepłe mleczko! – odpyskował Żar drżącym z ulgi głosem. – Zaplątałem się w sieć, nie widzisz, czy jak?! Masz przy sobie nóż?

– Nie.

Złodziej jęknął z rozczarowaniem, ale Alk już zanurkował, migając bosymi piętami. Zdążył zrzucić buty, ale się nie rozbierał.

– Przynajmniej ty się weź nie zapłacz, kretynie jeden! – burknął Żar do kręgów na wodzie. Sam by pod nią tyle nie wytrzymał – nie z powodu braku powietrza, po prostu wypychała go jak korek.

Złodziej poczuł, jak prawy but w końcu ześlizgnął się z nogi – Alkowi udało się ni to rozluźnić, ni to przegryźć sznurówkę. Żar ponownie spróbował wyciągnąć nogę, ale okazało się że jego radość była przedwczesna.

Sawrianin wynurzył się, zachłannie złapał łyk powietrza.

– Nie rzucaj się, tylko mocniej zaciągasz – rozkazał z irytacją, odetchnął parę razy i ponownie zniknął pod wodą. Białowłosa się nie cackał – parę razy podtopił Żara, ciągnąc za nogę, potem, sądząc z odczuć, zaczął zdierać pęta razem z mięsem. Żar ledwo nadązał z rzucaniem przekleństw i prychnaniem, a nałykał się tyle wody, że nawet nie od razu zrozumiał, iż już znalazł się na wolności.

– Moim zdaniem jednak pomyliliśmy imiona dla krów! – wychrypiał do tak samo ciężko dyszącego Alka.

– Ty weź pływ, zarazo! – Sawrianin szturchnął go w potylicę, sam zanurzając się po czubek głowy.

– Daj mi przynajmniej oddech złapać! – Żar odwrócił się na plecy i rozrzucił ręce. Woda trzymała go, ale miał straszliwą ochotę kaszleć, co z kolei sprawiało, że zaczynał tonąć, więc musiał powstrzymywać się z dużym wysiłkiem. – Też możesz przecież chwilę poleżeć.

Sawrianin wynurzył się i potrząsnął głową, próbując odrzucić przyklepione do twarzy kosmyki.

– Nie mogę!

– Dlaczego?

– Jak tylko przestanę się ruszać, to natychmiast pójdę na dno.

– Powaga? Pokaż! – Żar nie uwierzył.

Alk wściekle wypluł wodę wymieszaną ze śliną. Nie przepadał za pływaniem właśnie z tego powodu i jeśli życie mimo wszystko zmuszało go do tej czynności, to starał się możliwie szybko wyminąć głęboki odcinek.

– No to możesz się tu pobujać, a ja ruszam do brzegu.

– Nie, czekaj! – przestraszył się złodziej. Mgła zgęstniała już na tyle, że nie miał pojęcia w którą stronę ma płynąć. Dobrze jeszcze, gdyby ostatecznie wrócił do rintarskiego brzegu, ale przecież mogło się okazać, że ruszy wzdłuż nurtu!

Alk poruszał kończynami miarowo, dokładnie, celowo i przy odrobinie chęci płynąłby dwukrotnie szybciej od Żara, który udawał na przemian żabę i psa. Ale właśnie ta prawidłowość oraz zastygła w napięciu twarz Sawrianina świadczyły, że w wodzie czuje się obcy. Nauczyć się nauczył, ale nie rozumiał sedna.

– Jako szczerowi szło ci lepiej – skomentował złodziej złośliwie.

– Tak – odparł Alk jakimś dziwnym tonem. – Lepiej...

Żar spojrział na niego z niepokojem, ale wołał wyrazić swoje obawy żartem:

– W razie czego wskakuj mi na głowę. Jestem miły to cię podwiozę, nie dam zginąć.

– Niedoczekanie – odciął się Sawrianin.

– A gdzie jest Ryska? – Chwila na pogawędkę była wyjątkowo nieodpowiednia, ale złodziej uznał, że milczenie będzie jeszcze gorsze.

Alk krótko spojrział przez ramię.

– Chyba utonęła...

Kiedy samemu nie jest ci do śmiechu, to oszukiwanie innych również wychodzi kiepsko, więc Żar zrozumiał, że dziewczyna została na brzegu.

– Nie zrobiłeś jej tam żadnej krzywdy, mam nadzieję?

– Ta, akurat mi ona potrzebna.

– No, skoro niepotrzebna, to nie ruszaj! – Złodziej źle oszacował, nabrał wody do nosa i skrzywił się, czując koszmarnie swędzenie.

– Przecież ona sama się do mnie klei.

– Nie gadaj!

– Zakład? – Białowłose niespodziewanie syknął i zniknął pod wodą. Żar z początku uznał, że Sawrianin udaje, że zanurkował i uciekł do przodu, ale Alk wynurzył się w tym samym miejscu, z trudem poruszając rękoma by utrzymać się w pionowej pozycji. Z trudem łapał oddech, a twarz miał białą z bólu.

– Co się teraz stało?! – Żar również zawisł w miejscu.

– Skurcz... – Sawrianin zgrzytnął zębami, próbując odzyskać panowanie nad niespodziewanie pozbawioną czucia nogą, ale bez skutku.

– Gdzie? – zapytał złodziej rzeczowo.

– Noga, prawa... – Alk zrozumiał, co Żar zamierza zrobić i wyciągnął rękę, ponownie prawie znikając pod wodą. – Daj mi!

– Upuścisz. Lepiej się trzymaj – sapnął Żar i zanurkował.

Nodze niespodziewanie wróciło czucie oraz ruchliwość. Lepiej gdyby tylko to drugie.

Złodziej wynurzył się i otarł wodę z twarzy.

– I jak?

– Parszywie... – Sawrianin pokonując ból, kilka razy zgiął i wyprostował zdradziecką kończynę.

– Mam ukłuć jeszcze raz?

– Nie trzeba. – Alk kilka razy zamrugał, obrócił się i pewnie skierował w stronę rodzimego brzegu. – Chyba puściło.

– A to na pewno właściwy kierunek? – zapytał Żar na wszelki wypadek, wtykając igłę z powrotem w mankiet. Niemożliwe, żeby złodziej nie miał pod ręką takiej potrzebnej rzeczy!

– W poprzek nurtu, powinno nas znosić w prawo.

– Twoja mać... – zaklął Żar z uczuciem. Przyzwyczaili się, że Wędrowiec, że dar...! A przecież trzeba tylko mieć głowę na karku. Sam mógłby na to wpaść.

Okazało się, że do brzegu zostawało tyle co nic. Dość mocno zniosło ich w dół rzeki, prawie na pełną wieszkę. Tu już nie było trzciny, a górka wznosiła się pod sam księżyc. Szczęśliwie przy jej podnóżu leżał poszarpany splachetek piaszczystej plaży, na którą przyjaciele się wydostali. A raczej z wysiłkiem wypęzli na czworakach, desperacko marząc o tym by paść na wznak, ale krępując się jeden drugiego.

Na szczycie pojawiła się Ryska. Załamała ręce, pisnęła i zaczęła schodzić w dół, zsuwając co rusz po zboczu. Spod jej butów leciał biały sypki piasek, który prawie nie dawał oparcia. Gdyby nie krzaczki rozchodnika i kawałki suchej gliny, to ześlizgnęłyby się jak po lodzie.

Kaszłący i plujący niedoszli topielcy zauważyli dziewczynę równocześnie.

– Jak myślisz, do kogo podejdzie jako pierwszego? – Alk przełknął. Ślina nadal miała posmak rzeczno-mułu.

– Nawet nie rób sobie nadziei!

Gdy Ryska w końcu pokonała zbocze, z czego ostatnią ćwierć na pupie, zobaczyła przed sobą dwa nieruchome ciała w malowniczych pozycjach. Ze zrozpaczonym okrzykiem skoczyła w kierunku najbliższego.

– Aha, do mnie! – ucieszył się Żar, otwierając oczy i natychmiast oberwał policzek od oburzonej do głębi duszy przyjaciółki.

Drugi „trup” zaniósł się dzikim rechotem, rozsądnie nie zmieniając pozycji. Ryska z irytacją walnęła go dłonią w grzbiet, oblepiony mokrą tkaniną:

– Jak wam tylko nie wstyd! Tak się przestraszyłam! Myślałam że utonęliście! A wy... wy... – Dziewczyna bezradnie rozejrzała się dookoła. – Chłopy!

„Chłopy” tymczasem śmiali się chórem, wyrzucając z siebie napięcie i świętując kolejną udaną ucieczkę przed śmiercią. Żar wyciągnął do Alka dłoń, ten bez namysłu klepnął w nią własną.

– A rybak to dopiero drań! – powiedział złodziej z pasją. – Jak krowa do wody skoczyła, to się od razu rzucił do ucieczki!

– Sam siebie pokarał, sukinsyn. – Sawrianin w końcu usiadł i odrzucił za ramiona mokre, rozplecione włosy. – Dwa złoty zaoszczędziliśmy.

– A co się stało? – Radość na widok żywych przyjaciół pokonała w Rysce

urazę.

Żar beknął, żałując, że zjadł tamten kawałek chleba. Z powodu całej połkniętej wody wypłynął on pod samą krtąń, drażniąc ją nieprzyjemnie.

– Krowa się przestraszyła ptaka i skoczyła za burtę.

– Ale przecież ona już dawno przy płynęła! A co wyście tam tak długo robili?

Mężczyźni spojrzeli po sobie.

– Kapaliśmy się – burknął Alk, z trudem stając na nogach. Prawa nadal bolała i była dość niepewna. – Chodźcie, trzeba się trochę oddalić od brzegu, żeby ogniska nie było widać z wody.

Rozdział 7

Obcy może biegać po terenach stada nawet przez dłuższy czas – póki nie zbliży się do któregoś z miejscowych szczurów na tyle, by ten go wyczuł. Na jego wściekły pisk na przybysza rzuca się całe stado i jego los jest zaiste godzien pożałowania.

To samo źródło

Do rana ilość krów jak pod działaniem magii ponownie zwiększyła się do trzech: Choroba chwilę pobłądziła w obcym lesie, po czym skruszona wróciła do rodzimego stada.

– Ona się nie uspokoi, póki mnie nie załatwi! – klął Żar, w głębi duszy ciesząc się, że nie będzie musiał dosiadać się na Miłkę albo uchowaj Bogini, Śmierć.

Krowa patrzyła na właściciela z pochmurną nienawiścią. Nie udało jej się zedrzeć z pyska torby, więc mogła tylko zazdrościć towarzyszkom, które ze smakiem szczypały trawę.

Żar rozsiodłał i nakarmił paskudę, nieco godząc ją ze swoim istnieniem. Rzeczy w torbie przemokły do suchej nitki, więc pozostało tylko możliwie dobrze je wycisnąć i powiesić przy ognisku – podróżowanie po Sawrii bez mnisiej szaty było zbyt niebezpieczne. W gitarze również pełno było wody, a przemoknięte struny zwisały luźno. Złodziej ze zważaniem przez chwilę obracał instrument w dłoniach, ale ostatecznie opróżnił i postawił koło drzewa do suszenia.

– Wywal – poradził leniwie Alk ze swojego posłania. – Nawet stąd widzę jak napęczniała. Wyschnie i się zniekształci.

– I co, zupełnie nie będzie grała?

– Będzie, ale ty nie będziesz miał ochoty tego słuchać.

– Szkoda – westchnął złodziej. – Ona już jest dla mnie jak przyjaciółka, tyle razem przeżyliśmy...

– I co, trupy przyjaciółek też ze sobą ciągasz, miesiąc czy dwa?

Ale Żar jednak nie mógł się zmusić, żeby urządzić gitarze pogrzeb w ogniu.

– Wschnie to zobaczymy – uznał ostatecznie.

Ryska obudziła się jako ostatnia, ale nie było jej spieszno otwierać oczy – leżenie pod bokiem Alka, słuchając jak przyjaciele sobie dogadują, było wyjątkowo przyjemne i przytulne. Zresztą, przecież spali może z dziesięć łuczyw, trochę mało po takich przygodach. Przydałaby się kolejna dziesiątka, a może i

dwie...

Dziewczyna prawie zasnęła ponownie, ale Sawrianin uznał, że starczy tego leżenia i odrzucił koc. Ciepło wyrwało się spod niego jak ptak i choć tkanina natychmiast opadła na miejsce, poczucie błęgiego rozleniwienia zniknęło bez śladu. Ryska z rozczarowaniem przetarła oczy, przeciągnęła się i ziewnęła:

– Dzień dobry!

– Yhym... – odparł Żar, smętnie oglądając ocalały but. – Będę musiał iść boso...

– Przecież jesteś modlikiem – przypomniał Alk zza krzaka. – Więc pisane ci, by twardo znosić trudy i cierpienie. Zobacz, taki święty Tracznik przepłynął Rybkę na nieociosanym balu, a i to się nie skarżył.

– Nie słyszałem o takim – zaciekawiał się złodziej. – Sawrianin czy jak?

– Yhym...

– To nic dziwnego. Rintarczyk nie robiłby z siebie durnia, tylko przespacerował do przeprawy.

– Ale za to ten wyczyn przyniósł mu sławę – zauważył białowłosey pouczająco.

– Dlaczego? Macie w kraju za mało bali?

– A, to strasznie długa historia. Saszy-kusiciel pod postacią zachłannego przewoźnika zażądał jako zapłaty noszonego przez świętego znaku Holgi... Uleczenie chorej dziewczynki – tak na marginesie rintarskiej... W sumie Tracznika u nas bardzo czczą i uważają za patrona podróżników. Swoją drogą, on również zawsze chodził boso.

– Tak czy siak, ja nie mam w planach zostania świętym – rzucił złodziej ze złością, wrzucając but w krzaki. Nie celował w Alka, ale obok.

– Nikt nie ma w planach zostania świętym. – Sawrianin zaciągnął pas i wrócił do ogniska. – To już po śmierci delikwenta ludzie decydują czy była ona wystarczająco męczeńska.

Kociołek okazał się jedynym, który twardo znosił trudy podróży. Niestety nie gotowało się w nim dzisiaj nic bardziej konkretnego od ziołowej herbaty. Ostatni woreczek z kaszą po kąpieli spęczniał, jak trup wiewiórki trzydniowej świeżości.

Żar nawet nie zaryzykował rozwiązywania go. Rysce został tylko ten kawałek chleba, który wczorajszego dnia zapomnieli oddać Alkowi i dzisiaj Sawrianin ze wstrętem obejrzał podany mu suchar.

– Chyba jest to jedna z tych wyjątkowo rzadkich chwil, kiedy wołałbym być szczurem.

Ale chleb mimo wszystko wziął i zaczął gryźć, popijając naparem.

– A ty nie masz przypadkiem w sakwach niczego jadalnego? – zapytał Żar z nadzieją, odprowadzając głodnym spojrzeniem każdy spadający na ziemię

okruszek.

- Mogę zaproponować drugą skarpetkę.
- A idź ty!
- Albo zjemy w mieście. To niedaleko.

Ta opcja spodobała się Żarowi znacznie bardziej, ale za to Ryska z niewiadomego powodu straciła apetyt. „*Niedaleko*”. „Już jesteśmy w Sawrii!” – uświadomiła sobie z przerażającą jasnością. To miasto będzie obce, język niezrozumiały, a ludzie – wrodzy!

O jakim jedzeniu w ogóle mowa, żeby jej samej ktoś tam nie zjadł...!

* * *

Póki jechali skrajem lasu, Ryska wciąż miała wrażenie, że nadal znajdują się w Rintarze. Takie same świerki, takie same leszczyny, takie same mlecze. Jeżeli nawet trafiała się jakaś nieznana roślina, to była ona dziwna dla Przybłocia, a w ciągu podróży dziewczyna miała już okazję zobaczyć najprzeróżniejsze rzeczy. Trawa zdecydowanie była identyczna wszędzie, kupkówka z wiechliną. Tyle że nie było słupów wieszkowych, ale w Rintarze również nie stały na każdej drodze.

Ale za to miasto w jednej chwili Ryskę otrzeźwiło i wpędziło w przygnębienie.

Po pierwsze, było czarne. W sumie oczywiste, że buduje się z takiego kamienia, jaki akurat jest pod ręką, ale wrażenie robiło zdecydowanie złowieszcze. Z trudem szło uwierzyć, że mieszkają tu ludzie, a nie jakieś potwory wypełzające tylko w nocy.

Po drugie, Sawrianie okazali się wielkimi wielbicielami długich ostrych iglic, którymi udekorowali wieże strażnicze oraz każdy co wyższy budynek, więc miasto przypominało wielkiego nastroszonego jeża. Cały jego wygląd mówił: nie pochodź, bo będzie źle.

– Nie to miasto nazwali Jeżycami – parsknął Żar. – Swoją drogą, jak ono się nazywa?

– Krokasz.

– Czyli co?

– Kruk – przetłumaczył Alk. – A raczej Wron, jak się mawiało w dawnych czasach.

– Też dobrze – przyznał złodziej.

– Ojej, tam są strażnicy! – Ryska mimowolnie naciągnęła prawą wodzę i Miłka szturchnęła bokiem Śmierć.

– I co? – Alk odepchnął cudzą krowę nogą, nim jego własna nie znalazła się w rynsztoku.

– Oni na mnie patrzą!

– To ty też na nich popatrz – zezwolił Sawrianin łaskawie.

Ryska przeciwnie, spuściła oczy, mimo że tsecowie gapili się na nią zwyczajnie z nudy, wymieniając zbereżne dowcipy. Swojego krajana ledwo co zaszczylicili spojrzeniami, a „modlik” w ogóle przeszedł jako kolejna krowa – bura i niezauważalna. Wjazd był darmowy, więc strażnicy nawet nie pofatygowali się, by wstać.

Za bramą zrobiło się prościej i weselej: pomiędzy czernią pojawiły się ceglane oraz drewniane domy o białych lub jaskrawoniebieskich okiennicach. Na ulicach wybrukowanych kawałkami wciąż tego samego czarnego granitu było czysto jak w Zajęcogrodzie. Po bokach wielu ganków stały beczki z pachnącymi kwiatami na pnączach, opadających do samej ziemi. Wyglądały bardzo ładnie, ale dziwnie. Z daleka – wypisz wymaluj grube baby w pstrokatych sukienkach stoją sobie wzdłuż ulicy.

Prawdziwych ludzi również nie brakowało, chociaż daleko nie wszyscy mieli białe włosy: trafiały się również w kolorze piasku, blond, a nawet zupełnie czarne nad twarzami smagłymi jak u Ryski. Ale i tak łączyło ich coś wspólnego i obcego: haft na ubiorze, mowa, gesty, sam tok życia. Najbardziej dziewczynę zdziwił fakt, że sawriańskie kobiety ścinały włosy krócej niż mężczyźni, a nawet jeśli miały warkocze to tylko jeden, często ułożony dookoła głowy. Chłopcy z warkoczami koło obciętych „pod garnek” dziewczynek wyglądali szczególnie zabawnie. W Przybłociu taki musiałby się bronić przed żartami kolegów.

Całą trójka zsiadła z krów i prowadziła je za sobą. Odprowadzano ich baczными ale raczej ciekawskimi niż nieprzyjaznymi spojrzeniami. Pewnie z powodu Alka, który kroczył pośrodku, spoglądając dookoła z taką wyższością, jakby Ryska i Żar byli jego służącymi. A tak w zasadzie nie zwracano na nich więcej uwagi, niż w Rintarze.

Ryska westchnęła i bez namysłu palnęła:

– Ja dla was, Sawrian, pewnie również jestem strasznie brzydka?

Alk poruszył kącikiem ust na „również”, ale odparł dosyć miło:

– Wcale nie. Dziewka jak dziewczyna. Zabawna.

– Zabawna?! – Ryskę zatkało. Akurat takiej charakterystyki się nie spodziewała! – Jak to?

– Można się z tobą zabawić – wyjaśnił Sawrianin z uśmiechem, wyciągnął rękę i zdradziecko klepnął dziewczynę po jędrnym pośladku.

– Żar!!! – pisnęła Ryska, uciekając pod ochronę przyjaciela.

Ten osłonił ją ramieniem, ale nieobyczajny wybryk białowłosego potraktował pobłaźliwie.

– Nie zwracaj na niego uwagi. Przecież widzisz, że sobie jaja robi. I po co ci Sawrianie? Najważniejsze, że rintarskim mężczyznom nawet bardzo się podobasz.

W odróżnieniu od przyjaciółki, złodziej czuł się całkiem swobodnie i z ciekawością kręcił głową na boki, oceniając przede wszystkim płoty i zamki na

drzwiach. Mimo wszystko białowłosa w Rintarze to postać znacznie bardziej zauważalna, niż ciemnowłosa w Sawrii. Żar był przekonany, że większość napotkanych przechodniów nawet nie podejrzewa, że są Rintarczykami. Ryska miała wystarczająco dużo cech, które pozwalały jej udawać swoją po każdej stronie rzeki, w „modliku” przeważnie zauważano jedynie szatę. Co prawda na wszelki wypadek Żar narzucił kaptur, niby jako osłonę przed słońcem.

Dziewczyna spojrzała na Alka z wyzwaniem: a masz! Ale jemu tak zdradziecko drżały wargi, że całe jej samozadowolenie zniknęło. Faktycznie – bawi się i dla niego to tylko radocha, że trafił ją w czuły punkt. Kiedy ona nareszcie nauczy się stawiać mu godny opór?

– To gdzie będziemy jedli? – zapytał Żar radosnym tonem.

– A chociażby tam. – Alk wskazał wielki jak drzwi szyld, który z jakiegoś powodu stał na ziemi przed zwykłym domem mieszkalnym – nawet w oknie widać było kobietę, trzymającą dziecko. Na ścianie od ulicy nie było nawet wejścia.

Ryska spróbowała odczytać napis na szyldzie: „Za Po... kowa... en”, ale nieznanym okazało się nie tylko słowo, ale też dwie litery.

– Co to znaczy? – spytała Alka szeptem.

– „U kowala”.

Dziewczyna ze zdziwieniem potrząsnęła głową. Ale język! Chociaż jeśli tamto krzywe coś to „d”, a drugie – tak ukochany przez Sawrian ćwierkający dźwięk to wyjdzie coś podobnego do „podkowy”, „podkowywacz”. Można się domyśleć, że kowal.

Wystarczyło by podeszli bliżej, a skądś wyskoczyła nastoletnia dziewczyna, krótko ostrzyżona i z wyglądu bardziej psotna niż niejeden chłopak. Uśmiechnęła się (wyłącznie do Alka!), bez jednego słowa zabrała krowy i ze skupionym wyrazem twarzy gdzieś je pociągnęła. Ponieważ Sawrianin jako pierwszy oddał jej wodze, przyjaciele poszli za jego przykładem, ale mimo to Ryska z obawą spytała:

– Gdzie ona z nimi idzie?

– U nas nie jest przyjęte, żeby przywiązywać bydło przed karczmą. Brudzi, ulicę zagrada... Gospodarze jadłodajni składają się i opłacają wspólną krowiarnię gdzieś na skrzyżowaniu. – Alk obszedł szyld i zaczął magicznie karleć z każdym kolejnym krokiem – okazało się, że jest tam zejście do piwnicy. Czy raczej piwniczki, która mieściła ledwo trzy stoliki i z dziesięć krzeseł.

– Ojej, jaka malutka – zdumiała się Ryska.

– Tobie to nic nie pasuje – uśmiechnął się Sawrianin.

– Nie, ja tylko... – Dziewczyna dostrzegła wstającego im na spotkanie karczmarza i śpiesznie schowała się za plecami Alka. Mężczyzna istotnie przypominał kowala – wysoki, łysy, o krótkiej byczej szyi i szerokich barach. Taki to nawet wykidajły nie potrzebuje, wystarczy, że złapie za dekorujący ścianę młot...

Ryska drgnęła. Po raz pierwszy usłyszała, jak Alk mówi po sawriańsku. Wrażenie było dziwne i nieco straszne: niby ten sam głos, intonacja również, ale nie mogła zrozumieć nawet słowa! Jak gdyby jej się rozum pomieszał i przestała pojmować ludzką mowę – szczególnie kiedy karczmarz z szacunkiem odpowiedział w tym samym języku, wysuwając krzesła dla gości. W Rintarze Sawrianie mówili inaczej – dwa razy wolniej, pozwalając zrozumieć podobne słowa i zgadnąć brakujące, a tutaj nic tylko trzask, jak gdyby para srok plotkowała na gałęziach!

Żar, który miał kilku kumpli Sawrian nie czuł się aż tak bardzo wyobcowany. Ani się nie krępował, porozumiewając się z karczmarzem mieszaniną gestów i obu języków.

– A jak będzie po waszemu „niech Holga cię pobłogosławi”? – zwrócił się do Alka na sam koniec.

Ten męczeńsko zatoczył oczami.

– Przynajmniej tu ją zostaw w spokoju, co?!

Złodziej nie zmartwił się ani trochę, tylko odwrócił do karczmarza i z szerokim uśmiechem powtórzył jak mógł. Ten doskonale wszystko zrozumiał, wymamrotał coś z szacunkiem i nakreślił znak Bogini. Następnie przeniósł spojrzenie na dziewczynę.

Ryska skuliła się na krześle. Pewnie gospodarz pytał na co ma ochotę, ale bała się odpowiedzieć po rintarsku, a wstydziła po sawriańsku – a co, jak coś źle wymówi i będą się z niej śmiali albo co gorsza kogoś obrazi?!

Szczęśliwie odpowiedział za nią uśmiechnięty Alk. Karczmarz odwrócił się do niego, coś doprecyzował, skinął głową i odszedł.

– Alku...?

– Tsze? – odparł z roztargnieniem po sawriańsku, patrząc za karczmarzem.

Twarz Ryski przybrała nieszczęśliwy wyraz.

– Co? – poprawił się białowłosa, ściągając brwi.

– Nic – wymamrotała z westchnieniem dziewczyna, patrząc na stojącą na stole miskę, w której leżała górka czegoś żółtawego i podłużnego, podobnego do tłustych larw muchy. – Tak... To wszystko jakieś takie dziwne. Wszystko jest obce.

– Przyzwyczaisz się. – Alk złapał jedną „larwę” i z chrzęstem ją rozgryzł.

– Co to jest? – zainteresował się Żar.

– Solone ciasto, smażone na kurzym tłuszczu. Zamiast waszych sucharków.

– Smaczne?

– Paskudne. – Białowłosa otarł ręce o zapobiegliwie powieszony na oparciu krzesła ręcznik. – Ale ostatecznie się przekonałem, że jestem w domu.

Złodziej ostrożnie spróbował przekąski. Jemu raczej zasmakowała, może z powodu niezwykłości, a może zwyczajnie z głodu, więc podsunął miseczkę bliżej.

– Tobie to dobrze... – mruknęła smętnie Ryska, czując się owieczką wśród

wilków – pomalowaną na szaro, ale nie odważającą się odezwać z obawy, że zostanie natychmiast pożarta.

– Przyzwyczaisz się – powtórzył Sawrianin. – Przecież ja się przyzwyczailem.

– Przecież ty to ty!

Tak szczerą wiarą w jego odwagę nieźle Alka rozbawiła.

– Również miałem siedemnaście lat, kiedy znalazłem się w obcym kraju bez pieniędzy i zupełnie sam.

– A dlaczego nie poszedłeś do sawriańskiej Przystani? – zapytał Żar z ciekawością.

– Dziadek by mnie stamtąd wyciągnął w mgnieniu oka. A na rintarskie nie miał wpływu.

– Ojej! – Po krótkiej chwili namysłu dziewczynę olśniło. – Czyli to dlatego on również się do nas przeniósł? Żeby nie wpływali?

– Raczej po to, by całkowicie odmienić swoje życie. Zwyczajne wyrzucenie z niego jakiejś części jest zbyt skomplikowane.

– To jak odciąć sobie rękę z powodu chorego palca? – parsknął złodziej.

– W przypadku kiedy wda się zakażenie, jest to najlepsze wyjście.

Rozmowę przerwał karczmarz, który postawił przed Ryską miskę zupy, a przed Alkiem gigantyczny talerz... trawy. Nie no, naprawdę trawy! Niektóre listki przypominały babkę, inne mlecza, na górze posypane ziarnami słonecznika i przyprawione czymś przezroczystym, ale nie masłem – miało brązowy odcień i kwaśny zapach.

– Będiesz to jadł? – zapytał Żar na wszelki wypadek, wskazując palcem ciemnozieloną stertę.

– Oczywiście – Sawrianin patrzył na talerz z taką zachłannością jakby leżała tam przynajmniej faszerowana kaczka.

– I to naprawdę jest jadalne?

– To sałatka – poinformował Alk wzgardliwie, nadziewając na widelec stosik zieleniny. Posmarował nim po dnie talerza, zbierając sos i wpakował do ust. Demonstracyjnie zmrużył oczy z zachwytem.

– Ja wiem czym jest sałatka – obraziła się Ryska. – Ma w sobie śmietanę, koperek, ogórki i gotowane jajka. A tu masz same chwasty!

– Tu mam witaminy, kretynko! Są dobre dla zdrowia.

Złodziej nadal z niedowierzaniem podziwiał „sałatkę”, jak gdyby bojąc się, że może ona skoczyć do niego przez szerokość stołu.

– No tak, jak zaczną z ciebie dobrze wychodzić, to nie zdążysz do kibla dobiec.

– I pomagają utrzymać kształtną figurę – ciągnął Alk z naciskiem, spojrzeniem dając do zrozumienia, że figura Żara daleka jest od ideału.

– Chcesz powiedzieć, że w kształcie deski?

Ryska parsknęła. Sawrianin postawił na stole pięść z pustym widelcem, mierząc złodzieja surowym spojrzeniem i chrupiąc tajemniczymi „witaminami”. Czekanie, aż skończy przeżuwać i weźmie się za kogoś innego było nieco przerażające, więc Żar dodał pośpiesznie:

– Ale co? Przecież się nie spieram! Deska ma bardzo dobre kształty, pożyteczne! Można z niej zrobić ławkę, czy tam koryto dla świni...

„Zaraz zaczną jeszcze się mierzyć figurami!” – pomyślała Ryska z rezygnacją, ściągając z talerza Alka jeden listek. Zielenina jak zielenina. Soczysta. A to przezroczyście było czymś w rodzaju octu, tylko z posmakiem palonego karmelu. Na wiosnę z głodu to może by i się dało zjeść.

W tym momencie szczęśliwie Żarowi przyniesiono jego zamówienie, więc złodziej darował sobie dalsze komentarze odnośnie do sawriańskiego zboczonego gustu – napychanie własnego żołądka było znacznie ciekawsze.

Miejscowe potrawy okazały się całkiem jadalne i różniły tak naprawdę wyłącznie smakiem nieznanymi przypraw. Albo Alk specjalnie zamówił dla Ryski coś podobnego do rintarskiej kuchni.

– Czy ty mi nadal nie możesz wybaczyć tych bobrowych łbów? – Dziewczyna podniosła za koniuszek długi ogon, ni to świński, ni to wołowy.

– Odłóż na miejsce, to dla nas do piwa! – Alk odsunął od niej talerz. – Twoje racuchy zaraz przyniosą.

– Ale w czym te łby były gorsze?

– No bo były łbami, a tu masz ogony!

Ryska darowała sobie próby zrozumienia sawriańskich zwyczajów.

Przyjaciele nie siedzieli w karczmie długo – po wypiciu dwóch kufli piwa i dokończeniu zakąski poprosili o rachunek. Gospodarz nie zdziwił się na widok rintarskich pieniędzy – w końcu pogranicze, więc były w obiegu prawie że na równi z miejscowymi – ale policzył je jak siedem do sześciu.

– Niech szanowny pan chwilę poczeka, powiem dziewczynie, żeby przyprowadziła wasze krowy – poprosił Alka.

– Sami zabierzemy. – Sawrianin wstał i gestem pokazał towarzyszom, że mają pójść jego śladem.

– Czemu odmówiłeś? – zapytał Żar, kiedy już wyszli na ulicę. Chodzenie na piechotę z wypchanym brzuchem średnio mu odpowiadało.

– Wymienimy pieniądze. W krowiarniach mają najlepszy kurs.

– Ile my niby mamy tych pieniędzy... – westchnął Żar. Zakup ubrań pochłonął większość ich oszczędności i o ile sukienka jeszcze nadawała się do sprzedania, to rozdarty o krzaki kubrak nadawał się wyłącznie na podróż, chociaż Ryska w czasie postoju go zacerowała.

– To już twój problem.

– Dlaczego?

– A czyj był goniec?

– A czyja Isieńka?

– Wystarczy tego, co? – poprosiła Ryska błagalnie. – Wszystko jest wspólne, nie spierajcie się!

Po posiłku i odpoczynku dziewczyna nieco się uspokoiła, mimo że nadal trzymała się blisko Alka, budząc tym cichą zazdrość Żara.

– My się nie kłócimy – zaprzeczył złodziej i mściwie dodał: – Po prostu ustaliśmy pewne szczegóły. Żeby potem nie było żadnych pytań.

– Yhym – zgodził się Sawrianin. – Zaraz co poniekórym pourydam wspomniane szczegóły i już zdecydowanie nie będzie żadnych więcej pytań.

– Alku!

Tymczasem towarzysze w końcu doszli do krowiarni i pokojowe zapędy Ryski stały się niepotrzebne. Podczas gdy Alk wymieniał jednego wybitego w metalu tsara na drugiego, Żar i Ryska wyprowadzili krowy. Czy raczej dziewczyna po prostu złapała swoją za ogłowie i poprowadziła, a złodziej zatrzymał się jeszcze, poprawiając uprzęż i bagaż. Dokładnie jak przepowiedział Sawrianin, gitara wyglądała bardzo smętnie. Rano Żar postawił ją zbyt blisko ogniska, potem wioził w słońcu więc gryf był zauważalnie przekrzywiony, a cienkie deseczki korpusu powyginały się jak zaschnięte klonowe liście i rozkleiły w kilku miejscach. Do jednej szczeliny nawet można było wsadzić palec. Złodziej już zamierzał porzucić „przyjaciółkę” w rogu boksu, kiedy przechodzący koło drzwi pomocnik krowiuszego zobaczył rintarskiego modlika z gitarą i z rozbawieniem rzucił:

– Tsze strumencz zo Rintar, sze Hołca służher – i z przyjemnością wstawił ukochane słówko swojej rintarskiej teściowej: – Śśmieć!

– To żaden śmieć! – Obrażony Żar udał słuszne oburzenie: – To relikwia! Ukochana gitara samego świętego Tracniła, z którą przeprowadzał się przez rzekę!

– Światysz przecie na balu szczy płynął – nie zrozumiał chłopak.

– Ale przecież musiał czymś wiosłować!

Pomocnik zamrugnął z namysłem. Faktycznie, o wiosle w legendzie nic nie było, a gołymi rękoma to spróbuj poruszyć ciężki sosnowy bal!

– Święty Tracnił uleczył chore dziecko, a zepsutą gitarę zostawił jego rodzicom na pamiątkę tego cudu – zmyślał Żar z natchnieniem, tuląc do siebie gitarę tak delikatnie, jak gdyby była jego pierwotną latoroślą. – Od tamtego czasu przechowywana jest w naszej modlitwni i chroni wioskę przed pomorem i innymi nieszczęściami. Ale mimo wszystko uznałem, że udam się na pielgrzymkę do mogiły świętego, aby nasza relikwia wchłonęła w siebie jeszcze więcej świętości.

– A nie kłamiesz? – zapytał Sawrianin z niedowierzaniem, patrząc na gitarę z zupełnie innym wyrazem twarzy.

– Po co miałbym kłamać? Przecież nie jesteśmy na rynku, żebym próbował ci ją sprzedać. – Żar czule pogładził gitarę po gryfie.

– A tsze by ona na targielu zakosztowała? – zaciekawiał się pomocnik.

– No coś ty! – zachnął się „modlik” z oburzeniem. – Nawet podawanie ceny za nią to profanacja!

– Isz dwoczen złotych?

– Wie pan co, szanowny, zostawmy tę dyskusję – powiedział Żar twardo, delikatnie otulając „relikwię” swoim starym kubrakiem i mocując do siodła. – Ona nie jest na sprzedaż, wymianę ani do pożyczania. Po pielgrzymce zwrócę ją do mojej rodzimej modlitewni i tam będzie przechowywana do końca świata. Och, coś mnie w brzuchu ścisza po tej waszej kuchni... Popilnowałbyś chwilę krowy, odbiegnę za krzaczki!

Kiedy złodziej w końcu dołączył do przyjaciół, ci byli już gotowi iść go szukać.

– A tak... zasiedziałem się – odpowiedział Żar wymijająco na pełne pretensji spojrzenia. – To co, jedziemy dalej?

– Trzeba jeszcze wpaść do płatnerza. – Zawiniątko przy siodle Alka było znacznie dłuższe i cięższe. – Chcę kupić przyzwoite pochwy. Potrzebujesz miecza? Czy mam sprzedać oba?

– Nie, jeden zostaw – zaproponował złodziej. – Niech wisi przynajmniej na pokaz.

– Myślisz, że od razu się wszyscy będą ciebie bali? – parsknął Sawrianin.

– Wszyscy nie wszyscy, ale drobne rzezimieszki się nie będą pchały – rozsądnie odparł Żar.

– Oni swojego i tak nie ruszą.

Ryska z rezygnacją pokręciła głową. Garbatych to dopiero mogiła wyprostuje!

Jednak mimo wszystko po przecięciu granicy obaj jej towarzysze zmienili się w jakiś nie do końca określony sposób.

Żar próbował zachowywać się tak, jak gdyby było mu wszystko jedno w którym kraju się znajduje, gadając i dokuczając Alkowi nawet bardziej niż wcześniej. Ale w sprawach, które były jakkolwiek istotne słuchał Sawrianina bez słowa sprzeciwu, jak chociażby teraz w kwestii wycieczki do płatnerza.

A Alk... Ryska dopiero teraz zrozumiała, jak bardzo spięty był w Rintarze. Jak kusza, którą wszędzie nosi się naładowaną i napiętą – a przecież takie zachowanie psuje nie tylko broń. Jakkolwiek obojętnie Alk by nie mówił o swojej ojczyźnie, tu czuł się znacznie lepiej. Zrobił się bardziej rozmowny. Bardziej pobłażliwy. I... bliższy. Pogardliwie-wyobcowany stosunek do towarzyszy zmienił się w patronujący, wręcz opiekuńczy. I właśnie dlatego Ryska co i rusz tuliła się do tego, kto *naprawdę* będzie potrafił ją obronić.

Wymiana kiepskiego tseckiego miecza na trzy pochwy nie była specjalnie trudna, nie musieli nawet dopłacać. Mistrz długo rozpływał się z zachwytu nad klingami Alka, proponował za nie dobrą uczciwą cenę, ale białowłosy tylko kręcił głową w milczeniu. Nie po to drapał sobie nimi plecy.

Ostatecznie musieli też kupić buty dla Żara: „modlik” kategorycznie odmówił pójścia ścieżką Tracziła, uznając ją za zbyt kamienistą. Uzupełnili też zapasy żywności oraz paszy – Alk powiedział, że zna krótką drogę do stolicy, ale prawie nie będzie na niej osad.

Nie zamierzali zatrzymywać się w mieście na dłużej, ale przecinając je w linii prostej przypadkiem trafili w zgromadzony na placu tłum.

– Co to?! – Ryska uniosła się na palce, próbując zrozumieć kto i dlaczego tak koszmarnie się drze.

Alk z Żarem widzieli (a domyślili się nawet wcześniej), lecz nie śpieszyli z wyjaśnieniami. Sawrianin ze wstrętem zacisnął wargi, podczas gdy złodziej patrzył z ciekawością. Kaźń zbliżała się do końca. To, co leżało na ławie (pochylonej, żeby publika mogła podziwiać pracę kata) jeszcze zachowywało zarysy ludzkiego ciała – ale prawie utraciło jakiegokolwiek podobieństwo. Ale jeszcze mogło krzyczeć, co szczególnie cieszyło widzów, odzywających się na każdy wrzask śmiechami i gwizdem.

– Za co oni go tak?!

– Kczin kattec? – zapytał Alk, trącając w ramię stojącą przed nimi mieszkankę miasta.

Ta odwróciła się – płonące oczy, czerwone wilgotne wargi lekko otwarte, pierś unosi się często, jak gdyby ktoś już ją rozpałił, a tu nagle trafił się kolejny mężczyzna – i kokieteryjnie odpowiedziała:

– Ritarisz donosczer. Lubicz kąty?

– Necz – uciał Sawrianin. Panna z rozczarowaniem zacisnęła wargi i ponownie wbiła zachłanne spojrzenie w podwyższenie.

– „Donosczer” to szpieg? – upewnił się Żar szeptem.

Alk chmurnie skinął głową. Katowany znowu wrzasnął, desperacko i bezsensownie. W tej chwili nawet najlepszy medyk już nie dałby rady go uratować, ale młode silne ciało uparcie czepiało się życia, nie rozumiejąc, że tylko przeciąga swoje cierpienie.

Herold dźwięcznie i radośnie odczytał coś z długiej kartki (tłum zawarczał z zadowoleniem) i powtórzył w łamanym rintarskim, żeby osądzony również zrozumiał i docenił:

– Czescz siemnatcie. Wydłupywanie...

Ryska zasłoniła uszy rękami i zmrużyła oczy. Alk objął ją za ramiona wolną ręką i zaczął przepychać się przez tłum. Krowy jak kotwice wlekły się za nimi. Ludzie warczeli z niezadowoleniem, niektórzy nawet klęli. Ale nawet człowiek,

któremu Śmierć mocno nadepnęła na nogę nie próbował wszczynać bójki – za bardzo chciał obejrzeć „wydłupywanie” do końca. I tak sobie stał na zdrowej nodze, drugą trzymając ręką i krzywiąc się z bólu.

– O Bogini, co za koszmar! – szepnęła Ryska, ryzykując opuszczenie rąk dopiero na końcu długiej ulicy. Krzyków już nie było słychać. Całkiem prawdopodobne, że na placu ucichły również. – Jak można tak postępować z żywym człowiekiem?! To nie ludzie tylko jakieś zwierzęta!

Żar wzruszył ramionami.

– Każż jak każż. Zdarza się, że nawet na półsetki części rozpiszą. Tylko z tego co miałem okazję widzieć, nawet do połowy nikt nie dożył.

– Ty też chodziłeś patrzeć na takie rzeczy?! One w Rintarze również się zdarzają?!

– A co w tym takiego? Wszyscy chodzą. – Z jakiegoś powodu Żar poczuł się winny.

Ryska potrząsnęła głową, próbując ułożyć w niej zasłyszane informacje. W majątku nawet kurę starano się ubić jednym ciosem, a tutaj człowieka...

– Możesz wrócić i obejrzeć do końca – zaproponował ironicznie Alk złodziejowi.

– E tam... – Żar ze skrępowaniem machnął ręką. – Marnować czas na takie bzdury. Przecież to nie ostatni raz... Hej, Rysiu, co tobie?!

– Dobrze, że przynajmniej zdążyła odbiec do rynsztoka – westchnął Sawrianin, zatrzymując się.

* * *

Z nadejściem zmroku z wilgotnych krzaków ponownie wyłoniły się krwiożercze i „jadowite” sawriańskie komary. Żar, który cierpiał przez nie mocniej niż inni, zebrał naręczę rumianku i wrzucił je do ogniska, ale zielsko spowodowało taki kłęb dymu, iż wszyscy uznali że jednak wolą komary.

– I jak tam nasza gitara? – Póki rumianki dogorywały, złodziej przespacerował się do krowy, wrócił z kubracznym zawiniątkiem i rozpakował je, trzymając na kolanach. – O, a ty mówiłeś, że się wykrzywi! Jest jak nowa, nawet się błyszczczy.

– Ale... to przecież jest inna gitara! – Ryska osłupiała po przyjrzeniu się dokładniej. Cygańska była jaśniejsza i większa, przecież nie skurczyła się pod działaniem wody!

– Sawriańska gościnność jest ponad wszelkie pochwały – zachichotał Żar, lekko klepiąc dłonią w korpus gitary, która odezwała się melodyjnym jękiem.

– Ukradłeś ją?!

– Holgo uchowaj! Przeciwnie. Wystarczyło, bym odszedł dosłownie na ćwierć łuczywa, a krowiuch z dobroci serca wymienił zepsutą rzecz na nową. – Żar

chichocząc z samozadowoleniem opowiedział towarzyszom nieznanym dotychczas rozdział z życia świętego Tracznika.

– Kradnie wszystko, co nie jest przybite gwoździami, a jak jest przybite to oddłubie i również zakosi! – westchnął Alk, zabierając złodziejowi gitarę.

– A co to ma ze mną wspólnego? Nawet jak spróbujemy ją oddać to właściciel uda, że mu nic nie zginęło.

– No to przyznaj się, że z tym świętym to żartowałeś! – powiedziała Ryska z pretensją.

– W takim razie jeszcze go pobiją. – Sawrianin trącił jedną strunę, drugą... – Całkiem przyzwoicie. Lepsza niż tamta. – Alk wziął prosty akord, potem złożony. – Tylko rozstrojona.

Dziewczyna poczuła w sercu słodkie wyczekiwanie. Wcześniej również zachwycała się minstrelami, ale Alkowi wszystko wychodziło jakoś tak... szczególnie. Ujmował nie mistrzostwem, tylko włożoną w grę duszą, jak gdyby ożywiając nią struny. Za taki dar Ryska bez wahania oddałaby cokolwiek!

– Lepiej byś mnie grać nauczył, a nie machać mieczem – wyrwało jej się.

– Po co?

– Znaczący... grałabym.

– Po co?

– A po co ty grasz? – obraziła się Ryska.

– Dla zabawy. – Białowłosa nie przerwał strojenia gitary.

– Nieprawda! – zaprzeczyła dziewczyna z żarem. – Tak dobrze ci wychodzi... Zaśpiewaj coś, co?

– A co ja z tego będę miał?

– Ja baaardzo ładnie proszę!

Alk uśmiechnął się, ale czy przystał na jej prośbę, Ryska dowiedziała się dopiero po paru szczapach, kiedy Sawrianin był w końcu usatysfakcjonowany brzmieniem każdej ze strun. Zaczął niespodziewanie – szeptem, do którego stopniowo dołączyła muzyka, nasilająca się z każdym słowem jak sztorm:

*Tam jest wieczne życie
przez bóle i krzywdy
w szalonych gonitwach
przez ciągłe odkrycia.
Tam jest wieczne życie
i czasu do woli
choć czasem to boli
i krwawi obficie.
Tam jest wieczne życie
dla tego kto stoi*

*i mieczem praw swoich
dowiedzie niezbicie.
Tam jest wieczne życie
w balladach i pieśniach
w wesołych powieściach
jak w krzywych odbiciach...*

Kulminacja, sama melodia, szalona w tempie i mocy, po czym znowu cicho, jak zakłęcie... albo modlitwa:

*Niech trwa wiatru wycie
i niech z zimna drżymy
my w śmierć nie wierzymy
bo jest życie wieczne...*

– Tamten gościu na ławie tortur pewnie również nie wierzył – skomentował złośliwie Żar. Piosenka mu się spodobała, ale nie spodobało mu się, jak Ryska patrzy na śpiewaka. Zawróci dziewczynie w głowie!

Dokładnie tak jak obliczył złodziej, nastrój przyjaciółki natychmiast poszybował w dół i w jej uszach zabrzmiała zupełnie inna „muzyka”.

– A on naprawdę był szpiegiem? – spytała Ryska Sawrianina ściszym głosem.

Ten nadal z namysłem przebierał struny, płynnie przechodząc od jednej melodii do drugiej. Gitara wydawała się cieszyć, czując zwinne palce, jak cieszy się znudzona w wieskowej krowiarni wyścigowa krowa na widok doświadczonego jeźdźca.

– Możliwe. Wyobraź sobie, że od czasu do czasu na szafot trafiają również słusznie skazani.

– Tak, ale... – Ryska pomyślała, że taka sprawiedliwość jest znacznie gorsza od tego, co Alk zrobił rozbójnikom. Tamci się przynajmniej nie męczyli długo. – Dlaczego nie można go było zwyczajnie powiesić? Przecież tam były kobiety, dzieci... I wszyscy patrzyli, jakby to przedstawienie było! Z takim... poparciem. – Dziewczyna wzdrygnęła się. Chyba to właśnie twarz tamtej mieszczanek przestraszyła ją najbardziej ze wszystkiego.

– Ludzie to zabawne istoty. – Alk dłonią zatrzymał trzepoczące struny i położył gitarę na kolanach. – Żywią stanowcze przekonanie, że zło można zniszczyć, nadziejąc je na pal albo powoli smażyć w ognisku. Że ono pokaja się i skruszy, gnijąc w śmierdzącym więzieniu, po chwili rozciągania na kole, stojąc przy pręgierzu, pozbawione przyjaciela lub ukochanej, tracąc sens życia wraz ze wzrokiem, majątkiem lub honorem. I kiedy ono, wdeptane w błoto, zachłyśnie się

własną krwią, niezdolne nawet chrypieć, próbując sięgnąć w plecy noża, to dobro zwycięży.

– A co w takim razie trzeba robić ze złem, głaskać je po główce? – zapytał Żar z irytacją. Nie żeby przepadał za publicznymi kaźniami, ale jak tu nie pójść z przyjaciółmi, chojrząc albo nawet robiąc stawki o to, ile ofiara wytrzyma? Szczególnie jeśli to jakiś morderca albo deprawator, bo ich to na pewno nie żal. Co prawda nadal gdzieś w głębi duszy zostawał paskudny osad, który trzeba było splukiwać warzeńcem. Któregoś razu nawet przyśniło mu się, że to jego rozciągnięto na kole, obudził się wtedy zlany zimnym potem.

– Można zaproponować mu pieniędzy – poradził Alk ironicznie. – Że tak powiem, wychować materialnie.

– A co, jak nie weźmie?

– Znacząco mało proponujesz.

– A może to takie uduchowione zło? – zasugerował Żar podstępnie. – O twardych zasadach moralnych?

– W takim razie dla nas to żaden grzech, żeby się mu zaprzedać. Bo przecież dobro... – Alk wsłuchał się w dźwięk trzeciej struny, zmarszczył brwi i ledwo co, dosłownie o włos, podkręcił kołek. – Akurat dobro może się pokajać. I wtedy nawet zło z przerażeniem zejdzie mu z drogi.

Rozdział 8

Szczurze dzieci rodzą się gołe i bezradne.

To samo źródło

U tsarskich komnat stała straż, ale na widok Kastiusza tsecowie nawet się nie poruszyli. Wręcz przeciwnie, ich oczy zrobiły się szkliste, jak gdyby korytarz niespodziewanie utonął w mroku.

Co prawda naczelnik „łasic” nie nadużywał zaufania – zapukał i poczekał na odpowiedź.

Tsar już od dwóch dni leżał w łóżku i tylko Kastiusz wiedział, że nie z powodu złego samopoczucia, a właśnie po to, by *nie* poczuć się źle. Nawet zakazał wpuszczania do siebie syna, żeby nie męczyć po raz kolejny i tak nadwyrężonego serca – w ciągu następnych kilku miesięcy czekało go zbyt wiele pracy.

– No i z czym przychodzisz? – Witor już wiedział, co usłyszy. Złe wieści naczelnik tajnej straży przynosił z innym wyrazem twarzy, takim smutnym i pełnym namysłu, że niby nawet chciałbym powiedzieć coś dobrego, ale co ja tam mogę przeciwko Saszemu...

– Wasza tsarska mość, wszystko gotowe. – Kastiusz mimowolnie przeniósł spojrzenie na wiszącą naprzeciwko łóżka mapę. W tsarskim skarbcu było ich mnóstwo – również bardziej malowniczych czy szczegółowych do ostatniego wzgórza, ale Witor wolał zabrać tę, która dołączona była do traktatu pokojowego z Sawrianami. Nie zmieniła się już od siedemnastu lat, mimo że tak naprawdę różniła się od rzeczywistości pewnym szczegółem. Ale tak małym i nieistotnym, że nikt nigdy się nim nie przejmował. – Czekamy tylko na rozkaz.

– To masz go. – Witor wyciągnął ze szczeliny pomiędzy poduszkami zwój, jeszcze nie zapieczętowany.

Jeżeli dobrze się przyjrzeć, to na środku Rybki niedaleko Jezyc można dostrzec dziurę po ubrudzonym w atramencie piórze, które tsar w zapale wetknął w papier podczas omawiania planu. Rzeka była ciemnobłękitna, atrament również, ale plama przyciągała Kastiusza jak mordercę kropla krwi, którą inni uznają za zwykły brud. Gdy tymczasem on *wiedział*, co tu się stało...

– Hej! Na co się tam gapisz? – Tsar niecierpliwie potrząsnął papierem i rzucił go na stolik przy łóżku, gdzie już paliła się świeca i leżał czerwonobrazowy kawałek wosku.

Naczelnik tajnej straży mrugnął, przeprosił za roztargnienie (przeklęty brak snu!) i śpiesznie rozwinął zwój. Zresztą dla Kastiusza jego treść nie stanowiła

tajemnicy, interesowała go wyłącznie data.

– Może warto przenieść ją o kilka dni do przodu? – poczynił nienachalną aluzję. – Albo do tyłu, goniec jeszcze zdąży...

– Nie.

– Sawrianie się domyślą. Rządzący na pewno.

– Ołać to – uciał tsar gwałtownie, topiąc wosk. – Tego dnia zamordowali mojego syna. Niechaj wiedzą, za co płacą.

* * *

– Lewasz!

– Mikh! Co cię sprowadza?!

Robotnik i drwal mocno się objęli. Z boku wyglądało to jak pojedynek dwójki niedźwiedzi – który którego pochyli.

– Na tsarskie wezwanie, żeby go! – Starzy przyjaciele w końcu się od siebie odlepili. – Najpierw pałkami machaliśmy, a teraz wozimy kamienie i bale, łatamy Jeżyce.

– A my dla was rąbiemy! – zarechotał Lewasz, obracając się plecami, na których wisiał w pętłach wielki topór o wygiętej ręczce. Inny człowiek by się ucieszył, mogąc zrzucić taki ciężar po zakończeniu dnia pracy, ale drwal przyzwyczaiał się do jego niemałej wagi tak, jak inni przyzwyczajają się do wysokich butów do chodzenia po mokradłach czy serdaka. Kiedyś Lewasz dokładnie tak samo taszczył dwuręczny miecz, który za jego szerokimi barkami wyglądał jak półtorak. – Dawno tu jesteście?

– Trzeci dzień.

– I dopiero teraz się spotkaliśmy?! No co za szkoda! – rzucił drwal z pretensją, mimo że rozminięcie się na długim wyrębie nad rzeką było dosyć łatwe: wszystko zawalone naręczami gałęzi, słowa zagłuszał stukot toporów oraz trzask padających drzew, nie wspominając o biegających tam i z powrotem kilku setkach ludzi.

– Przecież od rana do wieczora pleców nie prostujemy, gdzie tam jeszcze na boki patrzeć! Siadaj, pogadamy!

– Ja do rzeki idę po wodę. – Drwal wskazał pusty kociołek. – Moi chłopcy tam siedzą głodni.

– Nic to, przez łuczywko nie zdechną z tego głodu! Albo jak masz ochotę to wołaj ich do nas, dolejemy wody do naszej potrawki. Daleko stoicie?

– Zara, może głosem sięgnę. – Lewasz odwrócił się w mrok, przyłożył ręce do ust i dźwięcznie wrzasnął: – Hej! Chopy, chono tutaj, żarciem częstują!

– A my możemy? – rozległy się śmiechy od kilku sąsiednich ognisk.

– A wy to tylko za miedki! – Drwal nie stracił rezonu.

– Eeech, sknera!

– Od takich słyszę! Do dziewczek w gości też chodźcie z pustymi rękoma?

Mrok nie pozostał dłużny:

– Się znalazła ślicznota z brodą do pasa!

– Taka sama powinna płacić!

– Pannom to się prezenty nosi nie w rękach tylko w portach!

– Hy-hy-hy!

– Ach-ha-ha!

Jeden z żartownisiów jednak się stawił, trzymając butelkę zamiast monet. Został powitany z radością, dokładnie tak samo jak podchodzący drwale. Do ogniska dorzucano polan, do kotła nie tylko dolano wody, ale też dołożono mąki i słoniny.

Podszedł jeden z ochraniających tseców, chwilę kręcił się wokół, z niezadowoleniem zerkając na głośnie towarzystwo, ale nie znalazł nic do czego mógłby się doczepić, więc wrócił do swoich.

– Nie no, jakie wy macie zabawne bransoletki! – zauważył Lewasz, łapiąc przyjaciela za rękę, by obejrzeć dokładniej.

– Prezent od tsara – parsknął Mikh bez szczególnej wesołości. – Wy też na rozkaz?

– Nie, my jesteśmy wolne ptaki, wynajęte. A ty nie mów, że się z ciebie wieszczanin zrobił? Nie no!

– Ot, pracuję sobie powoli... Widzę, że ty też z „rudych wilków” odszedłeś?

– Bo oni rok po twoim odejściu się rozpadli. Mawiej i Drim zginęli, i to głupio, wpadli w zasadzkę rozbójników. Siwa bez nich się znudził i odszedł, Łysy zaczął często chorować, to uznałem, że starczy tej zabawy. Ojciec się już zrobił stary, więc czas najwyższy, by przejąć po nim interes. No, to poznaj moich chłopaków...

Lewasz przedstawił resztę drwali, Mikh – wieszczan, bezczelny chłopina przedstawił się sam. Cała sprawa natychmiast została oblana, bo szczęśliwie butelek było więcej niż jedna – póki w mieście rozładowywano wozy Cyka zdążył przebiec się na tamtejszy targ i kupić co trzeba. Mikh z Kołajem go osłaniali. Czy raczej Mikh osłaniał, robiąc za obu, a Kołaj jójczał że „zaraz ktoś zauważy i wszyscy trzej oberwą!” Nie zauważyli, więc teraz ojczym Ryski z dumie wypiętą pierśią chwalił się z jakim trudem zdobyte zostało przez nich (z całych sił czyniąc aluzje, że przeważnie przez niego) to wino. Jego towarzysze tylko się śmiali.

– A ja widziałem dziś naszego modlika! – przypomniał sobie Cyka niespodziewanie. – Straszny się zrobił, cały zarośnięty, ledwo poznałem. Stał na promie koło przystani, dookoła tłum jak na jarmarku. Pewnie powiózł te swoje kazania do Sawrian.

Robotnicy złośliwie zachichotali, ciesząc się, jakby włali sąsiadowi do wychodka dzban zakwasu.

– Zasłużyli sobie!

Po wyjaśnieniu drwalom sedna sprawy ci również się pośmieli. Przez parę łuczyw Mikh i Lewasz na przemian przypominali sobie młodość, ale w końcu rozmowa powoli zamarła. Niby tematy były, ale lepiej by posłuchać, bo wszyscy zdążyli się zmęczyć. Pozostałe ogniska jedno po drugim zmieniały się w żółtych płatków w czerwone plamki, ludzie kładli się spać. Jaskrawo paliły się wyłącznie strażnicze, na brzegach i koło wody. Pępek Holgi – porośnięta trawą wyspa, znajdująca się bliżej rintarskiego brzegu – wydawał się puchatą czapką wielkoluda, którą ten upuścił do rzeki.

– Ech... – westchnął drwal. – Bajarka by się przydała.

– Yhym – przytaknął Mikh. – Ech, mieliśmy w majątku dziewczynę, jak słowik śpiewała, do drugich kogutów człowiek siedział z otwartymi ustami!

– O, a my parę tygodni temu też taką spotkaliśmy! – ożywił się Lewasz. – Żwawa jak ta sikorka, chudziutka, zielonooka...

– To wypisz wymaluj nasza – zdziwił się Cyka.

– Jak ona miała na imię? – Drwal z trudem spróbował sobie przypomnieć. – Coś dźwięcznego, muzycznego...

– Ryska?

– Właśnie, Ryska!

– No coś ty?! – Robotnicy przysunęli się bliżej, płonąc z ciekawości: jakim niby sposobem ich cicha Rysieńka stała się wędrowną bajarką?!

– Jeszcze miała ze sobą dwójkę chłopca – ciągnął Lewasz. – Jeden to niczego sobie, swój gość, tyle że z twarzy oszust, a drugi Sawrianin...

– Nah...! – przerwał mu Cyka z rozczarowaniem. – To nie nasza. Nasza Ryska by za nic nie zadała się z białowłosym.

* * *

– Rety, Alku, co to?

Droga szła w górę. Szła długo i uparcie, przez ostatnie łuczywo prowadzili krowy za uzdy i Ryska była już tak zmęczona, że prawie nie patrzyła na boki. A teraz nagle podniosła głowę i dostrzegła, że na szczycie wzgórza, na które zdążali, sterczał z lasu szary kieł wieży.

– Ruiny zamku – odparł Sawrianin obojętnie, przechodząc nad odłamkiem kamienia. Droga była nie najlepsza, na wpół zarośnięta ale jeszcze całkiem przejezdna. Znacznie więcej czasu zajęłaby wycieczka naokoło.

– A dlaczego się rozpadł?

– Wojna pomiędzy sąsiadami. Obrońcy trzymali się do ostatniego człowieka, więc ocalała tylko ta wieża. Co prawda przez te lata ona również rozsypała się z tyłu.

– A dlaczego nie odbudowano jej na nowo?

- Kto? Gospodarze i strażnicy zginęli, słudzy uciekli.
- No chociażby ci, którzy wygrali?
- Ale po co im to? Wyciągnęli co było cennego i wrócili do domu.
- Ech, a ja to bym nie odmówił takiego zameczku – rzucił Żar z zazdrością.

Towarzysze akurat dotarli do na wpół zniszczonej arki, ale nie weszli na podwórze, gdzie zalegała mieszanina odłamków kamieni, porośnięta zielskiem. Zamiast tego pojechali wzdłuż muru. – Pewnie tłumy służących, obiad na trzydzieści dań, prawo pierwszej nocy...

– Kupa wojowniczych sąsiadów, którym to wszystko jest solą w oku... – burknął Alk.

- Ale przecież oni mają swoje zamki!
- Ale kiedy inni ich nie mają, to jest to znacznie przyjemniejsze!

Ryska zatrzymała się, jak zaczarowana oglądając kwiatek, który wyrósł w szczelinie muru. Z wyglądu delikatny, o gałązkach jak pajęczyny i koronkowych liściach, mimo wszystko jakoś uczeplił się pionowej ścianie, znajdując wystarczająco ziemi i wilgoci w pęknięciach zaprawy murarskiej. Z daleka wydawało się, że kwiatek wyrasta wprost z kamienia. A jeśli odejść jeszcze dalej – że na murze widnieją rozbryzgane kropelki krwi.

Dziewczyna wyciągnęła rękę, żeby sprawdzić wytrzymałość łodygi, ale ostatecznie nie zdecydowała się nawet na to, by jej dotknąć. To... jakbyś wszedł do modlitewni i pociągnął posąg Holgi za nos!

– Tak – rzucił Alk w odpowiedzi na jej myśli. – Kiedyś żyli tu ludzie. O tam, w dolinie, znajdowała się wieska, skąd ściągano chłopów do budowy tego giganta. Przez dziesięć albo i kilkadziesiąt lat. Zapraszano słynnych architektów, zwożono z daleka specjalny granit ze złotą iskrą... A potem w ciągu tygodnia wszystko zniszczono, rozgrabiono, spalono i porzucono na zawsze.

– Szkoda – westchnęła Ryska.

Żar spojrzął ze wzgórze w dół, wyobraził sobie, co czuli obrońcy zamku, widząc powoli spływające do niego wrogie wojsko, wzdrygnął się i zrobił krok do tyłu. Nad na wpół zniszczoną wieżą piskliwymi strzałami latały jerzyki, słońce zalewało kamienie wrzącą smołą zachodzących promieni, wiatr brodził po labiryncie schodów echami krzyków. Jeden raz chyba nawet usłyszeli jęk, ale szybko zmienił się w prześmiewcze pogwizdywanie.

– Szkoda – zgodził się Sawrianin. – Ale może tak jest lepiej. Nie ma zamku, to nie ma o co walczyć.

– Ale przecież ludzi też nie ma!

– No to nie ma kto. Nawet lepiej. Bo ile by ich nie dzielić – na dwa kraje, cztery, dwadzieścia, to nadal znajdą coś, o co się pobiją. Jedna wieska na drugą i tak pójdzie z widłami, o kurę przejechaną przez wóz.

Ale Żar ciągle nie chciał się uspokoić:

– Alku, posłuchaj. – Zbliżył się do białowłosego i porozumiewawczo szturchnął go łokciem. – A mieliście w zamku prawo pierwszej nocy?

– No mieliśmy – potwierdził niechętnie zapytany.

– I jak?!

– A nijak. Przed tymi, które nie mają nic przeciwko, potem spokoju nie ma – łążą cały dzień po zamku zamiast pracować. A jak która jest przeciwko, to przecież żadna przyjemność.

– Czyli co, ciężki nudny obowiązek? – parsknął Żar.

– Nie to żeby ciężki i nudny – przyznał Alk. – Trafiały się panny wcale... zmysłne. Ale tam już nie było co mówić o *pierwszej* nocy. Któregoś razu w ogóle zjawilo się takie babsko, że do rana musieliśmy się z ojcem chować w wieży...

– A tak w zasadzie, to jakiś biedak będzie z nią potem żył! – Złodziej odpowiedział żartobliwą pretensją do niesumiennych panów, uciekających przed swoim świętym obowiązkiem w stosunku do wasali.

– Za posag z dziesięciu krów można nie tylko to wytrzymać. – Alk złośliwie spojrzał na Ryskę.

– Nie można – burknęła dziewczyna pod nosem.

– Że co?

– Nie można! – powtórzyła Ryska głośniej. – Czego ty się mnie ciągle czepiasz z tymi krowami? Myślisz, że skoro jestem wieszczką, to dla mnie liczy się tylko bydło?! Ja chcę wyjść za mąż z miłości, a nie z wyrachowania!

– Ooo... – zgodnie mruknęli jej towarzysze. Szczególnie Żar, który doskonale pamiętał nocną rozmowę na strychu.

– Albo przynajmniej z przyjaźni – poprawiła się dziewczyna.

– Długo będziesz szukała – zauważył Alk ze „współczuciem” w głosie.

– Dlaczego? Czy ja naprawdę aż tak wiele wymagam?

– Ty nie, ale przed tobą to tylko do wieży.

Mężczyźni (obaj!) paskudnie zachichotali. Dziewczyna zasępiła się i drżącym z urazy głosem przypieczętowała:

– A ty bez tego swojego zamku nikomu nie jesteś potrzebny, nie tylko dla pierwszej nocy, ale i dla dziesiątej też! I w ogóle może to wcale nie dlatego się w wieży chowałeś!

– A dlaczego? – zdziwił się Alk.

– Dlatego... – Ryska spłonęła rumieńcem, ale jednak znalazła w sobie siły żeby dokończyć: – Dlatego że i tak by ci nic nie wyszło!

– Słyszałeś to? – Sawrianin ze zdumieniem spojrzał na złodzieja. – Teraz po prostu jestem zmuszony, by udowodnić jej jak jest naprawdę, albo moja godność nieodwracalnie ucierpi! Potrzywasz krowy?

– A ty nią mniej machaj – odcięła się do reszty wyprowadzona z równowagi Ryska. – To nikt jej przypadkiem nie przytnie! A krowę to sama mogę ci

potrzymać. Nawet się odwrócić.

Teraz chichotał jedynie Żar.

– No to koniec, dziewczko, dograłaś się! – Alk rzucił wodze i z bardzo poważnym wyrazem twarzy ruszył w kierunku Ryski. Ta natychmiast straciła całą odwagę. Z piskiem zbiegła ze wzgórza nie widząc, że Sawrianin zrobił ledwo co parę kroków i zatrzymał się z zadowolonym uśmiechem.

– Jeśli zaczynasz na kogoś czekać, to bądź gotów, że będziesz musiał również ugryźć – poinformował Żara mentorskim tonem.

– Jednak ci docięła – parsknął złodziej.

– Jakby mi docięła, to ja bym przed nią uciekał.

Ryska w końcu się zatrzymała, odwróciła i zrozumiała, że została oszukana – a teraz czekało ją jeszcze wspinanie się z powrotem na zbocze! Nie no, co za...!

– Czekaj, zeźli się mocniej to i ty będziesz uciekał – obiecał Żar. – Żebyś widział jak ona się w dzieciństwie rzuciła na jednego chłopaka w mojej obronie! Pogryzła go!

– I co? Zbiesił się z tego powodu i zaczął czynić dobro? – zapytał Sawrianin sceptycznie.

– Przynajmniej więcej już się nas nie czepiał. – Złodziej spojrzał na zirytowaną i zziąjaną przyjaciółkę, przypominając sobie, jak w nocy włązili na zbocze parowu, ratując „takkę”. Szkoda, że dla Żara droga do majątku jest zamknięta. Ciekawie by było popatrzeć, co się tam zmieniło.

W okolicy obiadu Fessa poczuła bóle brzucha. Niezbyt mocne ale częste, paskudnie ciągnące w dół. Szczególnie ciężkie z jakiegoś powodu było siedzenie.

Mucha zauważyła, jak służąca się męczy i z pretensją (bo znowu czekało ją samotne gotowanie kolacji!) nakazała:

– Idź się połóż i nogi podnieś na ścianę! Ile ci tam zostało? Miesiąc? Nie, trzeba ponosić jeszcze przynajmniej parę tygodni. To najgorszy miesiąc dla dzieciątka – ósmy, moja siostra w ten sposób straciła drugą córkę.

Sama żonka z jakiegoś powodu nijak nie mogła zająć w ciążę, z czego się potajemnie cieszyła, za młodu co miesiąc stawiając Holdze dziękczynne kadzidełko: matka Muchy umarła przy trzecim porodzie i żonka przez dłuższy czas bała się tego samego. Sama nie chciała dzieci: miała dość młodszych siostrzyczek, a potem Masiony, Pasiłki i Diszy.

Służąca mimo wszystko obrała kolejnego buraczka, potem przekazała nóż Musze i położyła się na ławce za zasłonką – włożenie na piec już było za trudne. Skurcze zaczęły się powoli uspokajać. To nie był pierwszy raz i nigdy nie czuła poważnego bólu, ale im dalej szło tym cięższa była dla Fessy praca. Kilka razy podniesiesz wiadro i już łono kamienieje, więc przyszła matka chętnie korzystała z każdej okazji do odpoczynku.

Brzuch się rozluźnił, i niby uspokojone dziecko zaczęło ponownie kopać prawy bok. Kobieta z uśmiechem położyła na nim rękę, z tkliwością wymacując wierzchołek piętki. Żeby to naprawdę był chłopiec! Już nawet imię wymyśliła...

Żebrek miał za sobą udany dzień: podwieziono go pocztową karocą. Nawet nie musiał prosić, sama się zatrzymała! Okazało się, że powozi jego stary kumpel, Jednooki. Taki gruby, i ubranie na nim dobre, i buty na miarę! Co prawda żebrak również nie miał co narzekać na buty: zdobycz z Łosich Jam była wyjątkowo udana, a że trochę za duże to i dobrze – nie nacierają.

– Kiedyś kradłeś krowy, a teraz zwyczajnie popędzasz? – zapytał żartobliwie, siadając koło woźnicy.

– Wiesz, kiedyś trzeba się było ustatkować – odparł Jednooki, potrząsając lejcami.

– Nie mów, że jeszcze sobie babę sprawiłeś? – zdumiał się żebrak, niespodziewanie czując ukłucie zazdrości. A to dlatego nie ma w koszuli nawet jednej dziurki i pysk mu aż błyszczy!

– Żonę – poprawił go Jednooki surowo. – Już mam dwójkę dzieci, prezenty wiozę... – Zarośnięta i zryta bliznami twarz woźnicy rozplynęła się w nienaturalnie słodkim uśmiechu.

„Szmata!” – pomyślał żebrak pogardliwie, ale pocmokał językiem niby ze zrozumieniem i nawet poparciem. Nie ma nic gorszego, niż się przykleić do babskiej spódnicy, o bachorach nie wspominając! Nim się człowiek od nich doczeka szklanki wody, to będzie musiał sam tysiąc beczek przenieść. I żonę pewnie też ma straszną i złośliwą, bo jaka inna by wyszła za jednookiego rozbójnika?

Przyciśnięta dowodami zazdrość przerodziła się w głuchą pretensję i rozmowa się nie kleiła. Szczególnie, że Jednooki nie miał ochoty wspominać przeszłości, uparcie zmieniając temat, a jego obecne życie żebraka nie interesowało – w końcu co to za zabawa, żeby po rejsie na pełnym morzu pluskać się w kałuży!

Karoca jechała szybko. W okolicy obiadu byli w Makopolu, na noc zatrzymali się w jakiejś wiesce. Jednooki chyba liczył, że w mieście się rozstaną, ale żebrak wszedł za nim do karczmy (a drogowe bractwo trzeba szanować, kto dziś przy kasie ten stawia) i wrócił do karocy. A odpędzać go było wstyd.

Ale w wiesce, kiedy przyszedł czas na prośenie się na nocleg do znajomej babki, a towarzysz nadal nie chciał się odczepić, cierpliwość woźnicy się skończyła.

– Dobra, to dalej ty już jakoś sam – powiedział z pewnym skrępowaniem, stając w poprzek wejścia. – Chciałbym cię ugościć, ale nie mam czym: swoje wydałem, w sakiewce mam tylko rodzinne. Żona będzie niezadowolona.

– Lepiej ją popieścisz to wybaczy! – zarechotał żebrak, pokrzepiająco

klepiąc Jednookiego po ramieniu.

Ale patrzący pod nogi kumpel uparcie potrząsnął głową.

– Nie, nie da rady. Bierzymy prosiaczka do tuczenia, już stargowaliśmy. Trzeba na zimę dzieciakom na chleb przynajmniej smalcu położyć, bo poprzednią z trudem przeżyliśmy...

– Nic to, inne sobie zrobicie! To żaden trud – rzucił żebrak beztrąsko i nagle poczuł, jak przebiegł pomiędzy nimi szczur.

– Ty, znaczy się... bywaj. – Już nie z poczuciem winy, a chyba nawet z pewną wrogością burknął woźnica i zniknął za drzwiami, zatraskując je pod nosem „przyjaciela”.

Żebrak z namysłem poskrobał się po głowie, próbując jeśli nie złapać, to przynajmniej zabić namolną wesz. Ech, psują baby naszego brata! Taki był człowiek: jak wyszedł na drogę, ryknął „Sakiewka albo życie!” to kupcom całe życie przed oczami przelatywało. A tu – „prosiaczek, dzieciaczki”... Tfu!

Wieśka już spała, okna świeciły tylko w kilku chatach tak niskich i obszarpanych, że pukanie do nich nie miało sensu; mogło się skończyć tym, że to gospodarze poprosiliby żebraka o jałmużnę. Nawet w modlitewni z jakiegoś powodu było ciemno. Najprostsze byłoby zjedzenie schowanej w torbie kromki chleba i pójście spać do stogu, ale żebrak już nastawił się na piwo, kielbaskę i miękkie łóżko, a tu taki pech!

– Ot, sknera! – rugał byłego przyjaciela, potykając się na ciemnej, nierównej ulicy. Psy za płotami zanosily się wściekłym szczekaniem, któryś mały psiak nawet wyskoczył z zaułka ale oberwał kijem po grzbiecie. – Dobra, pójdę do majątków, tam ludzie są bogatsi i bardziej szczodrzy. I jeszcze nie śpią, widać, że ognie się palą.

* * *

Rozłożyli się na nocleg na leśnej polanie. Najpierw chcieli na skraju lasu, ale póki słońce jeszcze nie zaszło, było widać stamtąd zamek – jak pomnik na cmentarzu. Tak więc musieli wejść głębiej. Ostatecznie wyszło im to na dobre: drzewa powstrzymywały wiatr, a na zbutwiałym pniu leżącym koło drogi Ryska znalazła i zerwała cały bukiet chwiej-grzybów. Długie nóżki już były czerstwe jak patyczki i kompletnie niejadalne, ale za to bardzo wygodnie się za nie trzymało nad ogniem kapelusze: jak popękają i zwiną się w pączki to są gotowe. Ale to tak, zabawa. Nadal trzeba było gotować potrawkę.

– Póki dziewczynki przeplatają warkoczyki, to ja się przejdę po wodę. – Żar za rączkę przyciągnął do siebie kociołek i wstał.

Alk i Ryska obok siebie wyglądali niesamowicie: z jednakowo pochylonymi na ramię głowami, w skupieniu rozdzielający na kosmyki długie włosy, białe i czarne. Sawrianin na chwilę oderwał rękę od warkocza i pokazał złodziejowi

nieprzyzwoity gest.

– Słyszałeś, jak u nas w Rintarze dziewczyny gadają, żeby mieć gęstsze włosy? – Żar odpoczął, przegryzł grzybkiem i wpadł w dobry humor. – „Rośnij, warkoczu, będzie mąż miał za co ciągać!”

– Nigdy niczego podobnego nie mówiłam! – obraziła się Ryska zamiast Alka. Swego czasu ojczym tak często targał ją za warkocz, że mąż za takie traktowanie natychmiast oberwałby patelnią po łbie! Ryska w ogóle nie lubiła, kiedy jej włosów dotykał ktoś obcy, poza jednym wyjątkiem... ale wtedy była chyba tak przerażona nadchodzącym wystąpieniem i balem, że nie miała już sił na protesty.

– My mamy inne przysłowie. – Sawrianin wypuścił gotowy warkoczy i przechylił głowę na drugie ramię. – „Warkocze obciąż i rozum z nimi”.

– Przecież ja ich nigdy nie miałem! – Złodziej wsparł się pod boki.

– Rozumu też nie za bardzo. – Alk drgnął i nieco odsunął się od ogniska. Nad polaną przeleciał wielki nietoperz – najpierw wysoko, następnie zebrał na odwagę i przemknął nad samym płomieniem, łapiąc zwabione przez niego meszki.

– O, zakąska sama przyleciała! – Żar dla żartu podskoczył i spróbował trafić go kociołkiem. Oczywiście bez skutku.

– Czy tobie odbiło?! – wydarł się na niego Alk niespodziewanie wściekle, zrywając z miejsca. – Przecież to plujka!

– Twoja krewna?

– Kretynie, ona jest jadowita! I pluje dalej od ciebie. Jeśli ślina trafi do ranki, to stracisz czucie w ręce na kilka łuczyw. A jak w oczy, to oślepniesz.

– Ale ja chyba nie mam żadnych ran... – Złodziej zamrugał i na wszelki wypadek spuścił rękawy.

– Jak spróbujesz złapać plujkę to to się zmieni. – Sawrianin uspokoił się i wrócił na miejsce.

– Koło Rybki też ich było dużo – przypomniała sobie Ryska, wyciągając nogi do ogniska, gdyż wieczór był dość chłodny. Czy może w Sawrii wszystkie takie są? – Najpierw nawet sobie pomyślałam, że to ptaki, bo nad drzewami całe stado leciało.

– Pewnie się wybrały na nocne polowanie. Naprzeciwno Pępka Holgi są jakieś jaskinie. – Alk ponownie zajął się warkoczem.

Plujka, zupełnie nie urażona tak niegościnnym przyjęciem również wróciła, ale teraz onieśmielony Żar starał się trzymać od niej możliwie daleko.

– I co macie tu jeszcze takiego specjalnego?

– W zasadzie nic. Zwykłe wilki, niedźwiedzie i dziki. Idź, nie bój się.

Złodziej już zdążył pożałować, że się wychylił, ale nie stchórzył: poszedł, machając kociołkiem i dodając sobie otuchy fałszywym gwizdem.

* * *

Robotnicy tak zaprzyjaźnili się z drwalami, że już czwartą noc spędzali przy jednym ognisku, dzieląc się zapasami, opowieściami i świeżymi wiadomościami, przywożonymi z Jeżyc.

Kołaj, dumny klepacz, opowiedział drwalom o losowaniu i teraz żartowali sobie z „Wikego”:

– Nie no, patrzcie go, właściciel prosperującego majątku? Liczysz krowy nie we łbach tylko w stadach?

– Odwalcie się – burczał Cyka z pretensją, mieszając sycącą potrawkę, która już wszystkim zdążyła się znudzić. – Mam już was serdecznie dosyć.

– A żona pewnie w domu dusi kurkę w piecu... z naleśnikami... – dalej docinał mu najmłodszy z drwali.

– Zostawcie mnie w spokoju! – Cyka nawet bez nich coraz mocniej odczuwał tęsknotę za domem, żoną i przysłym dzieckiem. Gdyby mógł się wyrwać chociaż na dzień, odwiedzić... – Swoich to pewnie w ogóle przez okrągły rok nie widzicie.

– Ale my to przecież taką pracę mamy, dziewczki od razu wiedziały za kogo idą!

– Moja też przywyknie.

– Słusznie prawisz, baby tak mają, przyzwyczajają się – odrzekł drwal z udawaną zgodą. – Wrócisz do domu, a ona cię już wita z dzieciątkiem. Albo i z dwoma.

Robotnik nie zdążył z wyższością powiedzieć, że z bliźniaków się ucieszy dwa razy bardziej, kiedy złośliwiec dodał:

– Jeden w pieluszkach, a drugi się za sukienkę trzyma.

Cyka upuścił łyżkę.

– Ja ci zaraz... – Zaczął groźnie wstawać z miejsca. Drwal również nie stchórzył tylko zacisnął pięści.

– Hej no! – wtrącił się Lewasz, stając pomiędzy przeciwnikami. – Szczekać szczekajcie, ale gryzienia nam tu nie trzeba! Jakby jeszcze był powód...

Mężczyźni niechętnie cofnęli się, odgradzili od siebie ogniskiem i zamilkli.

– Jutro ostatni dzień wozimy do Jeżyc – poinformował ich Mikh, wracając od znamiennego. – Dwie albo trzy rundki i tyle.

– A potem co?

– A potem kazali po prostu układać na brzegu, naprzeciwko Pępka Holgi. I kamienie też tam.

– Po co?

– Pewnie będziemy jeszcze jedną wieżę strażniczą budować – zasugerował Mikh. – Bo przecież Rybka koło wyspy coraz płytsza i płytsza się robi, niedługo Sawrianie będą do nas na piechotę chodzili.

Cyka westchnął. Całą wieżę! W takim tempie faktycznie wróci do domu, a tam już nie syn, ale i wnuki... Żeby Saszy tego Świstaka porwał!

* * *

Gospodarz wrócił do majątku późno i mocno zawiany. To Krowa by jeszcze zniosła, ale powód dla imprezy miał dosyć smutny: handlarz, z którym Świstak już od roku prowadził interesy, okazał się nieuczciwy i zdążył oszukać go bez mała na pięćdziesiąt złotych, sprzedając bydło drożej, niż informował właściciela. Oczywiście oszustwo w końcu wyszło na jaw, ale odzyskać się udało tylko *trzydzieści* srebrów – za tę krowę, której właściciel doniósł Świstakowi. Cała reszta w papierach była czyściutka i właściciel majątku wydał złota na podkupienie służącego handlarza, żeby poznać prawdziwą skalę straty i kolejną połowę – na gorącą hulankę w karczmie.

Od wrzasków Krowy („Od początku wiedziałam! Już włos siwy, a ufa każdemu oszustowi! Z torbami pójdziemy! I jeszcze się upił, stary knur!”) smutek, który niby utonął w winie, wypłynął ponownie. Świstak z rozpaczy dolał kolejne pół kubka ze swoich zapasów i poszedł do żonki, głośno trzaskając drzwiami. W odróżnieniu od żony, Mucha wiedziała, kiedy można wyklinać, a kiedy należy zmilczeć i posłusznie zdjąć mężowi buty. Co prawda potem też go będzie piłowała, ale to już mniej boli.

Świstak właśnie zamierzał skorzystać z łask żonki – czyli paść na jej łóżko i zapaść w sen – kiedy usłyszał głośne pukanie i na dworze zaszczekały psy.

– Kogo tam Saszy przyniósł?! – Gospodarz z irytacją wyjrzał przez okno.

– Jakiś żebrak – zawołał z opóźnieniem robotnik stojący przy bramie. – Prosi o nocleg.

– Wywal go na zbity pysk! – ryknął Świstak, zatrzasnąwszy okiennicę z takim impetem, że prawie odpadła. Nie znośił żebraków, a ten na dodatek wybrał sobie wyjątkowo pechową chwilę.

– Słyszałeś? – zapytał z uśmiechem robotnik, któremu nieproszony gość również się nie spodobał – jeszcze nie stary, ręce i nogi ma, więc mógłby się wynajść do pracy, jak każdy uczciwy człowiek – To spadaj.

– Daaaj panie proszę parę groosza, z głodu umieram... – zaskamlał żebrak, mimo wszystko próbując dostać się na podwórze, ale robotnik zdecydowanie wypchnął go z powrotem.

– Buty sprzedaj, wujaszku – poradził złośliwie. – Bo takich to nawet ja nie mam!

Cofnąwszy się w mrok za płotem, żebrak bezgłośnie zaklął. Faktycznie, powinien zawczasu zdjąć te buty i schować je do torby. Zresztą, nawet chciał to zrobić, ale uznał, że w nocy i tak nikt nie zobaczy. Uuu, paskudy, skrzywdzili biedaka! Czekaćcie no, Holga wam przypomni, że czynienie dobra może i jest

trudne, ale przynajmniej bezpieczne...

Dla niepoznaki odszedł jakieś pół wieszki ścieżką i zawrócił do majątku od drugiej strony. Znalazł szczelinę w płocie, zajrzał do środka, akurat trafiając na moment kiedy w domu zgasło ostatnie światło, w oknie kuchennym. Począł jeszcze łuczywko (psy za płotem najpierw czekały na trzy gardła, a potem przyzwyczyły się i odzywały jedynie z rzadka), wyciągnął z torby przesiąknięty olejem kawałek płótna, okręcił nim zgarnięty z drogi kamień i zaczął szczełować krzesiwem. Iskry jak złoty śnieg spadały na szmatę, ale ona nijak nie chciała się zapalić, tylko dymiała i czerniała. Tak w końcu się bez ognia zamieni w popiół... Żebrak pokręcił zawiniątko w dłoni, dmuchnął – rozbłysło czerwonymi nićmi, ale kiedy wiaterek ucichł, ponownie poczerniało.

A żebrak niespodziewanie poczuł, jak gdyby ktoś go bacznie obserwował – wręcz drapał spojrzeniem. Przeraził się i zaczął zerkać dookoła, ale wykrył obserwatora dopiero kiedy wpadł na to, by spojrzeć w górę.

Na płocie siedział szczur. Wielki, w mroku wyglądający na czarnego, tylko oczka-gwiazdki mu połyskiwały.

– A kysz! – syknął na niego żebrak i dla dodania sobie powagi tupnął nogą. Psy ponownie zaczęły szczełować – tego tylko brakowało, by pobudziły gospodarzy!

Szczur patrzył na niego nieruchomo przez kolejne pół szczapy, jak gdyby próbując zapamiętać, a potem powoli odwrócił się, przebiegł po szczycie płotu i schował w cieniu.

Z jakiegoś powodu żebrak poczuł lęk. Miał nawet ochotę porzucić swoją głupią zemstę i uciekać byle dalej od tego koszmarnego miejsca, które wydawało się chronione przez Saszego we własnej osobie. Ale w tym momencie dymiące zawiniątko w końcu stanęło w ogniu, parząc mu rękę, więc wziął szeroki zamach i wrzucił je na słomiany dach najbliższej szopy.

* * *

Ryska akurat doplotła warkocz, kiedy ze strony, w którą poszedł Żar, doleciało zniekształcone przez echo:

– Eheeej! Ryyyś! Aaalk!

– Spadł do parowu, złamał kręgosłup i teraz prosi, żeby go dobić? – zasugerował z nadzieją Sawrianin.

Niestety nadzieja ta szybko spaliła się na panewce: krzyki były desperackie, ale nie męczeńskie i już tym bardziej nie przedśmiertne.

– Czego chcesz?! – wrzasnął Alk w odpowiedzi.

– Chodźcie tutaj! Potrzebuję pomocy! – Złodziej zrozumiał, że przyjaciele siedzą bliżej, niż mu się wydawało, więc zaczął wołać ciszej, ale wyraźniej.

– Pójdę zobaczyć. – Alk niechętnie wstał i wyciągnął z ogniska w miarę długą, płonąca gałąź.

– Przecież on woła nas oboje! – Ryska zerwała się na nogi przed nim.

– Ciekawa jesteś, czy boisz się sama zostać?

Co prawda Alk nie miał nic przeciwko i nawet pozwolił zaczerwienionej (bo zgadł, i to oba razy!) dziewczynie złapać się za rękaw. Ryska nadal krępowała się trzymać go za dłoń – z jakiegoś powodu natychmiast robiło jej się gorąco, jak gdyby zrobiła coś nieprzyzwoitego.

W lesie nie było żadnego parowu i w ogóle Żar czekał na nich na skraju, nieśmiało drepcząc w pobliżu czegoś białego, leżącego na ziemi i słabo jęczącego. Kobieta, Sawrianka! Jak Rysce się najpierw wydało – straszliwie brzydka, gruba (i to jeszcze w jakiejś szmacie!) o krótkich nastroszonych włosach i opuchniętej twarzy.

Po chwili dziewczyna zrozumiała, że tamta była po prostu w ciąży i strasznie zaryczana!

Alk wetknął pochodnię w ręce Żara, znakami pokazał mu, że ma nazbierać opału i przykucnął koło Sawrianki, po czym spokojnie, pewnym głosem zapytał:

– Tsze izdesza?

Kobieta uniosła się na łokciu i chwyciła go za kolano palcami cienkimi niczym pazurki wróbla. I zaczęła bardzo szybko mówić, mieszając słowa z chlipnięciami tak, że nawet Sawrianin miał problemy ze zrozumieniem.

– Jest żoną szewca, mieszka w wiesce pięć wieszek stąd – zaczął tłumaczyć Alk, pomijając większość słów. – Zabrał towar na targ i miał wrócić przed obiadem, ale nie wrócił. Rano zaprzęła krowę i pojechała po niego. Krowa jest młoda, ruszyła pędem z górki, trafiła na kretowisko i złamała nogę. A ta kretynka, zamiast poczekać, aż ktoś będzie jechał, porzuciła wóz i poszła dalej na piechotę. Szła sobie, szła, a potem niespodziewanie pociekło jej po nogach i po chwili zaczęła mieć bóle. Przeszła jeszcze kawałek i zrozumiała, że umiera.

– Umiera czy rodzi? – uściśliła Ryska.

Sawrianka zacięła się w pół słowa, zadarła głowę i cieniutko zawyła, ściskając palce z taką mocą, że Alk się skrzywił.

– Jest bardzo przerażona i przekonana, że to jedno i to samo.

– No to powiedz jej, że to nieprawda!

– I tak mi nie uwierzy, zanim nie zobaczy dziecka. – Sawrianin spokojnie wytrzymał skurcz, ale jak tylko się skończył, natychmiast zrobił krok do tyłu. – Odbierałaś kiedykolwiek poród?

– Tylko u krów... – Dziewczyna z przerażeniem patrzyła na targaną spazmami kobietę. Czyli to się tak u ludzi odbywa?! Narodziny braciszka Ryskę ominęły, szczególnie że poród dla jej matki był drugi i w miarę szybki. Rano dziewczynkę wysłano do babki Szuły, niby po to by poprzebierać kiełkujące ziemniaki, a jak wieczorem wróciła, to już piszczał w kołysce – czyściutki, różowy. A tu – ciemne plamy na sukience, zniekształcona przez ból twarz z pogryzionymi

wargami i zapadniętymi oczami, męczeńskie jęki i desperackie krzyki, jak gdyby Sawrianka faktycznie miała zaraz przejść na Niebiańską Drogę.

– No to poproś ją, żeby stanęła na czworakach, będzie podobnie.

– Alku!!! – Na tak bezwstydnym cynizmie Ryskę niemal zatkało. Nie domyśliła się, że białowłosemu właśnie o to chodziło: dwie panikujące kobiety na jednego niemowlaka to zdecydowanie za dużo. – Tak... tak nie wolno! Ludzie to nie krowy, nie waż się ich porównywać!

– Dlaczego? Krowy się obrażą?

– Przecież ona jest twoją rodaczką! – Ryska spróbowała odwołać się do sumienia mężczyzny od innej strony, może tam miał jakieś wrażliwsze miejsce?

– Po pierwsze jest durną babą, która narobiła całą masę głupot. – Sawrianin z łatwością odbił atak. – Zresztą, wszystkie takie jesteście.

Ryska z oburzeniem wciągnęła powietrze. Znalazł się mądrała! „Baby” przynajmniej same przez swoje głupoty cierpią, a nie zmuszają innych! Niech by spróbował urodzić, a potem nos zadzierał! Mężczyźni to łatwo być bohaterem – rób cokolwiek sobie chcesz, a pranie się samo zrobi, jedzenie na stole pojawi i jeszcze rozrywka w domu na dokładkę!

– I w ogóle, dlaczego tak stoicie i nic nie robicie?! – zaatakowała Ryska towarzyszy – Zróbcie w końcu to ognisko, zagrzejcie wody i poszukajcie w torbach czy czegoś nam nie szkoda podrzeć na szmaty!

Alk uśmiechnął się z zadowoleniem, wstał i poszedł po krowy – przepędzić je na nowe miejsce postojów.

* * *

Gdyby nie silny wiatr, który w jednej chwili rozdmuchał ogień po całej słomie i zagłuszył jej trzask...

Gdyby Świstak spał u żony, w pokoju z oknem na krowiarnię... Albo w ogóle nie spał, tylko ciągał bale gdzieś pod Jezycami...

Gdyby to właśnie Cyka, najbardziej pilny i podejrzliwy z robotników, wyszedł sprawdzić psy, które nijak nie chciały się zamknąć...

A może wszystko wyszłoby dokładnie tak samo – kto to wie?

– Pożaaaar!!!

Cienki krzyk dziadka, który wyszedł za potrzebą podniósł wszystkich w domu jak dzwon na modlitewni. Robotnicy jeden przez drugiego rzucili się do drzwi, najbardziej zwinny i zmyślny skoczył przez okno. Wybiegła Krowa w narzuconym na ramiona kocu, ciągnąc za rękę zapierającą się Diszę – dziewczyna nie zdążyła nawet wyciągnąć ze skrzyni szkatułki z koralami. Wyskoczyła służąca-wdowa, na bosaka, w koszuli nocnej, tuląc do siebie co miała najcenniejsze – zaspane, zapłakane dzieciaki. W łóżku została ciepła kotka, która odprowadziła je zdziwionym spojrzeniem.

Jako ostatni na ganek wypadł gospodarz z głową rozłupującą się pod wpływem kaca.

Palila się centralna obora, w której trzymano najlepszą część wyścigowego stada. I to jak się paliła! – już zmieniała się w czarny kontur, jaskrawo zamalowany ogniem. Na dachu sąsiedniego budynku również tańczyło kilka czerwonych płatków, a iskry jak nasiona sypały na wszystkie strony. Ryk płomieni zagłuszał nawet głosy zamkniętych w środku zwierząt – jeżeli jeszcze je z siebie wydawały...

Na ten widok Świstak wydał z siebie ochryply wrzask i skoczył do drzwi krowiarni.

– Panie, stój! – krzyczeli za nim robotnicy, którzy spieszenie wypuszczali bydło z innych budynków gospodarskich. Trzeba było otworzyć bramę, bo na podwórzu nie dałoby się przejść przez przerażone krowy, owce i świnie. Gaszenie tego, co już się paliło nie miało sensu, łańcuszek który stanął do studni przekazywał wodę dla domu i innych, dalszych stodół – namoczyć strzechy, żeby się nie zajmowały od iskier. Pomagały również dzieci i Fessa – ale nie wytrzymała długo, jęknęła i trzymając się jedną ręką za brzuch a drugą za krzyż odeszła na bok.

Świstak, nie słuchając nikogo i nie zwracając uwagi na żar i żrący dym, złapał za rozżarzoną klamkę, pociągnął do siebie – a drzwi jak gdyby okazały się tym ostatnim elementem, powstrzymującym oborę przed zawaleniem się.

* * *

Dziecko było chudziutkie i długie, nawet głowę miało jakąś wyciągniętą. Rodząca męczyła się z nią grubo ponad łuczywo, ale wystarczyło, by pojawiły się ramionka i noworodek został wypchnięty na zewnątrz przez jeden skurcz. Ryska złapała dziecko w pierwszą szmatę, jaka się nawinęła i teraz trzymała w ramionach, nie mając pojęcia, co robić dalej. Maleństwo leżało na jej rękach rozluźnione, jak obrócona na grzbiet żaba, tylko piąstki miało zaciśnięte. Czubek główki był oblepiony krótkimi włoskami, jak mokrymi piórkami. Jasne oczy bez sensu poruszały się tam i z powrotem, ale dziecko milczało, jak gdyby zszokowane tym wszystkim, co zobaczyło dookoła.

Chyba trzeba je klepnąć – przypomniała sobie dziewczyna, ale w tym momencie usta maleństwa otworzyły się i miauknęło jak kociak. Raczej rozkazująco, niż z obawą.

Alk już od szczapy trzymał nóż nad ogniskiem, obracając ostrze w płomieniu, i w końcu wyciągnął go do Ryski.

– Co ty wyprawiasz?! – odskoczyła.

– Jak chcesz, to możesz przegryźć zębami.

Z opóźnieniem uświadomiła sobie, że chodzi mu o pępowinę.

– Czekać, przecież najpierw ją trzeba przewiązać! Żar! Naszczyp nitek!

Złodziej miał nici w torbie, czysty lniany kłębek – rzecz potrzebna nie tylko

w rzemiośle akuszerki. Żar oderwał dwa kawałki i zabrał się za przewiązywanie, próbując nie myśleć nad tym co to jest i gdzie prowadzi.

– U nas jest przyjęte, by robił to ojciec, kosmykiem swoich włosów – zauważył Alk z krzywym uśmiechem.

Złodziej rzucił mu mordercze spojrzenie, ale nie naruszył uroczystej chwili, tylko mocno zaciągnął ostatni supeł. Sawrianin pociągnął pomiędzy nimi nożem i Ryska w pośpiechu przykryła dziecko zwisającym końcem szmaty.

Kobieta przestała jęczeć, uniosła się na łokciach i coś szepnęła głosem łamiącym się ze zdenerwowania.

– Daj jej dziecko – podpowiedział Alk.

Dziewczyna bała się wyciągnąć ręce, więc podeszła bliżej, schyliła się i powoli, ostrożnie położyła noworodka na piersi matki. Ta złapała go tak samo desperacko i bez sensu, spojrzała, a na jej zmęczonej twarzy wykwitł taki uśmiech, że Ryska łzy zaszczypały w oczach. Zrobiła krok do tyłu i wtuliła się w kogoś plecami – w Alka, w Żara? – nieważne, najważniejsze to poczuć czyjeś ciepło, zrozumieć, że też nie jest sama na tym świecie.

Alk położył jej rękę na ramieniu i dziewczyna z wdzięcznością nakryła ją własną. Ciszę naruszało wyłącznie cmokanie – dziecko ssało, jeszcze nieumiejętnie, ale starannie.

– A to chłopiec czy dziewczynka? – zaciekawiał się Żar.

– Nie wiem – odparła Ryska niepewnie. – Nie spojrzałam...

– Ej nooo, zapomniałaś o tym, co najważniejsze – mruknął złodziej z rozczarowaniem, próbując z opóźnieniem obejrzeć maleństwo, ale z pieluchy sterczała jedynie główka i jedna nóżka do kolana, która co i rusz rozczulająco kopała powietrze.

Dziewczyna z irytacją szturchnęła przyjaciela łokciem: najważniejsze, że wszystko się dobrze skończyło. A czy to chłopiec czy dziewczyna to w ostatecznym rozrachunku nieznaczący drobiazg!

* * *

Po podwórzu bez sensu łąziły ogłupiałe w mroku i hałasie kury, płacząc się wszystkim pod nogami. Kogut z opalonym kuprem siedział nastroszony na resztkę płotu. Przybudówki dla gęsi stojące koło krowiarni nie zdążyli otworzyć.

Robotnicy chmurnie (a ten i ów złośliwie) wymieniali szeptane komentarze, zastanawiając się nad skalą szkody. Wdowa zaprowadziła małe do domu, żeby się nie przeziębiły, oddała pod opiekę kotki i wróciła, żeby w towarzystwie dziadka zalewać i zadeptywać rozrzucone po obejściu węgle.

Na pokaz ryczała i rozpaczała Krowa. Powiedziała o mężu więcej dobrego, niż w czasie całego wspólnego pożycia.

Znacznie szczerzej rozpaczała Disza, która uświadomiła sobie, że nikt już

nie przywiezie jej z miasta nowych sukienek i nikt nie wie, gdzie teraz miałyby szukać narzeczonego, z ojcem którego niby zaczął ugadywać się Świstak.

Mucha stała w milczeniu, z zastygłą twarzą, ale sadza jeszcze gwałtowniej podkreśliła świeże zmarszczki.

Ponury, zagubiony Pasiłka bez przerwy krążył dookoła zgliszczy, co rusz dotykając osmalonych, jeszcze dymiących bali i z sykiem cofając oparzone palce. Szukanie ciała ojca zanim wszystko nie wystygnie nie miało sensu.

Oczywiście pożar nie oznaczał końca majątku. Przeważającą część bydląt udało się uratować (żeby teraz je jeszcze połapać!), jedna obora ocalała, drugą trzeba będzie do połowy przebudować. Osmalony z jednej strony dom prześmiadł dymem, ale trzy beczułki z pieniędzmi zakopane w różnych kątach piwnicy nadal tam były – tak samo jak obsiane pola, wronie poletko i kamieniczka w mieście, którą Świstak kupił na wiosnę. Dobry gospodarz jeszcze mógł wszystko naprawić – porozpaczać, pozaklinać Saszego i ponownie zakasać rękawy.

Tylko jego już nie było, tego gospodarza. I dlatego majątek również wyglądał na nieżywy.

* * *

A o świcie Fessa urodziła martwe dziecko.
Chłopca.

Rozdział 9

Podpite szczury zbliżają się szybciej i chętniej.

To samo źródło

Do rana Sawrianka odpoczęła, uspokoiła się i wyładniała, okazując się dziewczyną niewiele starszą od Ryski. Umorusana, żółtooka, z garbem sukienki nad opadniętym brzuchem zauważalnie krępowała się swoich wybawicieli: Alka – rozpoznając w nim szlachetnego pana i Żara – dlatego, że był Rintarczykiem. Ryski obawiała się mniej, ale jej z kolei unikała sama Ryska. Bardzo chciała potrzymać dzieciątko, ponownie poczuć w ramionach maleńkie, ciepłe i ciężkie ciało, ale w końcu nie odważyła się poprosić o to matkę. Mogła więc tylko patrzeć i zazdrościć.

Oczy dziecka, ku zdumieniu Ryski, były nie żółte tylko szare.

– Czy ona ma męża Rintarczyka? – spytała Alka szeptem.

– Kocięta też mają niebieskie oczy przy narodzinach. – Sawrianin patrzył na szczęśliwą rodzinę bez zachwyty. Nie dlatego, że nie lubił dzieci, tylko próbował oszacować, o ile ten ciężar ich wstrzyma. Sadzanie kobiety tuż po porodzie na krowę to głupi pomysł, zmuszanie do pieszej wycieczki – jeszcze głupszy

– Gdzie masz wóz? – zapytał Sawriankę pochmurnie. Ta wciągnęła głowę w ramiona i uśmiechnęła się z zagubieniem i poczuciem winy.

– Z wami człowiek własnego języka zapomina! – warknął białowłosey w stronę towarzyszy i powtórzył pytanie po sawriańsku. Kobieta wymamrotała coś w odpowiedzi. Alk z irytacją doprecyzował (Sawriance z urazą zadrżały wargi), z niezadowoleniem zmarszczył brwi i zaczął siodłać krowę.

– Posiedźcie z tą kretynką – burknął. – Pojadę zgarnąć wóz.

– Sam? – zaniepokoiła się Ryska.

– Ona mówi, że to gdzieś blisko.

– Lepiej pojedę z tobą, na wszelki wypadek!

– Mamy dzień.

– I co z tego? W nocy prawie nie spałeś, jesteś zmęczony, a szcur... – Dziewczyna nie dokończyła, z obawą spoglądając na Sawriankę – a co, jeśli ona jednak coś rozumie?

– Powiedz, że po prostu chcesz zostać ze mną sam na sam – uśmiechnął się białowłosey zerkając na Żara porozumiewawczo. Złodziej pokazał mu kułak.

– Jeszcze czego! – Ryska jednak wpakowała na Miłkę siodło.

Alk na nią nie czekał, ale też nie śpieszył się, więc dziewczynie udało się

dogonić go natychmiast po wyjeździe z lasu. Ryska w głębi ducha ucieszyła się, że nalegała – Sawrianin pozostawiony sam sobie natychmiast opuścił ramiona i spochmurniał. Zrobiło się zauważalne, że faktycznie nie spał – na chudej twarzy Alka zmęczenie było natychmiast widoczne.

– Po co na nią krzyczałeś? – odezwała się. – I tak jest cała w nerwach, teraz siedzi i oczu nie podnosi.

– Mam ciebie też skrzyzczeć? – odciął się Sawrianin.

– Mnie można, ja ciebie już znam – westchnęła dziewczyna.

Alk spojrział na nią z niepokojem i z udawaną obojętnością zapytał:

– Ciekaw jestem, co ty takiego wiesz?

Ryska udała, że dopiero teraz zauważyła krążącą po niebie kanię i bardzo ją zajmuje ten widok.

– Że mimo wszystko pojechałeś po wóz. Chociaż cię to złości.

Białowłosy parsknął:

– Ponieważ w przeciwnym razie zmusiłabyś nas, żebyśmy taszczyli tę przeklętą babę do wioski na rękach.

– Nieprawda! – Oburzona Ryska natychmiast zapomniała o kani i odwróciła się do Sawrianina.

– No to byś ją sama poniosła. – Alk jak gdyby nigdy nic wzruszył ramionami.

– Ty byś jej sam nie porzucił w lesie!

– Bez najmniejszego problemu.

– Kłamiesz!

– Zakład? Jeśli się zgadzasz, to wracamy po złodzieja i sobie idziemy. A najlepiej będzie, jak jego również tam zostawimy.

– Jak ja mam dość tego twojego szczerzego gadania! – powiedziała Ryska z irytacją, nadal przekonana o własnej słuszności, ale rezygnując z przyciśnięcia Alka do muru.

– To nie gadanie tylko retoryka – stwierdził Sawrianin z wyższością. – Sztuka krasomówstwa, którą niewielu opanowało.

– I czym one się różnią?

– Gadanie to oznaka głupoty, a retoryka – mądrości.

– Mądrym człowieka czynią mądre słowa, a nie skomplikowane – zaprzeczyła dziewczyna zapalczywie.

– Ale za to skomplikowane pomagają przynajmniej na takiego wyglądać. Tobie by na pewno nie zaszkodziło – westchnął Alk „ze współczuciem”. – No to jak, wracamy?

– Nie!

Białowłosy z zadowoleniem wyprostował się w siodle i Ryska poczuła dziką chęć, by wymierzyć mu szturchańca.

Sawrianka zdążyła przejść tyle co nic. Po łuczywie jeźdźcy dostrzegli wóz, który nadal tkwił sobie na środku drogi, z ciemnorudą krową smętnie stojącą pomiędzy dyszlami. Kiedy Alk zdejmował z niej chomąto, Ryska obejrzała spuchniętą nogę zwierzęcia i ze smutkiem pokręciła głową: nawet jeśli się zrośnie, to biegać już nie będzie. Chyba że dobry gospodarz ją sobie zostawi do rozplodu.

– Którą mam rozsiodłać?

– Dawaj moją – uznała dziewczyna. W majątku Miłkę uczono chodzenia w chomacie, a poza tym była spokojniejsza. Po Śmierci nie wiadomo czego się spodziewać.

Alk przez dłuższą chwilę walczył z uprzężą – widać było, że to dla niego nowa rzecz. Ale o pomoc nie prosił, tylko sapał z irytacją i Ryska uznała, że nie będzie się narzucać. Najważniejsze, żeby nie przymocował dyszli do ogona.

– A co zrobimy z krową? – Dziewczyna pogładziła kalekę po pysku, ruda hałaśliwie sapnęła i oblizwała jej dłoń.

– Kielbasę – zażartował Alk ponuro, zaciągając ostatni rzemień. – Siadaj, łap lejce.

Ryska zrozumiała, że krowy na pewno nie będzie niósł na rękach i nawet nie ma co się odzywać w tym temacie.

Żar tymczasem zabawiał młodą matkę, pokazując jej prościutkie sztuczki z przedmiotami znikającymi w dłoni – najpierw kamyczkiem, potem sosnową szyszką, a na końcu – wielką świerkową. Nie wiadomo jak tam Sawrianka, ale wyglądało na to, że sam złodziej nieźle spędził czas, odświeżając nawyki.

– A tak w ogóle, to chłopiec! – poinformował natychmiast, kiedy zobaczył przyjaciół.

– Cieszysz się tak jakbyś go sam wystrugał – Alk nie zszedł z krowy czekając aż jego towarzysze wrzucą do wozu naręcze świerkowych gałęzi i pomogą wejść kobiecie.

– Czemu niby miałbym się nie cieszyć? Naszego plemienia przybyło!

– *Naszego* – poprawił złośliwie białowłosey.

– Przecież sam mówiłeś, że wszyscy ludzie są tacy sami!

– Ale mimo to niektórzy z nich mieszkają w Rintarze, a inni w Sawrii.

– To retoryka – wyjaśniła Żarowi Ryska z westchnieniem. – Sztuka mącenia ludziom w głowach.

– O, zapamiętałaś to słówko? – zdziwił się Alk przyjemnie. – Dobra dziewczyna. Czyli jest dla ciebie nadzieja.

– Ona w ogóle jest mądra – uśmiechnął się Żar, odpychając Ryskę do burty i zgarniając lejce. Złodziej zaczął ostatnio odnosić wrażenie, że jego tyłek na dobre przybrał kształt siodła. Spod jego szaty z głuchym stukotem wypadła „zniknięta” szyszka, która potoczyła się po drewnianym dnie.

Wóz cicho i przytulnie skrzypiał, słońeczko grzało, niebo było niesamowicie

błękitne, jak wczesną wiosną, dziecko spało ale Sawrianka z jakiegoś powodu zasmęciła się i zaczęła wzdychać oraz pociągać nosem.

Alk zapytał co się stało, ale odpowiedzi nie przetłumaczył, ani też nie pośpieszył z wyrazami współczucia. Przeciwnie – jego wargi zacisnęły się w cienką linię, powstrzymując uśmiech, lecz oczy bez skrpułów donosiły o jego istnieniu.

– Co jej jest? Coś ją boli? – Zaniepokojona Ryska zażądała wyjaśnień.

– Nie! – Sawrianin stłumił parsknięcie. – Rozpacza nad krową. Trzeba zapytać, czy jej ojciec nie walczył przypadkiem w północnej części Rintaru... Może to się dziedziczy w linii męskiej?

Dziewczyna podniosła leżącą pod nogami szyszkę i celnie rzuciła ją w bok Alka.

* * *

– Może powinniśmy jednak zawieźć ją do domu? – zawahała się Ryska, kiedy już zobaczyli przed sobą wieskę. – Bo co, jak się minęliśmy z jej mężem – on tam, a my tu?

– Nie minęliśmy się – odparł leniwie Alk, który trochę zdrzemnął się w siodle. Żar również przysypiał, podrzucając głową kiedy wóz wpadał kołem w dziurę na drodze albo najeżdżał na kamień. Sawrianka zasnęła, tuląc dziecko, zwinięta w kłębek na miękkich gałęziach. – Mąż biegałby dookoła krowy i rwał sobie włosy z głowy. Zobaczylibyśmy go po wykręceniu na drogę.

– A jak my go będziemy tutaj szukać?

– Nie mamy lepszych rzeczy do roboty. Wywalimy ich pod pierwszym z brzegu domem i pojedziemy dalej.

– Alku!

– Jej ciotka tam mieszka – wyjaśnił Sawrianin, zbyt zmęczony, żeby się przekomarzać.

– To niech będzie – zgodziła się Ryska z ulgą. – A do stolicy jeszcze daleko?

– Pewnie za tamtym wzgórzem już się pokaże. – Alk lekko zmienił pozycję i przymknął oczy, ale tym razem to Żar nie dał mu zasnąć.

– A jak ona się przynajmniej nazywa?

– Brbrzyszcze – burknął Sawrianin.

– Że co? – Złodziej uznał, że niedosłyszał.

– Brbrzyszcze.

– Jak ty to robisz? – Żar z dziecięcym zachwytem wbił spojrzenie w usta

Alka. – Weź no, powiedź jeszcze raz!

– Bobrogród. Daj mi spokój.

– Brbr... Nic ci się tam nie zawiązuje na supeł?! Brzy... Tfu!

Ryska również spróbowała szeptem powtórzyć, ale słówko okazało się

zadziwiająco niedoścignione, jak gdyby dziewczyna próbowała piskorza przycisnąć językiem do podniebienia.

– Ale za to wygodnie się łapie szpiegów. Kto za drugim razem nie powiedział – tego w dyby! – zażartował Sawrianin.

– A dlaczego nie za pierwszym?

– Przecież nie każdy mieszka w stolicy.

W zasadzie nie daliby rady przejechać dalej, niż do pierwszego domu: z bramy wysypał dziki tłum, który z daleka rozpoznał wóz. Żar ściągnął lejce, z trudem powstrzymując pokusę by przeciwnie, pogonić krowę. Ryska przytuliła się do przyjaciela. Sawrianie obstąpili ich tak gromadnie, że burty trzeszczały. Od gwałtownych nieprzyjaznych głosów dzwoniło w uszach – jak gdyby dziewczyna wsadziła dłoń do wroniego gniazda i teraz zaatakowało ją całe stado.

Alk bezbłędnie określił prowodyrkę – wysoką, postawną kobietę szerszą w barach niż niejeden mężczyzna – i odpowiedział tylko jej, krótko a dosadnie. To wystarczyło: rodzina natychmiast porzuciła wrogość i zwróciła całą uwagę na przywiezioną Sawriankę. Ta obudziła się, natychmiast znalazła w wianku twarzy swój „kwiatusek” i uwiesiła mu się na szyi, prawie przewracając do siebie na wóz – chłopina nie wyglądał na specjalnie mocnego. Białowłosa, lecz ani trochę nie przypominał Alka – miał prostą gamoniową twarz, lekko spuchniętą. Pewnie za dużo wypił z okazji udanego handlu i bał się pokazać żonie na oczy, więc zanocował u krewnych. Gorące pocałunki szybko zmieniły się we wzajemne pretensje – i gdzieś się podziała nieśmiała przerażona dziewczyna, którą spotkali na polanie! Obudziło się dziecko i również zaczęło pisać, gniewnie, rozkazująco.

– U nas się uważa, że jeśli mąż albo najbliższy krewny nie stoi za ramieniem rodzącej, to jego miejsce zajmuje Saszy – wyjaśnił Alk. – I teraz próbują ustalić, kto jest winien, że musiała rodzić w tak wątpliwym towarzystwie.

– Wątpliwym? – Ryska poczuła się urażona. – No przepraszam, jakie było takie było! I tak lepiej, niż w samotności!

– To wtedy jej się tak wydawało. A teraz będzie wnukom opowiadała jaki przeżyła koszmar: w ciemnym lesie, w otoczeniu wściekłych Rintarczyków.

– A ty?!

Alk uśmiechnął się.

– Spytała mnie o imię.

– Żeby nadać je dziecku? – zapytał Żar z lekką zazdrością.

– Podejrzewam że po to, by przypadkiem go tak nie nazwać.

Małżonkowie już ponownie się obejmowali. Ciotka trzymała niemowlaka, kołysząc go z takim impetem, jak gdyby zamierzała z rozmachu wrzucić na dach. Zza płotów jak stokrotki z trawy sterczały ciekawskie głowy sąsiadów, niektórzy podeszli bliżej, by dowiedzieć się o co chodzi. Mąż złapał żonę na rękę i potaszczył

do domu, tłum z radosnymi okrzykami ruszył za nimi. Koło wozu została tylko ciotka i dwójka chłopaków, zerkających na nią z pełną szacunku obawą: mamusia była z tych, co to nawet brodatego synalka spokojnie przerzucą przez kolano, by sprawić mu lanie.

– Zaprasza nas, żebyśmy ich odwiedzili – przetłumaczył Alk. – Chce podziękować.

– Może pojedziemy dalej? – Ryska czuła, że nie są tu specjalnie mile widziani i zaprasza się ich wyłącznie z uprzejmości.

– I tak trzeba wyprzęgnąć krowę. – Chłopaki już się do tego zabrali, znacznie sprawniej niż przedtem Alk. – Poza tym warto napić pozostałe.

– No to wejdźmy! – poparł go Żar. – Przecież to ciekawe, jak białowłosi mieszkają.

Dziewczyna niechętnie ustąpiła.

Powała w sawriańskiej izbie była o jedną trzecią wyżej, przez co Ryska miała wrażenie, że w ogóle jej nie ma i natychmiast zaczyna się dach. Piec stał nie przy ścianie, tylko na środku kuchni, dzieląc ją na dwie części – jedną ze stołem do gotowania i drugą – do jedzenia. Stoły były najzwyczajniejsze w świecie, z grubych, obdrapanych desek. Naczynia również niespecjalnie różniły się od rintarskich, chyba tylko miały inne wzory. Na podłodze poniewierały się jakieś łuski, na początku Ryska uznała, że to śmiecie, ale potem zobaczyła jak dziewczyna zamiata sąsiednią izbę, a potem starannie posypuje podłogę na nowo z dużego worka.

– Po co to? – szeptem spytała Alka.

– To na insekty.

– Boją się tego czegoś?

– Przeciwnie. Chowają się do środka, więc potem można na szufelkę i do pieca.

Żar przyjrzał się wiszącej w rogu podwójnej ikonie, radośnie zachichotał i szturchnął przyjaciółkę łokciem. Dziewczyna nie od razu zrozumiała co ma na myśli, ale potem pisnęła z oburzeniem – w odróżnieniu od rintarskich kanonów tu białowłosa i żółtooką była Holga.

– Przecież do takiej to się wstyd modlić! – wyrwało się Rysce.

– A dla ciebie co za różnica? – Alk wzruszył ramionami. – Jesteś mieszańcem, to mogłaś się urodzić w każdej z par.

– Ale i tak... – Sawrianinowi udało się sprawić, że Ryska straciła rezon. Faktycznie – kto tę całą Holgę w ogóle widział? Jaka im milsza, taką rysują...

– A co to za baba z brodą pod nimi? – Żar niegrzecznie wskazał palcem. – Ale po wyciągniętych twarzach Sawrian zrozumiał, że powiedział coś bardzo głupiego.

– To święty Tracznik, kretynie! – syknął Alk.

„Modlik” wcale się nie zniechęcił, tylko złożył niski ukłon w kierunku ikony

i gorąco poprosił:

– Wybacz, patronie! Nie poznałem.

Gospodarze chyba ponownie się uspokoili i zaczęli uśmiechać. Póki jedna połowa rodziny miotła się po domu, doprowadzając go do porządku, druga w pośpiechu coś gotowała i nakrywała do stołu. Na środku izby jak stuletni dąb w szalejącej zamieci nieruchomo tkwiła ciotka, która pilnowała równocześnie domowników, żeby się nie lenili i przyjezdnych, żeby czegoś nie ukradli.

– Ale nie będziemy tu długo siedzieć, dobrze? – szepnęła Ryska błagalnie, kiedy w końcu zaproszono ich do stołu.

– Przegryziemy i w drogę – zgodził się Alk.

Żar spojrział na szereg oplecionych pnączem butelek i z namysłem podrapał się po nosie.

* * *

– Jacy ci ludzie są mili i przyjemni – stwierdziła Ryska głośno i rzewnie. – Chociaż Sawrianie. Ale kapustę robią paskudną! Zjadłam jeden listek i nadal mnie mdli!

Przyjaciele zdążyli już wyjechać poza granice wsi, ale Żar drgnął i obejrzał się do tyłu. Nie, chyba nikt ich nie słyszał.

– A jak my się zaprzyjaźniłyśmy z tą... Jak jej tam było? Ciocią! Wyobraź sobie, prosiła mnie żebym została jej synową, hi-hi! Ma jeszcze jednego nieżonatego syna – nawet mi go pokazała, wcale niczego sobie! Z warkoczykaami...

– Tylko jak ty to wszystko rozumiałaś? – zdziwił się Żar. – Przecież nie znasz sawriańskiego, a ona rintarskiego.

– I co z tego? Na palcach nam wszystko łatwo wyszło!

Złodziej z namysłem zamrugął, próbując zrozumieć, jak mogła wyglądać „na palcach” propozycja małżeńska, do tego złożona przez przyszłą teściową.

– Ojej, coś mi się krowa chwieje... – ciągnęła przyjaciółka. – Żar, spojrzaj no, czy ona przypadkiem nie okulała?!

Złodziej spojrział, ale nie krowie pod nogi tylko na Alka, z niepokojem. Sawrianina gwałtowna radość Ryski również nie cieszyła. Oczywiście powinni byli pójść sobie wcześniej, ale co tu ukrywać, obiad okazał się wyjątkowo przyjemny. Potem dołączyli sąsiedzi oraz muzykanci, którzy akurat przechodzili obok wracając z jarmarku...

– I po co jej przez cały czas dolewałaś?!

– Wiesz no, chciałem żeby się odrobinę rozluźniła... – Żar rozłożył ręce z poczuciem winy.

– No to teraz sam ją mocuj.

– Alku, słuchaj! – Ryska wtrącała się w ich wymianę niezadowolonych

syknieć. – No Aaalkuuu...!

– Co?

– Ty też jesteś sympatyczny! – Dziewczyna tkliwie spojrzała na Sawrianina.

– I przysooojny...!

– No tak. Mam niejasne wrażenie, że dziś do stolicy nie dotrzemy – skonstatował białowłosa z przykrością.

– Dlaczego? – zdziwiła się Ryska szczerze. – Zobacz, jaki jasny księżyc!

– Żar, tamtędy.

– Yhym...

Przyjaciele z niewiadomego powodu skręcili w pole, ale dziewczyny to ani trochę nie zbiło z tropu. Przecież jest Wędrowniczką, więc gdzie będzie chciała tam przyjedzie! Nawet bez drogi!

– A dlaczego tak wcześnie sobie poszliśmy? Tam było wesoło! Ja bym sobie jeszcze potańczyła... – Ryska zaczęła podrygiwać w siodle.

– Najważniejsze, żebyś teraz nie spadła z krowy. – Alk na wszelki wypadek podjechał bliżej.

– Ha! Przecież ja jeżdżę lepiej od ciebie! – Dziewczyna chciała udowodnić, że da radę nawet zgarnąć kamyk z ziemi w pełnym pędzie, ale z jakiegoś powodu Sawrianin złapał ją pod pachy i wciągnął na swoje siodło. Rysce wydało się, że to straszliwie zabawne, więc zachichotała. – Pachniesz szczurami!

– A ty nalewką wiśniową.

– Bo ona to smaczna była! – poinformowała go dziewczyna konfidencjonalnie.

– Widzę. – Alk przycisnął ją mocniej, żeby się nie wierciła.

– A wiesz na co teraz mam ochotę?

– Spać? – zapytał Sawrianin z nadzieją.

– Nie! Śpiewać!! Aaa naa tej łące, naaa tej zielooonej...

– Nie, spać! – Alk w pośpiechu zacisnął dłonią jej usta.

– Mmmmm...

– Żar, zabierz ją. – Sawrianin spuścił wierzgającą dziewczynę w ręce stojącego już na ziemi złodzieja.

Ryska natychmiast zapomniała o potrzebach duszy i objęła przyjaciela za szyję.

– Też się chwiejesz – zauważyła z pretensją. – Wypiłeś za dużo, co?

– Ano – potwierdził Żar mężnie, donosząc ją do stogu i kładąc na pulchnej stercie siana. – No, już, puść mnie!

– Nie chcę. – Ryska, przekomarzając się, cmoknęła go w nos. – Jesteś taki milutki!

– Ty też jesteś milutka, ale może jednak pójdę rozsiodłam krowy, co?

Dziewczyna niechętnie rozluźniła ręce.

– A potem sobie pośpiewamy?
– Koniecznie – przyrzekł Żar. – I zaśpiewamy, i zatańczymy, tylko odpuść trochę.
– Dobrze – posłusznie zgodziła się Ryska. – Tak mi dooobrze!
Kiedy mężczyźni wrócili do stogu z kocami, dziewczyna już spała ze szczęśliwą miną, podłożywszy dłoń pod policzek.
– Jestem sympatyczny – stwierdził Alk ironicznie.
– A ja milutki. – Żar z czułością spojrział na przyjaciółkę.
– Tyle że ja jeszcze przystojny. Czyli będę pierwszy.
Żar żartobliwie odepchnął Sawrianina ramieniem, ten odpowiedział i przyjaciele po wymianie trzech albo czterech szturchańców również zaczęli układać się do snu.
* * *

Po obudzeniu Ryska poczuła, że paskudnie łupie ją w głowie – jak gdyby ta zmieniała się w dzwon i w środku po każdym ruchu chwiało się serce odlane z ciężkiego metalu. Bardzo chciało jej się pić, ale jeszcze długo leżałaby, tępo patrząc w słomianą kopułę podkopanego z boku siana, gdyby nie przyszedł Alk. Przyklęknął obok, pogładził nagie panińskie ramię i czule wyszeptał:

– To jak, powtórzymy?
Ryska wyleciała spod stogu, jakby ugryzł ją wąż. I odkryła, że poza wszystkim innym spadają jej spodnie, bo ma rozpuszczony pas.
– No to jak, obudziłaś się? – zapytał Żar dobrodusznie. W jego włosach tu i tam sterczały żdźbła słomy, ale z ubrania już prawie wszystko otrzepał.
– A... – Zaszczuta dziewczyna rozejrzała się dookoła, jedną ręką trzymając spodnie, a drugą koszulę. Wyglądający na niesamowicie zadowolonego Alk oparł się o stóg, trzymając w zębach żdźbło trawy z kłoskiem.
– To ja rozwiązałem – wyjaśnił Żar. – Żeby cię nie cisnęło. I buty też zdjąłem, tam stoją.
– A on!!! – Ryska z oburzenia straciła oddech.
– Co ja? – spytał niewinnie Sawrianin. – Tylko zaproponowałem, żeby wypić coś na ból głowy.
– Ja? Po co?! – Dziewczyna niespodziewanie przypomniała sobie, co było wczoraj. Urywkami, ale to wystarczyło. – Ojej... Oj mamuniu...
– A ludowe tańce ci idą znacznie lepiej, niż balowe – zauważył Alk. – Szczególnie na stole.
– No ale tam to nie ona pierwsza wlaźła! – Żar wystąpił w obronie przyjaciółki.
– Ale za to pierwsza spadła.
– Przynajmniej jej tam nie było, kiedy załamał się pod resztą!

– Tak, to robiło wrażenie – przyznał Sawrianin. – Swoją drogą, co to był za kretyn, który próbował łapać ciotkę?

– Chyba jej najmłodszy syn.

– I ona po tym nadal ma zamiar go ożenić?

Rysce ich wymiana przyjemnych wspomnień nie przyniosła żadnego pocieszenia.

– O Bogini, co ci Sawrianie sobie o mnie pomyśleli?! – jęknęła, byle jak zawiązując pas i złapała się za głowę.

Alk przesunął źdźbło do drugiego kącika ust.

– Sądząc ze stanu większości: „jaka miła, dobra dziewczyna!”. Skoro już mnie nazwałaś przystojniakiem...

– Nie mogłam czegoś takiego powiedzieć! – Ryska z nadzieją odwróciła się w kierunku Żara oczekując, że ten ukróci kolejny żart białowłosego, ale złodziej ze zmieszaniem uciekł spojrzeniem.

– No daj spokój – burknął. – Święto jak święto. Rano nawet nikt sobie nie przypomni kto wygrał w „polanko”.

– A kto?!

– Nie pamiętam – skłamał Żar. – Masz tu, faktycznie się dolecz. Bo aż jesteś cała zielona – Chłopak podał Rysce znajomą oplecioną butelkę, ale dziewczyna z przestachem odskoczyła. Ani kropli więcej! Nigdy w życiu!!! Potem się spostrzegła:

– Jak ci nie wstyd?! Oni do nas z głębi serca, a ty...

– Co to za różnica – tam byśmy ją wypili czy zabrali ze sobą? – zdumiał się Żar. – Przecież i tak ją tam dla nas postawili!

Alk zabrał od niego butelkę, upił łyk i skrzywił się.

– Czy ja dobrze rozumiem, że nikt nie ma teraz ochoty na śniadanie? No to w drogę.

Kiedy towarzysze siodłali krowy, Ryska cicho i niepewnie stała z boku, nadal cierpiąc z powodu wczorajszych wydarzeń. Żar podniósł jej sakwy, zamierzając przerzucić przez grzbiet Miłki, ale lewa torba wydała mu się podejrzenie chuda. Złodziej na prawach bliskiego przyjaciela zajrzał do środka, przerzucił rzeczy.

– Ryska, a gdzie masz ślubną sukienkę?!

– Sukienkę? – powtórzyła dziewczyna nieprzytomnie. – Jaką sukienkę? Ojej! Przecież owinęłam w nią dziecko i przewiązałam paskiem... I tak razem oddałam.

– Wracamy? – Żar nie czekając na odpowiedź, odwrócił się w kierunku wieski. Nadal było ją widać, dymy z kominów łączyły się w niewielką siwą chmurkę, która pełzła na wschód.

Ale niespodziewanie Ryska potrząsnęła głową i powiedziała, podnosząc na przyjaciela zmęczone, zapadnięte oczy:

– Wiesz co, ona już jakaś niezbyt nowa jak na ślubną. I zamiast siodła używana, i podeptana była, i przesiąkła dymem z ogniska... A na pieluchy będzie w sam raz.

– Ale i tak szkoda twojej pracy! – Żar chyba czuł się nawet bardziej przejęty całą sprawą, niż przyjaciółka. – Tyle ją haftowałaś...

– No i nic, wyhaftuję drugą.

„Żeby jeszcze było dla kogo – smętnie pomyślała Ryska, wdrapując się na krowę – Komu ja taka głupia jestem potrzebna...”

Rozdział 10

Na dźwięk cichej, delikatnej muzyki szczury unoszą łby i szczękają zębami, okazując zadowolenie.

To samo źródło

Na wjeździe do stolicy kontrola była znacznie dokładniejsza, niż zwykle. Miejscowi musieli pokazywać oznakę mieszkańca, blachę na łańcuszku (nawet żebracy takie mieli, miedziane), a obcych nie tylko przeszukiwano, ale i przepytywano – jak się nazywasz, po co przyjechałeś, czy na długo? – i to wszystko wpisywano do grubej księgi. Potem należało opuszczać miasto przez tę samą bramę, by straż porównała stan faktyczny z zapisem.

Do Rintarczyków strażnicy się doczepili jak dwa rzepy do krowiego ogona. Ni to z podejrzliwości, ni to zamierzając wyciągnąć od nich jak najwięcej. Gdyby Alk podał nazwisko, to z panem Haskilem bez żadnych pytań wpuszczonoby nawet dziesiątkę uzbrojonych po zęby rozbójników, ale byłoby to niesamowicie głupie. Sawrianin wręcz przeciwnie, żywił nadzieję, że nikt go nie pozna. W końcu minęło siedem lat, odpicowany, rumiany młodzieniaszek zmienił się w silnego i żylastego mężczyznę o szerokich barach.

Ale kiedy strażnicy doczepili się mieczy, zamierzając zatrzymać je u siebie, „żeby wyjaśnić czy przypadkiem nie kradzione, bo coś one za ładne dla takich obdartusów” cierpliwość Alka się skończyła.

– One są moje. – Sawrianin pańskim gestem położył rękę na pochwie. – Wędrowcy mają prawo do wjechania do miasta z bronią. I nigdzie nie jest napisane, że powinna ona być kiepska.

– Znalazł się Wędrowiec! – parsknął strażnik. – Jeżeli my każdemu będziemy wierzyli na słowo...

– Mam udowodnić? Ty. – Alk szturchnął go palcem w pulchny brzuch, jak gdyby wskazując losowi drogę. – Masz problemy z wątrobą. W najbliższe lato jeden do dziewięciu. A ty...

Drugi strażnik spróbował schować się za kompanem, ale Sawrianin bez najmniejszego problemu zatoczył półkole i ze spokojem wymalowanym na twarzy wziął ofiarę na celownik palca.

– Zima w tym roku będzie mroźna. – Głos Alk miał równy, pewny i to przekonywało bardziej, niż jakiegokolwiek zapewnienia. – Przeziębienie przechodzące w gruźlicę, jeden do piętnastu.

Strażnicy zgodnie poczuli się źle już tu i teraz. Co prawda ten drugi

spróbował niepewnie protestować:

– A ja słyszałem, że Widzący bez szczura nie mogą wyciągnąć więcej niż jeden do dziesięciu.

– Zgadza się – potwierdził Alk miłościwie. – No więc w twoim wypadku miałbym szansę („Nie-nie, co też pan mówi, do głowy mi nie przyszło, żeby panu grozić! Po prostu spojrzałem na drogi, a tam już Holga będzie decydowała”) tylko jeden do półtora. Chcecie dowiedzieć się czegoś jeszcze? O rodzinie, przyjaciółach?

Strażnicy zaczęli kręcić głowami i rozstąpili się, przepuszczając „wędrowca” i jego przyjaciół.

– To dopiero mistrz! – zachwyciła się Ryska, kiedy Żar, który jako-tako złapał sens dyskusji powtórzył ją przyjaciółce. – Czyli co, możesz każdemu człowiekowi tak z marszu przepowiedzieć wszystkie drogi?!

– Oczywiście, że nie. – Alk zbył ją machnięciem ręki. – Ale oni w to uwierzyli i dobrze.

– Czyli tak po prostu ich oszukałeś? – spytała dziewczyna z rozczarowaniem.

– Odnośnie przyczyn tak. Odnośnie szans – nie.

– Co masz na myśli?

– Wędrowcy mają takie pojęcie jak „ślepy zakręt”. Czyli czujesz, że coś może się zdarzyć, ale nie wiesz dlaczego. Prawdopodobieństwo, że w najbliższe lato ten strażnik umrze faktycznie wynosi jeden do dziesięciu. Nie wiem jak dokładnie – wypije za dużo, zastrzeli go, spadnie ze schodów – ale i tak mogę próbować to wyciągnąć, na ślepo. – Alk z przyjemnością odetchnął powietrzem stolicy – wonią rozgrzanych w słońcu kamieni, mułu schnącego na bokach rynsztoków, kwiatów z tacy mijającej ich handlarki. Niby wszędzie dokładnie te same kamienie, rynsztoki i kwiaty, ale swoje rodzime miasto człowiek pozna nawet z zamkniętymi oczami. – Ale zwykle Wędrowcy czegoś takiego się nie podejmują. Nie wiadomo ile sił trzeba włożyć i co ostatecznie wyjdzie. Pamiętasz, jak mnie „wyleczyłaś”? No to tutaj jest to samo.

Obrzeża stolicy przypominały Krokasz, ale im dalej przyjaciele szli, tym wyżej wyrastały domy, a ulice stawały się szersze. Kamień coraz bardziej dominował nad drewnem lecz miasto wcale nie stawało się przez to bardziej pochmurne, a wręcz przeciwnie: każdy dom próbował wybić się wśród sąsiadów zarówno rodzajem granitu – od czarnego do białego z najróżniejszymi przebarwieniami, jak i dekoracji.

– Ojej! – Ryska zatrzymała się, oglądając pstrokatą mozaikę wielkości całego muru, złożoną z połyskujących w słońcu kawałków szkła: byli na niej ludzie, ptaki i drzewa.

– Jakiś kupiec się chwali grubą sakiewką – prychnął Alk pogardliwie. –

Lepiej zobacz tam.

Na pierwszy rzut oka drugi dom wydawał się skromniejszy, ale tam już było nie szkło tylko półszlachetne kamienie, dopasowane do siebie znacznie bardziej sprawnymi dłońmi. Dwóch wojowników zwarło się w śmiertelnym starciu i mistrzowi udało się przekazać zarówno pęd miecza błyskawicznie spadającego na tarczę, jak i napięcie ciał oraz wściekłość, zniekształcającą twarze. A z bliska – tylko malutkie różnobarwne płytki, jak maźnięcia na obrazie. Cudo!

– Mówią, że w Rinstanie też jest ładnie – zauważył Żar zazdrośnie.

– Tam są płaskorzeźby. Przeważnie z gołymi babami.

– O!

– O to-to. I tylko tak można wzbudzić w was miłość do sztuki.

– A kto mieszka w tym domu? – przerwała mu Ryska, której mozaika się spodobała, ale na płaskorzeźby też by chętnie spojrzała.

– Za moich czasów... – Alk urwał. – Wiesz co, omińmy go bokiem.

– Nie chcesz, żeby cię zauważono z okna? – domyślił się Żar. – Dlaczego?

– Bo plotki w stolicy mają to do siebie, że szerzą się błyskawicznie. – Sawrianin skręcił w zaułek żałując, że nie mają drugiej mnisiej szaty. I w ogóle nie powinni byli jechać przez centrum, wybrał tę drogę z przyzwyczajenia.

– I co z tego? Czego się boisz? Skłamałeś żeś poselski synek czy tatuś dziś w niełasce?

– Nie – odparł Alk równocześnie na oba pytania. – I właśnie dlatego się boję. Złodziej gwizdnął, ze zrozumieniem i rozczarowaniem równocześnie.

– To jak w takim razie trafimy do pałacu? Myślałem, że nas przeprowadzisz.

– Przeprowadzę. Czy może koniecznie potrzebujesz wchodzić przez bramę frontową do wtóru muzyki i z wyliczeniem tytułów?

– Nie, mnie urządzi również w nocy przez płot – uśmiechnął się Żar. – Najlepiej bez towarzystwa.

– Jeśli coś tam ukradniesz, to cię zmuszę, byś to zeżarł – uprzedził Alk.

– Zrozumiano, będę brał tylko rzeczy małe i jadalne!

– Ja mówię poważnie.

– A ja żartuję. Nie no, o co ci w ogóle chodzi? Wyglądasz jakbyś na szydle usiadł. – Złodziej przyjacielsko szturchnął go łokciem. Białowłosego zbył go wściekłym machnięciem ręki. – Wcześniej się jakoś wywijaliśmy, więc teraz też się uda.

– Idź do Saszego – odciął się Sawrianin. Tego jeszcze brakowało, żeby go złodziej uspokajał! Ale chyba rzeczywiście trzeba wziąć się w garść, skoro jego zdenerwowanie było aż tak widoczne.

Rodzina Haskilów również miała dom w stolicy. W innej części miasta i bez mozaiki, ale było od razu widać, że mieszkają tam majątni ludzie. Choć tak naprawdę w środku rezydowali przeważnie pilnujący domu służący oraz

przyjeżdżający w odwiedziny ubożsi krewni. Ojciec wpadał co jakiś czas, kiedy miał sprawy w stolicy, a kiedy Alk nieco podrósł, zaczął zabierać go ze sobą. Ciekawski chłopak przemierzył Brbrzyszcze wzdłuż, w poprzek i z góry do dołu, co kosztowało służbę niemało siwych włosów: tu zginie na cały dzień, tam przeciwnie – ktoś zauważy go na dachu centralnej modlitewni bo założył się, że dotknie znaku Holgi na iglicy. Kilka razy wrócił pobity do krwi i w zniszczonym ubraniu. Dwa razy ktoś przychodził na skargę. Za tragicznie poległego kota (Alk był przekonany, że własnoręcznie zrobiona kusza aż tak wysoko nie sięgnie) poseł zapłacił, a wrzeszczącego kupca kazał spuścić ze schodów stanowczo twierdząc, że jego syn nigdy nie kłamie. Co prawda ojciec kłął, ale nie bronił Alkowi spacerów. Zakładał, że chłopiec powinien rosnąć na mężczyznę, a nie rozpieszczonego bawidamka.

Następnie młodego człowieka przedstawiono w pałacu, zaczęto zabierać ze sobą na przyjęcia (najpierw nudne, ale potem docenił cały urok intryg i z przyjemnością się w nich zanurzył) – ale wspomnienia z dzieciństwa są znacznie bardziej jaskrawe i mocniejsze od dorosłych. Alk nadal pamiętał wszystkie zakamarki stolicy i dlatego miał wrażenie, że pozna go tu każdy pies.

– Dobra – powiedział Sawrianin do samego siebie i potrząsnął głową. – Zaraz wynajmiemy sobie pokój przy karczmie, zostawimy krowy i pójdziemy na targ.

– Po co?

– Zobaczysz. – Alk złowieszczo uśmiechnął się do Ryski.

* * *

Kosz był duży i niewygodny. Przynajmniej nie ciężki – do połowy wypchano go słomą, a na górze ułożono nieznanne Rysce bulwy, przypominające równocześnie rzepę i ziemniaka. Ale i tak nie do utrzymania w jednej ręce, a obiema musiała albo nieść go bokiem albo przed sobą. Dziewczyna całe kolana sobie obtłukła o wiklinę.

Alk i Żar leniwie kroczyli za nią.

– A mi się podoba! – oznajmił złodziej niespodziewanie. – Dobry obyczaj, chciałbym żeby u nas też taki wprowadzili!

– To nieuczciwe!!! – nie wytrzymała Ryska, odwracając się. Obaj mężczyźni mieli na twarzach niesamowicie błogi wyraz. Patrzyliby i patrzyli! – Ty wtedy niosłeś małe koszyki i to całkiem niedługo!

– O co ci chodzi? – Sawrianin nawet nie poruszył brwią. – A, tak! Coś ty, o tamtym to dawno zapomniałem. Ale to naprawdę jest najprostszy sposób, by dostać się do pałacu. Kto tam liczy te służące z kosztami?

– A was?!

– Nas tym bardziej wpuszczają. – Widok Alka z rozpuszczonymi, dobrze

wyczesanymi włosami, do połowy przykrywającymi wiszącą za plecami gitarę był bardzo niezwykły. Należąca do Ryski jaskrawa wstążka, którą Sawrianin przepasał luźną białą koszulę, doskonale dopełniała wybrany przez niego wizerunek. Nawet pełen wyższości wyraz twarzy go nie psuł – dobry minstrel powinien patrzeć na ludzi z góry, jakby był jaśnie panem.

– A też mogłam się przebrać za bajarkę! – oburzyła się dziewczyna z opóźnieniem.

– A jak by cię poprosili o dowód? Dasz radę chociażby parę słów powiedzieć w naszym języku? No to idź dalej i nie podskakuj, głuchoniema tragarko.

Ryska z irytacją szarpnęła koszem. Ten ich głupi język wcale nie był aż tak skomplikowany! W karczmie dziewczyna nawet dała radę po sawriańsku przywitać się i podziękować. I nawet zrozumiała, że proponują jej do wyboru kurczaka albo zająca. Pewnie jakby tu pomieszkała przez miesiąc, to by się nauczyła!

– No już-już – popędził ją Alk. – Taka wasza babia dola: Holga Saszego znosiła i wam przykazała.

– Ale to przecież Saszego, a nie ciebie!

Tyle dobrego, że dużo już tego niesienia nie zostało. Ryska myślała, że idą wzdłuż miejskiego muru, a okazało się, że pałacowego. Miasto w mieście!

– Dwa razy można wytrzymać oblężenie – zauważył Żar, będący pod wrażeniem grubości i wysokości muru.

– Trzy – poprawił go Alk. – Sam pałac również jest nieźle ufortyfikowany. Zresztą, poprzednim razem waszemu wojsku nie udało się sforsować nawet zewnętrznego muru.

– Waszemu naszego również!

– Ale za to zwaliliśmy wschodnią wieżę.

– Nam samym się ona nie podobała!

Mimo żartobliwego tonu i uśmiechów przekomarzanie nie wzięło się samo z siebie tylko zostało starannie zaplanowane. Koło bramy – masywnej, o podnoszonej kracie, mimo że nie głównej – stała dwójka strażników w wypolerowanych do połysku zbrojach. Sądząc z surowych rysów twarzy, pałacu nie bronili zwykli tsecowie, znudzeni beczynnością i rozpaskudzeni łapówkami. Ci może nawet pochodzili ze szlacheckich rodów.

Onieśmielona dziewczyna zwolniła kroku.

– Nie zatrzymuj się – syknął Alk, zrównując się z nią i lekko popychając w plecy. – Wymiń jak gdyby byli słupami, a ja będę gadał.

Ryska uniosła kosz jeszcze wyżej, chowając za nim twarz i na skutek tego prawie wpadła na strażnika po lewej stronie. Ten korzystając z okazji, klepnął ją po kształtnej pupie. Dziewczyna pisnęła jak mysz i wyrwała się do przodu, weseląc zarówno tseców, jak i idących za nią „śpiewaka i modlika”.

– A wam czego? – zwrócił się do nich dobrodusznie strażnik. „Służąca”

faktycznie nie wywołała w nim żadnych podejrzeń. Najwyżej chęć pomacania jej również w drugi pośladek, kiedy ślicznotka będzie szła z powrotem.

– Pan Laszer zaprosił mnie, bym zagrał na obiedzie w małej sali. – Na targu Alk zdążył się dowiedzieć, że w czasie jego nieobecności zarządca w pałacu się nie zmienił. Teraz najważniejsze, żeby faktycznie na niego nie wpaść.

– A twój kumpel będzie śpiewał czy jak?

– Bogini uchowaj – odpowiedział Alk szczerze. – Nie, ktoś ze służących umiera. Prosi o modlika, żeby go namaścił na Niebiańską Drogę.

Żar zrobił smutny wyraz twarzy i zakreślił przed tsecami znak Holgi. Ci pochyłili głowy najwyżej o włos, ale zostawili „modlika” w spokoju.

Za to Alk z jakiegoś powodu wzbudził w starszym strażniku niepokój.

– Coś ja skądś znam twoją twarz – zauważył.

„Minstrel” obojętnie wzruszył ramionami.

– Nie jestem tu pierwszy raz.

– Weź no coś zagraj – poprosił tsec leniwie, jak gdyby z nudów, ale jego oczy patrzyły uważnie i badawczo. Takiemu nie uciekniesz.

Alk bez pośpiechu przesunął gitarę na pierś i z niedbałością mistrza – kiedy niepoprawna nuta w znajomym motywie wydaje się nie błędem, tylko znaleziskiem – uderzył w struny.

– Dobra, możecie iść – pozwolił strażnik po chwili słuchania i Żar zrozumiał, że teraz tsec zapamiętał „śpiewaka” na długo, o ile nie na zawsze.

Za bramą znaleźli się w dużym ogrodzie z pajęczyną ścieżek, oplatających klomby. Wyglądały bardzo niezwykle – w Rintarze zwykle robiono z kamieni krawężniki, a tutaj ponatykano na środek i to takie wielgachne, że za niektórymi człowiek mógł się spokojnie schować. Zieleń również wyglądała dziwnie: różnobarwne grzywiaste trawy albo przeciwnie, drobne mięsiste roślinki, tulące się do ziemi. Całość przypominała tamte ruiny zamku, porośnięte mchem i chwastami.

Ryska doszła do najbliższego rozwidlenia, skręciła za klomb, chowając się przed oczami strażników i stanęła, czekając na towarzyszy.

– Tak po prostu?! – Złodziej nie mógł uwierzyć.

– Przecież to nie sam pałac tylko pałacowy ogród. – Sawrianin wzruszył ramionami. – Tu wszyscy chodzą, posłańcy, pomocnicy kupców, tymczasowi pracownicy, dworacy, ich goście, krewni służby... Straż tylko pilnuje, żeby mieli czyste ubranie i byli bez broni.

– A jak do pałacu? Przez kuchnię?

– Po co mamy tam w ogóle iść? Rysko, zostaw już ten kosz! Nikt nas już nie widzi.

Dziewczyna z roztargnieniem spojrzała dookoła – co, ma postawić go wprost na ścieżce?!

Alk rozwiązał jej wątpliwości, zabierając kosz i natychmiast z krótkim

rozkazem wręczając go przebiegającemu obok służącemu. Ten nawet się nie zdziwił, tylko posłusznie poniósł „rzepę” do kuchni.

– A tsarewna? – zapytał Żar niepewnie.

Sawrianin uśmiechnął się i poklepał ręką po gitarze.

– Pamiętasz, jak zwabialiśmy panienki w karczmie?

– No?

– Wszystkie dziewczki są takie same.

* * *

Alk poprowadził towarzyszy nie do pałacowych drzwi, tylko w dalszą, bardziej zarosniętą część ogrodu. Nad głowami krzyżowały się gałęzie nieznanych Rysce drzew, ale małe rzadkie liście zatrzymywały tylko niewielką część promieni, więc ścieżki pozostawały jasne. Spotykali na drodze coraz mniej ludzi, a pod koniec tylko pary, które same zawczasu skręcały w inne ścieżki, kryjąc się za drzewami i klombami. Na środku stała wieżyczka-altanka: kamienne mury na wysokość dwóch ludzi, o jedynych zamkniętych drzwiczkach, a na szczycie wymyślna drewniana klatka, opleciona splezającym do ziemi bluszczem. Z dołu nie sposób dojrzeć czy w środku ktokolwiek jest. Wieżyczkę otaczał pasek wody w kamiennym korycie – płynący przez park strumyk w tym miejscu zakręcał. W przezroczystej wodzie śmigały stadka drobnych jaskrawoczerwonych rybek. Kiedy ciekawska Ryska pochyliła się nad brzegiem, jak muchy zleciały się ze wszystkich stron, czekając na daninę.

– Żar, nie masz przypadkiem przy sobie kawałka chleba?

– No-no, jeszcze tsarewnie rybki wytrujecie! – parsknął Alk, zdejmując gitarę i klękając na jedno kolano.

– Na pewno nie chcesz żebyś porobił za chórek? – zażartował złodziej.

– A chcesz oberwać gitarą? – Sawrianin potrząsnął głową, odrzucając za plecy włosy, które opadły na struny. – Oboje cicho, już!

Cicha melodia popłynęła nad wodą, smutno szeleszcząc razem z nią.

Od dzisiaj

Zapomnij me imię

Zapomnij mój głos, uśmiech, objęcia.

Ostatni to raz

Jak liście

Spal moje listy

Spal swe uczucia, przysięg zapomnij, co wiążą

Nas

Nie marnuj

*Dni pięknych życia
I na mnie nie czekaj pod oknem zimnym
Na zawsze
Zdradź ten nasz wieczór
Zdradź mnie i wyśmiej by się pocieszyć
Z innym.*

*I kiedyś
Niech będą nieważne
I niepotrzebne niegdyś szalenie istotne słowa
Których tak pragniesz*

*Tak lepiej
Tak lepiej, uwierz
Niż żebyś gorzkie łzy ronić miała
Gdy mnie zabraknie...*

Ostatni wers Alk zaśpiewał lekko stłumionym głosem, z pochylona głową (ale tak chyba wyszło nawet lepiej, bardziej przenikliwie). Z altanki, niesłyszalnie otwierając drzwi, wyszła i zatrzymała się koło wody Sawrianka w prostego kroju (choć była z kremowego jedwabiu ze złotą nicią) sukience, z włosami rozpuszczonymi na ramiona.

Jej książęca mość nie była pięknnością (przynajmniej wedle rintarskiego gustu). Ale nie miała też niż wspólnego ze szkaradą, którą malowano na zabawnych obrazkach. Zwykła młoda kobieta o delikatnej trójkątnej twarzy i jasnych oczach – jaśniejszych niż miał Alk. Wysoka szyja, cienka talia, niewielkie – ale przy jej sawriańskiej szczupłości akurat w sam raz – piersi... Chyba tu rzeczywiście jest w czym się zakochać, przyznała Ryska, czując równocześnie ulgę (a już się martwiła, że ich tsarewicz się zadaje z jakimś straszylem!) i paskudną, głuchą zazdrość: oto idzie ta, przed którą padają na kolana przystojni tsarewicze... I nawet wredne szczury! Ryska niespodziewanie poczuła falę palącego wstydu za swoją taniutką sukienkę, związany gałgankiem warkocz oraz ręce z połamanymi paznokciami. Koło tsarewny pewnie wygląda wyjątkowo nędznie, słusznie Alk się z niej cały czas śmieje...

Tymczasem Isenara rzuciła gościom przyjazne spojrzenie, całkowicie pozbawione poczucia wyższości.

– Co jak co, ale jesteś ostatnią osobą, którą spodziewałam się tu zobaczyć! – powiedziała z wesołym zdziwieniem, gestem pozwalając im się podnieść. Sawrianin z szacunkiem podał tsarewnie rękę, pomagając przekroczyć strumień. – Tyle lat minęło. Alku Haskilu, zostałeś minstrelem?!

– Nie.

– A w pałacu krążyły słuchy...

– Nie. – Stojący nieruchomo mężczyzna patrzył wprost na nią, jak gdyby próbując przeczytać myśli i odpędzając się od słów, bo tylko przeszkadzają.

– Ale w takim razie... – Tsarewna z niezrozumieniem zmarszczyła cienkie brwi.

Alk wyciągnął do niej rękę i rozluźnił pięść. Rurka zachwiała się na przerzuconym przez palec łańcuszku, lśniąc srebrnymi bokami.

Z twarzy Isenary powoli uciekł uśmiech. Jak zaczarowana sięgnęła po list, ale w połowie drogi cofnęła rękę i uniosła ją do ust, przykrywając zaokrąglone z przestraczem usta.

– Alku, ja...

– Wszystko rozumiem. – Sawrianin, zmęczony czekaniem, włożył rurkę do jej dłoni. – W przeciwnym razie nie wziąłbym na siebie zadania dostarczenia go. Proszę się nie obawiać. Oprócz nas nikt o nim nie wie. I się nie dowie.

Tsarewna trzęsącymi się palcami wyciągnęła korek, wytrząsnęła zwój – i zaczerwieniła się widząc, że już nie musi bawić się z „cieniem”.

– Czytałeś?

Alk skinął głową i równocześnie pochylił ją:

– Przepraszam, wasza książęca mość. Nie miałem wyboru.

– Trochę dziwnie się czuję, słysząc to od Wędrowca... – Isenara w końcu wzięła się w garść i nawet spróbowała żartować, ale jej wargi nadal zdradziecko drżały – Ty... widziałeś go?

Ryska przez chwilę miała wrażenie, że najważniejszy z obecnych jest Alk i zmęczona niepewnością kobieta, z nadzieją zaglądająca w jego oczy, gotowa jest paść przed białowłosym na kolana.

– Nie. Goniec został zamordowany. Trafiliśmy na list przypadkiem.

– Zamordowany?! Przez kogo?

– Prawdopodobnie przez tajną służbę Witora. Ścigali również nas, zniżywszy się nawet do wciągnięcia w to gildii morderców i innych rzezimieszków.

Tsarewna zauważyła z jakim napięciem Ryska i Żar słuchają ich rozmowy, rozsądnie połączyła to z ich ciemnymi włosami i spytała Alka:

– Są Rintarczykami?

– Tak.

– Rozumieją co mówimy?

– Modlik w połowie, dziewczyna tylko niektóre słowa. Ale on i tak potem jej wszystko powtórzy.

Złodziej uśmiechnął się szeroko, potwierdzając.

Isenara z namysłem spojrzała na Ryskę i Żara, próbując zrozumieć, co może łączyć tych ludzi z Alkiem – a raczej tym Alkiem, którego pamiętała.

– Są twoimi przyjaciółmi?

To zabrzmiało raczej jak „czy można im ufać?” i pewnie dlatego Sawrianin po chwili wahania sucho odpowiedział:

– Tak.

– W takim razie podejrzewam, że powinniśmy prowadzić rozmowę w języku, który jest zrozumiały dla wszystkich. – Tsarewna bez szczególnego trudu przeszła na rintarski, chociaż jej wymowa była mocno zniekształcona przez akcent.

– Aha, tak jest znacznie lepiej! – beczelnie, choć z szacunkiem odezwał się Żar. Potem zreflektował się i dodał: – Wasza książęca mość.

Isenara roześmiała się cicho i melodyjnie.

– Chłopcze, nie wyglądasz na modlika.

– Holga ceni świętość czynów, a nie twarzy – odparł złodziej z godnością, ale jego oczy były przy tym łobuzersko zmrużone.

Tsarewna w pośpiechu przejrzała list, zalewając się rumieńcem przy znanych Rysce fragmentach. Przycisnęła go do piersi.

– Czy możecie dostarczyć odpowiedź?

– Nie. – Alk pokręcił głową, z zalem ale bez wahania. – Obawiam się, że od dziś ten sposób kontaktu jest dla was zamknięty.

– Ale w takim razie co nam zostaje?! – Te słowa wyrwały się tsarewnie wprost z głębi duszy. – Witor nienawidzi Sawrii. Moja matka nie chce wojny, ale jest zbyt dumna, by poddać się bez walki. Lepiej zginąć, niż zostać rintarskimi niewolnikami!

Żar z Ryską spojrzeli po sobie, ale uprzejmie zamilczeli.

– Ona wie o waszych... uczuciach?

Tsarewna uciekła spojrzeniem, mimo że Alk uczciwie próbował nie patrzeć niżej, niż na jej twarz.

– Domyśla się... Ale może w tym momencie nawet i wie. Nasza tajna służba również nieźle działa, prawda? – Isenara roześmiała się gorzko. – Myślę, że mama nie stanęłaby nam na drodze. Jest już stara i marzy o wnukach, które by rosły w pokoju... Ale to nie ma znaczenia. Póki u władzy jest Witor... Doniesiono nam, że umacnia twierdze i nawet zaczął budowę nowej wieży, naprzeciwko Pępka Holgi.

– Dziwny wybór – zdziwił się Alk. – Przecież wyspa będzie zasłaniała nasz brzeg. I Rybka jest w tamtym miejscu najszersza.

– Mimo to spędzono tam chłopów, wożą bale i kamień... Witor wyraźnie coś knuje i my również musimy w odpowiedzi się przygotowywać. Jeśli wojna się zacznie, to nie będzie sposobu, by ją zatrzymać. Chyba żeby sama Holga zeszła z niebios i stanęła między wojskami...

– Przepraszam waszą książęcą mość. – Alk niespodziewanie przerwał rozmowę, patrząc na coś nad ramieniem tsarewny. Żar również spojrzął, ale dostrzegł wyłącznie klomby i drzewa. – Ale musimy już iść. A jeszcze lepiej biec.

– Tak, tak, oczywiście – zgodziła się Isenara szybko. – Jak mogę się wam odwdziżyć?!

– Wystarczy nam świadomość, że wyświadczyliśmy przysługę waszej książęcej mości.

Żar skrzywił się boleśnie, ale nieusatisfakcjonowana odpowiedzią tsarewna ściągnęła z ręki bransoletkę z białego złota, wysadzając jasnoniebieskimi kamyczkami.

– Trzymaj!

Nie można odmówić tsarskiego daru, więc Sawrianin przyjął ozdobę, z szacunkiem całując podającą ją rękę.

– Żegnam waszą książęcą mość.

– Powodzenia, Alku! – Widać było, że Isenara nie może się doczekać, by wrócić do altanki i przeczytać wiadomy liścik. Tak ze dwieście razy.

Sawrianin uśmiechnął się krzywo i nie odpowiedział.

– Wyjdziemy z tłumem, przez główną bramę – wyjaśnił kilka szczap później, kiedy Żar zaczął ze zdziwieniem oglądać się na znajomą ścieżkę, która została z boku. – Akurat skończyło się poranne posłuchanie, widzisz jaki tłum?

Po szerokich marmurowych schodach rzeczywiście schodziła przynajmniej setka ludzi – panowie, służący i nawet jakiś żebrak, odszczekujący coś ciągnącemu go za kołnierz strażnikowi. Wmieszanie się pomiędzy nich nie stanowiło najmniejszego problemu.

Alk złapał Ryskę za rękę i niedbale założył jej tsarską bransoletkę.

– Ściągnij rękaw żeby jej nie zauważyli.

– Ale czemu jej nie zostawisz u siebie? – zdziwiła się dziewczyna. – W domu zobaczymy.

– Jest dla mnie za mała. A z kieszeni może wypaść, przecież nie będę jej niósł w garści.

Ryska nieco bała się trzymać coś tak kosztownego na nadgarstku, ale nie zdążyła przekazać bransoletki Żarowi (temu to na pewno nic nie wypadnie, a wręcz mogłoby coś „wpaść” dodatkowo).

– Alk? – zabrzmiał za ich plecami męski głos pełen krańcowego zdumienia. Męski głos, sawriański.

– Ktoś cię woła! – Ryska uznała, że Alk nie dosłyszał i pociągnęła go za koszulę. Ku jej zdumieniu białowłosey nie tylko nie odwrócił się, żeby spojrzeć o co chodzi, a wręcz przyśpieszył kroku, ciągnąc dziewczynę za sobą.

– Alk! – Głos zrobił się mocniejszy i pewniejszy.

– Kto to? – Ryska potknęła się. Szczęśliwie do podnóża schodów zostawało tylko kilka stopni, więc przeleciała je, wisząc na ręce białowłosego, jak przez strumień na sznurze przywiązany do gałęzi. – Oj moja noooga! Czekaj!

Sawrianin tłumiąc przekleństwo, złapał Ryskę pod pachy, przerzucił przez

ramię i poniósł precz. Dziewczyna uniosła głowę i jednak udało jej się dojrzeć stojącego na szczycie schodów człowieka z miną pełną zagubienia i niedowierzania – białowłosego, wysokiego, szczupłego i niesamowicie podobnego do Alka.

Albo raczej to Alk był do niego podobny.

Rozdział 11

Drzwi spiżarni zamkowych należy podkuwać miedzią, by szczury nie przegryzły ich i nie dostały się do środka.

To samo źródło

Panienka! – rzucił Alk gwałtownie i z wściekłością, kiedy już zbliżali się do karczmy. Wcześniej Sawrianin nie powiedział ani słowa, a przyjaciele wyczuwali jego nastrój i woleli się nie odzywać. – Ona sobie czeka. Na co?! Żeby Holga faktycznie zstąpiła z niebios i ją zaślubiła z ukochanym?!

Ryska, która w pierwszej chwili uznała, że chodzi o nią, zamarła jak słup soli. A ona myślała, że Alk jest zadowolony z udanego zakończenia przygody! I czy w ogóle można mówić o swojej tsarewnie jak o zwykłej dziewczce?! Nawet Ryska czuła jej majestat!

– A co ona może zrobić? – Żar wystąpił w obronie Isenary. – Władza jest w rękach jej matki, a sama tsarewna w życiu nie trzymała w rękach niczego cięższego od kwiatka.

– Zawsze można coś zrobić. I z waszego Szaresa taki sam maminsynek. Wziąłby i walnął pięścią w stół. – Alk podał tsarewiczowi przykład, wyładowując frustrację na najbliższym słupie. Umocowany na nim daszek zadrżał, hałaśliwie uniosły się do lotu przerażone gołębie. – A jeszcze lepiej swojego tatka w środek czoła.

– Alku! – przeraziła się dziewczyna. – Co ty takiego mówisz? Czy on twoim zdaniem powinien zamordować rodzzonego ojca?!

– On nie powinien dać jemu zamordować tysiące innych ojców, matek i dzieci. A jakim sposobem, to już jego problem. Najważniejsze żeby nie siedzieć i nie trzepotać rękami w nadziei, że wszystko się samo magicznie rozwiąże. O, nawet ta tutaj. – Alk niedbale skinął głową w kierunku Ryski, chociaż w zasadzie rozmawiał właśnie z nią. – Ruszyła się jak przyszło co do czego.

– Tylko co z tego potem wyszło? – Żar żartobliwie pociągnął przyjaciółkę za koniuszek zakurzonego warkocza.

– Zdecydowanie coś lepszego niż jakby miała do samej śmierci myć krowom ogony. Chociaż człowieka przypomina... od tyłu.

– A ty to przeciwnie, nie powinieneś był rezygnować z poselskiej kariery – obrazila się Ryska. – Skoroś taki mądry, to byś wziął i nauczył tsarów, jak mają dobrze rządzić krajami. Bo z boku to łatwo gadać!

– Kiedy Bogini rozdawała babom mózgi i cycki, to zdecydowanie stanęłaś w

niewłaściwej kolejce! – nie wytrzymał Alk.

– Co, powinnam wybrać cycki? – odcięła się dziewczyna, również doprowadzona do wrzenia.

Sawrianin wbił w nią ciężkie, niemrugające spojrzenie. Ryska wciągnęła głowę w ramiona, ale patrzyła mu prosto w oczy, doskonale pojmując, że zaraz dostanie taką odpowiedź, że do wieczora się nie pozbiera.

Ale Alk niespodziewanie spokojnie odparł:

– Wiecie co, wracajcie do domu.

– A ty?!

– Mam jeszcze jedną sprawę. Osobistą. – Białowłosy podał Żarowi gitarę, odwrócił się na pięcie i zanim przyjaciele się opamiętali, zniknął w jednym z zaułków.

* * *

Fakt, że po raz pierwszy wygrała słowną bitwę, raczej budził w Rysce skrepowanie, niż radość. Chodząc po małym pokoiku na piętrze (na dole panował hałas, podpici Sawrianie stukali kuflami i śpiewali) dziewczyna starała się obudzić w sobie gniew, wspominając Alkową odzywkę: „ta tutaj”, „od tyłu”, „wszystkie dziewczki są takie same”, a jak! Mówi jak o pieskach – zagwizdał to przybiegły i stanęły na tylnych łapkach!

Wychodziło nie najlepiej. Alka nadal nie było i Ryska czuła więcej niepokoju, niż złości.

– Dyskusje z tym szcurem są jak plucie pod wiatr! – rzuciła z pretensją, chyba już po raz setny wyglądając przez okno.

– Ja bym nawet powiedział, że bardziej jak załatwianie się – poprawił siedzący przy stole Żar, bawiący się stawianiem słupka z pozostałych im pieniędzy. Same drobne, ale złodzieja to nie martwiło – przecież mieli jeszcze bransoletkę! – I to dużej potrzeby.

– No sam powiedz, czy on nie jest draniem?!

– Draniem, draniem, wyjątkowym – pocieszył ją przyjaciel, ostrożnie zbliżając do słupka kolejnego miedziaka.

– Co on w ogóle sobie wyobraża?! Sam jest jedną wielką wadą, a ciągle się mnie czepia! – Ryska zawadziła udem o brzeg stołu i syknęła z bólu, pocierając posiniaczone miejsce.

– Ale i tak ci się podoba – podsumował złodziej ze smutkiem, patrząc na rozrzucone monety.

– Jeszcze czego! – Na taki obrót spraw dziewczynę zatkało.

– A tego. Przecież widzę, jak na niego patrzysz. – Żar zgarnął pieniądze na kupkę i zaczął wszystko od początku.

– Ja wcale na niego nie patrzę!!!

– Ano właśnie.

Zapłoniona Ryska wsparła się dłońmi o parapet i wychyliła głowę na zewnątrz, żeby owiało ją wiatrem. Stała tak przez kilka szczap.

– Żar...

– Yhm...?

– A jak on na mnie patrzy?

– Mężczyźni mają inaczej.

– Co?

– Nie patrzymy tylko macamy – wyjaśnił złodziej z namysłem. – Osz zaraza! Monетки ponownie zadzwoniły po stole.

Dziewczyna z roztargnieniem przeciągnęła prawą ręką po przedramieniu, poprawiając zadarty rękaw. Trafiała na bransoletkę – i ponownie poczuła ukłucie niepokoju.

– Jak myślisz, ile ona jest warta?

Złodziej z zadowoleniem wziął błyskotkę, pokręcił w dłoni – ciepła, ciężka, przyjemne uczucie! Podniósł do światła, podziwiając połysk kamieni.

– Setkę złotych dostaniemy bez pytania. Z pytaniami można dostać nawet półtorej.

Ale Ryska zamiast ucieszyć się razem z przyjacielem, zbladła jeszcze bardziej.

– Żar... – szepnęła, łapiąc kurczowo za brzeg stołu. – Wydaje mi się, że jak on mówił „do domu” to wcale nie chodziło mu o karczmę...

* * *

Dom prawie się nie zmienił. Tylko położyli nowe dachówki – kiedyś były ciemnoczerwone, a teraz szaroniebieskie. Jak gdyby założył nową czapkę.

Trzasnęły drzwi. Po schodkach w pośpiechu zbiegł schludnie ubrany chłopczyk w wieku sześciu-siedmiu lat, z procą w garści.

– Tasz, dokąd?! – leciało za nim desperackie wołanie.

Dzieciak nawet się nie obejrzał, tylko popędził wzdłuż ulicy – tylko białe warkoczyki podskakiwały mu na plecach.

Na ganek wyszła stara służąca, pokręciła głową i chwilę pomarudziła. Alka stojącego w zaułku nie dostrzegła – wzrok już nie ten.

Sawrianin odwrócił się. Nie powinien tu przychodzić. Od początku wiedział, że nie powinien. Ale nie potrafił się powstrzymać.

Cóż, doskonale. Wszystko idzie, jak powinno. Siostrzeniec już całkiem duży, ma kto kontynuować sławny ród Haskilów. Teraz można z czystym sumieniem zając się godnym zakończeniem swojego.

Alk nie żywił nawet cienia wątpliwości – Rajlez go nie uwolni. Ani po dobroci, ani przymuszany siłą. Wręcz przeciwnie, odda Saszemu cokolwiek, żeby

tylko dostać z powrotem.

I kogokolwiek.

Podczas śniadania Sawrianin na parę szczap wyszedł z karczmy i poprosił służącego o przeniesienie Śmierci z jej torbami do innej krowiarni. Jeżeli przyjaciele zaczną pytać gdzie zniknęła, miał odpowiedzieć, że właściciel zabrał.

Bo dla Alka jednak istniały pewne granice tego, co był gotów oddać.

– Hej, ty! W białej koszuli!

Musiał się obrócić – po ulicy prócz niego szli tylko kupiec w rozpiętym z okazji gorąca kubraku oraz baba z dwoma wiadrami wody (a ludzie gadają, że to dobry znak!).

Wołał Wędrowiec, młody mężczyzna na chudej, sennej krówce. Pewnie z pochodzenia wieszczanin – twarz miał okrągłą, perkaty nos i włosy koloru zeszłorocznej słomy. Chyba był w wieku Alka – niedawno opuścił Przystań – ale białowłosy czuł się starszy o pięć albo nawet dziesięć lat. I spojrzał na Wędrowca niemalże z litością.

– Słucham?

– Nie nazywasz się przypadkiem Alk Haskil?

Białowłosy stłumił uśmiech. Chłopak był jeszcze głupszy, niż się wydawał na pierwszy rzut oka.

– Nie – odparł Alk bezczelnie, nie zatrzymując się.

Wędrowiec wbił zaskoczone spojrzenie w jego plecy. Posłuchał daru. Następnie jeszcze raz, na wszelki wypadek: przecież to nie może być, żeby ot tak po prostu w biały dzień wyminął go na ulicy uciekinier, którego już od miesiąca szukają wszystkie Przystanie!

Białowłosy prawie dotarł do środka skrzyżowania, kiedy Wędrowiec w końcu się opamiętał i z oburzeniem ryknął:

– Kłamiesz!

– Ups, nie wypaliło – mruknął Alk pod nosem z rozczarowaniem, przyspieszając kroku.

– Stój natychmiast! – Młodzieniec popędził krówkę.

Kupiec odskoczył pod mur, baba pisnęła i upuściła wiadra – woda plusnęła krowie pod kopyta. Tylko uciekinier zachował spokój. Wędrowiec ze szcurem przeciwko Widzącemu to jak Widzący przeciwko zwykłemu człowiekowi.

Było w tym tylko jedno „ale”.

Ludzie wiedzą, na czym polegała siła Wędrowców.

Alk wiedział, gdzie tkwiła ich słabość.

Chłopak nie zdobędzie się na to, by wypalać „świecę” by go złapać; po prostu będzie się bał. A nuż renegata nie złapie i jeszcze szczura zabije? Tak, będzie kombinował w drobiazgach. Czyli trzeba poprowadzić grę w taki sposób, by szanse Wędrowca na zwycięstwo w żadnym momencie nie przewyższyły jednego

do dziesięciu. To jak walka z Ryską na miecze: nawet jak jesteś po trzykroć Widzącą, to i tak wygra wojownik.

Alk kochał stolicę. I był przekonany, że ona odpowie mu wzajemnością.

Krówka odpadła z pościgu już przy drugim zaułku – zakręcanie w pełnym pędzie okazało się niewygodne, a do tego zwierzę bało się wąskich ciemnych przejść i z przerażonym rykiem podrzucalo łbem, drepcząc w miejscu. Za plecami Alka rozległy się kroki. Trzeba przyznać, że Wędrowiec umiał biegać – pewnie jeszcze nie zdążył się utuczyć na obfitych wędrowczych zarobkach.

No to teraz, kochany, czy umiesz się wspinać?

Mijając pierwszą pasującą mu beczkę z kwiatami, białowłosa podskoczył, bezlitośnie zdusił obfitą czuprynę liści i kwiatów po czym wspiął się na dach domu.

– Co ty wyprawiasz, szcurze!!!

Oburzony wrzask urwał się: gospodyni dostrzegła Wędrowca, który dobił jej ukochany klomb i z przerażeniem zatrzasnęła okiennice.

Uciekinier bynajmniej nie czekał koło komina. Lombard, łaźnia, kamienica, „kurnik”... Okazało się to nawet łatwiejsze, niż w dzieciństwie – teraz Alk miał dłuższe nogi i mocniejsze mięśnie. Pokonał z tuzin dachów, coraz wyżej i wyżej, po czym ostatecznie zatrzymał się na szczycie budynku sądu i odwrócił.

Wędrowiec zrezygnował już przy „kurniku” – stał trzymając się obiema rękoma za szpilę (odpowiedni do rodzaju budynku wiatrowskaz symbolicznie kręcił się nad pechowym prześladowcą) i smętnie patrzył za uciekinierem. Alk prześmiewczo pomachał do niego ręką, odwrócił się i zaczął schodzić po dachu z przeciwnej strony, bez trudu utrzymując równowagę. Mógł zeskoczyć na balkonik, a następnie spokojnie wejść do środka – w końcu to publiczny budynek – po czym zejść po schodach jak porządny obywatel.

Tyle że dachówki na budynku przez ostatnie siedem lat nie były wymieniane ani razu...

Sawrianinowi mimo wszystko udało się czegoś złapać, a mianowicie zwisającego pod balkonem dekoracyjnego „sopła” o trójkątnym czubku. Twarzą do sąsiedniego domu, na który lepiej byłoby skakać z rozpędu. I to niemałego.

Na dole, w ogródku darły się koty. Im to dobrze... Alkowi już nie bardzo. To nie chodzenie po ziemi, gdzie człowiek może przystanąć sobie na szczapkę i odpocząć. Im dłużej wisisz, tym bardziej bolą ręce, a palce tracą czucie. „Tak czy siak będą spadał” – uznał Sawrianin, rozbijał się i z całych sił wyrzucił ciało do przodu.

O dziwo, nawet udało mu się dolecieć do sąsiedniego dachu. A nawet za niego złapać. Ale niestety radość ze zwycięstwa nie trwała długo: rynna z przeraźliwym chrzęstem oderwała się od muru, rozwalając dolny rząd dachówek, a następnie po prostu pękła w połowie. W domu wrzasnęła kobieta, a ktoś z

przekleństwami skoczył do okna.

Ale Alka to już niezbyt obchodziło: leciał w dół i stłumiony wrzask cichł znacznie szybciej, niż sugerowałyby to odległość od krzaka.

Kocia parka rozczepiła się i skoczyła na boki. Kocur (jak niestety większość facetów w takiej sytuacji) – czmychnął bez oglądania się za siebie. Ale kotka odbiegła kilka kroków i stanęła. Smukła, szara w cętki, o uszach pociągniętych czarnym – brakowało jej tylko rysich pędzelków na końcach. Patrzyła na zaplątanego w krzaku Alka dzikimi, okrągłymi oczami, które natychmiast zmrużyła z oburzeniem. Jakiś szczur!

– Urrrr... – zawrzało pod białą kryzą.

Alk nastroszył sierść i wyszczerzył zęby. Jeszcze nie zdążył dojść do siebie po upadku, niechby i skutecznie zamortyzowanego przez gałęzie. Jakiś kot!

Szara kocica strzeliła ogonem, akceptując wyzwanie. Właściciel dawno już przestał rachować zaduszone przez nią gryzonie – zdarzały się dni, kiedy na progu domu leżały nawet trzy albo cztery tuszki wielkich, wypasionych szczurzyk.

Alk skoczył pierwszy, wprost na koci pysk. Kotka spróbowała strącić przeciwnika łapami, ale bez skutku, więc potoczyli się po ziemi syczącym, piszczącym i wrzeszczącym kłębkim. Zachwiały się pokropione krwią liście. Szczur był zwinniejszy, ale kotka miała więcej siły. Co prawda z ogromnym trudem, ale jednak udało jej się przycisnąć wroga własnym ciężarem i zacisnąć kły na jego grzbiecie, próbując przegryźć kręgosłup...

...żeby w następnej chwili uświadomić sobie, że wisi na plecach człowieka.

Alk powoli odwrócił głowę. Żółte oczy spotkały się z miodowymi i nie do końca wiadomo, które były bardziej zwierzęce.

Zszokowana kotka położyła uszy po sobie, bezdźwięcznie otworzyła paszczę i spadała na ziemię ciężko, jak worek z mąką. Sawrianin nawet podniósł nogę by wymierzyć jej solidnego kopniaka, ale w ostatniej chwili się rozmyślił (a co jak mu przeora pazurami bosą stopę?) i tylko ze złością syknął:

– Poszła stąd, idiotko!

Kotka podskoczyła i uciekła chyba nawet szybciej, niż gdyby ją faktycznie kopnął. Chyba gospodarz właśnie na dobre stracił doskonałą łowczynię szczurów.

Alk w pośpiechu zebrał rozrzucone po krzakach i ziemi ubranie. Już zerkano na niego z ulicy i z okien, choć nikt nie zrozumiał co się stało: przestrzeń zasłaniały gałęzie i słychać było tylko szamotaninę oraz kocio-szczurze wrzaski.

„Tyle dobrego, że prawie natychmiast się zmieniłem z powrotem” – pomyślał białowłosey, zaciskając zęby i płacząc się w nogawkach do wtóru śmiechu gapiów. Ale dopiero wkładając głowę w wycięcie koszuli uświadomił sobie, czym może być spowodowane takie „szczęście”.

* * *

Gdy Alk wdarł się do izby nad karczmą, ta była już od dawna pusta. Na podłodze, jak rybie łuski połyskiwały monетки, które rozleciały się po całym pokoju, jedno krzesło leżało przewrócone. Nic więcej nie ucierpiało, zniknęły jedynie rzeczy przyjaciół. Nie było tu gwałtownej i krwawej walki, a zwyczajnie bardzo nierówna.

Karczmarz, złapany za kołnierz, zaklinał się na wszystkie świętości, że po klientów przyszli „przyjaciele” – delikatnie wyprowadzili, trzymając za ręce, wszyscy razem wsiedli na krowy i odjechali. Dokąd? A no chyba gdzieś tam...

– O czym rozmawiali pomiędzy sobą? Nie mów, że nie słyszałeś ani słowa?!

– Ale oni przecież po rintarsku...

– A jak wyglądali?!

– Dokładnie tak wyglądali... Wszyscy krótko ostrzyżeni, pyski okrągłe... – Chłopina naprawdę nie rozumiał, dlaczego powinien interesować się jakimiś obcymi.

– Ilu ich było?

– Sześciu...

Alk wypuścił karczmarza, na pomoc któremu już zdążał wykidajło (ale widząc, że wszystko się skończyło, gwałtownie zwolnił kroku). Widzący, nie zwracając na niego uwagi, zastygł jak słup na środku lokalu, wbijając niewidzące spojrzenie w podłogę. Gdyby gościami tsarewny zainteresowały się sawriańskie służby, które śledziły ich od pałacu, nie byłoby to szczególnym problemem: Alk przynajmniej wiedziałby, gdzie szukać. Mimo że czekałoby go płaszczenie się przed wpływowymi znajomymi, by zwrócić przyjaciółom wolność.

Ale dokąd i po co mogli ich zabrać Rintarczycy...? Stolica była wielka, z masą zakamarków i setką tysięcy ludzi, więc z daru Wędrowca było dokładnie tyle samo pożytku, co z wężu psa myśliwskiego na środku placu targowego – zbyt dużo śladów. I znowu, można skorzystać z pomocy tajnej służby, mającej donosicieli wśród żebraków i złodziei, którzy w końcu znajdą norę obcych.... Ale wtedy już będzie za późno.

Norę.

– Gdzie moja krowa? – Sawrianin uniósł głowę. Podjął decyzję.

– Zaraz przyprowadzą, szanowny panie – ucieszył się gospodarz. Kłopotliwy gość wyjeżdża!

Ale Alk poczekał na krowiuszego ze Śmiercią i ograniczył się do zdjęcia z siodła długiego pakunku, po czym rozkazał, żeby krowę odprowadzono z powrotem. I jeszcze dopłacił za postój.

Po powrocie do pokoju białowłosa zamknął drzwi i na wszelki wypadek podparł je krzesłem. A okno przeciwnie, otworzył. Na zakurzonej parapecie wyraźnie odbiły się dłonie Ryski. Alk przyjrzał się dokładniej i dostrzegł, że dodatkowe smugi były pajęczyną szczurzych śladów.

– Doskonale – wymruczał tonem dalekim od radości, ścierając kurz i otrzepując dłonie.

Wspięcie się na dach nie będzie trudne, budynki stoją blisko siebie. Ale Sawrianin nie wylazł na zewnątrz od razu, tylko cofnął się do łóżka. Dopasował na sobie pasy z mieczami. Przeplótł warkocze. Sprawdził sznurówki w butach i pas – tego tylko brakowało, by w najważniejszej chwili się rozwiązały!

I usiadł na podłodze, opierając się plecami o łóżko i odchylając głowę na jego brzeg.

Mimo wszystko Holga dała mu bardzo cenny dar – mieć pewność, czy to co robisz, jest głupie czy nie! Wiedzieć i mimo to skręcać zgodnie ze strzałką „Tylko dla zupełnych kretynów”. Alk uśmiechnął się gorzko. W zasadzie Ryska miała rację! Jego umiejętność gry na gitarze była znacznie bardziej pożyteczna. A już na pewno miał z niej więcej przyjemności.

Przez kilka szczap Sawrianin gapił się w zakopcony sufit, zmuszając do skupienia się na jednej jedynej myśli, żeby na pewno nie wyleciała z głowy – a następnie zamknął oczy.

* * *

Rozbójnik dmuchnął na palące się łuczywo. Płomień zgasł, ale ostry koniuszek nadal jarzył się jaskrawo.

– A jak będziesz śpiewał... – Łuczywo powoli zbliżyło się do twarzy Żara. – Jeśli ten drobiaźdźek wbije ci się w oko?

Kiedy malutki węgielek znalazł się naprzeciw źrenicy, złodziej nie wytrzymał i zmrużył oczy. Żywo przypomniał sobie zdechłego szosza z krwawym śluzem w oczodole.

– ...a jeśli dobrze nacisnąć, to w mózg również...

Złodziej już czuł na powiece (albo mu się wydawało?) ciepło łuczywa. Nigdy nie uważał się za bohatera, ale nie za bardzo miał wybór. Gdy tylko porywacze dowiedzą się wszystkiego, co ich interesuje natychmiast zabiją więźnia. Było wyłącznie kwestią czasu, kiedy Żar uzna, że ta opcja bardziej mu odpowiada.

– Ej, może on naprawdę nic nie wie – rzucił leniwie od stołu inny rozbójnik. Kolejna dwójka w skupieniu mlaskała, pochłaniając wędzoną szynkę. Z ciemnoczerwonego mięsa już do połowy sterczała oskrobana nożami kość.

– Wie, wie. Przecież widzę, jak się ciska. Kiedy mówią prawdę to inaczej wrzeszczą.

Żar zaryzykował otwarcie jednego oka. Łuczywo zdążyło wystygnąć, porywacze szczyrzyli zęby, zadowoleni z przerażenia ofiary.

– Nie bój się, szcuraczku! Zostawimy twoje ślepkę na koniec, bo jeszcze znam przedwcześnie zdechniesz. – Bandyta rzucił spaloną szczapkę na podłogę i rozgniół obcasem. – Mamy tu coś ciekawszego...

Złodziej przelknął ślinę. Miał dość czasu, żeby obejrzeć sobie miejsce, w którym był uwięziony – porywacze zabrali się do przesłuchania dopiero po ośmiu albo nawet dziesięciu łuczywach. Ni to domykali jakieś sprawy, ni to dawali więźniowi czas, by „dojrzał” zawczasu się nakręcić w otoczeniu złowieszczych przedmiotów, chociaż upływ lat zdecydowanie odcisnęły na nich swoje zardzewiałe piętno. Żar wątpił czy kat zdoła domknąć połówki „jeża”. Ale dyby wyglądały na działające.

– No to jak? Przypomniałeś sobie, do kogo zawiozłeś list?

– A skąd ja niby mam ją znać?! Jakaś baba, kumpelka białowłosego! – Złodziej wybrał półprawdę w nadziei, że zabrzmi bardziej przekonująco.

– Aha, baba. Już lepiej. – Kat odwrócił się do towarzyszy. – Hej no, koniec tego żarcia! Pomóżcie posadzić naszego gościa na „tronie”.

Złodziej, który czuł dziki ból w rękach zadartych do góry i przywiązanych do białego w mur haka, nagle uznał, że wolałby jeszcze trochę postać.

Dwójka zbójów z niezadowolonym mručeniem oderwała się od posiłku. Jeden niespodziewanie wymierzył Żarowi cios pięścią pod żebra, żeby ten mniej się stawiał i skulonego chłopaka zaniesiono do krzesła, na którym stała żelazna skrzynia z jednej strony zakratowana. Skomplikowana konstrukcja złożona z wielu zamykanych drzwiczek pozwalała zarówno na założenie jej na głowę, jak i wsadzenie ręki czy w ogóle wpakowanie torturowanego gołym tyłkiem na otwór w pokrywie.

– Co wybierasz, górę czy dół?

W skrzyni widać było gigantyczne szczury, pięć albo sześć sztuk. Głodne i zirytowane, co rusz atakowały się nawzajem – czasami na równi, turlając się w kłębku, czasami słabszy z desperackim piskiem przewracał się na grzbiet. W takiej sytuacji niechętnie pozostawiano go w spokoju – do następnej potyczki.

– Może zaczniemy od ręki? – zaproponował Żar nieśmiało.

Porywacze zarechotali z rozbawieniem. Jeden ze szczurów skoczył na kratę i uczeplił się jej wszystkimi czterema łapami. Kat dla zabawy szturchnął go palcem w brzuch i ledwo zdołał cofnąć rękę.

– Ponieważ góra nam się bardziej przyda do rozmowy... – zastanawiał się na głos, nie biorąc opinii więźnia pod uwagę.

Żar dół również bardzo sobie cenił, więc kiedy próbowali mu ściągnąć spodnie zaczął rzucać się tak, że rozbójnicy musieli przewrócić krnąbrną ofiarę na podłogę i nauczyć moresu kopniakami.

– Krzycz, krzycz, nie krępuj się – pozwolił kat łaskawie, otwierając górne drzwiczki. Szczury natychmiast przestały walczyć i wyczekująco przytuliły się do podłogi. – Nikomu przeszkadzał nie będziesz.

Tyle to Żar sam rozumiał. Słusznie się Alkowi i Rysce ten zniszczony zamek nie podobał! Myśleli, że to z powodu duchów, a okazało się, że w ocalałej wieży

jest rozbójnicza melina. Nikt się tu nie wpakuje nawet przypadkiem, bo trzeba znać przejścia, a w jednym miejscu prawie pełznąć na brzuchach pod zwisającym głazem.

Na razie złodziejowi starczało męstwa, by milczeć, zgrzytając zębami z bólu. Ale już nie miał sił by się stawiać. Przewrócono go jak worek z mąką i kiedy jeden rozbójnik trzymał więźnia nogą postawioną na gardle, drugi jednak rozwiązał mu pas.

– No to jak, będą nasze zwierzątka miały co jeść? – zapytał oprawca złośliwie i nagle powiedział, spojrzawszy w bok: – Hej, jeden ci uciekł!

Kat ze zdumieniem zajrzał do skrzyni, próbując przeliczyć przyczajone w mroku zwierzątka.

– Nie, chyba wszystkie są na miejscu... A żeby cię! – Kiedy odwrócił się do siedzącego na środku pomieszczenia „uciekiniera”, szczury były już dwa. – Czego one tak powylażyły w środku dnia?

– Pewnie wyczuły mięso. – Nadal siedzący przy stole rozbójnik dla żartu odciął kawałeczek skórki i rzucił zwierzątkom. Spadła wprost przed nimi, ale szczury ledwo poruszyły wąsami.

Mężczyzna ze wzruszeniem ramion odciął sobie kolejny kawałek wieprzowiny. Ze zdziwieniem uniósł głowę – po dachu coś drobno i często szeleściło, jakby deszcz, a przecież ledwie łuczywo temu niebo było czyściutkie! Zresztą to nawet lepiej, w brzydką pogodę na pewno nikt się tu nie przyplące.

– Może mają ochotę na świeżynkę? – Kat zrobił krok w kierunku szczurów. Te leniwie odbiegły, ale tylko na tyle, by nie zostać nadepnięte. – No co za świństwo, w zamku już od trzydziestu lat nikt nie mieszka, a one nadal jakoś sobie radzą!

– Jakbyśmy wiedzieli, to byśmy nie kupowali w wiesce tylko nałapali tutaj – rzucił z pretensją rozbójnik trzymający Żara. – Niepotrzebnie zmarnowaliśmy na tego gówniarza sześć miedek...

– Yhym, lepiej byście je mnie oddali – wychrypiał złodziej, próbując związanymi rękoma odsunąć naciskający na gardło but. – Bo wam już...

Rozbójnik nacisnął mocniej, Żar zaczął kaszleć.

– No patrzcie, jaki odważny się zrobił! – zdumiał się kat. – Chcesz się z nami potargować? Bo my z ciebie nawet bez pieniędzy zaraz...

Szczury wlały się do wieży ze wszystkich szczelin równocześnie, jak gdyby jej wnętrze zostało w jednej chwili pochłonięte przez mokradła. Bure „błoto” ciekło z nor, ze szczeliny w suficie i przez parapety.

Kat upadł pierwszy, jeszcze zanim go przykryło – zemdłał. Pozostali zaczęli wrzeszczeć, dziko tańcząc po izbie, jak gdyby ogarnął ich płomień – szczurze ogony chwiały się jak jego języki.

Dookoła Żara stwory utworzyły ciasny pierścień. Kręciły się, stawały słupka,

ale nie ruszały. Chłopak przycisnął nogi do piersi i szczury natychmiast zajęły zwolnione miejsce, nadal nie dotykając człowieka.

– Twoja mać! – Złodziej zaczął w pośpiechu rozwiązywać zębami supeł na sznurze.

Żar nie wiedział, który z rozbójników pierwszy wpadł na to, by wyskoczyć przez okno, ale pozostali natychmiast poszli za jego przykładem. A z przeciwnej strony – jakim cudem udało mu się wskoczyć przez wąskie okienko w połowie wysokości gładkiej wieży?! – do środka wpadł wysoki chudy człowiek, który przeturlał się po podłodze i natychmiast zerwał na nogi. Białe warkocze jak szczurze ogony chlasnęły go po ramionach.

– Alk! – zawołał Żar z radością, wypluwając przeżuty sznur. – Wiedziałem...

Sawrianin gwałtownie obrócił głowę w jego stronę – i złodziej zrozumiał, że zdecydowanie nie wiedział wszystkiego. Szczury dookoła niego zasyczały, nastroszyły futerka i przysunęły się kilka kroków.

– Alk, coś ty? Przecież to ja, twój przyjaciel! – wymamrotał Żar, wciągając głowę w ramiona.

Białowłosy zgarbił się, otworzył usta, ale nie wydobył się z nich żaden dźwięk. Mimo to szare stwory dookoła zaniepokoiły się. Jeden nawet złapał złodzieja za spodnie i pociągnął do siebie. Żar nie strząsnął go – co będzie, jeśli pozostałe odczytają to jako znak, by się na niego rzucić?!

Alk pochylił się jeszcze bardziej i ruszył w kierunku złodzieja – bokiem, po spirali. Szczury jak groch rozsypywały się przed nim i natychmiast zwierały za plecami. Żar słyszał wyraźny dźwięk zgrzytania zębów i czuł, jak włosy powstają mu nawet w takich miejscach, o których w życiu by nie pomyślał.

Kiedy odległość między mężczyznami zmalała do jednego kroku, Alk niespodziewanie wychylił się do przodu, dosyć jednoznacznie celując w szyję przyjaciela. Ale dokładnie w tej samej chwili przed oczami złodzieja jak olśnienie przemknęła niedawno widziana scena – i upadł na plecy, próbując możliwie dokładnie skopiować pozę podległego szczura. Nawet podkulił ręce jak łapki i nieco zmrużył oczy.

Białowłosy jednak go dziabnął – za kołnierz. Potrzymał w zębach i puścił. Pochylił głowę i zaczął natrętnie wachać twarz Żara. Patrzenie Alkowi w oczy było straszne nawet spoza rzęs. Złodziej rozrzucił ręce jeszcze szerzej – i trafił na odłamek kamienia wielkości połówki jabłka. Akurat żeby zmieścił się w dłoni.

„Wybacz, przyjacielu!” – poprosił Żar w myśli i całkowicie świadom, że ma tylko jedną próbę zacisnąć palce, po czym gwałtownie walnął Sawrianina w skroń.

* * *

– Hej! No już, obudź się! Przestań udawać trupa!

Alk zamrugnął, zbierając w całość dwóch Żarów, rozpełzających się

naprzemiennie na boki, a potem w pionie. Obaj siedzieli w kucki i potrząsali jego ramieniem, przeszkadzając w skupieniu się.

– Daj mi lepiej coś do picia – wychrypiał białowłosy, z trudem poruszając językiem.

– Masz. – Złodziej natychmiast podsunął mu pod nos kubek. Wody było ledwo co na dnie – ocucenie przyjaciela okazało się wcale nie takie proste.

Ale nawet jeden łyk pomógł.

– I czego się na mnie tak gapisz? – Sawrianin z trudem przekręcił się na brzuch, sycząc z bólu w skroni. Z całego serca nie znosił cudzej litości, szczególnie męskiej.

– Próbuję zrozumieć, czy związałem właściwą osobę. – Żar wyprostował się z ulgą i poszedł ponownie napełnić kubek. Alk obrócił głowę, by spojrzeć za nim i dostrzegł leżącego na podłodze skrępowanego rozbójnika. Szczurze wojsko ogłuszyło go nie gorzej od kamienia – porywacz nadal się nie ocknął.

– Trzeba było obu, dla pewności – burknął Sawrianin.

– Znalazłem tylko jeden sznur. Uznałem, że z tobą jakoś sobie poradzę. – Złodziej zachichotał nerwowo. Kiedy ogłuszony przewodnik padł, szczury uciekły i najbardziej ze wszystkich rzeczy Żar bał się, że wrócą kiedy Alk odzyska przytomność. Czy raczej kiedy odzyska ją stwór, który zajął miejsce Sawrianina.

Alk w końcu zebrał siły i usiadł. Głowa próbowała sturlać się z ramion, więc musiał przytrzymać ją rękoma. Palce zanurzyły się w czymś ciepłym i lepkim.

– Poradziłeś... rozbiłeś mi czaszkę!

– Nie, tylko rozciąłem skórę. – To Żar sprawdził w pierwszej kolejności, również prerażony ilością krwi, która w jednej chwili zabarwiła białe włosy na czerwono. – Pochlebiłem ci, bałem się że nie starczy.

– A gdzie Ryska? – sumitował się Sawrianin.

– Nie mam pojęcia, rozdzielili nas tutaj – odparł złodziej smętnie. – Dwójka zabrała ją, czwórka została ze mną.

Alk zaklął paskudnie. Ratowanie Żara razem z Ryską byłoby znacznie prostsze. Jednak szczury uznały, że lepiej jest zaatakować to stado, które jest bliżej i jest liczniejsze.

– Nie powiedzieli gdzie?

Złodziej ze smutkiem pokręcił głową. Tylko w bajkach triumfujący złoczyńcy z rechetem wyjaśniają więźniom wszystkie swoje plany. W życiu natomiast za zbyt wiele pytań wymierzają cios w zęby i idą sobie w swoich złodziejskich sprawach.

– I po co im ona?! Chyba żeby...

– W takim razie by ją rozłożyli od razu tutaj, na całą szóstkę – zaprzeczył Sawrianin pewnym tonem. – Nie, zdecydowanie chcieli od niej czegoś więcej.

– Zaraz się dowiemy, czego. – Żar wrednie szturchnął butem nieprzytomne

ciało. – O ile oczywiście ten drań nie ześwirował z przerażenia.

Białowłosy skrzywił się, rozumiejąc, co złodziej ma na myśli.

– Bardzo tu zaszalałem?

– Nie zdążyłeś. Sami zaczęli skakać przez okna. Jeden chyba złamał nogę, ale odpełzał wyjątkowo żwawo. Słuchaj, a jak ty sterujesz tymi szczurami?! Widok koszmarny, sam prawie narobiłem w spodnie!

– Pamiętasz bajkę o szczurzym tsarze? Gigantycznym szczurze o trzech głowach na jednym ciele? – Alk wstał, trzymając się ściany i próbując nie zdradzić, jak mocne dreszcze nim targają. Nie pamiętał, jak wydostał się z miasta. Czy ktoś próbował go zatrzymać? A jeśli tak, to co się z nimi stało? Nie miał ran na ciele, ale wszystkie mięśnie go bolały, a w piersi paliło jak u zamęczonej krowy.

– No?

– Wygląda na to, że dla rozstrzygnięcia sporów o koronę dwie też wystarczą.

– Ale to przecież bajka!

– A masz lepszy pomysł?

Złodziej wzruszył ramionami. Ostatecznie bajki też się skądś biorą.

Podczas gdy Alk doprowadzał się do porządku, wyskrobując z włosów zakrzepniętą krew (ranka faktycznie okazała się niewielka, ale szczypała mocno) Żar – znacznie mniej przyjacielskimi szturchańcami – przywrócił na ziemską drogę rozbójnika.

– Co wybierasz: górę czy dół? – To pytanie zadał jako pierwsze, wyjątkowo złośliwym tonem.

Zamiana ról się katowi bardzo nie spodobała. Żar z przyjemnością skonstatował, że on sam chyba trzymał się lepiej.

– To niegodne, drwić z pokonanego wroga – zauważył pouczająco Alk, otwierając drzwiczki klatki. Szczury najpierw uciekły do kąta, lecz szybko się opamiętały i skoczyły do wyjścia. Jeden przebiegł po gołej ręce Sawrianina, od nadgarstka po łokieć, balansując długim ogonem. Ale wzdrygnął się nie Alk tylko Żar. – Trzeba od razu przechodzić do rzeczy.

– Hej-hej, ale jeszcze go nie zabijaj! – zaniepokoił się złodziej. – Niech najpierw powie, co zrobili z Ryską.

– Oczywiście, że opowie. – Głos Sawrianina brzmiał tak łagodnie, że rozbójnik zaczął desperacko rzucać się w pętach. – Jestem pewien, że zostaniemy najbliższymi przyjaciółmi! Jak w tym powiedzeniu: „zjemy razem worek soli”? Czekał no...

Alk podszedł do leżących w rogu toreb i wyciągnął z jednej woreczek z solą. Podrzucił w dłoń.

– Mam nadzieję, że taki wystarczy?

Woreczek miał wielkość około dwóch pięści i swoje ważył. Ryska niedawno uzupełniła zapasy.

– Tak w zasadzie to zapłaciliśmy za niego całego srebra! – przypomniał złodziej z pretensją. – Doceń, to nie żadne tam sześć miedek!

– No ale czy nam dla przyjaciół czegoś szkoda? – Sawrianin nie skąpiąc zaczerpnął sól łyżką i zbliżył się do jeńca. Ten zbladł, zacisnął zęby i zaczął desperacko potrząsać głową. Chyba również wiedział, że dla szybkiej wycieczki na cmentarz człowiek potrzebuje tylko dwóch garści, a jego śmierć będzie wyjątkowo nieprzyjemna.

– Ale przecież trzeba jeść razem – zauważył Żar pedantycznie.

– Faktycznie – zgodził się Alk i demonstracyjnie wysypał szczyptę na własny język. – Tak może być?

– Jak najbardziej! – Złodziej usiadł na pustej skrzyni (na wszelki wypadek uprzednio sprawdził czy któryś ze szczurów nie wrócił) i przygotował się na obserwowanie „narodzin przyjaźni”.

Środek istotnie okazał się wręcz magiczny: po trzeciej łyżce na sucho rozbójnik zgodził się uważać Alka nie tylko za swojego najbliższego przyjaciela, ale gdyby Sawrianin tego zażądał, to nawet za ukochaną mamusię.

Dokładnie jak Żar podejrzewał, ich porywacze okazali się „karaluchami”. Sawrianin słusznie ocenił niebieskooką panienkę – odsprzedała zamówienie, które zdążyło dwukrotnie zwiększyć cenę: klienci uwzględnili żwawość zdobywcy. Pojawił się natomiast dodatkowy warunek: „gońca” należało złapać żywcem i jeśli nie będzie miał przy sobie listu (co było najbardziej prawdopodobne, bo w końcu wieziono go właśnie do Sawrii) dostarczyć do Rintaru w stanie mniej lub bardziej trzymającym się kupy – a przynajmniej na tyle, by mógł gadać. Porywacze zabrali się do tortur z własnej inicjatywy: byli ciekawi czemu „łasice” są aż tak nerwowe. Może udałoby się wybić z jeńca znacznie droższe informacje?

– Ale od kiedy to „karaluchy” biegają stadami? – Alk trzymał na widoku czwartą czubatą łyżkę soli.

Stadem chodziła jedynie ta piątka, dawno zgrana banda. Mieli już w Rintarze zbyt wielu wrogów, więc przenieśli się za rzekę – ale nie tracili kontaktu z rodzimym brzegiem. Pozostała dwójka trafiła do nich w Krokaszu. Najpierw się pobili, prawie poszło na noże, kiedy okazało się, że śledzą jedną i tę samą grupę, ale potem połapali się, że nie będą musieli się dzielić i uznali, że połączą siły. „Obcych” interesowała wyłącznie dziewczyna, przy czym wiedzieli, że Ryska jest Widzącą i zbliżanie się do niej, kiedy dookoła kręci się młody Haskil jest zbyt ryzykowne. Tak samo jak atakowanie samego Sawrianina.

Te informacje mocno Alka zaniepokoiły.

– A kto jest klientem tamtej dwójki? Gdzie zabrali dziewczynę?

– Nie wiem!!! – wrzasnął „karaluch”, odpowiadając na oba pytania naraz – łyżka prawie otarła się o jego wargi. – My też im swojego nie zdradziliśmy, przecież nie wolno! Ale powiedzieli, że go znasz – dodał jeniec pośpiesznie. – I

właśnie dlatego tak szybko odjechali.

– Ja?! – Ręka Alka drgnęła. Ku wielkiej uldze „karalucha” prawie cała sól wysypała się na podłogę.

– Nie kłamie? – upewnił się Żar.

Sawrianin chmurnie pokręcił głową. Chyba jeniec faktycznie wyłożył wszystko, co wiedział.

– W takim razie spróbuj sobie przypomnieć, kto może znać twoje imię oraz to, że jesteście Widzącymi.

– I jeszcze to, że kiedy jesteśmy razem to nie osłabiamy, a wzmacniamy nawzajem swoje dary – powiedział Alk powoli.

– Przystań? – zasugerował złodziej.

– Oni celowaliby przede wszystkim we mnie. I nie używając do tego jakichś ludzkich śmieci. – Sawrianin niespodziewanie okręcił się dookoła własnej osi i wymierzył krzesłu takiego kopniaka, że mebel z hukiem odleciał pod ścianę. – Jednak się domyślił!

* * *

Zbierali się szybko i w milczeniu. Napelnili bukłaki, Alk odłożył sól z powrotem do sakwy. Żar dołożył tam napoczętą szynkę. Przeszukał izbę, dopełniając swój inwentarz jeszcze paroma pożytecznymi w fachu drobiazgami. Ku niezadowoleniu złodzieja nie udało mu się odnaleźć bransoletki tsarewny – pewnie zabrał ją ze sobą jeden pozostałych „karaluchów”. Z drugiej strony, był to najmniejszy z ich obecnych problemów.

– A co z nim?

Białowłosy obojętnie wzruszył ramionami, jak gdyby dawno zapomniał o jeńcu, który gwałtownie drżał pod spojrzzeniami „najbliższych przyjaciół”.

– No ale przecież go nie puścimy! – nalegał Żar. – Słyszałem o czym oni tu gadali. Każdy ma na sumieniu więcej ludzi, niż niejedna baba urodziła!

– No to go załatw – pozwolił Sawrianin. – Zobacz, na stole masz nóż.

– Ale dlaczego ja?!

– A niby kto?

– Przecież dla ciebie to bardziej normalne.

– Dureń.

– Masz twardszą rękę. – Złodziej spróbował pochlebstwa. Kompletnie nie miał ochoty zostawiać za plecami wściekłego „karalucha”, ale nie mógł też z zimną krwią poderżnąć gardła skępowanemu człowiekowi.

Sawrianin westchnął:

– Twoja mać, twoim zdaniem my jesteśmy ci dobrzy, tak?

– Dobrzy – zgodził się złodziej. – Ale bardzo niedobrzy!

– No to co, będziesz go ciął? – Alk obejrzał się już spod drzwi. – Czy tylko

potrafisz swoich walić kamieniem przez łeb?

Żar nachmurzył się i z bezsilną nienawiścią pokazał zbójowi zaciśniętą pięść po czym ruszył za przyjacielem, nadał marudząc:

– On się tu rozwiąże, ucieknie, zbierze nową bandę i znowu będzie mordował! Też mi dobro...

– A wiesz czym ono się różni od zła?

– No?

– Zło morduje. A dobro po prostu się nie wtrąca.

* * *

Krzyk rozległ się, kiedy przyjaciele już wydostali się przez dolne okienko wieży i przelazili przez gruzowisko w drodze do oczyszczonego kawałka dziedzińca, na którym rozbójnicy przywiązali krowy.

– Co to?! – Żar podskoczył.

– Nie wiem – odparł Alk z kamienną twarzą. Coś szybko zbójowi poszło, chociaż „karaluchy” sływały z umiejętności wydostawania się z więzów. – Ślepy los.

– Ślepy, a tym niemniej kogoś tam wymacał!

– Chcesz wrócić i zobaczyć?

Złodziej ponownie się wzdrygnął. I bez tego był przekonany że widok mu się nie spodoba.

– A może „ślepy zakręt? – doprecyzował Żar ostrożnie.

– Przecież powiedziałem. – Sawrianin dotknął opatrunku na głowie i wyszczerzył zęby. – Ja dziś jestem dobry.

* * *

Deska nad dziurą na trzecim piętrze wieży została przerzucona całkiem niedawno – gruba i solidna. Ale mieszkające w zniszczonym zamku szczury muszą coś jeść. Albo przynajmniej na czymś ścierać zęby.

Z nastaniem zmroku na brzegu dziury pokazał się mały, ciekawski szczurek. Zwiesił pyszczek, spojrzał na już ostygłe ciało. I ostrożnie zaczął schodzić.

Rozdział 12

Szczury mają słaby wzrok, ale za to doskonały węch.

To samo źródło

Jesteś absolutnie przekonany, że jedziemy dobrze? – zapytał Żar już po raz piąty.

– Tu jest tylko jedna droga! – zirytował się Sawrianin. – Albo tam, albo siara, a z dwóch możliwości to nawet najbardziej parszywy Widzący da radę wybrać!

– A co, jak pojechali po bezdrożu?

– Oni muszą pędzić, a nie jechać, kretynie! Połamią krowom nogi na wertepach.

– Ale przecież pogoń też będzie musiała po wertepach.

– A może też próbować ich przechwycić. Stul pysk, dobrze?! – Sawrianin również czuł się paskudnie. Teraz tak, był pewien. Ale co się stanie, kiedy porywacze wjadą do dużej wsi? Zdecydowanie nie uda się dogonić ich przed najbliższym miastem, a jeśli Rajlez tam jest, to „zasłoni” dziewczynę swoim szczęściem i Alk nawet nie zdoła określić, czy Ryskę wrzucono do jakiejś piwnicy, czy może jedzie dalej.

Żar nie wytrzymał dłużej, niż pięć szczap.

– A jak mnie znalazłeś?

– Nie ja. Szczury.

– To może poprosisz, żeby Ryski też poszukały?

– A widziałeś, *jak* one szukają?

– Pewnie jak umieją – przyznał złodziej.

– I właśnie dlatego nie mam ochoty na więcej.

Alk kłamał. Jeśli kompletnie nie będzie miał wyboru, to będzie musiał. Ale nadal nie zdążył otrząsnąć się po poprzednim podejściu. Czuł się, jakby skoczył na głęboką wodę z kamieniem przywiązany do szyi i kiedy już kompletnie stracił oddech, ktoś wyciągnął go i ocucił. Szczur po dłuższym spacerze siedział cicho, ale Alk czuł – zwierzakowi się spodobało. Teraz odeśni i zażąda jeszcze, ze znacznie większą mocą, niż poprzednio. I wtedy może się okazać, że jego „nie chcę” już nie będzie znaczyło nic a nic.

– Alk!

– Czego jeszcze chcesz?!

– On chce ją zamienić w „świecę”, tak?

- Nie gadaj bzdur.
- Dlaczego?
- Ponieważ zamienić się może tylko wyszkolony Widzący. I tylko jeśli sam będzie tego chciał.
- A ty chciałeś?!
- Nie wiedziałem. Nikt z uczniów nie wie w jakiej postaci wyjdzie z sali prób. A robią tam jedno i to samo.
- Co?

...Noc. Sala oświetlona jedynie księżycem, świecącym przez szklany dach. Lekki wiaterek, łaskoczący nagie ciało. Zimny kamień pod piętami. Uczniowie, zebrani w gromadkę po drugiej stronie drzwi. Po tej mistrzowie, nieruchomo stojący w rogach komnaty.

I leżący na stole szcur. Ni to przygotowany dla „świecy”, ni to już „świeca”. Wszystko, co musi zrobić uczeń, to ją „zapalić”. Wykonać prościutkie zadanie – powiedzmy na ślepo wyciągnąć z woreczka z monetami jedyną złotą. Albo niech szklana kulka turlająca się po blacie spadnie na podłogę i się nie stłucze.

Jeżeli wyznaczono ci bycie Wędrowcem, to... nic nie zrobisz. W sali prób wydaje się, że dar został wykrecony na drugą stronę: im bardziej się starasz, tym gorszy skutek. Moneta się trafia miedziana, z zielonkawym nalotem. Kulka nie tylko pęka, wręcz rozlatuje się w drobny mak, a odłamki wbijają w bosą stopę.

Mawiają, że nie da się poczuć większego szczęścia z porażki.

Ale jeśli szcur jest pusty... Tak mucha z rozpędu trafia w pajęczynę. Im większa jest ofiara, tym bardziej się rzuca, tym szybciej i mocniej się zaplątuje.

A potem już ty leżysz na stole i widzisz jak do pokoju wchodzi kolejny uczeń....

Alk potrząsnął głową i popędził zdobyczną rozbójniczą krowę. Jej można nie żałować, jak się zmęczy to zamienią – obok kłusowały dwie nadmiarowe.

– Daj spokój. Przecież już ci powiedziałem, że z Ryski nie będzie „świecy”.

– No to w takim razie do czego Rajlez jej potrzebuje?!

Sawrianin również tego nie rozumiał. Najprościej byłoby zabić dziewczynę, a potem spokojnie zapolować na Alka.

– Patrz, tam na drodze są jacyś ludzie! – ucieszył się Żar. – Chodź, spytamy czy nie widzieli naszych uciekinierów.

– Nadal nie wierzysz, że dobrze jedziemy?

– Wierzę – skłamał złodziej, który do tego stopnia niepokoił się o przyjaciółkę, że myśl o błędzie (niechby nawet i bardzo mało prawdopodobnym) nie dawała mu spokoju. – Ale przynajmniej się dowiemy, jak bardzo nas

wyprzedzają.

Alk przeciwnie, potraktował przypadkowo napotkanych ludzi nieufnie. Coś oni tam nie tak robili – na widok jeźdźców rozbiegli się po poboczach i przyjaciele dostrzegli, że w poprzek drogi leży świerk, którego widoczny z daleka jaskrawożółty w miejscu ścięcia pień wyraźnie świadczył o tym, że znajdował się tu od niedawna. Nie wyglądało na to, by drzewo ścięto na opał: zbyt zielone i bujne, podczas gdy w pobliżu stało wystarczająco dużo suchych.

– Hej, panowie! – zawołał Żar w łamanym sawriańskim, gdyż wszyscy „drwale” mieli białe włosy. – A co wy tu robicie?

„Panowie” nie odpowiadając, wystawili przed siebie różnorodną broń: topór, miecz albo okute na końcach widły.

– Obawiam się, że z poszukiwaniem drogi nam nie pomogą – zauważył Alk chmurnie, patrząc na świerk spod zmrużonych powiek. Oczywiście można pojechać dookoła, ale nie będą wystarczająco szybcy, żeby krowy nie oberwały. Chyba tylko zawrócić i uciekać. Ale czas, czas! – Dobra, ja biorę na siebie trójkę po prawej. Ty dwójkę po lewej.

– Ale dlaczego ja dwójkę? – obruszył się złodziej.

– Chcesz pobawić się w bohatera? – Sawrianin wyszczerzył zęby w kierunku wrogów.

– Nie, chodziło mi o to, że ty mógłbyś wziąć czwórkę!

Alk spojrzał na Żara znacząco, a ten wtulił głowę w ramiona.

– Żartuję, żartuję! Ma być dwóch to będzie dwóch. Ale chciałbym zauważyć, że ci po prawej wyglądają na trochę słabszych.

Tymczasem przeciwnikom znudziło się czekanie, aż zostaną przydzieleni i ruszyli do przodu jako pierwsi.

– Niech będzie. Prawi są twoi. – Alk zeskoczył z krowy i klepnął ją po karku zmuszając do odwrócenia się i cofnięcia – tego tylko brakowało, żeby ci kretyni pokaleczyli bydło.

Niestety okazało się, że kłótnia sprzed chwili nie miała sensu – chłopów było znacznie więcej, niż pięciu. Powyłazili zarówno z krzaków, jak i zza pnia. Wszyscy ubrani po wieszczańsku, wkurzeni i byle jak uzbrojeni.

– Poddajcie się, sukinsyny! – rozkazał Sawrianin trzymający widły, wymierzając nimi pchnięcie w kierunku twarzy Alka.

– Ha! – odparł Alk, biorąc zamach mieczem.

Chłop wbił tępe spojrzenie w pałkę, którą miał teraz w ręku zamiast wideł. Widzący natomiast nie czekał, tylko złapał przeciwnika za rękę i rzucił w kierunku dwójki pozostałych, a sam skoczył w kierunku świerka.

Żar przeciwnie, zrobił krok do tyłu. Za nim ruszyło tylko trzech, ale z mieczami. Szczęśliwie dla złodzieja Sawrianie byli jeszcze gorszymi szermierzami od niego, a ich zardzewiała broń pamiętała czasy ostatniej wojny, a może nawet tej

poprzedniej. Jedno ostrze złamało się już po pierwszym ciosie, ale chłop się nie zmartwił tylko zgarnął z ziemi taką gałąź, że Żar szczerze wolałby się z nim zamienić.

Alk wskoczył na pień, zamierzając obrócić się i trzymać obronę z niego, ale w tym momencie gałęzie się rozsunęły, ukazując chłopca, który z zimną krwią strzelił Sawrianinowi z kuszy prosto w pierś.

Trudno powiedzieć, kto zdumiał się bardziej – strzelec czy szczur, który spadł mu na twarz. Ale Alk opamiętał się jako pierwszy.

– Aaa! – Wieszczanin wypuścił broń i zaczął skakać jak pijany w tańcu, próbując wyciągnąć spod ubrania wściekłego stwora.

– Co tu się dzieje?! – Nad polem (czy raczej nad polanką) walki rozległ się znajomy głos, natychmiast wstrzymując walkę, jak kocie miauknięcie zatrzymuje mysie kłótnie nad skórka od sera. Żar również opuścił miecz i został natychmiast złapany za obie ręce i kołnierz. Ale miejscowi nie próbowali go bić, tylko pociągnęli za sobą.

Nietoperz powoli zbliżył się do świerka i zatrzymał. Chłopi zgromadzili się dookoła Wędrowca i zaczęli jeden przez drugiego tłumaczyć. Co najbardziej zadziwiające, głosy mieli pełne nie poczucia winy, tylko irytacji i urazy!

Z opowieści Sawrian wynikało, że kilka łuczyw temu przez ich wioskę – o tam za lasem! – przejechała trójka krowich, dziewczyna i dwóch mężczyzn. Jeden zatrzymał się koło modlitewni, skąd akurat wychodzili ludzie i zawołał, że ściga ich rozbójnik, za głowę którego wyznaczona jest duża nagroda. Że niby wyrwali z jego łap kupiecką córkę, którą drań trzymał jako zakładniczkę i teraz jest bardzo wściekły. Dziewczyna była blada i przestraszona, miała podbite oko. Wieszczanie uwierzyli (a raczej zapragnęli obiecanych pieniędzy) i urządzili zasadzkę.

– Nieprawda! – obruszył się Żar, strząsając cudze ręce. Oburzenie chłopaka było tak szczerze, że trzymający uwierzyli i puścili go. – To oni porwali naszą przyjaciółkę, a my przeciwnie, jedziemy ją odbić! A tu ci... durnie!

Po kilku szczapach kłótni i wzajemnych oskarżeń strony zrozumiały co i jak, a pyskówka trwała dalej jedynie z rozpędu, żeby pozbyć się napięcia.

Wędrowiec zobaczył, że nieporozumienie zostało zażegnane, schylił się ku ziemi, wyciągnął dłoń i zawołał:

– Alku!

Na drodze było pusto. W trawie nic nie szeleściło.

– Alku, nie bądź głupi!

Szczur niespodziewanie wskoczył na nogawkę – nie Wędrowca, tylko Żara – błyskawicznie wspiął się na ramię złodzieja i zgarbił tam, szczerząc zęby w kierunku Szczurołapa.

– *To wszystko przez ciebie!*

– A to dlaczego? – zapytał Wędrowiec ze zdziwieniem, prostując się.

– *Jakbyś się tutaj nie kręcił, to bym wcześniej wyczuł zasadzkę. I już na pewno bym nie nadział się na strzałę.*

– No tak, no tak, i położyłbyś jeszcze dziesiątkę bogu ducha winnych ludzi.

– *Co to znaczy „jeszcze”?!*

– „Jeszcze” położył – doprecyzował Szczurołap. – A nie „jeszcze bogu ducha winnych”. Uspokój się. Nie zamierzam się z tobą spierać. Macie pieniądze?

– Po co? – Za pazuchą Żara leżała garstka zabranych „karaluchowi” monet, ale nie zamierzał rozstawać się z nimi bez dobrego ku temu powodu.

– Proszę o dwa srebrzy. Za świerk, miecz i widły.

– Jeszcze czego! Przecież to oni nas zaatakowali!

– Jeśli im zapłacimy, to przeproszą.

– I tak im wybaczam – burknął Żar, ale mimo to sięgnął do ukrytej kieszeni.

Kompletnie nie miał ochoty na spieranie się z przeważającymi siłami.

Szczur z irytacją ugryzł go za ramię. Przez koszulę, ale jednak zabolalo.

– Co ty wyprawiasz?

– *Po kiego Saszego go słuchasz? Postraszyć szubienicą za pomaganie rozbójnikom i niech spadają!*

– Mówią, że najpierw chcieli was po prostu związać i zaprowadzić do namiestnika, a ty się na nich rzuciłeś jak szalony. No ale niech będzie, sam zapłacę... – Wędrowiec rzucił chłopu z ogryzkiem wideł kilka monet.

Wieszczenie odzyskali humor, złapali za topory i dość szybko ociosali ze świerka sterczące gałęzie, żeby krowy mogły go przekroczyć.

Żar podniósł koszulę Alka, spojrzął przez widniejącą na środku dziurę. Sawrianie zerkali na niego nieco dziwnie – ostatecznie nie bardzo rozumieli, co się stało. Dobra, „rozbójnik” uciekł pomiędzy świerki, rzucił w Strzelca szczurem – ale co się z nim stało potem? I dlaczego wydaje się, że jego kumpli sprawa zupełnie nie obchodzi? Poza tym, jak to trzeba się wykręcić, żeby w locie wyskoczyć z ubrania?! Ale wieszczenie bali się zadawać Wędrowcowi zbyt dużo pytań. Bo jeszcze zgodnie z zasadami zmusi ich, by za to zapłacili!

* * *

Prowadzenie luzem trzech krów było niewygodne – jedna się potknęła, a od razu wszystkie gubiły krok i zbijały w stado. Ale za to tak można było częściej się przesiadać i gonić szybciej, więc wychodziło na to samo.

Wędrowiec nienatętnie ale zdecydowanie jechał nieco z boku. Nietoperzyca szybko i miękko przestawiała łapy i wydawała się płynąć nad trawą, nie okazując zmęczenia. Żar nie posiadał się z zazdrości – sam by się chętnie przejechał na takim zwierzaku! Od dzieciństwa o tym marzył.

Alk siedział złodziejowi na ramieniu, po przeciwnej stronie niż Wędrowiec i wściekał się w milczeniu, ale nie mógł nic zrobić – bez Szczurołapa przyjaciel go

po prostu nie usłyszysz.

– I jak Ryska mogła to znosić? – Po upływie łuczywa Żar nie wytrzymał. – Wyhodowałaś sobie pazury jak u orła i jeszcze ciągle je wbijasz! Może ci je obetniemy, co?

– *W takim razie ja ci potem przytnę palce.*

Żar zerknął na Wędrowca i podchwytliwie szepnął:

– A może się do niego przesiądziesz?

Alk zgrzytnął zębami, ale przesunął się bliżej szyi, na grubszy odcinek kołnierza.

Nie dogonili porywaczy przed zmrokiem, więc trzeba było zatrzymać się na nocleg – byle gdzie, w zabloconym lasku: po jednej stronie drogi woda chlupała pod racicami. Po drugiej niby sucho, ale i tak zalatywało zgnilizną, a tu i ówdzie rosła turzyca.

Wędrowiec zachowywał się jak gdyby nigdy nic, na równi z Żarem rozsiodlując zwierzęta i zbierając chrust. Z boku mogło się wydawać, że na polance gospodarzy dwójka starych przyjaciół, rozumiejących się bez słów.

– *Przestań się podlizywać!* – nie wytrzymał Alk, który uparcie nie schodził złodziejowi z ramienia. Chociaż wszyscy byli doskonale świadomi, że gdyby Szczurołap miał ochotę, to by go po prostu zabrał.

– Do kogo mówisz? – nie zrozumiał Żar.

– Do mnie, a do kogo niby? – Wędrowiec otrząsnął dłonie z okruszków kory i wyciągnął z kieszeni krzesiwo. – Przecież to ja jestem winien wszystkich jego nieszczęść.

– *Nie pajacuj!*

– Ale przecież ja wszystko pamiętam. Ja jestem paskudnym zdrajcą, a ty – wzorem cnót wszelakich.

– *Ty jesteś zdrajcą. Ja nie jestem wzorem* – oznajmił Alk powoli i dobitnie, pokazując, że zauważył pułapkę: jeśli z rozpędu potwierdzić wszystko razem to zrobisz z siebie zapatrzonego we własną osobę durnia, a jeśli zaprzeczyć to wyjdzie, że niby przebaczyłeś wszystkie krzywdy.

– Nie złapałem cię – przyznał Szczurołap z żalem. – Swoją drogą, możesz zejść. Z cudzej „świecy” nie miałbym żadnego pożytku.

– A co, jest jakaś różnica? – Żar nastawił uszu. Alk również z ciekawością wyjrzał zza jego szyi – tego nie wiedział. W parze znacznie częściej wymieniano „świece” niż Wędrowców.

Wędrowiec chwilę zamarudził z odpowiedzią, rozdmuchując płomień i wyprostował się dopiero kiedy ten wystarczająco okrzepl.

– Zdarzały nam się sytuacje kiedy byłem Wędrowcom udawało się... hmm... zdobyć dla siebie „świecę”. Nie kończyło się to niczym dobrym i dlatego po taką możliwość sięgają wyłącznie najbardziej zdesperowani i szaleni. W przeciwnym

razie musielibyśmy nie wypędzać Widzących z Przystani tylko zabijać na miejscu.

– Ale jak się to kończyło?

– Różnie. Więż z cudzą „świecą” jest bardzo nieprzewidywalna. I równocześnie mocna. Najczęściej był to wylew. U szczura. Rzadziej u fałszywego Wędrowca.

Żar drgnął i pociągnął szczura za ogon:

– A ty ją zmuszałeś do wybierania fiolek!

– *Nie miałem pojęcia.* – Alk naprawdę się zawstydził i nawet nie spróbował przyjaciela ugryźć.

– Cóż, Ryska jest młodą i zdrową dziewczyną – pocieszył ich Szczurołap. – To raczej ty byś... ucierpiał. Mimo to powstała nowa więź i teraz już nie można cię tak po prostu zabrać. Ani jemu, ani jej. Tak że przestań się ciskać i złaż. Nie mam zamiaru cię wsadzać do worka.

Szczur pogardliwie obrócił się do niego bokiem: nie boję się, tylko nie mam ochoty!

– I właśnie po to się dookoła niej kręciłeś? Żeby mnie oddała?

– Nie. Po prostu jestem ciekaw, co wam wyjdzie. I nie chcę żeby wyszło coś głupiego.

– *Nic nam nie wyjdzie* – burknął Alk z irytacją. – *Z niej jest taka sama Wędrowniczka jak ze mnie wieszczanin. Gdyby nie ten przeklęty Rajlez, to już dawno jechalibyśmy w przeciwne strony.*

– Dokładnie – zgodził się mistrz niespodziewanie. – Nie każdy może być Wędrowcem. Potrzebne są do tego cynizm, okrucieństwo, upór, żądza władzy... – Szczurołap znacząco spojrział na chmurnie skulonego Alka.

– Czyli sam pan taki jest? – dociął mu Żar.

– Młody człowieku, to są tylko cechy. I tylko od człowieka zależy, czy staną się wadami. Na przykład ty masz bardzo zwinne ręce i uważne oczy. Jakbyś poszedł do tajnej służby, to by się nachwalić nie mogli. Tyle że zamiast tego obrabiasz domy.

– Ale kto by mnie niby wziął do „łasicowni”? – zaparł się złodziej, w cichości ducha myśląc, że to dopiero by było zabawne! Byłym kumplom by szczęki poopadały.

– A spróbowałeś przynajmniej zapytać?

– Jeszcze czego! Czy ja wyglądam na kretyna, żeby się do nich pchać? – zaprzeczył Żar. Jeszcze jakiś stary pieniek go będzie pouczał i to jeszcze tak, że faktycznie wstyd się robi!

– Tymczasem Alk się „wepchnął” do Przystani.

– O, to-to!

– *Przestań się wykręcać. Powiedz lepiej, dlaczego za nami ciągniesz wbrew rozkazowi.* – Szczur jednak zlął na ziemię i stanął słupka, uważnie przypatrując

się siedzącemu w kucki Wędrowcowi. Ten przeciwnie, patrzył w ogień – młody, wysoki i jaskrawy. W jego świetle twarz mistrza wydawała się wyjątkowo stara i zmęczona.

– Dlatego że ja również wierzę w swoje wyczucie bardziej, niż w rozkazy – w końcu powoli odpowiedział Szczurołap. – Nawet jeśli czasami myli mi się z nadzieją.

* * *

Na zdechłą krowę trafili bliżej obiadu. Czy raczej na połowę krowy – czwórka chmurnych chłopów właśnie rozbierała ją i gdzieś zanosila kawałki. Na widok jeźdźców najeżyli się nawet bardziej i wygodniej złapali za rzeźnicze toporki, a na zadane przyjacielskim tonem pytanie co się stało, zaczęli wściekle kląć po sawriańsku. Dzięki „lekcjom” Alka Żar prawie wszystko zrozumiał i nawet co nieco odpowiedział, co na szczapę oszołomiło chłopów, ale nie poprawiło im humorów.

– *Mówią, że jedni tacy krótkowłosi już tędy jechali* – przetłumaczył Alk. Sawriańczycy uparcie udawali że nie rozumieją nawet słowa po rintarsku i nie życzyli sobie komunikacji z użyciem gestów. Chociaż same gesty pokazywali. – *Pobili pastucha i zabrali trzy krowy, swoje porzucili. Jedna prawie od razu zdechła.*

– Cicho, chłopcy! – Żar podniósł ręce do góry. – Sami tych gadów gonimy, jak złapiemy to się rozprawimy! Tylko powiedzcie gdzie oni pojechali i jak dawno?!

Sawrianie nieufnie spojrzeli po sobie.

– Tam. – Jeden z nich wskazał toporkiem. Zakrwawione ostrze wyglądało bardzo imponująco, jak gdyby błogosławił podróżnych na wielką bitwę. – Temu treszech łuczni.

– Aha, czyli ich doganiamy! – ucieszył się złodziej.

– *Oni wymienili krowy na świeże* – zauważył Alk ponuro. – *Zaraz znowu nadrobią.*

– To może my też zmienimy? – zaproponował Wędrowiec. – Macie jeszcze jakieś krowy?

Chłopi zrobili kwaśne miny, ale po krótkiej chwili targowania jednak zgodzili się wymienić cztery krowy na dwie i zaprowadzili towarzyszy na łąkę za wieską w celu dokonania wyboru.

– Patrz, to przecież Miłka! – Żar zeskoczył z Choroby i podbiegł do stojącej na uboczu trójbarwnej krowki. Wierzchówka Ryski! Chłopak rozejrzał się odruchowo, jak gdyby mógł gdzieś w pobliżu zobaczyć również przyjaciółkę. Miłka wyglądała na umęczoną, ale chyba nie zamierzała zdychać i nawet zaczynała powoli podszczypywać trawkę. – Chłopcy, wy jej nie zarzynajcie, wrócimy i

odkupimy!

– *Przynajmniej niech zaczekają chociaż parę tygodni. Jak nie wrócimy, to będzie znaczyło, że już nam wszystko jedno* – dodał szczur złowieszczo.

Wędrowiec kontrolował go znacznie sprawniej niż Ryska i myśłomowę słyszeli wyłącznie Żar oraz sam Szczurołap. Ale złodziej nie zdobył się, by cytować Alka, mimo wszystko mając nadzieję na pomyślną przyszłość.

Wieszczańskie krówki okazały się takie sobie – krótkonogie ale mocne i utuczone.

– Weź rudą – poradził Wędrowiec. – I...

– *I tamtą czarną z białym brzuchem.* – Szczur zazdrośnie wszedł mu w słowo.

„Świeca” i Wędrowiec popatrzyli po sobie: Alk wyzywająco, a Szczurołap z lekkim uśmiechem – niby co to za różnica, przecież się staramy dla wspólnego dobra!

Żar bez słowa skargi przeniósł siodła na nowe krowy i poczochnął Chorobę po szyi na pożegnanie. Ta odwróciła się ze wstrętem.

– I Saszy z tobą! – obraził się złodziej i wymierzył zwierzęciu szturchańca. Krowa machnęła ogonem i powoli, z wyższością ruszyła w kierunku nowego stada.
– Tyle razem przeżyliśmy, a ona nawet nie chce na mnie patrzeć...

– *Właśnie dlatego nie chce.*

Żar zawstydził się i ruszył żeby usiąść na rudej. Wędrowiec uprzejmie pożegnał chłopów. Ci burknęli coś w odpowiedzi i wrócili do dzielenia krowy.

– Słuchaj, ja się tu cały czas zastanawiam... – zwrócił się złodziej do Alka już w czasie jazdy. – Znaczy w temacie wczorajszej rozmowy. Wychodzi na to, że teraz Rajlez będzie musiał przekonać Ryskę, żeby cię oddała? Albo nie będzie miał żadnego pożytku ze „świecy”?

– *Yhym.* – Alk nie okazał zdumienia, pewnie sam już zdążył wpaść na ten pomysł.

– Może właśnie po to ją porwał?

– *Yhym.*

– Więcej nic nie powiesz?! – nie wytrzymał Żar.

– *Powiedzieć ci, w jaki sposób ją będzie przekonywał’? Najpierw odpiluje jedną rękę, potem drugą...*

– Tfu! A żeby cię...!

– *Yhym.*

Kolejne dwa łuczywa jechali w milczeniu. Droga była monotonna, lekko ożywił ją tylko czerwony wężyk wstążki w koleinie. Żar spróbował ściągnąć wodze, ale szczur skubnął go zębami w szyję.

– *Nie zatrzymuj się. I tak wiadomo, że to Ryski.*

– Co oni z nią zrobili?!

– *Myślę że zwyczajnie rozpletli i rzucili.* – Szczur z wściekłością podrapał się łapą za uchem. – *Pomyliłem się. W tej chwili Rajlez nie będzie jej torturował. Czeka.*

– Na co?

– *Na mnie. Jeśli Ryska zrezygnuje ze „świacy” na jego korzyść, to prawdopodobnie znów zmienię się w szczura.*

– Przecież i tak jesteś szczurem!

– *Ale przecież Rajlez tego nie wie. I daje mi możliwość do niego dotrzeć.*

– Myślisz, że ta szmata tu leży celowo?

– *Jestem pewien. Zarówno szmata jak i świerk, krowy i wczorajsza żebraczka, którą po drodze dzielili batem. Celowo zostawiają ślady, po których możemy ich odnaleźć.*

– By powiedzieli od razu: „Jedziemy tam i tam!” – burknął Żar z irytacją. – A tak mamy tu patrzeć i pytać...

– *A co, jakbyśmy zaczęli podejrzewać, że to pułapka i nie pojechali?*

– Jak to nie pojechali?! Przecież to nasza przyjaciółka!

Szczur nic nie odpowiedział. Zaledwie miesiąc temu nie tylko Rajlezowi, ale i samemu Alkowi nie pomieściłoby się w głowie, że popędzi przez pół kraju, by uratować jakąś tam wieszczankę, zamiast wybierać śmierć jako wolny szczur.

* * *

Tsarskich robotników obudzono jak zwykle przed świtem – zanim zjedzą, zanim rozdadzą wszystkim zadania, już akurat się widno robi. Jeżyce nadal spały, nawet prom jeszcze nie zaczął chodzić. Rzeka była wyjątkowo cicha, wydawało się, że jak człowiek kichnie na brzegu, to usłyszą go z odległości dziesięciu wieszek.

Chłopi jeżyli się, ziewali, drapali, z nudów patrzyli na wodę. Po powierzchni biegły drobne fale, jak gdyby rzece też było zimno. W trzciniowych zatokach bezdźwięcznie podnosiły się pęcherzyki, ustawiając w kółka i łańcuszki: na płyciźnie posilały się ryby, ryjąc w ile. Wypląnęły z głębi – akurat najlepszy czas na łapanie.

– Ech, jakbym ja miał siatkę... – tęsknie rzucił Kołaj. – Wieczorem jak się kąpałem, to widziałem o takiego suma!

– Takiego i tak do siatki nie złapiesz. – Cyka ocenił rozstaw rąk sąsiada.

– Z łatwością, jak się umie! – uniósł się wieszczanin doskonale świadom, że i tak nikt nie pozwoli mu nastawić sieci, więc można się bezpiecznie chwalić i zakładać. – Bo ja to kiedyś...

Robotnik machnął ręką, już żałując, że się odezwał – Kołaja po prostu nie szło przegadać. Nawet przyciśnięty do muru potrafił wykręcić się i znaleźć winnego: wiatr nie taki, pomocnik krzywo trzymał siatkę, na dnie pełno pni, bo

jakby nie to, to on by – ech!

– Trzeba zakupić parę worków Holgowego sianka, póki świeże – zauważył chłopina z Jezyc, który przywoził tsarskim robotnikom chleb i mleko. Patrzył nie na wodę tylko na wyspę, na której od paru dni na całego trwało koszenie, a potem przekładanie schnącej trawy. O zachodzie słońca Sawrianie zbierali ją w dwa wielkie stogi, które tak wyraźnie rysowały się na powoli jaśniejącym niebie, że wyspę powinno się nazwać nie Pępkiem tylko Piersiami Holgi. – Bo ja tych białowłosych znam, na jesieni podbiją cenę dwa razy i jeszcze domieszają zwykłej trawy albo będą nie wiadomo jak trzymali, myszy się dobiorą... Nie, lepiej będzie, jak sam je w czystym kącie potrzynam, aż będzie potrzebne...

– A co tam jest za takie specjalne siano? – zaciekał się Mikh.

– Lecznicze – wyjaśnił woźnica. – Najlepsza rzecz, jak cielak ma rozwolnienie. Kiedyś sobie też zaparzyłem na kołki i co byś myślał – pomogło!

– Dziś pewnie już będą zabierali. – Cyka z rozkoszą i tęsknotą wciągnął przyniesiony przez wiatr zapach świeżego siana. Pewnie w majątku już dawno są po pierwszym koszeniu. Tam jest bardziej na południe, cieplej.

– O to-to, trzeba popłynąć na tamtą stronę i dogadać się wprost z koszącymi... – Woźnica urwał, gdyż w kierunku ogniska niedbale kroczył znamienny.

– No to jak chłopaki, zjedli już? – ryknął przesadnie żwawo. – Wyczyście miski i idźcie ooo tam, gdzie bale leżą. Mistrz pokaże, jak je związać w tratwy.

– Że co? – zdziwił się Mikh. – A na gwi... Po co?

– Będziemy urządzali przeprawę.

Robotnik zmarszczył czoło ale nadal nic nie rozumiał. Jaką przeprawę? Dokąd?

– Trzeba postawić na wyspie wieżę strażniczą – wyjaśnił znamienny.

– Ale przecież ona jest sawriańska! – jęknął Kołaj za plecami Cyki. Cała reszta milczała w szoku, patrząc na przemian na tseca i Pępek Holgi.

– Jak to sawriańska? – zdziwił się nienaturalnie znamienny, który widocznie spodziewał się takiego obrotu sprawy. – Zgodnie z umową granica przebiega przez środek rzeki, akurat za wyspą. I możemy po swojej stronie robić co nam się żywnie podoba – ryby łapać, tratwy splawiać, budować!

– Ale przecież od zarania dziejów Sawrianie kosili trawę na Pępku – zająknął się nieśmiało przyjezdny woźnica. – To przez ostatnie parę lat ona się lekko przesunęła do naszego brzegu, bo rzeka zmieniła nurt.

– O to-to! – podchwycił znamienny. – A dlaczego?

Woźnica z namysłem podrapał się w czubek głowy ale zanim znalazł jakąkolwiek odpowiedź tsec dodał:

– Ponieważ ten Pępek to nie ziemia, tylko coś w rodzaju mielizny czy innego trzciniowej kępy – dziś jest tu, jutro tam. Na mapie w ogóle nie ma żadnej wyspy, w

roku kiedy dzielili tereny, to ją wysoka woda przykryła po sam czubek.

– A jak ona jutro z powrotem odkoczuje albo zatonie? – parsknął któryś z drwali. – Będziemy wieżę wieżli z powrotem?

Widać było, że znamienny bardzo chce ryknąć: „Już mi stulić pyski i do roboty!” Nawet się nalał czerwienią, ale ostatecznie zamiast kląć, odpowiedział spokojnie, prawie przyjaźnie:

– Chłopcy, wy to dziwni jesteście! Czy to w ogóle ważne dokąd Sawrianie „od zarania dziejów” chodzą kraść siano? A jakby kradli wam kury z kurnika, to też byście powiedzieli „Niech robią, w końcu od zawsze tak było”?

Chłopi zaczęli ze skrępowaniem spoglądać po sobie.

– Ta wieża na wyspie jest nam koniecznie potrzebna – ciągnął znamienny pewnym tonem. – Białowłosi mają teraz w kraju głód, tylko patrzeć jak ruszą na nas zbrojnie. A tu jest wygodne miejsce, wąskie i wyspa ich osłania od strony Jeżyc. Czy może chcecie, żeby Sawrianie na nas spadli jak grom z jasnego nieba? Znowu spalili wioski przy rzece i posiekli mieszkańców zanim się połapiemy co i jak? Nie mówcie, że nikt nie ma rodziny w tych okolicach. A nawet jak ma, to się nie przejmie?

Chłopi zaburczeli z urazą, zaprzeczając.

– A co z sianem? – odezwał się woźnica.

– Tam masz swoje siano! – Tsec wskazał palcem. – Idź i bierz. I od teraz sami tam będziemy kosili, już dawno czas żeby utrzyć tym złodziejom nosa!

Woźnica zmrużył oczy, oceniając szerokość rzeki. Faktycznie, wyspa była rintarska! Jak im to wcześniej do głów nie przyszło?!

– Szczury jedne żądają po pół srebra za woreczek! – poskarżył się na głos, dumny z tego, że znamienny rozmawia z nim jak z równym.

– A wy im postawicie cennik na srebra! – podbudował go tsec. – Dobra, chłopcy, zrobmy tak, żeby sprawiedliwie było: która „dłoń” sobie na budowie będzie najlepiej radzić, ta zabierze tegoroczne siano. Może być?

Robotnicy wbili w stogi pożądlive spojrzenia. Ile w jednym takim worków?!

– Idziemy, dobra? – Herszt drwali jako pierwszy wrzucił łyżkę do kotła. – Pokażemy naszym i waszym, kto ma ręce lepiej umocowane!

Chłopi zaczęli wymieniać komentarze, coraz głośniejsze i weselsze, jeden za drugim zrywali się na nogi, łapali za swoje toporki i ruszali w kierunku stosów bali. Marudził tylko Mikh, z celową starannością zeskrobując przypaloną kaszę ze ścianek kotła. Cyka zatrzymał się, czekając na przyjaciela. Spojrzał za siebie. Znamienny, patrzący za chłopami, uśmiechał się drapieźnie jak kot przy mysiej norze i niespodziewanie robotnik poczuł, że ta cała sprawiedliwość ma jakiś dziwny posmak.

* * *

– Złaź! – Rozbójnik pociągnął Ryskę za łokieć tak mocno i gwałtownie, że zleciała z krowy jak worek, nie zdążywszy nawet zrozumieć czego od niej chcą. – Idziemy.

Dziewczyna nie pytała dokąd, tylko posłusznie powlekła się za naciągniętym sznurem, przepuszczonym przez nadgarstki ściągnięte skórzanym rzemykiem. Zbój i tak nie odpowie tylko jeszcze kopnie, jak będzie miał kiepski humor. Porywacze traktowali zdobyczą bez szczególnej złości, ale i bez litości. Jak krowę, którą pędzą na ubój. Ale bydło przynajmniej jest w drodze karmione, żeby nie schudło, a dziewczyna przez te parę dni dostała tylko trochę sucharów. Chociaż po tym, co zaszło pomiędzy jej porywaczami dwa łuczywa temu Ryska nadal miała takie mdłości, że i tak nie dałaby rady nic zjeść. Ale była bardzo spragniona, miała takie uczucie, że wszystko jej w środku zaschło i bolało przy każdym oddechu. Rzeka, do której zostało może ze sto kroków, tylko potęgowała pragnienie. Może będą się przeprawiać i da radę napić się przez burtę łódki?

Ale ku wielkiemu rozczarowaniu dziewczyny rozbójnik skręcił w lasek przy brzegu. Młode sosny, które wcale nie tak dawno wyrosły ponad krzaki, chłostały gałęziami po bokach, piersi i twarzy. Nie miała się jak zasłonić i musiała pochylić głowę, żeby przynajmniej ochronić oczy. Teraz w ogóle nie widziała gdzie ją ciągną i z zaciśniętymi zębami tępo czekała, aż ta tortura się skończy.

Niespodziewanie rozbójnik skoczył do tyłu, zwalając Ryskę z nóg.

– Uf, przestraszył mnie pan!

– Ciebie? – Rajlez uśmiechnął się z sarkazmem patrząc obok pomagiera na umorusaną, skuloną dziewczynę. Lewy rozpleciony warkocz skołtunił się, na połowie twarzy wykwitał siniak, koszula była rozdarta prawie do pępka. – Co, sukinsyny jedne, przypieściliście dziewczkę po drodze?

– Nie – zaprzeczył pomagier z urazą. – Przecież pan powiedział, że potrzebuje jej zdrowej. Trochę pomacaliśmy i tyle.

Ryską wzdrygnęła się, jak gdyby zachłanne spocone dłonie nadal sunęły po jej ciele, boleśnie ściskając najbardziej łakome miejsca.

– Chodziło mi o to, by była przytomna, a nie się miotać w malignie.

Rozbójnik skrzywił się z goryczą. Wychodziło, że przegapili swoje szczęście!

– To może...

– Już nie ma czasu. – Rajlez cofnął się i Ryska zobaczyła czarną dziurę, nie przypominającą zwykłego przejścia przez krzaki. Powiało wilgocią, jak ze starej omszałej studni z kamienną cembrowiną. – Prowadź ją do środka.

Rozbójnik posłusznie pociągnął za sznur, zmuszając dziewczynę, by wstała.

– A potem? – zapytał z nadzieją.

Rajlez podszedł do Ryski, złapał ją za włosy i zmusił do spojrzenia na siebie. Dziewczyna zastygła jak słup, czując, że spada w przeszłość – chociaż oczy

Wędrowca nie były ślepe, wyglądały dokładnie tak samo jak u Byłego – rozszerzone, zeszkłone szaleństwem. Ryska nawet poczuła zapach ludzkiego i szurzego gówna, którym był przesiąknięty Stary Dom.

– Taka mała, brudna paskuda, a tyle kłopotu. – Głos wędrowca, twardy i rozkazujący, rozbił iluzję. – Musieliśmy się przez ciebie nabiegać...

– Ja? – zdziwiła się dziewczyna niemrawo.

– A kto ukradł moją „świecę”?

– Alk nie należy do pana...

Policzek trafił akurat w posiniaczone miejsce. Ryska pisnęła i zmrużyła oczy.

– Potem rób co chcesz – rzekł Rajlez do zbója i ściągnął z warkocza dziewczyny drugą wstążkę. – Idź. Ja zostawię ostatnie znaki.

* * *

– A żeby cię...!

– Zarrraza!

– Czyli mówisz, że nie podobają ci się moje pazury? – zapytał Alk wprost w ucho leżącego pod nim Żara.

– Złaż ze mnie, ty... ty zwierzaku! – rzucił się złodziej.

– Czasami – sprecyzował Sawrianin pedantycznie, wstając. Wyzywająco spojrzął na Wędrowca.

– A co, jak się znowu zmienisz? – zapytał Szczurołap spokojnie.

Alk zaczął się ubierać w milczeniu. Choć tyle dobrego, że to stało się w czasie krótkiego postoju nad strumieniem, bo w przeciwnym razie ktoś na pewno skręciłby kark, spadając z krowy w pełnym pędzie.

Żar z teatralnymi jękami obmacał ramię i kark.

– W samą porę... Już pomyślałem, że będę musiał sam sobie radzić z rozbójnikami.

– A raczej oni z tobą – burknął Sawrianin. Z jednej strony również poczuł gigantyczną ulgę, że w walce przeciwko Rajlezowi będzie miał do dyspozycji nie tylko zęby. Z drugiej – to znaczyło, że sprawy Ryski stoją znacznie gorzej. Choć z drugiej strony i tak było oczywiste, że były Wędrowiec nie będzie się z nią dogadywał po dobroci. Dziewczyna była zbyt uczciwa, żeby oddać Alka bez walki i zbyt słaba, by taką walkę wytrzymać.

Po chwili jęczenia Żar uświadomił sobie, że nikt nie zwraca na niego uwagi (a on sam nie może zawstydić towarzyszy widokiem straszliwej rany czy siniaka z braku powyższych) i usiadł na poprzednim miejscu, wyciągając z torby zawinięty w szmatę kawałek chleba. Niecierpliwie, bez noża, oderwał dużą porcję. Kwaśno zapachniało świeżym jeszcze ciepłym pieczywem, kupionym za kilka monet od jadącego na targ piekarza. Zawartość stojących na wozie koszy złodziej wyczuł z

odległości pół wieszki.

– Alku, masz ochotę?

– Nie ma. – Szczurołap zwinnie wyrwał złodziejowi chleb, mimo że jego nikt nie częstował. – On nigdy nie ma apetytu, kiedy jest w nerwach.

– Nie jestem w nerwach – skłamał Sawrianin z irytacją.

– Czyli masz ochotę? – upewnił się złodziej.

– Nie. Nie mam ochoty jeść z *tym* przy jednym stole.

– Ale przecież tu nie ma żadnego stołu – zdziwił się Żar. W Rintarze nie mieli takiego zwyczaju.

– To przy jednym bochenku.

– No to może odłamiemy dla ciebie kawałek z drugiego brzegu jak masz problemy. A środek mogę sam zjeść – zaproponował złodziej.

Alk dobrze rozumiał, że jego upór jest głupi. Ale był chyba jedynym uczniem w Przystani, który bez najmniejszego wysiłku wytrzymał obrzędowe posty przed pomniejszymi – oraz ostateczną – próbami. Żołądek zawiązywał mu się na supeł, a zmuszanie się do jedzenia nie prowadziło do niczego dobrego.

– Masz, trzymaj! – Żar jednak wpakował w ręce Sawrianina drugi kawałek. Alk wziął tylko po to, by razem z mistrzem dali mu spokój, pochylił się nad strumieniem i zachłannie napił – z jakiegoś powodu czuł, że mocno zaschło mu w gardle. Potem wylał z flaszki starą wodę i zaczął napełniać ją na nowo.

– Pamiętasz przypowieść o dwóch myszkach, które spadły do garnca ze śmietanką? – zwrócił się ironicznie Szczurołap do Żara. – Jedna poddała się od razu i utonęła. A druga uparcie się trzymała, póki nie ubiła śmietanki na masło. No więc naszego Alka można śmiało wpuszczać do pełnej beczki!

– Oczywiście – skrzywił się białowłosy. – Tylko z jakiegoś powodu nikt nie zastanawia się nad dalszym losem tej myszki. Bo objętość masła była znacznie mniejsza niż śmietanki, a nie mogła też wydostać się po śliskich ściankach. Czyli co zrobi właściciel garnca, kiedy rano znajdzie w nim mysz? Albo rozgniecie ją butem albo rzuci kotu. Tak że ta przypowieść ma tylko jeden morał: ile byś się nie rzucał, masło zje kto inny.

Alk chwilę milczał zachmurzony, a potem niespodziewanie się uśmiechnął.

– Jest w tym wszystkim tylko jedno pocieszenie.

Jego mistrz z zaciekawieniem uniósł brwi.

– Przez noc myszka zdecydowanie zdążyła do tej śmietanki porządnie nasrać

– Sawrianin zamocował flaszkę u pasa i schował do kieszeni chleb. – Ruszamy.

– Już?! – jęknął Żar, który dopiero co rozłożył się na trawce.

– A Wiecznym Domu odpoczniesz – obiecał mu „pokrzepiająco” białowłosy.

– A ty tam zjesz, co? – odparł złodziej sarkastycznie, ale mimo to wstał. – Dobra, ja jeszcze dam radę, ale krowy też sensownie nie odpoczęły...

- Nic to, im też niewiele zostało.
 - Alk!!!
 - Chodzi mi o jazdę. Mam wrażenie, że już jesteśmy całkiem blisko.
- Przyjaciel wołał nie wypytywać czego dokładnie.
- * * *

Do wieczora wszystkie tratwy zostały związane – zarówno każda z osobna jak i pomiędzy sobą. Długi, złożony z bali wąż leżał wzdłuż brzegu, kołysząc się na falach i skrzypiąc stawami. „Ogon” przywiązany został do dwóch głęboko wkopanych w ziemię słupów, a na „głowie” nadal kręcili się ludzie, sprawdzając ostatnie węzły.

– Starczy – uznał mistrz, po raz tysięczny zerkając na plan i sprytnie urządzenie z drewnianych patyczków oraz stalowych luków. – Powinna dać radę.

– No to niech Holga będzie z nami! – powiedział znamienny, cofając się na wzgórze, żeby podziwiać widowisko w całej okazałości.

Robotnicy i tsecowie zgodnie popchnęli pierwszą połowę mostu, odpychając ją od brzegu. Musieli dobrze się przyłożyć, ale najważniejsze było powstanie szczeliny, dalej już zadziałał prąd. „Wąż” powoli i majestatycznie, jak cień mocarnego dębu zakreślił ćwierć kręgu i trafił pyskiem w brzeg wyspy.

Rintarczycy wydarli się z radością. Długości starczyło aż z nadmiarem, nawet trzeba będzie odwiązać parę tratw, bo leżały krzywo.

Jako pierwsi przeprawę wypróbowali tsecowie, którzy w pośpiechu obiegli wyspę i zamachali z brzegu białymi chustami: czysto! Na próbę przeprowadzili jeden wóz z kamieniami – tratwy wytrzymały, mimo że kopyta wołów kilka razy chlupnęły po wodzie.

Znamienny przekonał się, że wszystko jest w porządku i rozkazał robotnikom, by również się przeprawiali. Wyspa okazała się znacznie większa niż wydawało się to z brzegu oraz wyższa – od strony skierowanej do Sawrii miała nawet skarpę wysokości człowieka podziurawioną gniazdami jaskółek brzegówek. Jakby jej nie koszone trzy razy do roku, to już dawno las by się pojawił, a tak tylko wierzby rosły na brzegach.

Cyka pociągnął kłak siana ze stogu, zmiął w palcach i powąchał. Wielu chłopów zrobiło to samo, mimo że znamienny jeszcze nie ogłosił zwycięzcy. Siano istotnie było wspaniałe: pachnące, ani mokre ani przesuszone. I stogi wysokie, na czubkach palców nie sięgnąć szczytu.

Ale robotnikom nie pozwolono ocenić zdobyczy tylko zawołano z powrotem.

– Gdzie się rozbiegli?! Najpierw przeprawę doprowadźcie do ładu i zamocujcie jak należy – rozkazał znamienny. – Bo jak, nie daj Holgo, w nocy będzie deszcz, rzeka przybierze, zerwie wszystko do Saszego i od nowa trzeba

będzie układać.

Chłopi odpowiedzieli niezadowolonym burczeniem: i tak się napracowali do tego stopnia, że czuli każdy mięsień!

– Jak sobie poradzicie do zmroku, to jutro będziecie cały dzień odpoczywali – obiecał tsec. – I każdemu po trzy kufle piwa!

Musieli posłuchać – nie tyle dla piwa, ile z powodu mieczy ochrony i tsarskiego gniewu.

– Temu dobrze – mruknął Kołaj smętnie, kiedy robotnicy ponownie złapali za tratwy. – Cały dzień tylko sobie chodzi i rozkazuje, żeby chociaż sznur raz podał...

– Idź i powiedz to znamionemu w oczy – odparł Cyka ze złością. Marudzenie kompana tylko go irytowało. Jak już zaczął, to nie ma co skamleć. – On ci poda. Sznurek. I nawet na supeł zawiąże.

Kołaj zgarbił się i zaczął dukać:

– No coś ty, przyjacielu, ja przecież żartowałem... Oczywiście, że ktoś musi pilnować, bo inaczej cała robota się rozlezie...

Robotnik odwrócił się ze wstrętem. Nawet nie myślał, żeby donosić na sąsiada z wioski, ale jego szczery strach budził obrzydzenie.

– Ale Cyko, kochanieńki... – Chłop przestraszył się jeszcze bardziej.

– Weź się odwal ode mnie! Nic nie słyszałem i dalej nie chcę słyszeć.

Kołaj w końcu się zamknął i dalej pracowali w ciszy, przerzucając się słowami wyłącznie z konieczności. Zachód już gęsto wyłócił wodę, kiedy z przodu ludzie się zaniepokoiili i pozrywali na nogi.

– Złapali Sawrian! – przekazano łańcuszkiem. – Tych, co przyjechali siano zabrać, he-he. Zaraz znamieny będzie sobie z nimi radził.

Wszyscy jak jeden mąż mieli ochotę zobaczyć to widowisko. O dziwo, tsecowie nie klęli, tylko sami ruszyli na wyspę razem z robotnikami.

Tam już stał namiot dla znamienego, paliło się ognisko i nawet piekła para dzikich kaczek na rożnie. Ale dla drogich gości tsec wielkodusznie odłożył posiłek.

– Jeden uciekł – poskarżył się ze skruchą wartownik, który złapał gości. – Skoczył między wierzby i tyle go widzieliśmy.

Sawrian było trzech – dwóch niemłodych już mężczyzn i chłopaczek na oko czternastoletni. Nie rozumieli po rintarsku albo udawali, patrzyli spode łba i z oburzeniem gadali w swoim języku.

– Mówią, że będą się skarżyć do namiestnika – przetłumaczył Mikh dla Cyki.

Znamieny też znalazł sobie tłumacza wśród tseców.

– Skarżcie się – pozwolił łaskawie. – Wy macie namiestnika, a ja tsarski rozkaz.

– A chłopaczek wcale nie jest taki zwyczajny – zauważył Mikh szeptem na

ucho kumplowi. – Zobacz jaki błady i wargi w kreskę zacisnął. Pewnie nie z chłopów.

Cyka przyjrzał się uważniej. Faktycznie, szczurek unosił podbródek jak szlachcic i mówił na równi z resztą jeńców, znacznie bardziej opalonych i prostszych. Jakby był synem albo robotnikiem jednego z Sawrian, to by milczał, aż dorośli załatwią sprawy między sobą.

Kosiarze, zszokowani takim obrotem spraw naradzili się i chłopak rzucił coś z wyższością.

– Chcą zabrać siano. A z nami niech sobie namiestnik sam radzi.

– Jeszcze czego! – uniósł się otaczający Sawrian tłum. – Patrzcie na tych złodziei! Niech wsiadają na swoją tratwę i wiosłują stąd póki cali!

– W takim razie chcą, żeby im zapłacić za siano – tłumaczył Mikh dalej szeptem. I nie on jeden – prawie wszyscy chłopci zgromadzili się w grupki dookoła rozumiejących sawriański. – Mówią, że ono jest drogie. Ich rodziny tylko z tego koszenia żyją.

Rintarczycy zarechotali:

– No jakbyśmy nie wiedzieli!

– Spadajcie, spadajcie, białowłose szczury! Zatkaliśmy waszą norę!

Znamienny wzruszył ramionami, wyciągnął z kieszeni kilka drobnych monet i rzucił pod nogi Sawrian.

– Tu macie za koszenie. Rozumiem, że teraz jesteście kwita?

Starsi kosiarze wyraźnie chętnie zabraliby się z wyspy póki cali, ale dzieciak zrobił krok do przodu, starannie wdeptał monety w ziemię i uważnie patrząc w oczy znamiennego, powiedział kilka słów.

Mikh prychnął, ni to ze zdziwieniem, ni to z aprobatą.

– Hej? Co jest? – Cyka i Kołaj zaczęli ciągnąć go za ręce.

– Ee... mm... Mówi, że dostaniemy to siano tylko jeśli oni nam je... Tak w zasadzie odważny dzieciak. Ale głupi.

Pozostałym robotnikom słowa dzieciaka spodobały się znacznie mniej. Zewsząd poleciały tak samo soczyste obietnice zwrotne, tsecowie z coraz większym trudem utrzymywali nacisk tłumy. Spokój zachował wyłącznie sam znamienny.

– Przełoż mu, że... – zwrócił się do tłumacza i niespodziewanie urwał. Z wściekłością walnął się w kolano, patrząc na coś nad głowami zebranych ludzi.

Robotnicy ze zdziwieniem spojrzeli za siebie i przekleństwa zmieniły się w okrzyki rozpacz i wściekłości. Za plecami pochłoniętych kłótnią ludzi płomień zdążył już wznieść się na szczyty stogów. Paliło się ze wszystkich czterech stron i to tak ostro, jakby słońce siadało nie za wodę na horyzoncie tylko wprost tutaj.

– Chyba to ten uciekinier uznał, że się odegra – podsunął tsec, któremu umknął czwarty Sawrianin. – Co za wredni ludzie! Jak nie im to nikomu...

Rintarczycy jeden po drugim odwracali się z powrotem i teraz nawet dzieciak zrobił krok do tyłu, tuląc się plecami do swoich krajan.

* * *

Następne znalezisko było bardziej przerażające, niż zdechła krowa.

– Jemu do reszty odbiło! – szepnął Żar w kompletnym szoku.

W poprzek drogi leżał upozowany trup: nogi razem, lewa ręka przyciśnięta do boku, prawa odrzucona nad głowę, palce podkurczone – wszystkie prócz wskazującego.

Alk zsiadł z krowy i dotknął policzka nieboszczyka.

– Jeszcze ciepły.

Złodziej odwrócił się ze wstrętem.

– Ciekaw jestem, gdzie drugi?

– Pewnie pojechał dalej. – Sawrianin rozejrzał się uważnie. – Nie sędzę, żeby Rajlez miał czekać na nich przy drodze przez cały tydzień bez przerwy. Raczej jeden zarznął drugiego, bo taki dostał zawczasu rozkaz.

– Solidna męska przyjaźń – parsknął złodziej. – A gdzie on wskazuje? Przecież tam chyba Rybkę widać.

– Tam są jaskinie – odezwał się Wędrowiec, obserwujący przyjaciół z wysokości siodła. – Pod dłońią Saszego.

– Wiem – odparł Sawrianin.

– Co to znaczy? – zdziwił się Żar, mrużąc oczy, by spojrzeć w dal. Brzeg jak brzeg, porośnięty niskimi sosnami.

– Miejsce, gdzie dar Wędrowca odmawia posłuszeństwa – wyjaśnił Alk.

– O rany! – zachwycił się złodziej. – To dlaczego nadal go nikt nie zabudował?! Ani domów, ani nawet ogródków... A miejsce wygodne jak mało – można się nie bać, że wróg cię poszczuje Wędrowcem!

– Słuchaj, a jak kogoś wysyłasz do Saszego, to co masz na myśli?

– Znaczą... – Żar zaciął się i zachichotał.

– O to-to właśnie. Nikomu taka „ochrona” niepotrzebna. Lepsi są Wędrowcy z ich Holgą.

– A nasz modlik gadał, że to wy jesteście od Saszego – przypomniał sobie złodziej. – Ryskę nawet raz zmusili, żeby się kajała. tylko nic z tego nie wyszło.

– Sam on jest od Saszego, ten wasz modlik! – burknął Sawrianin, włączając z powrotem na krowę.

– Nie. – Niespodziewanie w Żarze odezwała się solidarność „modlitewna”. – Pod powałą ma nie w porządku, to fakt, ale poza tym to wszystko gadał dobrze, jak w książce.

– No właśnie. Mądrzy ludzie piszą książki, a kretyni je wykładają.

* * *

Bal był krótki i gruby, dębowy. Kronikarze życia świętego Tracznia mieli różne zdania, jeśli chodziło o jego dokładny opis – w różnych wersjach występowały sosna, jesion a nawet naręcze chrustu^[1] (z tego powodu wyznawcy przeredzili jeden drugiemu sporo bród) – dlatego też modlik uznał, że weźmie to, co zesłała mu Holga. Najpewniej bal upuścili chłopci, którzy coś budowali po rintarskiej stronie w górze rzeki, ale do stóp modlika, który zszedł by napić się wody (ponieważ ta ze studni nie nadawała się dla prawdziwego proroka!) skierowała go niewątpliwie Bogini.

Modlik przez parę szczap gapił się na bal, jak gdyby raził go piorun, a następnie odwrócił zarośniętą twarz z dziko połyskującymi białkami oczu w kierunku zebranego na brzegu tłumu i z przekonaniem ogłosił:

– To znak z niebios! Żeby przekonać was o prawdziwości moich słów przetnę rzekę na tym balu, jak święty Tracznia!

Widzowie jęknęli zszokowani i niezbyt pewni, czy mają zachwycać się jego odwagą, czy sprać za świętokradztwo.

Tymczasem modlik nie tracąc czasu, usiadł na kłodzie i dodał:

– Powiem więcej: na nim też wrócę z powrotem!

– Nawet jak nie, to i tak będzie z niego pożytek – burknął ktoś w tłumie, wywołując salwę śmiechu.

Uczniowie z namaszczeniem odepchnęli bal od brzegu i zamknęli oczy w przerażeniu: prorok niebezpiecznie chwiał się na pozbawionej podpory gładkiej powierzchni. Jednak mokre drewno było głęboko zanurzone w wodzie i modlikowi udało się utrzymać równowagę.

– Widzicie?! – wrzasnął uroczyście, potrząsając swoją wierną laską. – Holga mnie nie porzuciła! Czuję, jak patrzy na mnie i uśmiecha się, błogosławiąc!

– A może chichocze? – zasugerował ten sam żartowniś.

Tymczasem okazało się, że było zbyt wcześnie na świętowanie: zgodnie ze wszystkimi kronikami bal świętego Tracznia magicznym sposobem popłynął na ukos nurtu, pod prąd.

Niestety, bal świętego proroka zaczął bluźnierczo spływać z prądem. Ale po chwili modlik uświadomił sobie, że Holga zesłała mu również laskę – bo święta księga głosi: „*Korzystaj ze wszystkiego, co masz w rękach, albowiem Ja to tam włożyłam*”. Prorok ogłosił to, podziękował Bogini za zapobiegawczość, zanurzył kij w wodzie i po kilku obrotach w miejscu („Talenty są jak skarby i żeby pokazać je ludziom trzeba się mocno napracować łopata”) zdołał skierować bal w kierunku kanonicznym.

Widzowie docenili jego wysiłki, wielu padło na kolana. Niektórzy gorąco się modlili, inni po prostu patrzyli z otwartymi ustami. Nawet niedowiarkowie, którzy wygwizdywali przemowy proroka poczuli skrępowanie i zastanawiali się czy może

ten szalenię faktycznie jest owładnięty Holgą, a nie rogotunem?

Niestety, czekanie na chwilę prawdy zapowiadało się na długie – bał uparcie posuwał się w słusznym kierunku, ale wyjątkowo powoli. Znużeni ludzie zaczęli kręcić głowami i jako pierwszy wydarł się jakiś chłopaczek:

– Hej, patrzcie! Na Pępku Holgi coś się pali!

* * *

Jaskinia miała kilka wejść, wszystkie w jednej linii, jak szczerbaty uśmiech martwego wielkoluda, który zdążył porosnąć trawą i krzakami. Przez niektóre szczeliny przecisnęłoby się co najwyżej dziecko, przez inne można by wjechać na krowie. Ale druga czerwona wstążka powiewająca na czubku cienkiej brzoźki przyciągała spojrzenie z odległości połowy wieszki.

Kiedy towarzysze zbliżyli się, dostrzegli również białą strzałkę na lewej ścianie, wskazującą do środka podziemia.

Alk pytająco spojrzął na Szczurołapa. Ten z żalem pokręcił głową.

– Czemu? – zdumiał się Żar.

– Kodeks zabrania. – Sawrianin zeskoczył z krowy. Wędrowiec został w siodle i tylko puścił wodze, by nietoperz mógł sięgnąć trawy. – Zbyt niebezpieczne.

– Przecież ja jakoś żyję bez daru i nic – zauważył złodziej z urazą. Ci Wędrowcy to dopiero chytrusy! Gdzie nie mogą sobie umościć drogi, tam po prostu nie chodzą. Mówiąc szczerze, złodziej bardzo liczył na pomoc Szczurołapa. Zbyt dobrze pamiętał walkę na cmentarzu, którą Alk wygrał wyłącznie dzięki przyjaciółom.

– Nie chodzi o to, że tam w środku nie mamy daru. Problem polega na tym, że mamy go tutaj – skomentował mistrz spokojnie. – Kiedy Wędrowiec znajduje się „pod dłonią” jego dar się zbiera, jak woda przy tamie. I kiedy po wyjściu spróbuje po niego sięgnąć... Lepiej nie ryzykować. Ani sobą, ani innymi. Swoją drogą, Alku, tobie też bym nie zalecał tam wchodzić. I tak nie wiadomo, co się z tobą dzieje, a jak dorzucić jeszcze to...

– A jaka różnica? – Sawrianin wyzywająco wszedł mu w słowo. – Jeden tyłek Holgi więcej, jeden mniej... a jej cyców i tak już od dwóch miesięcy na oczy nie widziałem.

– Przynajmniej spróbujcie wydostać się stamtąd najszybciej jak się da – poradził Wędrowiec. – A ja... poczekam. Na kogokolwiek.

Alk pochmurnie skinął głową. Taki układ jak najbardziej go urządził. Przeciwno Rajlezowi ze „świecą” Szczurołap miałby pewne problemy, ale kiepski to mistrz, co nie da rady zadziwić ucznia nawet po siedmiu latach uczenia.

W jaskini coś cicho łupnęło. Albo głośno lecz daleko. Wszyscy równocześnie wstrzymali oddech, nasłuchując w napięciu, ale hałas się nie powtórzył.

– Zaraza! Czym Rajlez myślał, wybierając takie pole walki?! – zaklął złodziej szeptem.

– On przygotowywał nie pole walki. – Alk stuknął palcem w koniuszek strzałki i mocno przesunął po kamieniu, ścierając ją. – Tylko pułapkę. Dobra, idę.

– Hej, czekaj, skoczę w krzaki na wszelki wypadek! – Żar zaczął złazić z siodła, ale Sawrianin, który zdążył już wejść w cień jaskini, odwrócił się gwałtownie i syknął:

– Zostań tu.

– Co?!

– Tego tylko brakowało, żebym jeszcze ciebie musiał pilnować.

– Zobaczmy, kto tam będzie kogo pilnował! – Żar wystawił do przodu pierś, jak zadziorny kogut.

– Ty nawet nie potrafisz sensownie mieczem machać!

– Machać potrafię! A tam w środku masz nie tylko Rajleza, ale też porywacza Ryski. A ja mam z nim spore porachunki!

– Nie szkodzi, ja się za ciebie rozliczę.

– A jak mu nie dopłacisz?

– Ja?!

– Albo idziemy razem, albo mnie również będziesz musiał zabić – oznajmił Żar twardo.

Mężczyźni dłuższą chwilę patrzyli sobie w oczy, mrużąc je z jednakowym uporem, ale potem w twarzy Sawrianina coś drgnęło.

– Na pewno?

– Na pewno!

– Dobra, przekonałeś mnie. – Alk uśmiechnął się, zgiął ramię jak gdyby zamierzając ucisnąć przyjacielowi dłoń, a kiedy Żar rozluźnił się i uśmiechnął w odpowiedzi, niespodziewanie otrzymał potężny cios pięścią z dołu w szczękę.

Złodzieja odrzuciło do tyłu jak po ciosie młotem kowalskim i runął na ziemię, bezwładnie niczym szmaciana lalka. Udało mu się odzyskać przytomność i podnieść głowę dopiero po pięciu czy sześciu szczapach, kiedy po Alku nie było już śladu.

– Szczur!!! – jęknął, z wielkim trudem przekręcając się na brzuch. – Nienawidzę go!!!

Wędrowiec ze współczuciem – co prawda nadal nie ruszając się z miejsca – skinął głową i potwierdził:

– Oj tak, to naprawdę umie.

* * *

Po ścianach jaskini wędrowały migotliwe blaski pochodni i pokraczne ludzkie cienie, mnożące się, jakby szła tędy nie dwójka ludzi, tylko ze dwudziestu.

Albo pozostałe rzucone były przez niewidoczne potwory, skradające się za Ryską i ciągnącym ją rozbójnikiem. „Jaka by z tego wyszła bajka! – przemknęła dziewczynie przez głowę mimowolna myśl. – ...A potem przyszedł przystojny tsarewicz i odrąbał wszystkim wrogom... głowy. W ostatniej kolejności.” – Obcowanie z Alkiem miało zauważalny wpływ na wyobraźnię Ryski, powodując przesunięcie w bardziej cynicznym ale za to życiowym kierunku.

– Patrz pod nogi, krowo! – syknął rozbójnik.

Dziewczyna dopiero teraz uświadomiła sobie, że widzi nie pęknięcia w kamieniu tylko kilka krzywo naciągniętych krzyżujących się sznurów.

– Prezent dla twojego białowłosego – prychnął rozbójnik. – Czy raczej kokardka od niego. Jak pociągnie za koniec...

Ryska za przykładem porywacza uniosła oczy do sklepienia i w końcu zrozumiała co to za dziwny smród. Na zewnątrz jeszcze nie było ciemno, ale plujki już się budziły, czyściły i prostowały skrzydła. Jaskinia była na tyle wysoka i szeroka, by nietoperze czuły się bezpieczne i mogły w locie wyminąć idących na dole ludzi. Plujki zerkały na nich podejrzliwie, niegłośnie szurały i ćwierkały ale nie ruszały się z miejsca.

– W zeszłym roku mój kumpel tu wpadł – wyjaśnił rozbójnik, widząc że dziewczyna nie rozumie na czym rzecz polega. – Po pijaku rzucił w te ścierwa butelką, a oni jak się nie zerwą, jak nie zaczną rzucać! Podrapały go i opluły tak że tam gdzie upadł tam do rana przeleżał. Oczywiście od razu nie umarł, potem doszedł do siebie. Ale przez noc na kamieniach tak zmarzł, że już z wyrka nie wstał.

Pewnie można było wybrać lepszy moment. Ale Ryska już nie mogła czekać: zbyt wyraźnie zobaczyła przed sobą twarz Alka, unieruchomionego, bezwładnie leżącego na podłodze i patrzącego na zbliżającego się do niego Rajleza.

Rozbójnik nie spodziewał się szarpnięcia, ale sznura nie puścił. Tylko zachwiał się i kilka oplotów postronka uciekło mu z nadgarstka. Jednak paskudnej dziewczce to wystarczyło, żeby schować się w szczelinie zbyt wąskiej dla mężczyzny.

Najważniejsze, żeby jak u szczura – głowa się zmieściła, bo ramiona miała wąskie a tyłek może i nie płaski ale miękki. Pozostał tylko znikający za kamieniem sznur.

– Już mi wyłaż, paskudo! – Rozbójnik pociągnął za niego.

Ryska rozłożyła się w szczelinie jak rak w norce, zapierając całym ciałem.

– Wywlokę cię stamtąd nawet jeśli będę musiał urwać ręce!

Rozległ się cichy trzask i rozbójnik odleciał do tyłu z kawałkiem sznura. Okazało się, że przekłeta dziewczyna nadwątlila go podczas ostatniego kawałka drogi – bo z rana przecież sprawdzali. To dlatego siedziała tak cichutko, sama pewnie ukradkiem tarła więzy o zgarnięty w czasie postoju kamień!

Wściekły porywacz złapał za miecz, ale było już za późno: wsadzona w szczelinę pochodnia rozświetliła nagie ściany. Okazało się, że dziura była przelotowa i prowadziła do sąsiedniego korytarza.

Teraz rozbójnik wściekł się naprawdę. Sawrianin zaraz wejdzie do jaskiń, a on jeszcze musi zaprowadzić dziewczkę do najdalszego odcinka podziemi! Co prawda Rajlez mówił, że białowłosa raczej tam nie dotrze, bo po drodze czekało na niego kilka pułapek. Ryskę rozbójnik poprowadził najkrótszą drogą – ale lepiej będzie jak zaciągną tam ciało Sawrianina, jeszcze zanim rzuci się na nich z mieczami.

Porywacz znał podziemia jak własną kieszeń, kilka razy nawet musiał tu zimować. Miejscowi uznawali jaskinie za „niedobre miejsce”, po części z powodu zimujących właśnie, po części z powodu mnogości rozwidleń, po których bez kawałka kredy w kieszeni można było błądzić aż do śmierci. Zresztą, z kredą również – rozbójnicy chronili swoją melinę i zapobiegliwie ścierali cudze znaki (oczywiście po uprzednim odnalezieniu na ich podstawie ciekawskiego poszukiwacza).

– Cóż, dziewczko, trzymaj się! Jak złapię to ze skóry obłupię! – ryknął rozbójnik do najbliższej szczeliny w nadziei, że nastraszy paskudę: niech potupie i zdradzi, w którym kierunku pobiegła. Może się jeszcze potknie z przerażenia i złamie nogę. Ale Ryska swoim zwyczajem znieruchomiała, przytulona plecami do ściany, więc niczego nie zobaczył ani nie usłyszał. I musiał biec dookoła.

Dziewczyna trochę doszła do siebie i po omacku ruszyła do przodu. Musiała iść powoli i bardzo ostrożnie: podłóże było zasypane piaskiem i drobnymi kamyczkami, zgrzytającymi o siebie nawzajem. Po chwili Ryska zauważyła, że ściany lekko lśnią, niewyraźnymi zielonkawymi plamami. Dotknęła jednej z nich: krople wilgoci. Dziewczyna z trudem powstrzymała się, by ich nie zlizać. A jeśli ta pleśń jest trująca?

Lśnienie robiło się mocniejsze – czy raczej oczy Ryski przyzwyczajały się do mroku. Po chwili mogła już rozróżnić nie tylko swoje ręce, nadal skrepowane rzemykiem, ale też widziała drogę na jakieś dziesięć kroków do przodu. Widząc w tunelu odgałęzienie, bez wahania skręciła w nie, a potem jeszcze raz. Uspokoila się nieco i w końcu wróciła jej zdolność myślenia o czymkolwiek prócz strachu i pragnienia. Czy powinna szukać wyjścia, czy może przykucnąć za jakimś kamieniem i poczekać? Jeżeli się skuli i nie będzie ruszała to mało prawdopodobne by mogli ją znaleźć – podziemia są gigantyczne, na sprawdzenie każdego zakamarka dnia nie starczy. Ale Alk również będzie jej szukał i trafi w pułapkę! Dziewczyna starała się nie myśleć o tym, co porywacze zrobili z Żarem. Skoro nawet swoich nie żałują, próbując zostawić możliwie najmniej świadków...

Ryska ponownie ruszyła przed siebie, jednocześnie szarpiąc zębami rzemyk. Nie miała pojęcia o istnieniu „dłoni Saszego” i miała nadzieję, że dar w końcu

wyprowadzi ją na wolność – aż usłyszała znajomy szelest nad głową. Z trudem stłumiła pełen rozczarowania jęk: chyba znowu znalazła się w jaskini z plujkami – tyle, że weszła do niej od drugiej strony. Chociaż, czy to źle? Musi tylko znaleźć pozostawioną przez Rajleza strzałkę i pójść w przeciwnym kierunku, do wyjścia! Może nawet złapie Alka w połowie drogi!

Rzemyk w końcu pękł, zostawiając na skórze głębokie, bolesne bruzdy. Nieco podniesiona na duchu dziewczyna ruszyła wzdłuż ściany, wypatrując znaku. Najważniejsze to nie trafić na pułapkę! Sznurki nawet w świetle pochodni były ledwo widoczne, a w mroku można przegapić nawet całą linę cumowniczą. Musiała pochylić się ku ziemi i obmacywać ją przed każdym krokiem. Ryska straciła masę czasu, aż w końcu zorientowała się, że chyba już zrobiła ze dwa okrążenia. Pewnie to inna jaskinia, tyle że podobna. Wyprostowała się, rozcierając krzyż. Pewnie nietoperze mieszkają w całych podziemiach. I faktycznie, tamta jaskinia chyba była większa i plujki siedziały na całym stropie, a tutaj tylko na kawałku pośrodku.

Ryskaomal się nie rozplakała. Możliwe, że gdzieś tam Alka już zmieniono w „świecę”, a ona sama ledwo trzyma się na nogach, niedługo upadnie i umrze z pragnienia i głodu! Oparła się bokiem o zimną i mokrą ścianę. Może rzeczywiście zjeść tej pleśni? Śmierć przyjdzie szybciej i na pełny żołądek... Dziewczyna oblizwała wyschnięte wargi, ale nie spieszyła się z ostatnim posiłkiem. Zamiast tego przymknęła oczy i zaczęła się modlić, po raz pierwszy w życiu nie do Holgi. Bogini tu zdecydowanie nie pomoże, ona lubiła tylko miłe, pracowite panienki, które siedziały w domu, szykowały posag i prosiły Boginię o dobrego męża, a nie o cudzą śmierć – i niechby drania i szaleńca, ale tylko sama Bogini ma prawo go osądzać. Saszy ma łatwiej, on pewnie bardziej ufa ludziom...

– Aha, mam cię! – Rozbójnik skoczył na Ryskę od tyłu, złapał oburącz i powalił na ziemię. Dziewczyna pisnęła z zaskoczenia i bólu – uderzyła żebrami o kilka kamieni, a do tego zwałił się na nią wielki ciężar, jak głaz na sawriańskiego nieboszczyka. – Będiesz jeszcze mi uciekała? Będiesz, suko?! – Mężczyzna złapał ją za splątane włosy i kilka razy walnął czołem o podłogę. Rysce zadzwoniło w uszach i nawet przez chwilę wydawało jej się, że zaraz zemdleje, gdy nagle ciężar z jej pleców magicznym sposobem zniknął.

– Ach ty...

Dziewczyna z trudem przetoczyła się na bok, równocześnie podkulając nogi do brzucha na wypadek gdyby znowu próbował ją bić i niespodziewanie zrozumiała, że bandyta mówi nie do niej. I stoi też dość daleko – Alk z rozmachem zdarł go z Ryski i odrzucił na bok jak brudną szmatę. To pozbawiło rozbójnika zakładniczki, ale za to pozwoliło mu wyciągnąć miecz.

– No to dawaj! – rzucił opryskliwie, poruszając klingą. – Zobaczmy co jesteś wart bez...

Ale białowłosy był zbyt wściekły, żeby walczyć. Po prostu skoczył do przodu, nawet nie sięgając do broni, dłonią odbił miecz przeciwnika na bok, wykręcił mu nadgarstek i zmusił do wypuszczenia broni. Ryska nie widziała, co Alk zrobił dalej – Sawrianin zasłaniał swojego przeciwnika plecami, a blask leżącej między kamieniami pochodni nie tyle odpędzał mrok, co niwelował świecenie ścian. Ale rozbójnik wydarł się tak, że sklepienie jaskini omal nie runęło – w każdym razie tak się zdawało Rysce. Posypały się z niego, ale nie kamienie tylko piszczące i chaotycznie miotające się kłębki.

– Padnij! – ryknął Sawrianin do oszołomionej dziewczyny, która dopiero co zdążyła wstać. Przed oczami mignął jej rozmazany cień i w kolejnej chwili znowu poleciała na ziemię, tym razem pod ciężarem Alka.

Szczęśliwie w tej jaskini nietoperzy było znacznie mniej, a oni oboje byli przy tym wyjściu, przez które stado zwykle nie wylatywało. Ale powietrze nad plecami Sawrianina i tak na kilka chwil zawrzało od skrzydeł.

Leżenie pod Alkiem było znacznie przyjemniejsze, niż pod rozbójnikiem, ale niestety tak samo twarde. Sawrianin przeklinał stłumionym głosem, wciskając twarz we włosy Ryski, jak gdyby próbował coś o nie wytrzeć. Jednak dziewczynę tak cieszył sam dźwięk jego głosu, że nie zwracała uwagi na słowa. Najważniejsze, że Alk żył i był przy niej!

W końcu przerażone świergotanie plujek ucichło. Ustało również bulgoczące chrypienie, w które zmienił się krzyk bandyty. Sawrianin powoli i jakoś krzywo podniósł się na rękach, uwalniając przyjaciółkę. Dziewczyna zaczęła od złapania pochodni – na wpół wdeptana w ziemię prawie zgasła i Ryska straszliwie bała się że znowu zostanie w ciemności.

Kiedy dziewczyna rozdmuchiwała płomień, Alk również wstał – z taką ostrożnością, jakby trzymał na głowie miskę z wodą.

– Ryska? – zawołał jakimś dziwnym głosem.

– Tak? – Odwróciła się, uchwyciła jego spojrzenie i zamarła z przerażenia.

Ponieważ spojrzenia nie było.

Oczy Sawrianina były kompletnie puste, a rozszerzone źrenice zajmowały niemal całą tęczówkę. Powieki ani drgnęły, nawet kiedy Alkowi przed samą twarzą przemknął spóźniony nietoperz.

– Chyba oślepiłem – poinformował z taką prostotą, jakby chodziło mu o „potknąłem się”, ale pomylił słowa.

– Tak całkiem? – spytała dziewczyna głupio.

Sawrianin zwrócił do niej twarz, nadal patrząc nad czubkiem jej głowy.

– Masz pochodnię? Pali się?

– Tak.

– Czyli całkiem. Cholerne nietoperze... Szturchnij tego drania – zdechł?

Ryska opuściła spojrzenie i z piśnięciem odskoczyła na widok podpełzającej

do butów ciemnej kałuży.

Alk westchnął, schylił się, namacał i poszturczał sam.

– Zdechł. Przypomnisz sobie drogę powrotną?

– Nie... Jak się tu znalazłeś?! Przecież Rajlez wszędzie narysował strzałki, powinieneś być wejść do zupełnie innej jaskini!

– Czy ja jestem idiotą, żeby patrzeć na jego znaki? Na pierwszym napotkanym zakręcie poszedłem w przeciwną stronę.

– Jesteś idiotą! – Ryska z chlipnięciem walnęła go pięścią w pierś, nie tyle zła na Alka, co wyrzucając z siebie zgromadzony przez trzy dni strach. – A co, jakby mi się nie udało uciec? A gdybyśmy się minęli?! A gdybyś w ogóle zabłądził i potem przez tydzień łąził po tych podziemiach?!

– Widzisz, ile ciekawych możliwości?! A w przeciwnym razie miałbym tylko jedną.

Ryska jeszcze kilka razy uderzyła Sawrianina, który nawet się nie ruszył, po czym złapała go oburącz za koszulę i wtuliła w nią czoło. Alk położył rękę na jej drżących ramionach i powiedział znacznie łagodniej:

– Chodźmy. Ten wrzask na pewno słyszały nie tylko nietoperze, a ja jakoś nie mam ochoty stawać do walki w *takim* mroku.

Dziewczyna opamiętała się i odskoczyła. Za wcześnie, by cieszyć się z cudownego ratunku. Rajlez nadal kręci się gdzieś w pobliżu i kto wie, może ich spotkanie to część jego planu?!

– A gdzie Żar? – spytała Ryska z drżącym sercem, obawiając się najgorszego.

– Leży... znaczy czeka przy wejściu – przyznał Alk, zbyt chmurnie, by miało to być białym kłamstwem.

– Wszystko z nim dobrze?!

– Niestety, tak. – Sawrianin rozkazująco wyciągnął rękę.

Dziewczyna zamarudziła, próbując jakoś zebrać rozdartą na piersiach koszulę i kiedy w końcu dotknęła dłoni Alka, ta drgnęła z zaskoczenia. Zagryzła wargę, odpędzając falę paniki i litości, po czym wygodniej chwyciła go za rękę – jako prowadząca, a nie prowadzona. Białowłosy znowu miał lodowate palce, chociaż nie było to nic dziwnego: Saszy chyba trzymał w tych podziemiach zimowe mrozy, żeby późną jesienią ponownie wypuścić je na wolność.

– To gdzie mamy iść? – Dziewczyna chciała zapytać optymistycznie ale wyszło słabo.

– Bez różnicy.

– Dlaczego?! A co ci mówi dar?

– Nic.

– Jak to?!

Sawrianin wyjaśnił i Ryska w końcu zrozumiała, skąd wzięło się to dziwne

kłujące poczucie pustki w środku, jak gdyby coś zgubiła albo zapomniała. Chociaż dziewczyna nigdy nie nauczyła się dobrze odróżniać wycucia Wędrowca od przypadkowego szczęścia czy zbiegu okoliczności. Alkowi musiało być znacznie trudniej. Pewnie nawet ślepotą bolała go mniej.

– A ty też nie zapamiętałeś drogi? – spytała Ryska na wszelki wypadek.

– Próbowałem. – Białowłosey potarł oczy i zamrugał. Nic się nie zmieniło. – Jakbym widział, to bym może znalazł. A tak... Nie, już do reszty się pogubiłem. Decyduj sama.

– Są tu trzy wejścia – powiedziała Ryska, nie potrafiąc się jednak zdecydować, by wybrać samodzielnie. – Na wprost, po prawej i z tyłu.

– To chodźmy na prawo – odparł Sawrianin obojętnie. – Chyba stamtąd przyszedłem.

Z jednej strony poruszanie się z pochodnią było znacznie łatwiejsze i szybsze. Z drugiej – za kopułę światła trzeba było płacić nieprzeniknionym mrokiem poza jej granicami. I, co gorsza, bezpieczeństwem. Pozostawało tylko mieć nadzieję, że dzieli ich od Rajleza wystarczająca ilość zakrętów.

Alk stąpał ostrożnie, ale i tak co chwila potykał się i zranił czoło w przejściu zbyt dla niego niskim. Póki Sawrianin z sykiem obmacywał guza, dziewczyna przestępowała z nogi na nogę przepelniona poczuciem winy i zaglądała do kolejnej jaskini, która miała ze dwadzieścia kroków szerokości i dwa razy tyle długości.

– Tu chyba jest ślepy zaułek... – zauważyła z rozczarowaniem, świecąc pochodnią dokoła. – Chociaż nie, jest drugie wyjście, ale wysoko, nad półką! Pójdziemy z powrotem czy będziemy włązili?

– A damy radę?

– Tak, tam pod spodem są nawalone kamienie. Masz, potrzyмай! – Włożyła pochodnię do ręki towarzysza. Alk posłusznie zacisnął palce. Światło padało niezbyt dobrze, ale Ryska krępowwała się poprosić Alka o podniesienie ręki wyżej i odwrócenie się. Nie chciała, by jeszcze mocniej poczuł swoją bezużyteczność, był niezwykle cichy i wydawał się przygaszony.

Wspięła się na półkę bez trudu, ale tam czekało na nią rozczarowanie – nie było to przejście, tylko głęboka nisza w ścianie. Odwróciła się, by poinformować o tym przyjaciela, ale wydała z siebie tylko stłumione piśnięcie – po jaskini skradała się ciemna postać, próbując zająć Sawrianina od tyłu.

– Zostań tam – rozkazał Alk spokojnie, opuścił rękę i wsadził pochodnię w piasek. Mrok zatrzasnął się dookoła niego jak paszcza szczupaka.

– Próbujesz wyrównać szanse? – rzucił pogardliwie Rajlez, zatrzymując się i prostując. – Nic z tego. Zapytaj dziewczyny: nie jest tu wystarczająco ciemno, żebym cię nie widział.

Faktycznie, jaskinia zaczęła powoli wypełniać się światłem. Pleśń rosła tu wyjątkowo gęsto i choć nie mogła się równać z pochodnią, pozwalała dojrzeć

każdy ruch przeciwników nawet ze skalnej półki – wydawali się kukielkami ulepionymi z czarnej smoły. Wyrazu twarzy można się było domyślać z głosów.

– I milcz. – Alk nadal zwracał się do Ryski. – Cokolwiek by się działo. – Sawrianin paroma pociągnięciami rozluźnił sznurówkę na koszuli, zerwał ją z siebie i odrzucił na bok razem z pustymi pochwami.

Rajlez z namysłem zmarszczył brwi.

– Co, gorąco ci?

Ryska odniosła wrażenie, że umysł Alka ponownie opanował szczur. Sawrianin zaczął kopać nogą żwir, jak gdyby próbując zarzucić nim przeciwnika – bez żadnego systemu, z różną siłą i na różne strony. Niektóre kamyczki dolatywały do ścian i odskakiwały, inne upadały wcześniej. Jeden trafił Rajleza, ale był zbyt mały, by zrobić mu krzywdę. Tylko wywołał poirytowane parsknięcie.

Na tym białowłosy chyba się uspokoił, ze świstem rozkręcił miecze i wycedził przez zęby:

– No to już.

– Może najpierw porozmawiamy?

– A mów, mów – zgodził się Sawrianin złowieszczym tonem, robiąc krok w kierunku źródła głosu. Mniej więcej ocenił odległość do ścian jaskini i nie bał się trafić w nie ciałem albo klingą.

– Tak w zasadzie to nawet nie liczyłem, że wszystko pójdzie zgodnie z planem. Dłonie Saszego nie lubią Wędrowców – ani ciebie, ani mnie – i będą nam obu podkładać świnię. – Rajlez zrobił krok w bok, również wyciągając miecz. Ale na razie nie podnosił go, a jedynie ruszył dookoła, celowo tupiąc i szurając nogami. Echo trących o siebie i przesypujących kamyczków uniosło się jak rój dzikich pszczół, wypełniając jaskinię zgodnym, docierającym ze wszystkich stron hurgotem. – Ale dla mnie jest jednak ważniejsze, by dostać cię po dobroci. I stąd to zaproszenie, żebyś chętnie czy nie, ale musiał najpierw mnie wysłuchać, a nie rzucił się od razu do walki.

Ryska rozplaszczyła się na półce, zaciskając usta rękoma – miała straszliwą ochotę, by krzyknąć: „Jest na lewo, od lewej się skrada!”, ale Alk już sam się odwracał, na słuch określając kierunek oraz szybkość ruchu.

– Oj tak, dobroć czasami ma wyjątkowo nietypowe postacie – zauważył z sarkazmem.

– Daj spokój. Czy ty w ogóle rozumiesz, co się stało?

Alk nie odpowiedział. W ciągu ostatnich miesięcy stało się tyle różnych rzeczy, że trudno było je nawet spamiętać, o zrozumieniu nie mówiąc.

– Na początku faktycznie chciałem po prostu odzyskać moją „świecę”. – Rajlez na przemian przyśpieszał i spowalniał krok, próbując zmylić Sawrianina. – Ale im dłużej was śledziłem, tym wyraźniej rozumiałem, że trafiłem na żyłę złota. Stałeś się „świecą”, ale równocześnie zachowałeś ludzką postać i zdolności

Wędrowca! Mało tego, kiedy dziewczka cię używa, wygląda na to, że inni Wędrowcy na was nie wpływają, mimo że ich zdolności się wygaszają, dokładnie tak jak powinno być.

– I też zapragnąłeś dla siebie takiej „mocy”? – parsknął Alk pogardliwie.

– Tak. – Rajlez odpowiedział wprost. – Zapragnąłem. A ty nie pragniesz?

– W roli „świecy” jakoś nie mam ochoty.

– To nie na długo. Póki nie zrozumiemy, co dokładnie się stało i jak to powtórzyć. Potem cię uwolnię – ale mam wrażenie, że sam nie będziesz chciał odejść.

Alk roześmiał się krótko.

– Masz aż tak dobrą opinię o sobie jako właścicielu?

– Bycie twoim właścicielem jest niemalże gorsze, niż należenie do ciebie! – Rajlez wyszczerzył zęby w uśmiechu. – Właśnie dlatego próbuję się dogadać, zamiast złapać cię siłą.

– Siłą również próbujesz.

– To z braku lepszych możliwości. Schowaj swoje miecze i...

– Próbujuj, próbujuj. – Alk machnął klingami, nie tyle chcąc dorwać przeciwnika, ile gimnastykując ręce.

Rajlez drgnął i stracił rytm, ale się nie zatrzymał.

– Najpierw wysłuchaj mojej propozycji. Jak to słusznie zauważył nasz ukochany mistrz – naprowadzając mnie na doskonały pomysł! – jedna „świeca” mnie nie uratuje i nie starczy jej na długo. Zdobywanie ich jest zbyt ryzykowne, czyli trzeba „hodować” je na własną rękę. Stworzymy własną szkołę Wędrowców – najpierw gdzieś w głuszy, żeby nie znaleźli jej Szczurołap i jemu podobni. Znajdziemy kupę głupich żółtodziobów do eksperymentów, a kiedy najlepsi z nich – albo najwięksi szczęściarze – zostaną naszą podporą, zaczniemy pozbywać się obecnych Przystani. Albo raczej wymrą samoistnie: bo w końcu u nas Wędrowcami będą zostawali *wszyscy* uczniowie i to Wędrowcami znacznie potężniejszymi! Swoją drogą, ciekaw jestem, co by się stało, gdyby dodać do tego połączenia kolejną „świecę”, tym razem zwykłą?

– Nic ci z tego nie wyjdzie.

Mimo to Ryska odniosła wrażenie, że w głosie Sawrianina zabrzmiała ciekawość, która przeraziła ją znacznie bardziej, niż szaleństwo Rajleza. Proponował Alkowi właśnie to, po co rozpieszczony synalek posła przyszedł do Przystani. Siłę, władzę. Możliwość nawet jeśli nie zmienić świata, to przynajmniej dobrze nim potrząsnąć. Jeżeli wcześniej Wędrowcy w zasadzie niezbyt różnili się od zwykłych najemników, spętani masą ograniczeń daru, to nowa Przystań potęgą swoich wpływów mogłaby przebić nie tylko modlitewnie, ale i samego tsara.

– Wyjdzie. Wuj opowiadał mi o Wędrowcach znacznie więcej, niż tobie twój Szczurołap.

– Czy raczej podsłuchiwałeś? – rzucił Alk pogardliwie. – Jaki człowiek przy zdrowych zmysłach ci zaufa?

Rajlez nie zaprzeczył, ale to tylko dodało wagi jego słowom.

– Wiem, jak przeprowadzają ceremonie i będę mógł je powtórzyć. Podzielę się z tobą ich tajemnicami – a ty w zamian zdradzisz mi swoją.

– Nie wydaje mi się.

– Boisz się, że cię oszukam? – W czasie tej rozmowy Rajlez zatoczył dwa pełne koła po jaskini, przy okazji zbliżając się do Alka o trzy albo cztery kroki, ale nadal pozostając poza zasięgiem mieczy. W uszach dzwoniło nawet Rysce, w tym hałasie zupełnie nie dawało się wyłowić osobnych dźwięków i kręcący się dookoła Sawrianin na pewno dawno zgubił „obraz” jaskini.

– Nie boję. Dlatego, że nie zamierzam mieć z tobą do czynienia.

Niespodziewanie Rajlez stanął, wzbudzając echo tupaniem w miejscu. Alk szedł dalej, już prawie odslaniając przeciwnikowi bok – ale niespodziewanie zamarł. Zachwiał się w miejscu i odwrócił z powrotem, twarzą w twarz.

– Słuchaj, Haskil. W Przystani faktycznie nie najlepiej nam szły wzajemne kontakty. – Głos Rajleza drżał z rozczarowania i niezadowolenia. Sawrianin używał zmysłów jak szczur. Zamiast czułych wąsów miał nagą skórę, która wychwytywała najdrobniejsze ruchy powietrza i ciepło emitowane przez przeciwnika. – Ale dla takiego celu można nawet Saszego nazwać przyjacielem!

– Pytanie tylko, czy Saszy będzie miał ochotę na takie przyjaźnie.

Echo ucichło i w jaskini znowu zapanowała cisza. Rajlez powoli wsadził rękę do kieszeni, tak samo bezdźwięcznie wyciągnął, ale niezauważalny zamach już mu nie wyszedł: pod prawą nogą, na którą przeniósł ciężar ciała, chrupnął kamyczek. Alk ciął klingą i nóż z pełnym urazy brzękiem odleciał na bok, trafiając w ścianę niedaleko Ryski. Dziewczyna jeszcze mocniej przytuliła się do kamieni. Nie miała czego się bać: Rajlez potrzebował drugiej właścicielki Alka żywej i rozumiał, że jeśli spróbuje wspiąć się na półkę (dziewczyna robiła to przy świetle, a on będzie musiał po omacku), to Sawrianin natychmiast rzuci mu się na plecy. Więc najpierw trzeba było załatwić jego.

Tymczasem Alkowi znudziło się zarówno gadanie jak i czekanie. Zakręcił „młynka” i zaatakował niewidzialnego wroga, próbując przycisnąć go do ściany, ale Rajlez nie przyjął walki tylko prześlizgnął się bokiem. Jeden z mieczy zgrzytnął po kamieniu i Sawrianin zamarł w miejscu, po czym odwrócił się gwałtownie. Ponownie zachwiał z boku na bok, próbując określić położenie przeciwnika.

Rajlez stojący na środku jaskini udał, że próbuje powtórzyć rzut. Alk natychmiast machnął mieczem, broniąc się przed możliwym ciosem.

Były Wędrowiec roześmiał się z sarkazmem.

– W dzieciństwie uwielbiałem zabawę w „ślepego kota” – oznajmił, schylając się i zgarniając naręcze kamyczków. – Ale tylko jako mysz. To było

znacznie ciekawsze. To co, powtórzmy?

Tym razem Rajlez rzucił kamyczek. Iskry z zetknięcia go ze stalą na chwilę oświetliły twarz Alka. Oczy miał zamknięte, a na twarzy wyraz niezwykłego wyobcowania i skupienia.

– Spodobało ci się? Mnie również. – Następny kamień Rajlez rzucił w biegu – pozostawanie na miejscu było tożsame z wystawieniem się na kolejny atak. Alkowi mimo wszystko udało się odbić kamyk, ale trzeci przegapił i ten uderzył go w pierś.

Rysce zbierało się na płacz. Patrzenie, jak ten drań znęca się nad jej bezradnym przyjacielem było nie do zniesienia. Może się tak wykręcać i bawić w nieskończoność, póki Alk zupełnie nie opadnie z sił.

Niestety, stało się to szybciej niż myślała. Wydawało się, że Sawrianin zdążył odskoczyć – lecący nóż wydawał inny dźwięk, niż kamień – ale mimo to wydał stłumiony jęk i przysiadł na prawej nodze. Ramiona mu opadły.

Ryska krzyknęła. Rajlez się wahał, próbując ocenić obrażenia przeciwnika – sam zaraz padnie czy trzeba mu będzie pomóc?

– Nie zmieniłeś zdania? – zapytał. – Dostanę cię tak czy inaczej. Ale „inaczej” będę przekonywał w zupełnie inny sposób.

– A idź do... – Alk zachwiał się, pochylił jeszcze bardziej, ale jednak zdołał utrzymać równowagę. Ochrypli, nierówny oddech niósł się daleko po jaskini. Prawą rękę opuścił zupełnie, przyciskając do boku. I właśnie z tamtej strony zaczął podchodzić Rajlez.

– I właśnie dlatego zrobili z ciebie „świecę” – oznajmił z fałszywym współczuciem. – Jesteś tak samo uparty, żywotny i tępy jak szczur. Może właśnie dlatego on na ciebie specjalnie nie wpłynął.

Alk jednak znalazł w sobie siły, by machnąć klingą. Tym razem Rajlez się nie uchylał – nawet dziecko by odbiło taki cios, a potem można przystawić ostrze do odsłoniętej szyi przeciwnika.

Ale ledwo zabrzmiał brzęk stali, Sawrianin uniósł się jak ptak, który udawał rannego, póki nie odciągnął lisa od gniazda. Alk zakręcił się nie rozsuwając mieczy, które stały się mostem łączącym z nieuchwytnym dotąd wrogiem, przytrzymał jego klingę swoimi, złapał i pociągnął.

Miecz Rajleza pokoziołkował pod samo sklepienie, zaś w następnej chwili Wędrowiec został przyciśnięty twarzą do ściany – jedna klinga naciskała pod łopatką, a druga – prawą nerkę. Gdzie się ruszysz, tam nadziejesz.

– A ja w dzieciństwie niezbyt lubiłem się bawić – powiedział Alk zupełnie spokojnym głosem, bez najmniejszych oznak bólu. – Treningi były znacznie ciekawsze. W tym z opaską na oczach.

– Jeśli mnie zabijesz – wymamrotał Rajlez, dysząc ciężko – to nigdy się nie uwolnisz! Nie uwalniam cię! Jesteśmy powiązani jednym...

– No i Saszy z tobą, i tym węzłem.

Ryska już знаła ten dźwięk: krótki wilgotny chrzęst, z którym stal wcina się w ciało. I krzyk – mógł należeć do człowieka lub szczura, być głośny albo stłumiony, przenikliwy albo zastygający jak teraz, ale zawsze *ostatni*. Z niczym nie szło go pomylić.

Alk odczekał, póki ostrza nie przestaną drgać, wyciągnął je i cofnął się, pozwalając martwemu ciału spełznąć na ziemię.

Ryska, w pośpiechu raniąc dłoń i kolana, zsunęła się z występu.

– I co?!

– I tyle. – Sawrianin wzruszył ramionami. – Jednego szaleńca mniej.

– A nóż?! Gdzie cię trafił?

– Nie trafił. Tylko drasnął.

Dziewczyna wiedziała z doświadczenia, jak mogą wyglądać „draśnięcia” na Alku, więc w pośpiechu obmacała jego brzuch i bok. Jednak tym razem Sawrianin nie próbował udawać chojraka – rana była prawie niezauważalna, Rysce zdarzało się mocniej zaciąć w kuchni.

– Alku... Ale co teraz... – Zawstydziała się i cofnęła.

– Nic – odparł Sawrianin, otrząsając klingi. – Podaj mi pochwy.

– A co jakby...

– Nie. Kłamał. Albo mnie albo sobie.

– Na pewno? – Ryska poszperała po ziemi, prawie natychmiast trafiając na koszulę. Pochew musiała szukać dłużej, odleciały prawie pod samą ścianę.

– Nie da się pewniej.

– Skąd wiesz? Przecież mówiłeś, że tu nie ma daru!

– To nie dar. – Sawrianin na ślepo wyciągnął rękę w kierunku przyjaciółki. – To rozum. Zapewniam cię, że on w zupełności wystarcza do dokonania właściwego wyboru.

^[1] **Imć Ulansh nalegał na tratwę z rzęsy ale z nieznanego powodu dana wersja nie otrzymała dużego poparcia.**

Rozdział 13

W dniu kiedy ganiały cudzego szczura, wszystkie szczury ze stada traktują towarzyszy z irytacją i nieufnością.

To samo źródło

Nastroszony i poirytowany Żar siedział przy ognisku. Szczękę miał opuchniętą i obolałą, nawet palić się nie dało normalnie. Po „mizantropie” nawet nie bardzo mu się chciało, ale nie miał kompletnie nic więcej do roboty – był już zmęczony bieganiem dookoła wejścia do jaskini z przekleństwami. Poza tym wredne sawriańskie komary podzielały wstręt Alka do palenia i z niezadowolonym bzycczeniem kłębiły się za granicami dymnego kokonu.

Wędrowiec traktował czekanie znacznie spokojniej. Najpierw kartkował małą, grubą książeczkę w przetartej okładce, potem wyciągnął z torby pióro, podróżny kałamarz i zaczął dopisywać coś na końcu, czujnie unosząc głowę na każdy hałas. Ale ten przeważnie pochodził nie z jaskiń tylko od strony rzeki, niewidocznej za drzewami.

– Czyżby pan miał fuchę w tajnej służbie? – zapytał Żar bez szczególnej ciekawości, pstryknięciem wysyłając niedopałek go ogniska. Komary zawyły z zachwytu. – A to jakiś raport?

– Nie – odpowiedział z roztargnieniem Wędrowiec na oba pytania. – To dla mnie. Albo dla Przystani, kiedy będę miał co pokazać.

– A co pan takiego pisze? – Złodziej nie próbował podglądać – czytać i tak nie umiał. Ech, Ryska sto razy proponowała, że go nauczy... Jeśli wszystko będzie dobrze, to na pewno się zgodzi! Sam poprosi! Żeby tylko dobrze się skończyło...

– Obserwacje.

– Ja tak patrzę, że już pan sporo zaobserwował.

Szczurołap uśmiechnął się krzywo.

– To moje notatki o darze Wędrowca – wyjaśnił. – Sugestie skąd się bierze, myśli o jego istocie, sensie i celu. Oraz... wyjątki.

– A Alka i Ryskę pan ma za te szczury u medyka? – zauważył złodziej przenikliwie. – Zdechną to znaczy, że zbyt mocny dekolt uwarzył?

– Szczury nie mają wyboru. A twoi przyjaciele przeciwnie. I nie przeszkadzam im w jego dokonywaniu.

– Yhym, tylko grozi pan, że zabije jak się pomyłą – mruknął złodziej, mimochodem klepiąc dłonią komara – i pechową szczękę.

– Gdybyś widział to samo co ja, to wolałbyś wyeliminować samą możliwość

błądu.

– A teraz się pan nie boi?

– Boję się – przyznał Wędrowiec z westchnieniem.

– Ale wierzy w swojego ucznia? Że on wszystko zrobi dobrze?

– Wierzyć w Alka?! – Szczurołap wzniosł oczy do nieba w udawanym przerażeniu. – Tak samo można wierzyć w huragan, plagę szarańczy albo Saszego osobiście. Wierzę jedynie w to, że *zrobi*. A dalej pozostaje nam tylko się modlić.

– Ale co w nich z Ryską jest takiego szczególnego?

Wędrowiec przekartkował książeczkę kilka stron do tyłu, z namysłem spojrzął do środka nie czytając, a jak gdyby zastanawiając się: zignorować pytanie czy odpowiedzieć i zabić pytacza, żeby się nikomu nie wygadał.

– Ona nie próbuje panować nad „świecą” nawet w myśli. A on dobrowolnie użycza jej swojego daru. Pewnie dlatego ich więź uzyskała taką moc. Szczęście jest jak ptak i nie lubi siedzieć w klatce. Jakkolwiek wysoki by nie był sufit, ono dla swobodnego lotu potrzebuje nieba. – Wędrowiec z zadowoleniem poruszył brwiami, zanurzył pióro w kałamarzu i zabrał się do zapisywania zgrabnej myśli.

– I co, stało się to po raz pierwszy w całej historii Przystani? – spytał Żar z niedowierzaniem. – Bo każdy Wędrowiec zachłannie łapał za tę przeklętą „świecę”, a ona tak samo wściekle się sprzeciwiała?

– Nie. – Po twarzy Szczurołapa przemknął cień. – Nie po raz pierwszy. Myślisz, że sami tak bardzo lubimy tracić uczniów i przyjaciół? Już od wieków łamiemy głowy, zastanawiając się, jak tego uniknąć.

– A co w takim razie przeszkadza wam w łączeniu Wędrowców i „świec” za obopólną zgodą? Czy może boicie się, że tacy uczniowie was raz dwa zrzucą z tronu?

– Zapominasz o jeszcze jednej stronie zainteresowanej.

– Jakiej?

Wędrowiec w milczeniu odłożył pióro pomiędzy kartki i przebiegł palcami po udzie – jak gdyby małymi zwinnymi łapkami.

* * *

Robotnicy położyli się spać późno, w poprzednie dni o tej porze już oglądali trzeci sen. Wiatr wywiał z wyspy dym, ale niepokojący zapach pozostał. Bo tu już nie miało się co palić – trzciny były całkiem zielone, wierzby również świeżutkie, od przypadkowego węgielka się nie zajmą. Zresztą skąd tu węgle po sianie? Ściana płomienia i już, a potem na jej miejscu tylko dwie czarne plamy. Ale spróbuj to wyjaśnić robaczekowi gryzącemu cię od środka.

Z jakiegoś powodu szczególnie niepokoił się Cyka i kompletnie nie rozumiał dlaczego. Już nawet kładł się na różne sposoby – na plecy, twarzą do ogniska, i tyłem, ale Saszy nadał łaskotał go ździebelkiem. Pod powiekami na przemian

pojawiały się twarze pobitych i ogolonych Sawrian, kiedy ich tratwę odpychano od brzegu, to znów stojąca w bramie Fessa – zaryczana, rozczochrana i w jakiś niezrozumiały sposób do nich podobna. Może z powodu tej niezasłużonej urazy do niego, Cyki?

Robotnik z irytacją walnął pięścią w zwiniętą kamizelkę, która zastępowała mu poduszkę. Nie potrzebował ani siana, ani tsarskich łask, jakoś sobie da radę bez nich! Tylko żeby go szybciej puścili do domu.

W pobliżu pogwizdując, przeszedł woźnica z Jeżyc. Miał wyjątkowo zadowoloną minę – przed rozpoczęciem pożaru za pozwoleniem znamienego zdążył wrzucić na wóz kilka naręczy siana i przykryć płachtą, żeby się nie rozleciało. I tylko ono ocalało. Pozostali patrzyli na niego kwaśno, z zazdrością mimo że dwa czy trzy woreczki i tak by nikogo nie pocieszyły. Cały stóg – to owszem! Tymczasem woźnica cieszył się z małego zysku i w końcu dostał po karku pod pretekstem: „Przez ciebie spać nie mogę, draniu jeden!”

Po kolejnym łuczywie Cyka nareszcie zaczął przysypiać, i w tym momencie ktoś niespodziewanie pociągnął go za rękaw.

– Co? – Robotnik podskoczył, uznając niezauważalnie skradającego się człowieka za złodzieja.

– Cicho – syknął Mikh i Cyka ze zdumieniem dostrzegł, że przyjaciel chyba w ogóle się nie kładł. Zdążył spakować chyba wszystko, łącznie z pękatym workiem za plecami. – Trzeba stąd wiać. Znalazłem miejsce, gdzie białowłosi schowali łódkę w trzcinach. – Czarnobrody skinął głową w tamtym kierunku. – Zgarnąłem trochę zapasów z wozów, tych, ho-ho, co to nam przez cały miesiąc nie dokładali... Idziesz ze mną?

– Coś ty! – przeraził się Cyka. – Jak nas złapią to powieszają!

– Jeszcze czego! Kto niby będzie wiesział bydło robocze? Dostaniemy baty i tyle.

– Też nie miód...

– Zamażesz pajęczyną to się zagoi.

– A te obręcze? – Cyka potrząsnął ręką. Z tsarskiej łaski, przy ciężkiej pracy schudł więc kawałek metalu z łatwością kręcił się na nadgarstku. – Po nich natychmiast poznają, żeś uciekinier!

– Znam jednego kowala w okolicy, otworzy.

– A jaki w tym sens? Przecież tsec ma zapisane, gdzie mieszkamy.

– Czyli nie będziemy już tam mieszkali.

– No coś ty! – Cyka odniósł wrażenie, że przyjacielowi do reszty odbiło. – Mam żonę, dziecko...

– Wrócisz po cichu i zabierzesz.

– A niedokończony dom, a bydło? Nie, ja nie mogę... – Robotnik potrząsnął głową.

– Czy ty jesteś zupełnym kretynem? – zeźlił się Mikh. – Nie rozumiesz, czym to śmierdzi?

Cyka pociągnął nosem.

– Spalonym sianem.

– Zaraz będzie pachniało spalonym mięsem! Ten znamieny kombinuje coś niedobrego, jakby się celowo stawiał. A wart z jakiegoś powodu nie wystawił. Tylko u samej przeprawy.

– Ale po co mają być gdzieś jeszcze? Dokąd my niby sobie pójdziemy z tej wyspy?

– My to sobie nie pójdziemy... Ale mam wrażenie, że białowłosi mają do nas poważne pretensje.

– Ale przecież to wszystko zgodnie z prawem! Wyspa jest nasza i nie powinni palić tego siana...

– To zgodnie z papierem! – przerwał mu Mikh. – A jakby po ludzku... – Czarnobrody ze zniechęceniem machnął ręką. – Dobra, pies z tobą tańcował. Pójdę sam. Przynajmniej nie wydasz?

– No skąd?! – Cyka na pokaz odwrócił się na drugi bok.

– Dobra, bywaj. – Mikh z niezadowoleniem klepnął przyjaciela po ramieniu i odszedł tak samo cicho, jak się pojawił.

Cyka pojął, że teraz na pewno do rana nie zaśnie. Iść sobie, też sobie wymyślił! Były najemnik to sobie może łatwo gadać: zarzucił worek na ramię i zabrał cały majątek ze sobą. A oni, wieszczanie... Spojrzenie robotnika padło na słodko śpiącego Kołaja. Wiecznie się z niego śmiali, gardząc za tchórzostwo oraz przykrywające je samochwalstwo. Czyli wychodzi na to, że sam Cyka też taki jest? No nie, to przecież różne rzeczy! Bać się zaryzykować nawet w drobnych sprawach – i sprzeciwić tsarskiemu rozkazowi!

Cyka przemęczył się kolejne dziesięć szczap i poczuł, że niepokój dotarł mu do brzucha, który teraz zgłaszał nagłą potrzebę. Przeklinając w myśli, naciągnął buty i celowo poszedł nie do najbliższych krzaków, tylko do tych dalszych, po drugiej stronie wyspy, żeby przewietrzyć głowę. Zresztą, tam śmierdziało mniej.

Na tym brzegu faktycznie nie było wart, choć robotnik odniósł wrażenie że tseckie ogniska palą się jaśniej, niż zwykle. Jak latarnie. Z jakiegoś powodu Cyka wstydził się wystawiać w ich kierunku goły tyłek, zaszedł głębiej w krzaki – i niespodziewanie but utkwiał mu w pulchnej ziemi. Kretowina, czy jak? Robotnik rozsunał gałęzie, przepuszczając światło księżycy. No nie, nie wygląda, chyba ktoś pracował łopata. Skarb?! Cyka grzebnął butem tu i tam – zakopane niezbyt głęboko, idzie wymacać coś twardego. I już na dnie dołka widać białe...

Robotnik przykucnął i pokopał głębiej.

* * *

Bez pochodni zrobiło się bardzo źle. Musieli iść prawie po omacku, nawet świecąca pleśń rosła nie wszędzie. Z drugiej strony nie trafili już na plujki: ni to wszystkie poleciały na polowanie, ni to w tej części podziemi po prostu nie mieszkały. Ale za to rozwidleń było tyle, że Ryska poczuła się jak pchła zaplątana w łyku. Chyba prościej byłoby wziąć kilof i przebić studnię w górę.

W końcu dziewczyna znalazła jedną ze strzałek Rajleza – świeżą, bielutką – ale Alk odmownie pokręcił głową.

– Tam na pewno nie możemy iść.

– Dlaczego? Przecież pułapkę już wyminęliśmy!

– Wątpię, że była tu tylko jedyna. Chodź do sąsiedniego korytarza.

Ryska miała ochotę zawyć z urazy, jak gdyby ktoś zatrzaskał jej przed nosem z takim trudem znalezione drzwi. Nogi się pod nią ugięły – znowu to nieskończone błądzenie w ciemności?!

– Alku... – szepnęła dziewczyna z poczuciem winy, czując się prawdziwym – jak to szło w złodziejskim języku? – „wózkiem”, i to wyładowanym kamieniami oraz na graniastych kołach. – Jestem bardzo-bardzo zmęczona... I tak strasznie chce mi się pić...

Sawrianin nie zirytował się, tylko natychmiast zatrzymał.

– Ja również. To odpocznijmy. – Alk wyciągnął rękę, wymacując ścianę i usiadł pod nią. Odczepił od paska manierkę. – Tylko nie wypij wszystkiego, nie wiadomo ile jeszcze będziemy tu błądzili.

Ryska pochwyciła radośnie naczynie i natychmiast wypła połowę wody. Spostrzegła się poniewczasie, nabrała pełne usta, żeby rozciągnąć przyjemność na dłużej oraz odmoczyć gardło, po czym oddała manierkę. Alk wziął tylko jeden łyk i odwiesił ją z powrotem, po drodze trafiając na wypchaną kieszeń.

– Jesteś głodna?

Dziewczyna mruknęła twierdząco, krztusząc się wodą i prawie ją wykaszała.

– Masz. – Sawrianin wyciągnął kawałek chleba. Był solidnie wymiętolony ale w tej chwili Ryska ucieszyłaby się nawet z garści okruszków.

– A ty?

Alk chciał odmówić ale kiedy poczuł zapach chleba, żołądek uznał, że najgorsze już za nimi i wydał z siebie łakome burczenie. Dziewczyna nie czekając na inną odpowiedź rozłamała porcję na pół.

Po jedzeniu (choć ile tam tego jedzenia, w tej chwili Ryska pochłonęłaby nawet cały bochenek!) zrobiło się weselej na duszy, ale ciało przeciwnie, ostatecznie się poddało. Przez trzy dni pościgu ani Ryska, ani Alk nie spali sensownie i nawet nie odpoczywali, więc im dłużej siedzieli, zbyt zmęczeni, by nawet rozmawiać, tym mniej mieli ochotę wstawać. Dziewczyna jakoś niezauważalnie przytuliła się bokiem do Sawrianina, potem opuściła głowę na jego

ramię. Alk poczuł, że przyjaciółka zaczyna się osuwać, przytrzymał ją więc ręką i również się położył. Ryska natychmiast zwinęła się w kłębek, desperacko wciskając plecy w brzuch białowłosego.

– Jak mi zimno... – mruknęła, nie otwierając oczu. Przypomniała sobie, że rozbójnik mówił coś o „kumplu”, który skostniał i zmarł po nocy spędzonej na tych kamieniach, ale wspomnienie to było jakies niemrawe i nieprzekonujące. Przecież jest z Alkiem. On nie pozwoli jej zginąć.

Sawrianin bez słowa mocniej przytulił ją do siebie. Też drżał, ale zmęczenie było silniejsze, niż zimno i głos rozsądku.

Po nie wiadomo ilu szczapach mętnego zimnego stanu półprzytomności niespodziewanie zrobiło się nieco cieplej. I jeszcze trochę. Zimno powoli zmieniło się w chłód, a potem w ciepło i nawet słaby żar, jak pod puchowym dobrze podetkniętym kocem. Dreszcze ustały. Ryska nawet zaczęła się prostować, a chwyt Alka osłabł. „Czyli jednak zamarzliśmy – pomyślała dziewczyna, ześlizgując się w sen jak po lodowej górze – nie ma czego się złapać, choćby człowiek nawet próbował. – Przecież gadają, że przed...”

Ale już było jej wszystko jedno.

* * *

Wydawałoby się, że niby ile tam tej Rybki! Prom płynie ledwo co łuczywo. Co prawda w linii prostej i poruszany przez koło z zaprzężonym wołem albo i dwójką.

Po chwili modlik zrozumiał, dlaczego Sawrianie tak czczą świętego Tracznia. Wystarczyło przestać wiosłować, by złapać oddech, a rzeczny prąd już spychał bal w dół i ściągał na środek koryta. Potem zrobiło się ciemno i już kompletnie nie wiedział, gdzie jest który brzeg – póki prorok z rękoma złożonymi do modlitwy i zamkniętymi oczami nawoływał do Holgi, która chyba na chwilę zajęła się innymi sprawami, bal zdążył zakręcić się w miejscu. I to nie raz.

Problemy miał nie tylko wysłannik Bogini – wyminęła go niesterowana przez nikogo tratwa, na której siedziała trójka Sawrian, związanych plecy w plecy własnymi uciętymi warkoczami. Prorok próbował zwrócić się do nich z kazaniem o pokucie (przecież dobrych ludzi Holga nie ukarze w taki sposób!), ale w odpowiedzi usłyszał słowa wyjątkowo pozbawione szacunku do Bogini, więc zostawił grzeszników Saszemu. Czasu miał mało, musiał zdążyć uratować tych, którzy sami tego chcieli.

Kiedy nad rzeką ostatecznie zapadł zmrok, a wiarę modlika zakłócił cień wątpliwości, niespodziewanie zaświtało przed nim światło ogniska i nadziei. Prorok z nowymi siłami złapał za wierną laskę i po paru łuczywach jego odrętwiałe nogi w końcu trafiły na dno. Okazało się równe, do suchej ziemi zostawało może ze trzydzieści kroków. Modlik spróbował wstać i zleciał z bała, który natychmiast

odpłynął na bok.

– Kto tu jest?! – Zwabiony hałasem, z mroku wynurzył się wartownik z pochodnią. W pierwszej chwili cofnął się z lękiem na widok kudłatego potwora wyłazącego z wody, potem poznał pełzającego na czworakach proroka i splunął z rozczarowaniem.

– Znowu ty!

– Holga przyprowadziła mnie na tę ziemię – obwieścił modlik uroczyście, opierając się na lasce i w końcu podnosząc. – Czyli jestem jej tu do czegoś potrzebny!

– A nam jesteś potrzebny jak byczy korzeń! Spadaj stąd, nie masz co bałamucić ludzi swoimi bredniami!

Słyszając tę dyskusję, do brzegu zbliżyła się kolejna dwójka tseców.

– Kogo ty tu masz? O, znajoma broda! – Starszy żołnierz był w bardziej dobrodusznym nastroju: jego matka zawsze dokarmała żebraków i biedaków „żeby Holga nie zesłała nam takiego samego losu”. Sam tsec nie wierzył w takie rzeczy, ale był przyzwyczajony, by traktować zawsze zebranych pod gankiem obłąkańców z pełną wyższości pobłażliwością. – No to jakie wieści zsyła nam Bogini? Kiedy Jej jasność nas olśni?

– Czas zapłaty już jest bliski! – przytaknął prorok chętnie. – Pokajajcie się do skrzyżowania, mordercy, bo za nim już nie będzie zakrętów!

Z jakiegoś powodu wartownik drgnął i z jeszcze większą irytacją zaproponował:

– Trzeba powiedzieć znamienemu.

– Mamy go budzić z powodu jakiegoś wariata?

– Aha, wariata – tylu ludzi zbałamucił! Gadają, że nawet w Sawrii już ma uczniów, głupota jest znacznie bardziej zaraźliwa od mądrości!

– Wypchnąć go na przepawę i tyle – zaproponował trzeci tsec, senny i znudzony. – Niechaj sobie idzie do Jezyc.

– No ale gdzie on pójdzie w środku nocy? – wstawił się starszy. – Jest cały skostniały i się trzęsie. Jeszcze nam padnie po drodze. Niech przynajmniej wyschnie przy ognisku.

Trzeciemu tsecowi tak w zasadzie było wszystko jedno i prorok na krzywych nogach, jak gdyby nadal ściskając pomiędzy nogami kłodę, pokuśtykał do ogniska, mamrocząc coś pod nosem.

Wartownik ze złością spojrzął za nim, opuścił pochodnię i zaczął uważnie wpatrywać się i wsłuchiwać w ciemną rzekę.

* * *

Dotarcie do rodzimego miasta zajęło kosiarzom dłuższy czas. Związano ich sumiennie, a tratwa była malutka i niebezpiecznie chwiała się przy każdym ruchu.

Musieli poczekać, aż rzeka sama wyniesie ją na płyciznę, a potem uwolnili się i powlekli gęstym nabrzeżnym lasem, dodając do sińców masę zadrapań.

Ale jak już dotarli...

Wartownicy na wieży strażniczej natychmiast zauważyli rintarską przeprawę. Oraz fakt, że nad jej budową pracują nie tylko spędzeni z wiesek chłopci ale też tsecowie – i to w znaczącej liczbie. A do tego tuż obok stały Jeżyce, które w razie czego mogły natychmiast wystawić drugie tyle.

Namiestnik sawriańskiego wybrzeża był człowiekiem rozsądnym i ostrożnym. Doskonale rozumiał, do czego prowadzi samowolne rozwiązywanie problemu i dlatego natychmiast wysłał gońca do stolicy – co robić?! Wyspa i wieża na niej – Saszy z nimi, jak trzeba to przeżyjemy! Ale niech rintarski tsar wyjaśni, co to wszystko ma znaczyć? Celowo się stawia, czy jak? No to guzik: jak ni z tego ni z owego sam rzuci wyzwanie jako pierwszy, to go własny lud nie zrozumie. Poprzednie lata były ciche, urodzajne i Rintarczycy nie będą mieli ochoty, by z powodu tsarskiego kaprysu porzucać tłuste, spokojne życie. Raczej samego starucha się pozbędą.

Lecz goniec miał wrócić w najlepszym razie nad ranem, a kosiarze już przyплыnęli. I udali się wprost na plac, bić w dzwon i wzywać lud na naradę.

Nie żeby warkocze miały dla Sawrian jakieś święte czy ogromne znaczenie – strzygli się w razie choroby i dla handlu (z jakiegoś powodu mieszkańcy stepów nie chcieli mieć do czynienia z długowłosymi kupcami), szczególnie romantyczni chłopcy mogli podarować wybrance bukiet obwiązany warkoczem. Ale już lepiej by było, żeby wściekli Rintarczycy puścili kosiarzy na golasa: portki można założyć z powrotem, a warkocze będą rosły przez kolejne pięć lat, przypominając o dzisiejszej hańbie. I nie poskaczysz sobie z gołym tyłkiem przed tłumem, popędzając go do zemsty – wstyd cię powstrzyma. A tu – patrzcie, żywy i namacalny dowód rintarskich paskudnych charakterów!

Szczególnie paskudnie miał się ostrzyżony chłopaczek. Synek stołecznego dostojnika, którego zgodnie ze starym zwyczajem na lato wysłano do wieski („Żeby się chłopci nie śmieli, że ich pan to umie tylko pokrzykiwać, a sam kosy od sierpa nie odróżni!”). Z całych sił próbował powstrzymać łzy, ale twarz nadal miał czerwoną, a oczy opuchnięte. Co za poniżenie! I to od kogo – od rintarskiego bydła!

Dziesiątka nieskładnych słów, a ponadto oplakany stan ofiar w zupełności wystarczyły, by tłum zrozumiał co się stało. I wściekł się do tego stopnia, że ani namiestnik, ani strażnicy już nic nie mogli zrobić.

* * *

Ryskę obudził krzyk. Otworzyła oczy i natychmiast je zmrużyła – po lśnieniu pleśni pochodnia wydawała się słońcem zalewającym jaskinię.

Wystarczyło, by dziewczyna się poruszyła, a ciepła futrzana kołdra zaczęła spełzać z niej, rozpadając na kawałki i uciekając na boki. Ryska przez sen spróbowała ją przytrzymać, ale ta zwinnymi strumykami przesączyła się przez palce, a kiedy dziewczyna zrozumiała co łapie, było już za późno na strach – szczury uciekły do ciemnych zakamarków.

– Dobrze sobie... – Tyle tylko zdołał wykrztusić Żar, ściskany przez przyjaciółkę w objęciach. – Prawie osiwiąłem, myślałem, że was zeżarły – z tej kupy tylko głowy wystawały!

Ryska skuliła się – z zimna, a nie ze wstrętu. Sen pod kupą szczurów okazał się zadziwiająco przytulny – setki żywych, ciepłych, ufnie tulących się ciał, kołysanka złożona ze stukotu malutkich szybkich serc. Teraz dziewczyna czuła się nawet jakoś tak samotnie.

– Jak nas znalazłeś?

– Strasznie się musiałem napracować! – Żar natychmiast nadał się z dumy i Ryska zrozumiała, że posrebrzenie mu głowy wcale nie jest takie proste. Do poszukiwań przyjaciółki złodziej podszedł znacznie bardziej rozsądnie od Alka: na ramieniu miał wierną torbę, pod pachą ścisnął pęczek smolistych pałek. – Najpierw przeszukałem bliższą część podziemi, potem zacząłem sprawdzać głębiej... – Żar chciał dodać „znalazłem trupy”, ale uznał, że dziewczyny raczej nie ucieszy wspomnienie jej pechowych przygód.

– I co, dużo czasu minęło?

– Już dawno po północy, za trzy albo cztery łuczywa zacznie świtać! Ja tam nie mogę sobie miejsca znaleźć, a oni tu śpią w najlepsze! – Chłopak znów się zdenerwował. Wszyscy żywi, zdrowi, co za szczęście! Teraz można kłąć. – Trudno było dojść do wyjścia, czy jak?

– Zabłądziliśmy – przyznała Ryska ze skruchą. – Usiedliśmy, żeby odpocząć i jakoś tak nie wiadomo kiedy zasnęliśmy. A ty dasz radę znaleźć drogę powrotną?

– Bez problemu! – obiecał złodziej dziarsko. – Ja jak raz gdzieś przeszedłem, to już nigdy się nie zgubię. A co z Alkiem? W porządku?

Dziewczyna odwróciła się. Białowłosey leżał w dziwnej skulonej pozycji, prawie dotykając nosem kolan i Ryska nie od razu zrozumiała, że właśnie tak śpią szczury – brakowało mu tylko ogona, by oprzeć na nim podbródek.

– Alku! – zawołała cicho, kucając koło Sawrianina. – Obudź się!

– Po co? – odezwał się niemrawo, nie otwierając oczu.

– Żar przyszedł, wyprowadzi nas!

– Jestem zmęczony. – Jego głos brzmiał zadziwiająco trzeźwo, Alk obudził się chyba równocześnie z Ryską.

– To nic, ja też z trudem rozlepiłam oczy, a potem wstałam i chyba dobrze jest, trochę odpoczęłam!

Sawrianin nic nie powiedział i Ryska zrozumiała, że miał na myśli zupełnie

inne zmęczenie.

– Alk! – Ponownie potrząsnęła jego ramieniem, już z przestachem. – No coś ty?

– Idźcie sobie.

– A ty?!

– To najlepsze wyjście.

– Najlepsze wyjście jest o tam, trzeci zakręt na lewo, potem drugi na prawo i do ślepego odcinka, a potem przez szczelinę z boku – odparł Żar.

– On tam stoi?

– Kto?

– Tak.

Równocześnie padło pytanie Ryski i odpowiedź Żara.

– Świetnie. – Alk zwinął się jeszcze mocniej. – Zabierzcie moje miecze.

Złodziej poruszył pochodnią, lekko niepokojąc kłębuszki cienia ze świecącymi punkcikami oczu, wyczekująco skierowanymi na swojego tsara.

Ryska poczuła przerażenie. Złapała Alka w objęcia i spróbowała podnieść. Sawrianin nie stawiał oporu, ale też nie pomagał w żaden sposób, a dziewczyna miała zdecydowanie za mało sił.

– Alk, bardzo cię proszę, wstawaj! Nie chcę chować cię w parowie! – wyrwało się Rysce.

– Że co? – Mimo iż Alk czuł się wyjątkowo paskudnie, ciekawość była silniejsza. – Dlaczego właśnie w parowie?

– Znaczący... to takie powiedzenie – odparła Ryska wykrętnie.

– Nigdy niczego podobnego nie słyszałem – zdziwił się Żar. – Jakie powiedzenie?

Dziewczyna zbyła go machnięciem ręki. Nie było czasu na wyjaśnianie, a poza tym czuła się skrępowana.

– Może go parę razy kopnę? – zaproponował złodziej i nie czekając na pozwolenie kilka razy szturchnął Alka butem w plecy.

– Co ty wyprawiasz! – obruszyła się Ryska, odpychając Żara. – Człowiek umiera, a ty się głupio bawisz!

– Tym bardziej. Jemu już wszystko jedno, a dla mnie to przyjemność. – Złodziej zrobił oszukańczy ruch, wysunął nogę zza przyjaciółki i kopnął Alka jeszcze raz, nieco mocniej. – Oddaję dług – wyjaśnił złośliwie. – Zaraz jeszcze dowalę procentów...

Sawrianin nie wytrzymał takiej szczodrości, wierzgnął w odpowiedzi i barwnie wyjaśnił, jaką przyjemność zaraz sprawi kochanemu przyjacielowi, czym i w jakie miejsce. Następnie w końcu usiadł, odrzucił za plecy uciekające z warkoczy kosmyki i przetarł oczy.

– I jak? Widzisz nas? – spytała dziewczyna z niepokojem.

– Widzę... – Alk przeniósł skupione spojrzenie z Ryski na Żara i ze wstrętem dodał: – Niestety.

– No już, dość straszenia dziewczyny! Wstawaj! – Złodziej obszedł Sawrianina, zamierzając złapać go pod pachy, ale ten odpędził go ruchem łokcia, celnie trafiając akurat w kolano. – O w moordę... Słuchaj, Rysiu, czy ty go naprawdę tak bardzo potrzebujesz?

– A ty nie?!

– No, może jak mocno przywiązać do drzewa i wziąć pęk różeg....

– Wybieraj takie mocniejsze, jak dla siebie. Bo ostatecznie właśnie dla ciebie będą. – Alk wstał. Nie czuł się wypoczęty: miał zawroty głowy, w ustach mu zaschło, serce waliło jak szalone, zmuszając do przyspieszonego oddychania. Jakby przebiegł dziesięć wieszek bez przerwy – i jeszcze da radę drugie tyle nie czując zmęczenia aż w końcu padnie trupem. Ale przyjaciołom udało się go nieco otrzeźwić i Sawrianin zrozumiał, że pozostanie tu faktycznie nie jest najlepszym pomysłem. Jaskinie były duże, wyjść też miały bez liku i wysłizgnięcie się stąd omijając Wędrowca wcale nie będzie dla szczura problemem.

Szczurołapa Alkowi nie było żal w ogóle, ale w pobliżu było miasto.

Ryska nie przypuszczając, o czym myśli Sawrianin, z radością złapała go za rękę. Żar chyba coś wyczuł, ale odłożył dyskusję na później. Zapalił nową pochodnię i pewnym krokiem ruszył korytarzem. Wydawało się nawet, że zdążył zapamiętać wszystkie nierówności podłogi, bo bez patrzenia przechodził nad szczelinami i kamieniami. Od czasu do czasu Żar dla pewności unosił pochodnię i za każdym razem znajdował na skale osmaloną plamę – znacznie trudniej było ją zetrzeć, niż krede i zauważyć również. Plamy różniły się rozmiarem, kształtem oraz liczbą i chociaż Rysce nie udało się rozumieć zasady nimi rządzącej to wyraźnie istniała – złodziej szedł jak po sznurku.

Mimo to droga okazała się długa, trudna i wszyscy milczeli, oszczędzając siły. Jednym wąskim przejściem musieli iść pojedynczo, rozczepiając ręce, więc kiedy już zbliżali się do wyjścia i Alk niespodziewanie skręcił w drugą stronę, Ryska zauważyła to zupełnym przypadkiem.

– Alk, a ty dokąd?!

Złapani za łokieć Sawrianin wzdrygnął się i stanął.

– Nie wiem. – Głos miał dziwnie monotony, jak gdyby mówił przez sen.

– Zamyśliłeś się?

– Nie...

Ryska również nie rozumiała, jak można się zamyślić i pójść w innym kierunku, idąc za kimś. Wręcz przeciwnie – zdarzało jej się minąć potrzebny zakręt w roztargnieniu, idąc śladem przypadkowego przechodnia.

Żar zawrócił i podniósł pochodnię bliżej.

– Dobrze sobie! – rzucił. – Byś przynajmniej oczy otworzył!

– Wszystko widzę – odparł Sawrianin tak samo martwym głosem. Powieki miał nadal mocno zaciśnięte.

– No to po coś skręcał?!

– Tam też jest wyjście.

– Skąd wiesz?

– I tam – wskazał Alk.

Ryska z rozpaczą patrzyła na Żara. Złodziej, również nieźle przerażony, potrząsnął białowłosego za ramię:

– Otwieraj oczy, już! Starczy tych bzdur!

– Przyszedłem stamtąd – zaprzeczył Sawrianin stanowczo i nawet z pewną urazą, ale jednak posłuchał.

– No i gdzie to twoje wyjście?!

Alk z osłupieniem patrzył na nagą ścianę. Potem przeniósł spojrzenie w dół – na niewielką szczelinę, może szerokości dłoni. Coś w niej przemknęło, ale kiedy Żar się schylił, zniknęło.

Złodziej zamarł w niewygodnej i głupiej pozycji: pochodnia wyraźnie oświetlała nie tylko szczelinę, ale też podłogę na trzy kroki od niej.

Szczury szły za nimi. Nienatrętnie, bez groźby. Po prostu szły. A teraz uprzejmie zatrzymały się, czekając, aż ludzie skończą gadać i ruszą dalej.

Żar powoli się wyprostował. Szczury pochłonął mrok, ale słuch dalej łapał cichy szelest i piski, przedtem zagłuszane przez kroki.

– Dasz radę je przepędzić?! – szepnęła Ryska błagalnie.

Alk pokręcił głową. Chyba nawet nie próbował. Powieki znowu mu opadały – ale nie ze zmęczenia lecz dlatego, że wzrok po prostu nie był mu potrzebny. Po co wlepić w mrok słabe ludzkie oczy, jeśli można z łatwością patrzeć dookoła tysiącami szczurzych?

– Trzeba go szybko stąd zabrać! – Żar złapał Sawrianina za drugą rękę. – Może na świeżym powietrzu lepiej się poczuje.

Ryska miała wrażenie, że sama zaraz zwariuje, ale dwóch szaleńców na jednego Żara to było zdecydowanie za dużo. Zostawało tylko zagryźć wargę i potykając się w pośpiechu razem z przyjacielem ciągnąć Alka dalej w nadziei, że wyjście pojawi się niebawem.

Starali się nie myśleć o tym, co będzie, jeśli nie zdążą.

Rozdział 14

Szczury doskonale pływają ale szeroka rzeka może okazać się ponad ich możliwości.

To samo źródło

Odpychali łódkę razem – Cyka dogonił Mikha w ostatniej szczapie, wypadając na niego z trzciny jak przerażona kaczka. Prawie dostał w łeb z zaskoczenia.

– Sawrianin... Ten, co to niby podpalił siano i uciekł łódką... Wcale nie uciekł! – wyrzucił z siebie urywanymi zdaniem zziębnięty robotnik.

– A ja się zastanawiałem: na co im dwie łódki na czterech? – Tyle tylko powiedział czarnobrody. – Przytrzymaj burtę, to wleżę...

Pod niemalą wagą Mikha łódka przysiadła tak, że już się nie chwiała.

– Gdzie płyniemy? – zapytał Cyka szeptem, przymierzając się do wiosła – były nieoczekiwanie krótkie, o szerokich płatach. Na rintarskim brzegu naprzeciwko Pępka palił się łańcuszek ognisk: część tseców pilnowała zapasów, których transport na wyspę odłożono do rana. Na sawriańskim też było coś niespokojnie. Pograniczne miasto (którego nazwy Cyka nie potrafił ani spamiętać, ani tym bardziej wymówić) zamiast szykować się do snu wyglądało na coraz to bardziej jaskrawo oświetlone. Wyraźnie coś się tam działo, ognie już nawet rozpełzły się poza granice.

– Zdecydowanie nie warto w dół nurtu – uznał Mikha. – Po prawej mamy Jeżyce, po lewej to szczurze gówny, a my się znajdziemy między nimi jak orzech w cęgach. Może na górę i do białowłosych?

– A może do naszych? – zasugerował Cyka nieśmiało.

– Nic się nie bój. Znam pewne miejsce gdzie można posiedzieć parę dni, aż całe zamieszanie się uspokoi. A nasi pewnie wzdłuż całego brzegu wystawili warty i się gotują.

– Do czego?

– A do tego, o! – Czarnobrody przytrzymał wiosło nogą i wskazał palcem ognie na sawriańskim brzegu, które już wyciągnęły się we wstęgę. Część płonących okrucich już wsypała się do wody i również zbliżała do wyspy.

– Trzeba uprzedzić naszych! – Cyka zerwał się na nogi, chwając łódkę. Mikha z przekleństwem złapał za burty.

– Siadaj kretynie! Oni i tak wiedzą.

– Skąd? Jak wychodziłem to wszyscy spali!

– Tsecowie też?

W Jeżycach również powoli zaczynał się jakiś ruch. Jaskrawe świetliki zlatywały się do rzeki i z jakiegoś powodu również w przeciwnym kierunku, znacznie bardziej chaotycznie. Jak gdyby mieszkańcy z wieczora siedzieli na pakunkach z rzeczami i na sygnał rzucili się do ucieczki.

Cyka powoli siadł z powrotem na ławce.

– Obudzą ich, nic się nie bój – pocieszył go Mikh. – A więcej i tak dla nich nic nie zrobimy. Chłopi nie uwierzą, a tsecowie nie posłuchają.

– Ale tylko spójrz, całe miasto się przeciwko nam podniosło! Wybiją ich wszystkich!

– Wszystkich jak wszystkich, ale połowę zdecydowanie położą – ocenił czarnobrody poważnie. – Patrz, jak zgodnie: część idzie na ukos, chce przejąć przeprawę. A to już naruszenie granicy, atak na pokojowych i uczciwych obywateli Rintaru... Pewnie ten i ów zabrał ze sobą broń. Sprytne.

– Tylko nie mów, że ich podziwiasz? – zdumiał się Cyka. – Niezły z ciebie najemnik, zobaczył wroga i ucieka!

– Ich? Naaah, nas! Ale jeśli będę dziś z kimkolwiek walczył – burknął Mikh, głęboko zagarniając wiosłami – to o coś znacznie cenniejszego, niż rola przynęty na tsarskim haczyku.

* * *

Wędrowiec zrozumiał wszystko, ledwo spojrzał na twarz byłego ucznia.

– Zabiłeś go – skonstatował z wielkim rozczarowaniem.

– Myślałby kto, że pan by go potraktował inaczej – odciął się Sawrianin. Pod czystym niebem na widok Szczurołapa rzeczywiście nieco odżył, chociaż nadal daleko mu było do poprzedniego stanu, kiedy kojarzył się z lśniącym, ostrym jak brzytwa mieczem. Wydawało się, że wraz z Rajlesem Alk zabił część siebie.

Szczury nie poszły otwarcie za nimi, ale Żar widział jak powoli wydostają się z ukrytych w trawie szczelin i na pewno również z sąsiednich wyjść, ponownie otaczając ludzi.

– Dałem ci szansę zmuszenia go do zwrócenia twojej wolności!

Alk niespodziewanie się roześmiał. Szczerze i dlatego jeszcze bardziej przerażająco.

– Jeden na tysiąc? Przecież właśnie po to dobieracie w pary uczniów, którzy najmocniej się nienawidzą. Żeby nic podobnego nigdy się nie stało.

– Czasami się mylimy.

– Jak pomylili się wobec ciebie?

Wędrowiec drgnął i Żar z Ryską zrozumieli, że Alk trafił w punkt.

– Tak naprawdę wcale nie próbujesz naprawić obecnego błędu. Chcesz cofnąć tamten – ciągnął Sawrianin bezlitośnie. – Kim on był dla ciebie – czy ona?

Kogo nie potrafiłeś uwolnić jako człowieka, ale też nie mogłeś używać jako „świecy”? A potem zrozumiałeś, że zwyczajnie wypuścić to za mało? Sam ruszyłeś za nim czy może dostałeś swoje imię jako żart?

Ryska drgnęła – coś lekko, łaskocząco dotknęło jej kostki. Szczur wyciągnął pyszczek, wyglądając zza nogi dziewczyny jak zza drzewa. Spojrzał w górę na nią: „Tak sobie tu postoję, nie masz przecież nic przeciwko?”

Szczurołap nie odpowiedział na żadne z pytań, ale tak w zasadzie nikt nie wymagał od niego odpowiedzi.

– Przepraszam, Alku – powiedział tylko, wyciągając miecz. – Naprawdę chciałem dla ciebie lepszego losu.

– Wierzę. – Białowłosy uśmiechnął się krzywo. – I właśnie dlatego nie wybaczam.

Gdy tylko jeden z ludzi się poruszył, trawa jakby ożyła – schowane w niej szczury zaczęły uciekać, opuszczając polankę. Uciekł nawet ten, co znalazł sobie wygodne miejsce w pobliżu nogi Ryski.

Sawrianin również uniósł klingi – niezgrabnie, jak gdyby pro forma, by Wędrowiec miał łatwiej.

Mimo to widok robił takie wrażenie, że oczy Szczurołapa się zatoczyły, a on sam upadł na wznak.

– No i powiedz, teraz lepiej wyszło? – zapytał Żar z dumą. – Tym razem owinąłem kamień szmatą. I bez krwi, i cios znacznie mocniejszy. W ogóle, zaczyna mi się to wszystko podobać...

– Coś ty narobił?! – Sawrianin w szoku omal nie upuścił miecza, ledwo zdążył go złapać. Ryska również wbiła w przyjaciela spojrzenie pełne niemego zdumienia.

– Przecież to dla jego własnego dobra! – W szczerą Żara można było nie wątpić, w przeciwnym razie Wędrowiec wyczułby emitowane przez złodzieja zagrożenie. – Zabawny staruszek, szkoda by było, jakbyś go zabił.

– A kto teraz mnie zabije?! – wyrwało się Sawrianinowi.

– Mogę ja – zgłosił się Żar chętnie. – Tylko weź pod uwagę, że nie mam w tym żadnej wprawy. Może po prostu potrzynam miecz, a ty naskoczysz?

Białowłosy warknął i ruszył w kierunku złodzieja, unosząc klingi, jak dzik szczecinę na grzbiecie. Złodziej wysoko cenił własne życie, więc rzucił się do ucieczki przez krzaki. Ryska za nim, zamierzając stanąć pomiędzy oponentami. Ale nie zdążyła odwrócić się twarzą do Alka i go zatrzymać, ponieważ wpadła wprost na jakichś mężczyzn.

Na widok rozchełstanej dziewczyny w podartej i straszliwie pomiętej koszuli, a na dokładkę gonionej przez Sawrianina z wyrazem twarzy dalekim od przyjaznego przybysze najpierw zamarli, a potem z groźnymi okrzykami unieśli swój oręż.

Ryska w mroku nie rozpoznała zarośniętego Cyki z wiosłem, a z całego Mikha zauważyła tylko miecz, pisnęła i schowała się za Alkiem. On też natychmiast wystawił miecze i schylił lekko, gotów odeprzeć atak.

Na szczęście Mikh zrozumiał, że białowłosa nie jest dla dziewczyny wrogiem tylko przyjacielem i opuścił broń. Do tego Żar „przyszedł z pomocą”, wyskakując z boku z radosnym krzykiem:

– Hej, to przecież nasze chłopaki z majątku! Mikh, Cyka!

– Aaa! – wrzasnął Cyka. – Żywy trup!

Skonsternowany Żar odskoczył i też schował się za Alkiem.

No tak, w końcu oficjalnie zeżarła go w parowie takka!

– To... brat Żara! – skłamała Ryska niezgrabnie. – Po prostu jest bardzo podobny.

– Yhym... – przytaknął chmurnie Sawrianin, prostując się. – I ten mu o was dużo opowiadał.

– Mogłem się spodziewać, że ten chytrus da radę się wywinąć! Patrzcie jak wyrósł! – Mikh, cicho śmiejąc się pod wąsem, wyciągnął rękę do „brata”.

Żar uściśnął ją ze skrępowaniem. Koło czarnobrodego nadal czuł się dzieciakiem i jego dłoń dokładnie tak samo jak kiedyś tonęła w łapie byłego najemnika.

– A to jest Alk. – Ryska przedstawiła Sawrianina. – Jest naszym... przyjacielem.

Robotnicy uprzejmie skinęli głowami, trzymając się jednak z dala od białowłosego. Ostatecznie przyjaciel przyjaciela wcale nie zawsze musi być twoim przyjacielem.

– Czyli wychodzi na to, że tamten nie jest? – Mikh z śmiechem wskazał palcem leżące na wznak ciało.

Dziewczyna ukucnęła koło Wędrowca, uniosła mu powiekę i nieśmiało zaproponowała:

– Może pobryzgać na niego wodą?

– Już, zaraz! – obruszył się Żar, nie mając ochoty tak szybko psuć swojej pięknej roboty. – Żeby wstał i nam tu wszystkim pokazał?!

– A jest za co? – spytał Mikh ze zrozumieniem.

– Przecież nie sam się tu ułożył na drzemkę!

Ryska pogodziła się z koniecznością wyboru pomiędzy Alkiem a Szczurołapem i troskliwie opatuliła tego ostatniego płaszczem, żeby się nie zaziębił.

Robotnicy spojrzeli po sobie, nadal niewiele rozumiejąc.

– Idziecie z miasta? – zapytał Cyka ostrożnie. Czyżby Ryska z powodu tego białowłosego przeszła na stronę Sawrian i teraz odprowadzała go na bitwę z Rintarczykami? Tu już jednego załatwili!

- Nie, z jaskiń – uspokoił ich Żar. – Tam nas... znaczy rozbójnicy napadli. Mikh cmoknął z rozczarowaniem.
- Ech, a myśmy planowali tam przeczekać... Co to za rozbójnicy? Dużo ich?
- Już nie – odparł złodziej wymijająco. – Ale i tak nie radzę wam się pchać do podziemi. Tam są szczury.
- Od kiedy to się boisz szczurów? – zdziwił się Cyka. – Chyba kiedyś tylko Ryska przed nimi uciekała...
- Wszystko zależy od tego ile ich jest – odparł Żar ponuro, oglądając się na jaskinie. W środku akurat coś zaszeleściło i zapiszczało wielogłosnym chórem. Robotnicy woleli uwierzyć mu na słowo. – A co się stało? Co tu robicie?
- Przyplłynęliśmy z Pępka. – Czarnobrody ustąpił miejsca bardziej gadatliwemu Cyce i tylko od czasu do czasu wstawiał kilka słów.
- I co teraz będzie?! – jęknęła Ryska.
- No a niby co... – burknął Mikh, z jakiegoś powodu czując się winny, chociaż nie wiedział czego. I tak nie mógł przerwać nadciągającego starcia, a pozostanie na wyspie oznaczało rozdmuchanie go nawet bardziej: kiedy białowłosi przyjdą walić krzywdzicieli po łbach, człowiek się będzie musiał bronić, czy tego chce czy nie. – Zaraz się tam zetną. I polecą z górki śnieżna kula.
- Ech, czyli wychodzi, że to całe wożenie listu na nic... – zasmęcił się Żar. – Z powodu jakiejś głupiej wyspy wszystkie trudy posłów na marne!
- Jak tylko jeden dureń wystawi widły, a drugi na nie skoczy to koniec pokoju – potwierdził były najemnik. – Nasi zaczną się mścić za waszych, wasi za naszych i wtedy już nawet tsar ich nie powstrzyma.
- Szczególnie, że on nawet nie ma takiego zamiaru – rzucił Alk głucho.

* * *

Kiedy Szares odłożył ostatni zwój, przetarł zmęczone oczy i przeniósł z fotela na łóżko, większa część gwiazd już się dopaliła, oprószając srebrzystym popiołem horyzont na wschodzie. Mimo że papiery były ważne, nie były specjalnie pilne – z tymi ostatnimi tsarewicz skończył jeszcze przed obiadem. Ale praca to najlepsze lekarstwo na ciężkie myśli.

Mimo wszystko dziś Szares chyba przesadził. Był tak zmęczony, że nawet nie mógł zasnąć, chociaż służąca sumiennie strzepała pierzynę, a noc była przyjemnie chłodna.

„Zapomniałem zdmuchnąć świecę” – przypomniał sobie tsarewicz, ale nie chciało mu się wstawać. Niedługo sama zgaśnie, została jej mniej niż jedna trzecia.

Pod zamkniętymi powiekami rozkręcał się wir we wszystkich odcieniach szarości, jak gdyby Szares się gdzieś zapadał, a jednak nie mógł spaść na samo dno. Odczucie było raczej przyjemne, chciał rozciągnąć je na dłużej i w końcu niezauważalnie zasnąć – ale nic z tego.

Przedtem tsarewicz najbardziej niepokoił się, że list może trafić w niewłaściwe ręce.

Teraz – że nie trafił we właściwe.

To on wie, że goniec nie żyje. A Isenara pewnie pomyślała, że Szares po prostu nie odpowiedział! Uznał, że podtrzymywanie związku z córką wroga jest zbyt ryzykowne. Przestraszył się ojcowskiego gniewu.

A czy nie tak właśnie było?

Tsarewicz zgrzytnął zębami i schował twarz w poduszce.

Przez trzy lata wiele się może zmienić. Zresztą, może się zmienić wszystko! Obrażona Isenara wyrzuci go ze swojego serca, a nawet wyjdzie za innego. Mimo rintarskich plotek tsarewna nie cierpiała na niedostatek adoratorów gotowych zaprowadzić ją do ołtarza, nawet i dzisiaj, byleby się tylko zgodziła.

I przecież sawriańska tsaryca nie ma nic przeciwko ich małżeństwu. Zawsze podejmowała Szaresa bardzo uprzejmie, choć oczywiście w jej uśmiechu było więcej polityki, niż szczerzej sympatii. Tsarewicz nawet podejrzewał, że celowo poznała go ze swoją córką. Sawria radziła sobie całkiem nieźle, ale z wojskowego punktu widzenia przegrywała ze wszystkimi sąsiadami. Prawdziwy, a nie papierowy sojusz z Rintarem był jej niezbędny.

Jeżeli z pomysłu nic nie wyjdzie, Narida zacznie zarzucać wędkę na stopy, a tsarewna, obrażona „zdradą” ukochanego postąpi zgodnie z wolą matki.

Szares wyobraził sobie ukochaną Isieńkę w objęciach spoconego stepowego watażki o niskim czole i tak zacisnął pięść, że stawy mu zatrzęszczały.

Dlaczego wszystko musi zależeć od kłótliwego starucha?! Przez ostatnie parę dni nawet nie opuszczał swoich komnat i wszystkie sprawy musiał załatwiać syn – przy czym szło mu nie gorzej, a miejscami nawet lepiej niż pod wieczną uważną kontrolą rodziciela. Czy Szares bał się odpowiedzialności i utraty wolnego życia? No to po kiego Saszego i tak spędza noce nad papierami – tyle że w roli zaszczonego szczura, a nie władcy?!

W nocnej ciszy głuchy stukot – ni to coś upadło, ni to ktoś się potknął – zabrzmiał szczególnie głośno.

Tsarewicz powstrzymał pierwszy odruch, by zerwać się z krzykiem „kto tu jest?!” i zamarł, zmieniając się w słuch. Był pewien, że drzwi są zamknięte. Już dawno nabrał zwyczaju, by sprawdzać je przed snem po trzy-cztery razy. Ale Kastiusz miał wśród swoich ludzi takich mistrzów, którzy potrafili przejść przed deski i przesączyć się przez szczeliny. Chodziły pogłoski, że rekrutował ich wśród byłych złodziei, a nawet „karaluchów” – i patrząc na niektóre twarze człowiek wierzył w to bez wahania.

W pokoju coś szeleściło. Cicho ale wyraźnie, z dziwnym plaskaniem.

Tsarewicz bardzo powoli, starając się nie poruszyć kołdry wymacał rękojeść leżącego pod bokiem miecza. A potem gwałtownie usiadł, celując nim w kierunku

źródła dźwięku.

Nie miał dziś apetytu, więc podana do komnat kolacja została prawie nietknięta. I teraz gigantyczna gęsia noga leżała na podłodze – otoczona rozsypaną ciecierzycą – a koło niej kręcił się niezadowolony szczur: najpierw próbując ciągnąć z jednej strony, potem z drugiej, ale nic z tego, ciężkie to, niewygodne!

Złapany na gorącym uczynku złodziejasek z żalem rozluźnił szczęki i uciekł pod szafę.

„Ile można! – Tsarewicz ponownie odczuł przyływ głuchej złości. – Do czego to doszło, we własnych komnatkach nie mogę spokojnie zasnąć, bo mi się najemni mordercy zwidują!”

Szares opuścił miecz i zamierzał opaść z powrotem na poduszki, ale w tym momencie spod szafy wybiegły już dwa szczury, podskoczyły do gęsiej nogi, zgodnie złapały ją i – tup-tup-tup! – w mgnieniu oka wyniosły, a tsarewicz nie zdążył nawet otworzyć ust.

Mimo irytacji Szares roześmiał się. No proszę, takie małe, głupiutkie zwierzaki, a potrafiły się dogadać!

To dlaczego ludzie nie mogą?!

Tsarewicz zdecydowanie spuścił nogi z łóżka. I co z tego, że jest noc? Witor sam z wyższością tłumaczył mu, że prawdziwy tsar nie uznaje pory dnia, musi ciągle dbać o dobro ojczyzny. A kraj na pewno doceni wybór Szaresa: kupcy będą mogli jeździć do Sawrii bez cła, nie trzeba będzie wydawać takich pieniędzy na umacnianie granicy wzdłuż Rybki, a Isenara w posagu wniesie pewnie kilka kopalni albo kawałek żyznej ziemi za rzeką. Tsarewicza to wszystko niezbyt interesowało, ale może nieco ułagodzi ojca?

Przed tsarskimi komnatami Szares zastał strażników – dwójkę wysokich chłopa w zbrojach, z paradnymi włóczniami i bojowymi mieczami.

Włócznie szczęknięły, krzyżując się.

– Mamy rozkaz nikogo nie wpuszczać – poinformował jeden z tseców dudniącym basem.

– Mam ważną wiadomość dla *ojca*. – Tsarewicz celowo zaakcentował ostatnie słowo, podkreślając, że nie jest „nikim”.

– Mamy rozkaz nikogo nie wpuszczać.

Szares już zamierzał sięgnąć po ostateczny środek, ale mimo wszystko wolałby nie wdzierać się do ojcowych komnat siłą. Zamiast tego tylko położył dłoń na rękojeści miecza i strażnicy natychmiast czujnie obnażyli własne.

– Podnosicie broń przeciwko swojemu tsarewiczowi? – rzucił zimno Szares, poprawiając pochwę i cofając rękę.

– Ale wasza książęca moc... – Tsecowie pogubili się. Jedna sprawa to rzucić się na drugą względem ważności osobę w tsarstwie na wyraźny rozkaz pierwszej i zupełnie co innego – na podstawie niewyraźnego „nie wpuszczać”. Nie daj Bogini,

potem ich samych mogą powiesić.

Szares skorzystał z ich zmieszania, popchnął drzwi i wszedł.

I natychmiast zrozumiał, że nikogo tu nie obudził.

W pokoju paliło się co najmniej dziesięć świec. Dookoła zaścielonego mapą stołu siedziało siedmiu ludzi: tsar we własnej osobie, Kastiusz i piątka jego „łasic”. Jeden ze szpiegów akurat coś meldował i z pojawieniem się tsarewicza urwał w pół słowa.

– Wynocha – wyskrzypiał tsar nieprzyjaźnie, nie odrywając spojrzenia od mapy. – Jestem zajęty.

Zwykle Szares starał się nie zadzierać z ojcem, kiedy ten akurat był w podobnym nastroju. Jednali głupia kłótnia ze strażnikami do reszty wyprowadziła go z równowagi. Żeby jego, za łuczywo tsara, wypędzono z jakiejś tajemnej narady jak smarkacza!

– Czym?

– Nie twoja sprawa.

– Od kiedy to sprawy tsarstwa są „nie moje”? – odparł Szares butnie, podchodząc do stołu.

Zdziwiony tsar w końcu raczył podnieść głowę. Kastiusz również patrzył na tsarewicza i spojrzenie naczelnika „łasic” było dziwne – ni to czujne, ni to... pokrzepiające, i to dodało Szaresowi sił. Niezbyt dobrze dogadywał się z Kastiuszem ale oddawał honor jego mądrości oraz zasługom. Takiego lepiej mieć za przyjaciela niż za wroga.

– Odkąd je zdradziłeś! – uciał tsar. – Wynocha.

Szares jak gdyby nie słysząc ostatniego słowa, oparł się o blat naprzeciwko Witora i powiedział powoli, z naciskiem, patrząc mu w oczy:

– Ojcze, kocham Rintar nie mniej od ciebie. I nigdy nie zrobię niczego, co mogłoby mu zaszkodzić. Interesuje cię, co było w tamtym liście? Dobrze, powiem ci.

– To już nie ma znaczenia. Porozmawiamy jutro rano. W międzyczasie możesz właściwie obmyśleć swoje przyznanie się, żeby brzmiało na możliwie jak najbardziej skruszone...

– Nie mam powodów do skruchy. I tak niewybaczalnie długo unikałem tej rozmowy. – Tsarewicz na chwilę przymknął oczy i potem na jednym wydechu wyrzucił z siebie: – List był do Isenary. Kocham ją. I chcę się z nią ożenić.

Twarz Kastiusza była niewzruszona, lecz w oczach można było wyczytać, że przez głowę przemknęła mu taka myśl. Ale z tsarem się nią nie podzielił.

Witor zachwiał się, jak gdyby syn splunął mu w twarz.

– Z córką wroga?! Z tym chudym białowłosym ścierwem?

– Mamy pokój z Sawrią – przypomniał Szares, próbując utrzymać panowanie nad sobą: za takie słowa o ukochanej kobiecie gotów był przywalić w

zęby nawet ojcu. – Moim zdaniem to całkiem godna...

Tsar przerwał mu złowieszczym śmiechem.

– Tak bardzo chcesz tej dziewczki? Wcale nie musisz się w tym celu żenić.

– Co?! – Tsarewicz osłupiał.

Witor walnął dłonią w mapę i z pełną wyższości pogardą (kto by pomyślał, że tajemnica jego głupiego syna była do tego stopnia prosta?) oświadczył:

– Za kilka tygodni, w najgorszym razie miesiąc, kiedy nasze wojsko zajmie Bobrogród, i tak przywloką ją do ciebie na sznurze. I będziesz mógł z nią zrobić cokolwiek zechcesz.

– A co z traktatem pokojowym?!

– Dzisiaj Sawrianie go złamią. „I cały kraj w zgodnym uniesieniu stanie do świętej walki...” – zacytował tsar swoją przyszlą przemowę do ludu, ułożoną już miesiąc temu.

– Z jakiego powodu?!

– Z powodu Pępka Holgi – wtrącił Kastiusz niespodziewanie, ściągając tym na siebie poirytowane i zdziwione spojrzenie tsara. – Jego tsarska mość rozkazał postawienie tam wieży strażniczej.

Szeres potrzebował nie więcej niż ćwierć szczapy, żeby obliczyć następstwa takiego kroku.

– Nie pozwolę ci na to! – wyrwało mu się. – Natychmiast odwołaj swoich ludzi!

– Ty? Mnie?! Rozkazujesz?! – Witor roześmiał się jeszcze głośniejsze i dostał ataku kaszlu, który zmusił go do oparcia się o stół – w piersi paskudnie zakłuło. – Straż!

Za drzwiami rozległ się hałas, podejrzliwie głośny i długi, a kiedy w końcu drzwi stanęły otworem, do komnaty wdarły się nie dwie osoby a cztery – i żadna z nich nie stała wcześniej na warcie przy drzwiach. Szares zbyt dobrze znał swojego ojca i przed pchaniem się do niedźwiedziego barłogu poszedł po wsparcie do wiernych ludzi, którzy czekali na zewnątrz.

Tsar zaskoczony, ale bynajmniej nie przestraszony uniósł brwi: no popatrz, to ścierwo planuje zamach! Co za bezkresna głupota: straż pałacowa jest całkowicie oddana (i trzy razy sprawdzona przez Kasztiusza!) Witorowi i jeśli zlikwidować tę garstkę odważnych....

– Kasztiusz!

Ale naczelnik „łasic” sam się nie poruszył i ledwo zauważalnym gestem powstrzymał zaniepokojonych podwładnych.

– Przepraszam, wasza tsarska mość, ale nie uważam się za godnego, by mieszać się w sprawy rodzinne władców – zauważył delikatnie. – Załatwcie to najpierw między sobą.

„Zdradę” syna Witor już dawno przewidział, chyba nawet ucieszył się, że

jego podejrzenia okazały się słuszne. Ale zdrada najbliższego sojusznika? Człowieka, którego znał już od kilkadziesiąt lat i któremu ufał prawie jak sobie?!

– Dranie! Zdrajcy! Ja was zaraz...! – Tsar zachwiał się, złapał za pierś czując, jak jakaś niewidzialna ręka nagle wyrywa stamtąd serce, i ciężko upadł na podłogę.

– Medyka, natychmiast! – Kastiusz i Szares skoczyli do niego z różnych stron, zamierzając podnieść i posadzić na fotelu, ale Witor odpędził ich z wściekłością. Na jego bladej jak kreda twarzy wystąpił zimny pot; umierający desperacko łapał ustami powietrze.

– Mimo to... zwyciężyłem... – Nawet przeraźliwy ból nie mógł zmyć z twarzy tsara wyrazu triumfu kogoś, kto osiągnął cel całego swojego życia – niechby i na samym jego końcu. – Wojna już... się zaczęła... nie... powstrzymasz... jej... szcurku...

Tsarewicz z niedowierzaniem patrzył na sflaczałe ciało: nieruchome wyblakłe oczy, rzadkie włosy z odgniecionym śladem po koronie, która przy upadku sturlała się na podłogę, opadła szczęka... I to jemu, szurniętemu, choremu staruchowi bez walki ustępował we wszystkich ważnych decyzjach, naiwnie sądząc, że wiek i mądrość zawsze idą w parze?!

Rodzice zawsze wydają nam się znacznie więksi i potężniejsi niż są faktycznie. Ale człowiek rozumie to dopiero wtedy, kiedy sam zostaje ojcem – lub ojca traci.

– Jak mógł pan dopuścić do czegoś podobnego?! – wyszeptał zszokowany tsarewicz.

– Jak wasza tsarska mość mógł dopuścić do czegoś podobnego? – odparł Kastiusz uprzejmie.

Przez szczapę patrzyli sobie w oczy, a potem twarz młodzieńca zmieniała wyraz, skamieniała, jak gdyby zaraz miano tłoczyć z niej monety. Rintarski tsar sucho i gwałtownie rozkazał:

– Proszę wysłać do Pępka Holgi list anulujący rozkaz. Wedle pańskiego uznania – może być goniec, pies gończy, Saszy we własnej osobie, byle szybciej! I proszę siodłać krowy. Wyruszamy natychmiast!

– Tak jest, wasza tsarska mość – potwierdził krótko naczelnik tajnej straży, ukłonił się i wyszedł.

„My wyruszamy” – czyli trzeba zebrać z pół setki tseców. Doświadczonych, ale młodych i gorących – trzeba będzie jeść i spać w siodle, a po przybyciu może się okazać, że natychmiast dołączyć do bitwy. Jeden rozkaz do koszar, drugi do krowiarni, trzeci-czwarty-piąty do służby, żeby przygotowali ciało do pochówku, a pałac do żałoby. Ostatecznie był dobrym tsarem. A człowiekiem... niech Holga go osądzi.

Mimo wyjątkowej powagi sytuacji Kastiusz uśmiechał się pod wąsem.

Stado w końcu doczekało się nowego przewodnika – młodego, mądrego i zdecydowanego.

Najwyższy czas.

* * *

Kiedy pierwsze łódki Sawrian dotarły do wyspy, już tam na nich czekali tsecowie oraz w porę obudzeni, ale zaspani i mało co rozumiejący robotnicy. Topory i kołki leżały w ich strudzonych rękach gładko jak w czasie nauki.

Sawrianie nie mieli specjalnej ochoty włączyć na tego jeża i zaczęli pracować wiosłami w miejscu, spoglądając na innych. Łódki powoli zbierały się koło brzegu w półkole, rosnące wszędy i w głąb. Odblaski pochodni tańczyły po wodzie, gęsty smolisty dym ścielił się górą. Strony wymieniały coraz bardziej złośliwie i wrogie komentarze, dodając sobie otuchy przed walką.

- Spadajcie z naszej ziemi, ale już!
- Rura miękka, złodzieje?!
- Od złodzieja słyszymy, niech no tylko do was dopłyniemy!
- No przecież już dopłynęliście, to na co czekacie? Wymiana portek?
- Chcemy wam, tchórzom, dać trochę więcej czasu, żebyście dalej uciekli!
- Oj-oj-oj, łaski bez!
- My dzieciakom warkoczyków nie tniemy! Tylko uszy tłustym świniom!
- Szczury!
- Dranie!
- Złodzieje!
- Szecharskie dziwki!

Niektórzy z Rintarczyków mieli okazję odwiedzić sławne miasto Szecharsk, ale mimo że byli całkiem zadowoleni z tamtejszych dziwek, wcale nie ucieszyli się z porównania.

- U was co miasto to „kurnik”!
- No to chodź tu, koguciku, podepcz!

Na łódkach roześmieli się i zaklaskali. Zebrało ich się już dosyć, by Sawrianie nie czuli się pieskami szczekającymi na niedźwiedzia. Rintarczycy również nie tracili humoru: za sobą mieli Jeżyce, od których już zdążyły posiłki.

Kołaj, stojący w tylnym szeregu, a nawet w trzcinach za tylnym rzędem, trzął się jak liść osiki. Cyka i Mikh gdzieś zniknęli, a on kompletnie nie miał ochoty walczyć z Sawrianami, mimo wszystkich wyzwisk. Przecież nawet zbrojny atak na swoją wioskę przeleżał płasko na drodze, „na śmierć zdeptany” przez sawriańską krowę (tyle dobrego, że nikt „miły” go nie dobił).

Znamienego z jakiegoś powodu również nie było widać, mimo że w zasadzie powinien stać z przodu. Ale zastępujący go tsecowie stali twardo i pewnie: niby nawet jeśli gdzieś pojechał to po pomoc.

I w tym momencie na linię przyływu, do brudnej piany z wodorostami wlaźł modlili, obeschnięty i wypoczęty. Podniósł podpaloną w ognisku laskę – pochodnia była długa i widoczna wszędzie – i zaczął meczeć na całe swoje kozie gardło, mieszając rintarskie słowa z sawriańskimi tak, że lepiej lub gorzej, ale rozumieli wszyscy:

– Zatrzymajcie się, głupcy! Czy nie widzicie, że to w mroku nocy kusi was Saszy?! Bogini moimi ustami uprzedza was: nie poddawajcie się mu! Bo zdolny on rządzić tylko tymi, którzy sami wpuścili go do swego serca niegodziwymi chęciami i planami! Odrzućcie je i dostąpicie zbawienia!

Obie strony zamilkły w oszołomieniu. Prawie wszyscy wiedzieli o „proroku Holgi” – niektórzy go widzieli, inni o nim słyszeli. Sawrianie traktowali rintarskiego kaznodzieję bardziej sceptycznie, ale przecież Bogini jest jedna! Tak samo jak jej święta księga, którą już od setek lat przepisywano bez najmniejszych zmian – więc trzeba było się gimnastykować przy interpretacji.

Część przeciwników posłusznie zakreśliła znak Holgi – co prawda wolną ręką, w drugiej nadal ściskając broń. Kołaj zaczął się żarliwie modlić: Najjaśniejsza, nie pozwól!

– Holga włożyła w was dusze nie po to, żebyście zabrudzili je grzechami! A byście zachowali je w czystości, mimo ziemskich pokus i władzy! – ciągnął modlik w natchnieniu. Jeszcze ani razu nie miał okazji przemawiać do takiej masy ludzi! Sam święty Tracnił by mu pozazdrościł! – Wiedźcie, czara Jej cierpliwości jest już pełna po brzegi i niedługo wywróci się na wasze nierozsądne głowy! Jeśli...

Ostatecznie nikt nie zrozumiał skąd wypuszczono strzałę – z brzegu czy z rzeki.

Modlik chlipnął i upuścił pochodnię, która natychmiast z sykiem zgasła w wodzie. Sięgnął do sterczącego spod obojczyka drzewca, ale nie dał rady: ręka mu opadła, nogi się ugięły i nienaturalnie wygięty prorok, z którego jakby ktoś wyjął trzpień, upadł.

Kiedy w grobowej ciszy przebrzmiało ostatnie pluśnięcie, Sawrianie i Rintarczycy ryknęli z równą wściekłością. Jak nisko upadli ich wrogowie – zamordowali sługę bożego! Czy rzeczywiście był natchniony przez Holgę, czy po prostu miał nie po kolei w głowie to mniejsza o to, i tak przez Nią naznaczony! Już nic świętego dla nich nie ma!

A skoro tak, to innych rzeczy też już nie żal.

* * *

Na Ryskę jak zwykle niespodziewanie spłynęło przecucie zbliżających się kłopotów. Tym razem tak mocne i wszechogarniające, że zachwiała się, nie od razu znajdując słowa.

– Alku, czujesz?!

– Tak.

Spojrzenie Sawrianina znowu zaczęło robić się szkliste. Robotnicy z wrzaskami przerażenia i wstrętu cofnęli się spod jaskiń – szczury wysypywały się stamtąd jak ziarnka grochu, a nawet pędziły po chropowatych ścianach.

– Uciekamy! – Żar chwycił Ryskę za rękę, ale ona w ostatniej chwili złapała się Alka, a złodziejowi nie udało się ruszyć z miejsca ich obojga.

– Już nie ma dokąd. – Sawrianin pochylił głowę do ramienia z tak wyobcowanym wyrazem twarzy, jakby miał sam zaraz rozsypać się na setkę szczurów.

W lesie za jaskiniami zabrzmiały głosy i trzaski. Gdyby jeszcze dodać szczekanie psa można by pomyśleć, że to miejscowy szlachcic urządził nieplanowe polowanie na wilki puszczać w gęstwinę łańcuszek naganiaczy.

– Chodźcie z powrotem do łódki i płynmy w górę rzeki – zaproponował Mikh rozsądnie. – Na środku rzeki i w takim mroku nikt nas nie dostanie. Poza tym będą mieli inne rzeczy na głowie.

– Cokolwiek, tylko spadamy stąd! Rysko, trzepnij no go po pysku!

Dziewczyna niepewnie podniosła rękę, ale Sawrianin otrząsnął się i złapał jej nadgarstek.

– Ja sam ci zaraz... – wycedził, patrząc na Żara.

– A kiego Saszego tak stoisz?!

Alk już nie stał. Mimo że nadal nie widział sensu, by gdziekolwiek biec.

Ale niech nadzieja, którą Wędrowcy dobrowolnie wymienili na wiedzę przynajmniej z kimś zostanie do końca.

Cyka wyskoczył na brzeg jako pierwszy i zastygł – krajobraz w ciągu mniej niż łuczywa zmienił się drastycznie. Nad wyspą stała niska łuna setek ognisk i pochodni, w której z krzykami miotały się cienie, tak niewyraźne, że Ryska miała wrażenie, iż walczą tam dwa szczurze stada. A to był dopiero początek – płonące punkty spływały do Pępka z obu brzegów, zastępując zgaszone i zrzucone do wody.

– A żeby ich wszystkich Saszy wziął! – rzucił gorzko Mikh. – Za późno.

Żar odwrócił się i zrozumiał, że robotnik nie mówi o wojnie, tylko o swojej nieudanej ucieczce przed nią.

Prawym brzegiem nadciągali rozbudzeni przez gońca zwykli Sawrianie. Nie czekali do rana, tylko złapali za broń (którą w przygraniczu władał każdy mężczyzna i chłopak powyżej dziesiątego roku życia, bo miejsce jednak niepewne) i rzucili się na pomoc, jak gdyby wyczuwając, że będzie potrzebna przed nastaniem poranka.

Ich wódz już zrównał się ze schowaną w trzcinach łódką.

– Ot szczury, i tu już są! – zabrzmiał gwałtowny i wściekły okrzyk po sawriańsku. Białowłosi chyba uznali, że po zagarnięciu wyspy Rintarczycy zebrali

się do podbicia cudzego brzegu.

Wyjaśnianie, że to nieprawda, nie miało sensu. Rzucanie broni było głupie – zabijają albo pokaleczą zanim nasycą żądzę zemsty. Uciekać nie było dokąd, po lewej sawriańskie miasto, z tyłu szczury oraz „naganiacze” – pewnie posiłki z innej wioski.

Rintarczycy i Alk zebrali się w krąg, ramię przy ramieniu. W środek wzięli Ryskę, która na widok tłumu Sawrian zrobiła się blada jak płótno.

– Kucnij! – zawołał do niej Mikh, ale dziewczyna nadał wbijała osłupiałe spojrzenie w zbliżających się wrogów. Dokładnie jak w jej dzieciennych koszmarach – tyle że tam była całkiem sama, a tutaj przed białowłosymi mordercami chronił ją tak samo białowłosey i o niego Ryska bała się chyba nawet bardziej niż o siebie.

Niestety, atakujących to nie zatrzymało. Zdrajca, szpieg?! Tym bardziej pod nóż!

Ale jako pierwsze Sawrian napotkały szczury. Jak owładnięte szaleństwem, bez cienia wahania dziesiątkami skakały na ogromne potwory, za które musiały uznawać ludzi, zatrzymując ich nie tyle liczbą, co zaskoczeniem.

Jednak ludzi również było wielu i Ryska wiedziała, że ta walka nie potrwa długo.

Sawrianie z wrzaskami i przekleństwami zdzierali z siebie gryzące stwory, odrzucali, miażdżyli butami a dziewczyna już „widziała” jak dokładnie tak samo, w ostatniej beznadziejnej walce umierają jej przyjaciele.

Najpierw Żar, któremu udało się odbić dwa ciosy przeciwnika, po czym roześmiał się z triumfem – i przegapił trzeci.

Albo Cyka, który całkiem głupio podstawiał się pod wrogi topór.

Albo Mikh – broczący krwią z dziesiątki ran, które jego mocarne ciało zdołało wytrzymać zanim powstrzymał je bezpośredni cios w serce.

Albo Alk, przeszyty dwiema włóczniami naraz ponieważ nie dało się do niego zbliżyć na długość miecza...

Na wszystkich drogach było to samo.

Zmieniała się tylko kolejność. Z tego skrzyżowania nie było ucieczki. Ani dla nich, ani dla tych, którzy zebrali się dziś na wyspie i obu brzegach. Chyba żeby...

– Rysko – powiedział Alk niespodziewanie spokojnie i dziewczyna nie tyle usłyszała, ile wyczuła jego głos przez mocno przyciśnięte do siebie plecy. – Rysko, posłuchaj mnie. Wiem, że też go wymacałaś. Więc spróbuj wyciągnąć.

– Ale jest taki malutki! – chlipnęła dziewczyna. Gdyby nie Alk, nawet by nie zrozumiała, że ten jedyny zielony groszek w całym worku żółtych nie jest przywidzeniem. A może to nawet nie było ziarno tylko jakiś brud, kamyczek, szcurze gówienko... Po prostu coś, co rażąco różni się od otoczenia.

– Nieważne. Jest tam i tylko to się liczy.

– Ale co nam wyjdzie?!

– Nie mam pojęcia.

– Przecież wcześniej ganileś mnie za „ślepe” zakręty!

– Wcześniej mieliśmy wybór. – Alk zrobił wypad do przodu, ostudził zapal krajana, który przedarł się przez szczury i ponownie oparł ó Ryskę. Dziewczyna czuła, jak oddychał, co i rusz wstrząsały nim drobne dreszcze, więc napinał mięśnie, próbując je powstrzymać. – A teraz nikt go nie ma. Dawaj. I cokolwiek by się działo, nie zatrzymuj się.

Tym razem Ryska nawet nie musiała się skupiać. Tale bardzo chciała uciec z tej rzeczywistości – gdziekolwiek, nawet wprost do Holgi, że ledwo zamknęła oczy, a już poczuła w dłoniach kołowrót. Już nie drewniany, ciepły i chropawy, tylko zimny, metalowy, nie do objęcia – bo jak inaczej miałyby wytrzymać ładunek tylu losów?

– Alku, nie dam rady! Nawet nie umiem ruszyć go z miejsca.

– Uda nam się. – Alk nadal stał za plecami Ryski, odbijając coraz częstsze ataki, a równocześnie dziewczyna odniosła wrażenie, że jego dłonie zacisnęły się na uchwycie koło jej rąk.

„Zawsze tak mówisz! – chciała krzyknąć. – Zawsze bierzesz się za coś, na co nie masz sił, żyłujesz się do śmierci i nawet ona niczego cię nie uczy!”

Teraz Ryska po raz pierwszy go zrozumiała.

Każdy może przekręcić drewniany kołowrót – malutki, lekki, osobisty.

Ale dla nich kto inny musi stanąć przy metalowym.

Mechanizm skrzypnął i zaczął z pstryknięciami odliczać ząbki kółek. Najpierw rozpędzając się, a potem znowu zacinając, jak gdyby grzęznąć w nakręcanych na niego drogach.

W pewnej chwili Rysce zdawało się, że jest na granicy. Ale nie twardej jak skała tylko podobnej do świńskiego pęcherza w oknie, w który z rozmachu wbiła się wyhodowana w izbie sikorka.

„Na pewno tego chcesz? – jak gdyby pytał jej dar. – Zgadzasz się zapłacić tę cenę? Oboje się zgadzacie?”

– Dawaj! – ryknął Alk straszliwie zmienionym głosem, desperackim machnięciem przecinając okutą rohatynę na niedźwiedzia. Żar krzyknął coś panicznego stłumionym głosem i prawie równocześnie z przeciwnej strony zachrypiał Mikh, a dzwonienie ich mieczy urwało się. Cyki już od dawna nie było słychać.

Ryska nie otwierała oczu, ale spod powiek nadal ciekły palące łzy.

– Nie chcę – szepnęła ledwo słyszalnie, wiedząc, że jej życzenie po raz kolejny nic nie znaczy. Decyzję powinno podjąć sumienie – a co będzie większą plamą na nim?

I jak gdyby coś pękło, przebiegła nowa ścieżka, rozwijając się do horyzontu – wąska, niezdeptana, na przemian tonąca w wysokiej trawie i wynurzająca się z niej na szczycie wzgórza.

Rozległo się jęklive westchnienie, kompletnie niepodobne do gwałtownego, wściekłego oddechu Alka podczas walki i mur za plecami Ryski zaczął znikać, topnieć, osiadać na ziemię...

– Alk! Aleczku!!!

Nie zdążyła się odwrócić.

* * *

Pustelnik obudził się przed samym świtem: mrok wypełniający jego chatkę był wyjątkowo gęsty i dalej mógł tylko jaśnieć. Mimo otwartego okna w piersi cisnęło z duchoty. Ale jeszcze gorszy od niej był niewyraźny niepokój, podobny do posmaku, który zostawia po sobie zły sen. I nie ma sensu zgadywać, co go wywołało: tysiąc powodów, z których prawdziwy okaże się ten najmniej prawdopodobny. Poprzednim razem... Zresztą, wtedy dar odezwał się znacznie mocniej. A teraz po prostu poinformował jak starego przyjaciela: gdzieś się coś dzieje, stary, ale ty już z tej gry wypadłeś.

Przez ostanie półtora miesiąca pustelnik spał kiepsko. Wykreślenie człowieka z życia nie jest skomplikowane, znacznie trudniej wyrzuca się go z serca. Nawet jeśli jesteś pewien, że postąpiłeś właściwie. A kiedy podczas takich bezsennych pochmurnych nocy duszą zaczynają miotać zesłane przez Saszego wątpliwości...

Stary człowiek chwilę wiercił się z boku na bok i zrozumiał, że to bez sensu. Lepiej wstać, zapalić świecę i poczytać książkę, póki oczy znowu nie zaczną się kleić.

Płomyk okrzepł na knocie, pustelnik odwrócił się do stołu i drgnął. Na podłodze na środku pokoju spokojnie siedział szczur (w pierwszej chwili wydawał się wielkości psa, ale w rzeczywistości przerażająca część „potwora” była rzucanym przez niego cieniem). Pod spojrzeniem człowieka zwierzak tylko uniósł krótki ostry pyszczek: „No, w końcu się obudziłeś!”

Staruszek zerknął na kosz z ciężkimi kawałkami torfu opałowego, ale się rozmyślił.

– Spadaj! – syknął. – Wasz czas jeszcze nie nadszedł.

Szczur nie miał nic przeciwko. Ale nie chciał sobie pójść.

Pewnie również cierpiał na bezsenność.

– Mam cię wywalić z domu na szufelce czy jak?

Szczur podreptał do drzwi i wspiął się na próg, przycisnął nos do szczeliny, jak kot chcący wyjść na zewnątrz.

– Czego ja dożyłem... – Pustelnik ze stękaniem naciągnął buty i złapał

palcem haczyk lampki. Wcale nie z powodu bezczelnego zwierzaka – sam miał ochotę na łyk świeżego powietrza. – No już, wyłaż, cholero!

Szczur poczekał, aż drzwi otworzą się szerzej i niezgrabnie zeskoczył z progu. Ale nie wyszedł dalej niż na ganek, tylko zatrzymał się z boku. Człowiek również. Zwierzak poruszał się z trudem, podciągając tylne łapy i stary człowiek pomyślał, że pewnie również ma swoje lata. Z jakiegoś powodu pogodziło go to z obecnością gościa.

– Już się nie doczekasz – powiedział prawie ze współczuciem.

Szczur się nie wyklócał. Tak zniedołężniali wrogowie siedzą na ławeczce koło siebie: nadal niepokodzeni, ale rozumiejący siebie nawzajem lepiej, niż ktokolwiek na tym świecie.

– No i czego ty ode mnie chcesz?

Haskil nigdy nie rozmawiał ze swoimi „świecami”. Tak było prościej. Lepiej, by szczur pozostawał rzeczą, dokładnie taką samą jak miecz. Od rozmowy niedaleko do przyjaźni, a dalej litości, na którą Wędrowiec nie może sobie pozwolić. Ale ten szczur i tak mu nie odpowie, tak samo jak nie odpowiadają postaci bogów z podwójnej ikony. Za to przynajmniej widać po nim, że słyszy.

Szczur odwrócił się, rozumiejąc z tonu głosu, że człowiek mu nie zagraża. Z trudem uniósł się, powęszył. Wiatr przyniósł z północy zapach kwitnącego piołunu oraz jeziornej wody. Do Zaporowego było co najmniej dziesięć wieszek, więc bardziej zasadne byłoby nawet powiedzenie, że „z rzeki”, ale zarówno stary człowiek jak i szczur dobrze wiedzieli, że tak może pachnieć tylko przestrzeń o falach, oczyszczonych przez wiatr.

Stary człowiek przypomniał sobie swoją ostatnią wycieczkę nad jezioro w celu obejrzenia tamy, z tsarskiego rozkazu. W czasach tsarstwa Sawrintarskiego odnawiano ją co pięć-dziesięć lat, ale już po pierwszej wojnie zarzucono. Tak zwaśnieni sąsiedzi zerkają na dzielący ich plot: czego niby ja mam sam go naprawiać skoro obaj używamy? Jak zacznie się chylić ku moim grządkom... Co prawda tama została zbudowana sumiennie i zdecydowanie mogła stać drugie tyle, mimo że z góry oblażła i wyglądała na bardzo wyświechtaną. Tysiąc do jednego i tak właśnie wtedy napisali do tsara. A jak się nie pali to lepiej wydać pieniądze na coś bardziej przydatnego. Na przykład zbudować kolejną wieżę albo urządzać bal w pałacu.

Od tamtego czasu sto razy chciał pojechać – tak po prostu, dla przyjemności, przespacerować się po brzegu, a może i popływać po jeziorze w wynajętej łodzi rybackiej, ale w końcu się nie zebrał. I pewnie się już nie zbierze. Tylko dwie osoby w ich rodzinie lubiły łowienie ryb. I na jednego z nich trzeba było najpierw zbyt długo czekać, a potem się od tego oduczać.

Panowała taka cisza, że stary człowiek słyszał jak nastroszone boki szczura ciężko, urywanie ciągną powietrze. Co widział tam, w mroku, na przemian drgając

i ochryple popiskując? Jak gdyby nie siedział skulony w kłębek na zeschniętym ganku, tylko pędził, zdrowy i pełen sił, po śliskich kamieniach przez chmurę bryzg. Futro przemokło i posklejało się, łapy rozjeżdżały, ale szczur był zbyt młody i butny, żeby uważać na siebie w imię nie wiadomo czego – podczas gdy można złapać szczęście za długi łuskowaty ogon tu i teraz. Zbadać nowe tereny. Stawić czoła obcemu – i go pokonać. Znaleźć rybę, wyrzucaną na brzeg przez falę: cała dla mnie! Zresztą, po prostu cieszyć się biegiem i zabawą z niebezpieczeństwem, w końcu to też jest dobra nagroda za ryzyko!

Przeszkoda okazała się zwykłym kamieniem, luźno leżącym na brzegu tamy. Szczur zawisł na przednich łapkach, desperacko machając ogonem w próbie utrzymania się i podciągnięcia. Lewa łapa się osunęła, szczura wyniosło w prawo, do oskubanego przez wodę korzenia, od którego udało mu się odepchnąć i wskoczyć z powrotem. Nie zdążył się nawet dobrze przestraszyć i pobiegł dalej, prawie natychmiast wyrzucając z głowy to pechowe wydarzenie.

A kamyczek poleciał w dół.

Koło pustelni nic się nie zmieniło. Dokładnie takim samym ciężkim czarnym kocem leżało na ziemi niebo z dziurami gwiazd. Wiatr ucichł i zapach piołunu prawie zagłuszył jeziorny.

Ale stary człowiek, nieprzerwanie patrzący na północ niespodziewanie spał się, a z jego piersi umęczonym jęknięciem wydarło się:

– Alk!

W odpowiedzi usłyszał daleki, przeciągły łoskot.

* * *

Wielu Sawrian wyskakiwało z łódek, ledwo zrównały się one z trzcunami. Na ich spotkanie już brodzili z chlupotem Rintarczycy i po chwili bitwa wrzała nie tylko na wyspie, ale i po kolana, a nawet i po pas w wodzie. Padający – ogłuszony lub ranny – tak czy siak znikał pod powierzchnią i prąd ściągał go w dół rzeki. Z drugiej strony, na suszy prościej dobijać. Więc nie wiadomo, co gorsze.

Walka rozszerzyła się już również na rintarski brzeg: Sawrianie próbowali przeciąć przeprawę, trafili na tseców pilnujących zapasów i zwarli się z nimi. Od Jeżyc zdążyły posiłki na wyscigi z sawriańskimi łódkami.

W hałasie i zapale bitwy nikt nie usłyszał trzeciego „wojska” i nie zauważył jego złowieszczych oznak: drżenia ziemi i wody, niespodziewanie nasilonego i chłodniejszego wiatru, desperacko krzyczących ptaków, które mimo zmroku gromadami przemykały nad głowami. Nawet kiedy z lasu wyskoczyło stado jeleni, które pędem minęło walczących, mało kto odróżnił je od rudych krów – a cała reszta uznała, że zwierzęta są majakami zrodzonymi z bojowego szaleństwa.

Rzeka jednym chapnięciem połknęła sporną wyspę i przetoczyła fale nad nią, rozpełzając się wszerz i wzdłuż.

Większość ludzi nawet nie zrozumiała, co się stało. Dopiero co wściekle machali mieczami, patrząc na okrutnie wykrzywione twarze wrogów – a w następnej chwili wirują i płyną jak szczapki w mętным potoku. Woda rozrzuciła przeciwników, wyrwała jeźdźców z siodła, wydarła broń z rąk i schrupała wysokie drzewca proporców jak zeszłoroczne trzciny. Tsecowie w zbrojach mieli najgorzej, zresztą los wieszcza również nie był do pozazdrosczenia – dobrze jeśli połowa umiała pływać. Ale z początku ci też mieli spory problem: jakie tam płynąć – żeby tylko na chwilę uwolnić głowę z wiru, złapać powietrza, póki znowu nie pociągnęło w dół!

Walka zachłysnęła się w dosłownym tego słowa znaczeniu.

Rozdział 15

Młode szczury szybko dochodzą do siebie po zranieniu.

To samo źródło

Jezioro Zaporowe przepęzło w dół Rybki jak żaba, połknięta przez węża – od głowy do środka brzucha, zalewając przyrzeczną dolinę.

Po raz pierwszy w całej historii bitew rintarsko-sawriańskich Jeżyce nie spłonęły tylko utonęły – na przedmieściach z wody sterczały jedynie dachy, a wysokie kamienne domy skróciły się o całe piętro. Sawriańskie przygraniczne miasto miało więcej szczęścia – stało na wysokim brzegu i rzeka dostała we władanie jedynie ogródki i piwnice. W przeciwnej sytuacji ofiar byłoby znacznie więcej – z Jeżyc kobiety, dzieci i starszankowie zdążyli uciec, uprzedzeni o planowanej bitwie, a może nawet oblężeniu do czasu, gdy na miejsce dotrą tsarskie wojska.

Nizinny laszek w całości zniknął pod wodą, a czubki okolicznych wzgórz zmieniły się w wyspy, na których mocno tulili się do siebie przemoczeni ocalali szczęściarze, Sawrianie wymieszani z Rintarczykami. Zapału niektórych wojaków nie ochłodziła nawet rzeka, ale walka gołymi rękoma na garbatym kłaczku ziemi była wyjątkowo niewygodna, a bardziej pokojowi sąsiedzi zdecydowanie się na nią nie zgadzali – miejsca i tak było tyle, co szczur napłakał, a tu jeszcze szturchają! – i w takich sytuacjach w wodzie lądowali obaj zabijacy. Ostatecznie nawet ci najbardziej napaleni się uspokoili i przez jakiś czas wymieniali wściekle przekleństwa, ale po chwili nawet to im się znudziło.

– Ech, a prorok to gadał czyściutką prawdę! – rozpełzały się pełne obawy szeptu. – Wszystko jest jak on przepowiedział: rzeki wyszły z brzegów, stwory wyszły z nor...

Mokre i nastroszone szczury dziesiątkami siedziały na pływających po wodzie balach – resztkach przeprawy. One również pochodziły z różnych stad, ale wspólne nieszczęście połączyło zwierzaki i dokładnie jak ludzie grzały o siebie mokre boki.

– Prawda, Holga się na nas zeźliła. Źleśmy zrobili... – Obie strony ze skruczą kiwały głowami.

– Przecież nam ta wyspa sto lat nie była potrzebna i gdyby nie rozkaz...!

– No co teraz, myśmy też przesadzili, wleźliśmy nie patrząc!

– Wybaczcie nam!

– Nie, to wszystko nasza wina! – upierali się w swojej skrusze Sawrianie.

(Bo co jak Bogini uzna, że za słabo skarciła?!)

– Nie, nasza! – nie poddawali się Rintarczycy, nie chcąc ustąpić pierwszeństwa w oświeceniu.

I omal się znowu nie pobili.

Blżej poranka woda zaczęła opadać i zamieniać się w grząską mgłę. Wzgórza wyrastały z niej jak grzyby, po sawriańskiej stronie pomiędzy niektórymi dawało się już przejść suchą nogą. Rzeka wylizła ziemię jak krowy kawałek soli, miejscami zdzierając ogromne kawały murawy. Spod niej wyglądała goła czerwona glina. Na świeżych płycznach połyskiwały broń i kawałki zbroi, jak bursztyn i muszelki na brzegu morza.

Wróciły plujki, ze zdziwieniem pokręciły się nad zatopionymi jaskiniami i usiadły na okolicznych drzewach, przypominając czarne szmaty rozwieszona na gałęziach.

Na polu pojawiły się kobiety. Z podwiniętymi spódnicami brodziły po kolana w wodzie, wykrzykując imiona zaginionych mężów, synów i braci. Najpierw tylko sawriańskie, potem i rintarskie – kiedy ciemnowłose niewiasty przeprowiły się z drugiego brzegu. Nie zwracały uwagi na siebie nawzajem i tylko z rozpaczą szperały spojrzeniami dookoła, mając nadzieję i równocześnie bojąc się odnaleźć ciało ukochanego. Jak białe mewy krążące nad zatoką.

Ryska szukała w milczeniu. Nadal brakowało jej siły na krzyk.

Nie pamiętała nawet, jak udało jej się wydostać na brzeg – oślepią, przytopiona, miotana wodą na wszystkie strony, już prawie całkiem pozbawiona sił, niespodziewanie poczuła pod nogami dno. Równie dobrze mogło znieść ją na środek rzeki, skąd na pewno by nie wypłynęła. Miała szczęście.

Dziewczyna zachichotała bezdźwięcznie, ramiona jej zadrżały: w środku znowu, tak samo jak w jaskini ale już na zawsze, zagościła pustka. Ale ta, która tkwiła w sercu była znacznie gorsza.

Ryska wiedziała, za co Holga pozbawiła ją daru.

Jako pierwszego znalazła Mikha. Biały jak prześcieradło, wypłukany przez rzekę do ostatniej kropli krwi, robotnik nienaturalnie równo leżał na błyszczącej mokrej trawie, a broda na jego zastygłej twarzy wyglądała na szczególnie czarną. Koło niego przestępował z nogi na nogę Kołaj, nie wiedząc co ma robić – nie miał na czym zabrać ciała do Jeżyc, wszystkie łódki porwała rzeka, przeprawa promowa również była zerwana. Zanieść do Sawrian – nie wiadomo jak go przyjmą. Choć Ryska widziała, że przyjmowali. Zarówno lekarze jak i modliki już kręcili się koło brzegu, kierując na Niebiańską Drogę swoich i cudzych po równo.

Kołaja do tego stopnia zdumiało pojawienie się pasierbicy – obdarłej, znacznie doroślejszej i trzymającej się zupełnie inaczej niż przedtem, że nawet nie od razu odważył się ją zawołać, a póki on odchrząkiwał, dziewczyna odwróciła się i na sztywnych nogach przeszła obok. Nie dlatego, że nie miała ochoty patrzeć na

ojczyzna czy nie było jej szkoda czarnobrodego robotnika, który oddał życie, by ona i Alk mogli uratować wszystkie pozostałe. Po prostu to wszystko Ryska już widziała, kiedy stała na skrzyżowaniu. Czyli Alk i Żar również nie uniknęli tego, co było im pisane.

Dziewczyna zachwiała się, ale nie upadła.

Najpierw musi ich odnaleźć. Zobaczyć. Bo oszaleje, raz po raz przypominając sobie, jak to wyglądało na tych wszystkich drogach, które zdążyła zobaczyć.

Mgła już prawie całkiem opadła, kiedy Ryska znalazła ciało Sawrianina. Na wpół zatopione, leżało w kałuży rzadkiego błota i biała koszula na plecach wyděła się w pęcherz.

– Alk? – zawołała Ryska nieśmiało, chociaż z daleka było widać, że mężczyzna jest dawno i bezpowrotnie martwy. Nadgarstek nienaturalnie wykręconej ręki sterczał z kałuży jak żółtawy kawałek wypolerowanego drewna. – Aaalk!

Dziewczyna rzuciła się w jego kierunku, złapała za bok, pociągnęła, czując ból w brzuchu – i w końcu kałuża z cmoknięciem wypłuła zdobycz, natychmiast przysysając się do jej pleców.

Ryska straciła równowagę, upadła tyłkiem w błoto i roześmiała się histerycznie: to nie był Alk.

Chociaż co to za różnica?

„To ja go zabiłam – uświadomiła sobie dziewczyna z bezlitosną jasnością. – Nie miecz wroga, nie rzeka. Ja wyciągnęłam z niego więcej, niż może oddać „świeca” – i skończyło się to śmiercią człowieka”.

Alk o tym wiedział. Już wtedy, gdy szedł z nimi na brzeg. Wybierając pomiędzy żywym szczurem a martwym człowiekiem, nie wahał się ani chwili – w przeciwnym razie nie byłby to Alk.

Ale Rysce ta świadomość nie przynosiła żadnej ulgi.

Przypomniała sobie jego spokojny, pewny... pożegnalny głos i śmiech zaczął zmieniać się w łkanie. Ryska zaczęła chylić się do przodu – żeby też paść w to błoto i już się nie podnosić – kiedy nagle o krok od niej, przy samej ziemi coś się poruszyło.

Tak naprawdę nie sposób było poznać szczura, na dokładkę tak brudnego i mokrego, wyglądającego jakby go krowa przeżuła. Dziewczynę w ciągu tego poranka wyminęła co najmniej setka żywych gryzoni, nie wspominając już o zdechłych.

Ale tego Ryska poznała. Natychmiast.

– Alk... – szepnęła, nie wierząc własnym oczom. Pociągnęła nosem, i w pośpiechu przejechała po twarzy rękawem, tylko rozmazując na niej brud.

Zwierzak nieufnie powąchał powietrze, nie ruszając się z miejsca. Może

jednak się pomyliła?!

– Ryska.

Dziewczyna odniosła wrażenie, że oduczyła się oddychać. Odwracała się tak powoli, że ten, kto ją wołał, sto razy zdążyłby odejść – ale szybciej nie mogła, ciało słuchało jej z ogromnym trudem, jak we śnie. Przez głowę Ryski nawet przemknęła myśl, że faktycznie śpi i zaraz obudzi się kompletnie sama na środku pola, tam gdzie zemdląła. Albo w ogóle się nie obudzi, ponieważ utonęła już dziesięć łuczów temu, a przez ten cały czas po okolicy kręcił się jej duch.

Ale jednak się odwróciła.

Alk wyglądał koszmarnie. Błady jak płótno, z włosami zwisającymi w brudnych soplach, w mokrych podartych spodniach – pewnie też przez dłuższy czas chodził po zatopionym polu, szukając kogoś. Był półnagi – z koszuli miał zrobiony opatrunek przez całą pierś, po prawej stronie na tkaninie widniała duża czerwona plama, w kilku innych miejscach – parę mniejszych.

Nie spuszczać Ryski z oczu, zatrzymał się, opuścił dłoń do ziemi, a szczur bez wahania podbiegł do niego, pozwalając złapać się w poprzek tułowia i posadzić na ramieniu.

– Wiesz co, chyba go sobie zostawię – powiedział Sawrianin najspokojniej w świecie, jakby ciągnął rozmowę urwaną w połowie słowa. – Jakoś się przyzwyczaiłem. A on już raczej nie wyżyje w szczurzym stadzie. Ono nie przepada za byłymi przewodnikami.

Ryska w milczeniu patrzyła na obu, mrugając kiedy obraz się rozpląwał. W piersi rosła i paliła, unosząc się do gardła, kula ognia – która w końcu wybuchła.

– Yyy....

– Nooo... – mruknął Alk z rozczarowaniem. – Ja oczywiście rozumiem, już się cieszyłaś, że w końcu masz nas z głowy, a tu...

Sam tymczasem podszedł do dziewczyny, niezgrabnie podkulił zranioną nogę, siadając obok i przyciągnął Ryskę do siebie. Szczur również postawił przednie łapy na jej ramieniu, połaskotał wąsami ucho i zaczął je lizać, szybko, jak gdyby z poczuciem winy.

Jeszcze nigdy w życiu Ryska nie płakała z taką radością – wcześniej zawsze sądziła, że „łzy szczęścia” to coś wymyślonego przez bajarzy, by ubarwiać opowieści.

– P-p-przepraszam – udało jej się w końcu wykrztusić, nadal desperacko ściskając Alka w objęciach. – J-j-ja wiem, że mężczyźni nie znoszą kobiecych łez, ale... nie mogłam...

Prawie rozpląkała się znowu, ale Sawrianin wyprzedził ją spokojnym głosem:

– To zależy od mężczyzn. Mnie na przykład wszystko jedno. Nie słuchałem tego twojego wycia, tylko myślałem o swoich sprawach. A szmaty i tak są mokre.

– No wiesz co! – Ryska poczuła, że wszystkie łyzy naraz wyschły i gwałtownie się cofnęła. – Ja cię tutaj szukam, martwię się... A ty... Ty... I zabieraj swojego śmierdzącego szczura!!!

Szczur, który zdążył całkowicie przenieść się do Ryski i wygodnie ułożyć – w końcu Sawrianin miał gołe ramię, a ona może i podarty ale kołnierz – z oburzeniem ugryzł rękę, która próbowała oderwać go od zagrzanego miejsca. Nie do krwi, ale Ryska i tak cofnęła dłoń z okrzykiem.

– I kto tu niby ma paskudny charakter? – zapytał Alk. – Niech będzie, że ja, ale przecież zwierzęcia nie oszukasz!

– Od ciebie się tego nauczył!

Sawrianin podniósł się z jeszcze większym trudem niż siadał i podał jej rękę.

– Dobra, starczy tego marznięcia, chodź do miasta. Pewnie twój kumpel tam miejsca nie może sobie znaleźć.

– No właśnie! – burknęła dziewczyna z pretensją, wstając i czując jak bezgraniczne szczęście spłukuje rozpacz niczym rzeka wyspę. – On cierpi, a ty nic tylko docinasz!

– Akurat w to trudno zwątpić – zgodził się Alk. – Kiedy wychodziłem, darł się tak, że dwóch ludzi go trzymało, póki medyk ciął.

– Co mu jest?!

– Chyba będzie żył. – Alk wzruszył ramionami, a nuta zwątpienia w jego głosie odnosiła się ni to do życia złodzieja, ni to do sensu wspomnianego życia.

Ryska znowu poczuła się gorzej – oczywiście nie do tego stopnia co wcześniej. Ostatecznie nikt nie wołał medyków do trupa!

– Chodź szybciej! – popędziła Sawrianina, ściskając jego rękę jedną dłonią, a drugą troskliwie przytrzymując „śmierdzącego szczura”. Jakoś niepewnie siedział, pewnie go łapy bolały.

Alk skrzywił się w myśli (jego by kto teraz wziął na rączki!) ale bez pretensji dostosował krok do Ryski, próbując kuleć jak najmniej zauważalnie.

* * *

W mieście unosił się tak mocny zapach mułu, że można pomyśleć iż spędziło na dnie rzeki z dziesięć lat, a dopiero dziś wynurzyło się i obeschło z góry. Bruk tu i ówdzie pozostawał pod wodą – człowiek mógł tylko zgadywać, czy jest głęboka po kostki czy wpadniesz do dziury z głową. Niestrudzona dzieciarnia pływała po zatopionych ulicach na bramach zdjętych z zawiasów, odpychając się skradzionymi z domu miotłami i kociubami. Nawet przewozili wszystkich chętnych za monetkę.

W górnej części miasta było bardziej sucho i właśnie tam, na plac targowy, znoszono wszystkich rannych, podtopionych i martwych (ci trzeci nie podnosili nastroju ani pierwszym, ani drugim, ale nikt nie miał specjalnego wyboru). Stąd też zabierali ich krewni więc hałas – krzyki, łkania, skrzypienie noszy i wozów, na

których przywożono i zabierano ciała nie cichł nawet na szczapę. Porządku pilnowała straż: namiestnik wziął swój błąd do serca i nakazał, by powstrzymywać kłótnie w zarodku. Ale panował spokój. Ból i przepowiedziany gniew Bogini powstrzymywały ludzi lepiej niż dowolna broń.

Medyk już odszedł do innych cierpiących i koło przykrytego podartym kocem Żara z wyrazem stoickiego spokoju na twarzy siedział... Szczurołap. Uprzejmie, w swoim zwykłym stylu, przywitał Ryskę skinieniem głowy, ale natychmiast skrzywił się i złapał za potylicę.

– Moja noga... – szepnął złodziej żałośnie, kiedy dziewczyna przy nim przyklękała. – Tak bardzo... boli...

– No a jak – przytaknął Alk bezlitośnie. – Przecież ci ją odcięli.

– Co?! – Żar podskoczył, jakby go pszczoła ugryzła w tyłek. Gwałtownym ruchem odrzucił koc i z niesamowitą ulgą zobaczył zabandażowaną aż do pachwiny nogę, która jednak miała odpowiednią długość. – Uf... No nie, z ciebie to dopiero jest szczur!

– Przecież trzeba ci było jakoś dodać otuchy – wyjaśnił Sawrianin spokojnie.

– Dziękuję, kochany przyjacielu, już jest mi znacznie lepiej! – powiedział złodziej z uczuciem, ostrożnie kładąc się z powrotem.

– Na zdrowie – odpowiedział Alk miło. – Jakby coś, to wiesz gdzie mnie szukać.

– Biedactwo! – Ryska z litością pogładziła Żara po głowie. – I jeszcze jakiś drań cię w szczękę walnął, zobacz jaka spuchnięta...

Złodziej rzucił Sawrianinowi wściekłe spojrzenie, ale go nie wydał.

– A co pan tu robi? – spytała dziewczyna, zbyt zawstydzona, by spojrzeć na Szczurołapa, mimo że to nie ona biła go po głowie.

– Siedzę, pilnuję waszego przyjaciela – odparł ten z wyjątkową szczerością.

– A przedtem znalazłem go na brzegu i pomogłem tu dotrzeć. Że tak powiem zapłaciłem dobrem za zło.

– Że co?! – obraził się złodziej i ponownie zaczął się unosić. – Przecież gdyby nie ja...

Wędrowiec się uśmiechnął.

– Dobrze, dobrze, niech będzie, że dobrem za dobro.

– Oczywiście Żar jest w tej całej historii najważniejszy – przytaknął Alk. Złodziej poczuł przyływ czujności, nie wątpiąc, że zaraz czeka go jakaś pułapka i się nie pomylił. – Czyli teraz to on będzie za wszystko odpowiadał!

– No to co, w końcu nie wyszedł z pana ucznia idealny niezwyciężony Wędrowiec? – zapytał Żar z kolei ze złościwością w głosie, dopiero teraz widząc szczura. – Rozdzielili się?

Wędrowiec z żalem rozłożył ręce.

– Z drugiej strony, mogło być o wiele gorzej. Teraz przynajmniej wiemy, jak

można cofnąć rytuał... Chociaż mało prawdopodobne, by komuś mogło udać się to samo co wam. Zbyt dużo warunków: niestabilna „świeca” pod postacią człowieka, śmiertelne zagrożenie, poświęcenie, dłoń Saszego... a może jeszcze coś, czego nawet nie podejrzewamy. I niestety, dar się przy tym traci. – Szczurołap ze współczuciem spojrzał na dziewczynę.

– I dobrze! – wyrwało się Rysce od serca. – Przecież i tak nie przynosił nic oprócz problemów i nieprzyjemności!

– Tobie tak. A ludziom... – Wędrowiec wskazał dłonią na wpół zatopioną dolinę. Patrząc na nią trudno było uwierzyć, że ludzie są zachwyceni. Pokój kosztował zbyt dużo. Ale w przeciwnym razie cena byłaby w ogóle nie do udźwignięcia.

Niespodziewanie Ryska pomyślała, że Sawrianin w odróżnieniu od niej wcale się nie cieszy.

– Alku... – zaczęła z poczuciem winy.

– Wszystko w porządku.

– Nie, przecież ja wiem jak bardzo ważny był dla ciebie dar Wędrowca...

– Teraz też jest dla mnie ważny – zgodził się białowłosy. – Lepiej bym umarł, niż miał go stracić.

– Nie rób tego! – przeraziła się Ryska. Dopiero co znalazła przyjaciela, a teraz miałyby ponownie go stracić i to jeszcze przez taką głupotę!

– Nie zamierzam – parsknął Alk. – Po co? Przecież nadal jestem widzącym.

– Co?!

– Ano – potwierdził Sawrianin bezczelnie. – Dlaczego ja miałbym tracić dar? Przecież nikogo nim nie zabiłem. To tylko ty skopałaś sprawę.

– Ach ty! – Ryska odruchowo przymierzyła się, by szturchnąć go pięścią w pierś, ale zakrwawiony opatrunek w jednej chwili ochłodził jej zapędy. Plamy się rozpełzły, na wolnym kawałku tkaniny wykwitło jeszcze kilka małych.

– Chyba każdy dostał od Holgi to co chciał – podsumował Wędrowiec.

– Oprócz mnie! – wyjęczał Żar, ponownie wchodząc w rolę umierającego.

– Ty też – zbył go Alk bezlitośnie. – Po prostu miałeś na sumieniu tyle grzechów, że to najmniejsza kara, na jaką mogłeś liczyć.

– A ja ostatnim razem modliłam się do Saszego – przyznała Ryska ze skrzepowaniem. Jakoś to nieładnie wyszło: ona przestała wierzyć w Boginię, a ta jednak ją uratowała! – I co mam teraz zrobić?

– Pilnie pomódl się do Holgi dwa razy – poradził Alk z poważnym wyrazem twarzy.

– Daj spokój, bluźnierco! – Dziewczyna skrzywiła się, ale w cichości ducha uznała, że pomodli się nawet trzy.

– To może jednak wrócisz do Przystani? – spytał Szczurołap niewinnie.

Sawrianin spojrzał na niego tak, że nawet Żar się uśmiechnął, a Ryska w

ogóle roześmiała w głos.

– A mówił pan, że to przez „świecę” on ma taki paskudny charakter! – wytknęła żartobliwie Wędrowcowi.

– Mówiłem, że się pogorszył – sprostował. – Ale nie obiecywałem ponownego polepszenia. – I zanim Alk to potwierdził, zmienił temat: – Trzeba znaleźć coś jadalnego. Nakarmić rannego i nam by się też przydało coś zjeść.

– Pójdę, porozmawiam z namiestnikiem – rzucił Alk z wyższością. – Pewnie znajdzie dla mnie i moich przyjaciół miejsce lepsze od wspólnego placu.

Sawrianin odwrócił się, zrobił parę kroków – i zaczął malowniczo padać w bok na ręce Wędrowca, który w samą porę zdążył zerwać się na nogi i Ryski, która skoczyła na pomoc.

– Ech, Haskilowie... – westchnął Szczurołap, układając nieprzytomnego ucznia koło Żara. – Dobra, sam przejdę się do którejś karczmy. Chociaż coś mi mówi, że obecne ceny...

* * *

Ciała modlika nie znaleziono. Nie było w tym nic szczególnie dziwnego: mogło zarówno utonąć, a teraz leżało gdzieś w głębinie pod jakimś korzeniem, jak i odpłynąć daleko w dół rzeki. W najbliższym tygodniu miała ona wyrzucić na brzegi jeszcze niemało trupów.

Ale spragnione cudów ludzkie umysły oczywiście nie uwierzyły w tak proste wyjaśnienie. Nawet pojawiła się plotka, że był to święty Tracznik we własnej osobie „wypuszczony przez Boginię z Wiecznego Domu, by powstrzymać bratobójczą wojnę”. Ryska mogłaby zaprzeczyć, że jakoś wyjątkowo wcześniej go Holga puściła... ale po co? Nie zazdrościła prorokowi sławy, bo jak by nie patrzeć śmierć modlika była zdecydowanie kanoniczna, a najważniejsze – wojna się faktycznie skończyła! Tsar Szares pojawił się w Jeżycach już wieczorem, w pośpiechu rozdał polecenia, przekroczył rzekę i ruszył dalej, do sawriańskiej stolicy.

– Myślę, że z podpisaniem nowego traktatu pokojowego nie będzie problemów – zauważył Alk, słysząc tę nowinę. – Bo tam są takie... Isieńki.

Udało im się znaleźć miejsce do mieszkania nie w karczmie tylko nad sklepem handlarza przyprawami i nawet niezbyt drogo – właściciel sklepiku uznał, że przyjaźń Wędrowca ma swoją wartość i podjął choremu towarzystwu dwa osobiste pokoje.

Żar spędził kilka dni w łóżku w ogóle nie wstając (i nawet prawie nie udając słabości!), a potem opuchlizna dokoła rany zaczęła schodzić, a złodziej odzyskał humor. Alk, jeśli wierzyć jego własnym słowom, czuł się doskonale, ale to właśnie jego Ryska bała się spuścić z oka. Żar przynajmniej leżał na miejscu, a ten nie wiadomo gdzie znowu upadnie i pytanie, czy będzie miał go kto łapać.

Ale tym razem na Sawrianinie faktycznie wszystko goiło się jak na sznurze. Tymczasem sznur rozzuchwiał się do reszty i biegał po całym domu, głośno szeleszcząc w nocy. Miejscowego kota sterroryzował do tego stopnia, że zwierzak bał się podejść do miski z mlekiem, póki bezczelny gość nie napije się jako pierwszy i sobie nie pójdzie.

Z drugiej strony, myszy sznur też pozbył się znacznie skuteczniej, niż kot. Zniknęły z domu wszystkie, co do jednej.

Wędrowiec przeważającą część czasu spędzał w mieście albo na brzegu Rybki, bez trudu znajdując dla siebie pracę. Trzeciego dnia wrócił niesamowicie zadowolony, przywołał Ryskę i wskazał okno:

– Spójrz no!

Dziewczyna z obawą posłuchała i wydała z siebie radosne zawołanie: na dole stała nietoperzyca i jedna z ich krów. Co prawda po sakwach zostały tylko podarte szmaty, ale przytroczona do tylnego łęku gitara była cała i zdrowa. Nawet się nie wykapała w odróżnieniu od swojej poprzedniczki: pewnie krowa zdołała uciec dalej od brzegu przed pęknięciem tamy.

– Ech, jakbym wiedział, to bym zrobił w niej schowek! – rozpaczał złodziej, kręcąc instrument w dłoniach.

– Weź podziękuj Holdze, że przynajmniej krowa się znalazła! – próbowała zawstydzić go Ryska.

– Ano – burczał Żar dalej, acz nieco ciszej. – Najpierw wszystko zabrać, a potem oddać kawałek – też mi powód do wdzięczności...

– I on się nazywa modlikiem! – parsknął Alk.

– I co z tego? – Złodziej nie stracił rezonu. – Ja Boginię znam lepiej, to mogę sobie pozwolić, by powiedzieć jej całą prawdę w oczy! Po przyjacielsku! Hej, Holgo, gdzie nasza druga krowa i rzeczy?!

Twarz Bogini z podwójnej ikony w rogu patrzyła na „modlika” z przyjacielską pobłażliwością.

* * *

Czwartego dnia do podeschniętego miasta wkroczyli Cyganie. Słyszając śpiew i dźwięk bębnow, Ryska wyjrzała przez okno i wydała radosny okrzyk: to był dobrze jej znany tabor.

– No to teraz możemy w końcu oddać im gitarę!

– Ja nie mogę – wykręcił się Żar śpiesznie, naciągając koc po uszy. – Ja jestem jeszcze bardzo-bardzo chory! Ooo...

Alk udał, że w ogóle nic nie słyszy.

Ryska nie miała wyboru – bo w końcu przecież nie mogła wysłać Wędrowca, który w ogóle nie miał z całą sprawą nic wspólnego!

Powiesiła gitarę na szyi i ruszyła przeproszać.

– Witaj, złota! – ucieszyła się na jej widok starsza Cyganka, natychmiast wyróżniając dziewczynę z tłumu. – Jeszcze piękniejsza się zrobiłaś, smuklejsza! Co, mam ci powróżyc? Czy przyszłaś popatrzeć na taniec?

– Proszę. – Ryska podała jej gitarę i w odpowiedzi na zdumione spojrzenia śpiesznie wyjaśniła: – Bo my przypadkiem... Nie, to w zasadzie nie jest tamta, ale przecież ta jest nawet lepsza!

– Co za miła dziewczyna! – zachwyciła się Cyganka, przeciągając dłonią po zarumienionym policzku Ryski, jak gdyby nie wierząc, że jest ona prawdziwa. – Uczciwa, dobra! Dla takiego człowieka niczego nie szkoda, zabieraj gitarę na zawsze!

– Nie, nie trzeba – zawstydzila się Ryska jeszcze bardziej. – Ja nawet nie umiem grać.

– Bierz, mówię! – roześmiała się Cyganka, polyskując białymi zębami i odpychając instrument. – Poprosisz swojego mężczyznę, to nauczy! A jak nie nauczy to przynajmniej będziesz miała pretekst, żeby poprosić!

Ryska z obawą obejrzała się na dom. Alk stał przy otwartym oknie z rękoma skrzyżowanymi na piersi, ale szczęśliwie stały z Cyganką zbyt daleko, żeby mógł usłyszeć.

– A co z wami?

– Eee! – Cyganka beztrąsko machnęła ręką. – Myśmy sobie już dawno ukradli inną!

Dziewczyna wróciła do przyjaciół z tak zamyślonym wyrazem twarzy, że natychmiast zaczęli wypytywać, co się stało i dlaczego nadal ma gitarę. A kiedy opowiedziała, wybuchnęli beczelnym rechotem.

* * *

Po tygodniu Ryska wpadła na ulicy na Cykę. Robotnik mocno schudł, na głowie miał stary opatrunek, a na ramieniu pałkę ze szmacianym zawiniątkiem.

– Rysieńka! – ucieszył się szczerze. – Żyjesz? A twoi przyjaciele?

Dziewczyna chętnie objęła starego znajomego, czując się niezwykle dorosła, równa jemu, a nie jak mała dziewczynka, która pierwszy raz w życiu zobaczyła chmurnego chłopaka z koszem wron.

Przez kilka szczap stali na ulicy, gadając. Robotnik wracał do domu, do Przybłocia. Wyruszyliby wcześniej, ale też musiał swoje przeleżeć.

– Szkoda Mikha... – westchnęła Ryska.

– No szkoda – podchwycił Cyka. – Nadal mi się czasem śni, że gadam z nim jak z żywym, ale rano to choćbyś mnie zabiła, to nie pamiętam o czym... Ale wydaje mi się, że on właśnie takiego losu szukał: żeby w zginąć w walce za słuszną sprawę... – Robotnik poprawił splezający wzdłuż pałki węzełek. – A ty, Rysiu? Nie chcesz z powrotem do majątku?

Dziewczyna spuściła wzrok i Cyka nie nalegał na odpowiedź.

– A, i wiesz, Kołaj jest tu ze mną. – Obejrzał się na drzwi piekarni. – Wszedł, żeby coś kupić na drogę, zaraz będzie. Może będziecie chcieli pogadać...

– Nie, nie trzeba – odezwała się Ryska obojętnie, raczej zdziwiona, że nie czuje w stosunku do ojczyzna kompletnie nic – ani strachu, ani urazy za to co było, ani radości. – Nie mamy o czym. Dobrze, szczęśliwej wam drogi! Przekaż Fessie i małemu życzenia zdrowia ode mnie.

– Sam się nie mogę doczekać, aż ich przytulę. – Cyka rozpląnął się w uśmiechu. – Tysiąc razy się przekląłem za głupotę, więcej za nic rodziny nie zostawię...

Objęli się jeszcze raz i rozeszli.

Z jakiegoś powodu Ryska czuła smutek.

* * *

Alk w końcu przeszedł się do namiestnika. Ryska nie miała pojęcia, co mu naopowiadał, ale panu Haskilowi pożyczono krowę i kilka złotych. Były jak znalazł: po powodzi zarabiał wyłącznie Szczurołap i mimo że szlachetnie nie mówił nawet słowa o tym, jak drogie i ciężkie jest utrzymywanie ich wszystkich, mężczyźni się sami wstydzieli. Szczególnie Alk, który może i wykreślił byłego mistrza z listy wrogów, ale nie wpisał z powrotem do przyjaciół.

– Ech, gdybym był zdrowy... – przeżywał złodziej.

– To co? – zapytał ironicznie Alk, który właśnie wrócił od namiestnika. – W sawriańskim więzieniu jeszcze nie siedziałeś?

– Dlaczego od razu w więzieniu? – nastroszył się Żar. – Czy ja mam mało uczciwych umiejętności?!

– Na przykład jakich?

– Różnych! Szczurołap nawet powiedział, że powinienem być iść do tajnej służby – pochwalił się złodziej.

– Mam to załatwić?

– Mówisz o sawriańskiej?

– O jakiej tam chcesz. Mam znajomych w każdej z nich.

– Sto złotych to nam już załatwiłeś! – parsknął złodziej. – I co z tego wyszło?

– Oddam. – Alk nawet nie mrugnął. – Pojedziemy z Ryską do mojego rodzowego zamku i zapłacę.

– Hola! – zdziwił się Żar, który nie oczekiwał takiego obrotu spraw. Rodzice na pewno przyjmą syna marnotrawnego z otwartymi ramionami, ale ile wysiłku kosztowało białowłosego podjęcie takiej decyzji! – A co ze mną?!

Sawrianin rzucił jednego złota na łóżko.

– Akurat ci starczy, żeby przeżyć do naszego powrotu. Do karczmy pewnie dokuśtykasz.

Ryska w pierwszej chwili również była zszokowana propozycją Sawrianina, ale po chwili namysłu zgodziła się, że to najlepsze wyjście. Co prawda wzięcie od Alka pieniędzy (po tym wszystkim, co przeżyli razem!) wydawało się jakieś niewłaściwe, ale białowłosey pewnym głosem uciął jej wątpliwości:

– Umowa to umowa. Przecież ty swojej części dotrzymałaś.

Dziewczyna zrozumiała, że jej próby odmowy obrażą go nie na sto, a nawet na całe trzysta złotych.

* * *

Dzień wyjazdu był chmurny, ale jasny – białe obłoki rozplynęły się po niebie cienką jednolitą warstwą jak ciasto na pierogi. I dobrze, nie będą jechać w upale.

Ryska cieszyła się z nowej podróży jak dziecko. Już nudziła się w mieście, mimo że teraz umiała rozmawiać z Sawrianami nie tylko na migi i nawet miała już kilku znajomych.

– Trzeba po drodze wpaść i wykupić Miłkę! – przypomniała Alkowi po raz dziesiąty.

– Jak będziemy wracali! – odwarknął również po raz dziesiąty. – Nawet jeśli oddasz tę krowę, to nie mamy pieniędzy, żeby dopłacać. Przecież nie sprzedamy mojej.

– A co, jak już ją sprzedadzą albo zabiją?!

– Nie zamierzam jechać z tobą do stolicy na jednej krowie!

– No to może chociaż jedźmy w odwiedziny!

– Do krowy?! – Sawrianin zazgrzytał zębami. Szczur zwinięty w rogalik leżał za kołnierzem, co jakiś czas podnosząc pysk z sennymi, zmrużonymi oczkami. Dzień nie był dla niego właściwą porą. – Przecież ona o tobie dawno zapomniała!

– Do gospodarzy, powiedziec żeby jej krzywdy nie zrobili! I wcale nie zapomniała, wiesz jaka ona jest mądra?

– Cóż, w porównaniu z tobą...

– Z tobą nawet bardziej!

Żar i Szczurołap, którzy wyszli ich odprowadzić, tylko śmiali się po cichu.

– W drodze powrotnej – uciął Alk. – A potem możesz się z nią nawet całować od rana do wieczora w swojej zabłoconej wiesce!

– I wcale nie w wiesce! Może ja chcę zostać bajarką? – nadeła się Ryska. – Tylko wpadnę do majątku, żeby odwiedzić Fesę i Cykę, i oddam Świstakowi pieniądze za Miłkę...

– Ja ci oddam! – natychmiast podskoczył Żar. – To twoja krowa, nie ma co gadać!

– Nikt od niej nie będzie niczego chciał – rzucił Alk z roztargnieniem, poprawiając uprzęż na swojej krowie.

– Skąd wiesz? Przecież nigdy nie widziałeś tego Świstaka, on to przezwisko otrzymał wcale nie z powietrza! Wszystko do siebie zgarnia i chowa, jak prawdziwy świstak!

Sawrianin wzruszył ramionami. Szczur zachwiał się, obudził i przeniósł za pazuchę.

– Z jakiegoś powodu tak mi się wydaje. Dobra, bajarko, włącz na siodło. Jedziemy.

Ryska wspięła się na krowę i już stamtąd (zaczerwieniona na wspomnienie słów Cyganki) rzuciła z pretensją:

– Zamiast się śmiać, lepiej byś mnie nauczył grać na gitarze!
– Ciebie? Beznadziejna sprawa – zbył ją Alk bez zastanowienia.
– Po prostu jesteś do kitu jako nauczyciel! – uniosła się ponownie dziewczyna.

– Znajdź innego.

– A znajdę!

– A znajdź.

Krowy już ruszyły z miejsca, a jeźdźcy nadal się wyklócali, zapominając nawet pomachać przyjaciółom na pożegnanie.

– Ona jest jeszcze za mała dla niego – powiedział Żar z niepokojem.

– Wyrośnie – odparł Wędrowiec z przekonaniem. – I dobrze, że mała. Mali łatwiej się uczą.

– Ten to ją dopiero nauczy...

Na tle jasnego nieba było wyraźnie widać, jak Alk i Ryska coś tam ustalili i wyciągnęli do siebie ręce.

I tak pojechali dalej.

* * *

Są ludzie, którzy oddają szczurom honory jak świętym zwierzętom i czczą je, uważając, że to Holga sprawdza czy dusze nadają się do ziemskich dróg, po raz pierwszy wcielając je w szczury.

Oczywiście jest to całkowita bzdura, bo przecież czy pomiędzy człowiekiem, a szczurem jest cokolwiek wspólnego?

Traktat „O stworach ziemi, wody i niebios”.

Olga Gromyko



Urodziła się w 1978 roku w Winnicy (obecne terytorium Ukrainy).

Z wykształcenia jest biologiem i przez kilka lat pracowała w Instytucie Naukowo-Badawczym epidemiologii i mikrobiologii. Debiutowała powieścią *Zawód: Wiedźma*, której główną bohaterką jest Wolha Redna.

Za swoją twórczość otrzymała wiele nagród, w tym medal Nikołaja Gogola za rozwój literatury fantastycznej (2009). Obecnie mieszka w Mińsku.

Do tej pory nakładem wydawnictwa Papierowy Księżyc ukazały się następujące powieści Olgi Gromyko: *Wierni wrogowie*, *Rok Szczura*. *Widząca*, *Rok Szczura*. *Wędrowniczka*, *Szczuryнки* i *Zawód Wiedźma*.

Spis treści

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

Rozdział 7

Rozdział 8

Rozdział 9

Rozdział 10

Rozdział 11

Rozdział 12

Rozdział 13

Rozdział 14

Rozdział 15

Olga Gromyko

Rok Szczura. Świeca to ostatni tom trylogii Rok Szczura – bestsellerowej sagi, która opowiada losy Ryski – wiejskiej dziewczyny wykazującej pewne zdolności jasnowidzenia, której w pełnej przygód wędrówce towarzyszą: jej przyjaciel z dzieciństwa Żar – złodziejasek oraz znaleziony na drodze szczur Alk – którego największym życzeniem jest zmienić się z powrotem w człowieka.

Po raz kolejny Olga Gromyko – bestsellerowa autorka Wiernych wrogów i serii o przygodach wiedźmy Wolhy gwarantuje niezapomnianą dawkę fantastycznej przygody z dużą dozą humoru, tak cenioną przez jej licznych fanów.

Niestety, spokojne życie w milej miejscowości nie było naszym bohaterom pisane. Ktoś poluje na całą trójkę, a najwyraźniej sprawa dotyczy tajemniczego listu, który wpadł im przypadkowo w ręce. Alka, Ryskę i Żara znów czeka ucieczka, pełne napięcia przygody i zuchwałe przedsięwzięcia. Nie mają pojęcia, że ten niepozorny kawałek papieru jest języczkiem u wagi, na której leżą losy dwóch krajów, a na horyzoncie zbierają się czarne chmury wojny...



PAPIER WYKSIĘŻYC

ISBN: 978-83-65568-18-2



9 788365 156818 2

49,90
PLN

www.papierowyksiezyc.pl

